Którzy odeszli







DZIŚ DODATEK SPECJALNY

FOT. CBS/GETTY IMAGES, MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, HERBERT DOREMAN/GETTY IMAGES

MAGAZYN wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Na drugą stronę

Opowieści o odchodzeniu



FOT. GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X

9 770860 908167 44

Co ciągnie astronomów na chilijską pustynię? ▶ 20

Gaja Kuroń marzyła o klamce, Jacek spełnił to marzenie ▶ 24

Płakałam przy tarocie Co psycholog na to? ▶ 33

WYSOKIE OBCASY
Sylwia Gruchała Teraz wszystko ma sens



Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 31 października – 5 listopada 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **14,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 255.11354, 1 Nakład 76 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl ce60f33c89

Wybory w Izraelu

Co jeszcze podpali Netanjahu?

Wojna była dla Netanjahu ucieczką przed oskarżeniami o zaniedbania i nieudolność, które doprowadziły do tragedii 7 października, a także o korupcję.

Wielinski



Ostatnie lata politycznej historii Izraela można opisać jako coraz bardziej desperacką próbę ucieczki Benjamina Netanjahu przed wymiarem sprawiedliwości. Izraelski premier nie cofa się przed niczym. Co jeszcze podpali?

Odpowiedzialność Netanjahu to przede wszystkim dopuszczenie do pogromu z 7 października 2023 r. Terroryści Hamasu przedarli się przez granice Strefy Gazy. W atakach na okoliczne kibuce, odbywający się na pustyni Negew festiwal i przygraniczne miasto Sderot zginęło ok 1200 osób. 251 uprowadzono do Strefy Gazy, ponad 80 osób nie przeżyło niewoli.

Zaskoczenie izraelskich służb i wojska było całkowite. Wcześniej ludzie Netanjahu ignorowali ostrzeżenia oddziałów monitorujących działalność Hamasu i sygnały ze służb wywiadowczych krajów arabskich, przestrzegające, że w Strefie Gazy dojdzie do „eksplozji". Potężny kraj został upokorzony przez terrorystów.

●

W historii Izraela podobna kompromitacja miała miejsce pół wieku wcześniej. W święto Jom Kipur 1973 r. kraj jednocześnie zaatakowały syryjskie i egipskie wojska. Zaatakowały również z zaskoczenia, bo sygnały o przygotowaniu do skoordynowanej operacji izraelski rząd premier Goldy Meir również zlekceważył.

Kraj udało się obronić, ale polityczna cena była olbrzymia. Skalę zaniedbań wojska i wywiadu badała komisja śledcza, na czele której stał przewodniczący sądu najwyższego Szimon Agranat. Wnioski były druzgocące, premier Meir podała się do dymisji, a kilka lat później jej Partia Pracy straciła władzę na rzecz prawicowego Likudu.



• **Likud Benjamina Netanjahu wygrał wtorkowe wybory do Knesetu, ale nie zdobył większości** FOT. REUTERS/RONEN ZVULUN

Po pogromie z jesieni 2023 r. wydawało się, że powołanie analogicznej państwowej komisji śledczej to jedyna droga, by rozliczyć winnych i odzyskać zaufanie obywateli do państwa. Netanjahu skończyłby gorzej niż Golda Meir, tracąc nie tylko władzę. Ciążą na nim poważne oskarżenia o korupcję.

Równolegle Lahav 433, specjalna jednostka izraelskiej policji ds. walki z korupcją i zorganizowaną przestępczością, prowadziła bowiem śledztwa o kryptonimie Sprawa 1000, Sprawa 2000 i Sprawa 4000. Cyfry zamiast nazw miały zamaskować przed wścibskimi dziennikarzami fakt, że chodzi o śledztwa dotyczące skandali, w które w latach 2007-2017 uwikłany był Netanjahu.

Pierwsze z nich dotyczy przyjmowania przez Netanjahu i jego krewnych cygar, szampanów, biżuterii i innych bogatych prezentów od znanych biznesmenów w zamian za świadczone przez premiera przysługi. W drugim policja zajmowała się umową, jaką Netanjahu zawarł z wydawcą jednej z najpoczytniejszych izraelskich gazet. W zamian za ograniczenie nakładu konkurencji wydawca miał zobowiązać się do ocieplenia wizerunku premiera.

Trzecie śledztwo jest najpoważniejsze, dotyczy uzależniania przyjmowanych przez rząd regulacji telekomunikacyjnych w sprawie jednego z izraelskich koncernów od publikacji na należącym do tego koncernu portalu. Netanjahu domagał się, by przedstawiać go w korzystnym świetle, a jego przeciwników mieszać z błotem. W sprawie portalu miał interweniować ponad 300 razy. Proces trwa już ponad sześć lat.

●

Wojna była dla Netanjahu ucieczką przed oskarżeniami o zaniedbania i nieudolność, które doprowadziły do tragedii 7 października, a także o korupcję. Podczas wojny wstrzymuje się wszelkie rozliczenia, a społeczeństwo mobilizuje się wokół władzy. Dlatego Netanjahu rozkręcił wojnę, by trwała jak najdłużej.

Początkowo ograniczała się do odwetu w Strefie Gazy, z której po izraelskich atakach zostały zgliszcza. Zginęło ponad 70 tys. ludzi. Następnie izraelskie bomby i pociski spadły na Liban, Syrię. W końcu w 2025 r. Izrael zaatakował Iran, a rok później do wspólnej operacji przeciwko Iranowi Netanjahu przekonał prezydenta USA Donalda Trumpa.

Ameryka dołączyła do wojny bez strategicznego planu licząc, że wystarczy wyeliminować przywódcę irańskiej teokracji Alego Chameneiego, by reżim rozsypał się jak domek z kart. Skończyło się irańską blokadą strategicznej cieśniny Ormuz, drastyczną zwyżką cen paliw na świecie. W przyszłym tygodniu Trump najprawdopodobniej zapłaci za to surową polityczną cenę, bo jego partia według sondaży straci większość w Izbie Reprezentantów i prawdopodobnie w Senacie.

Likud wygrał wtorkowe wybory do Knesetu, ale nie zdobył większości. Netanjahu jednak ciągle ma przestrzeń, by uciekać. Jeszcze przed wyborami próbował nakłonić wojskowych do wznowienia ataków na Iran. Można zakładać, że pozostając szefem rządu, z tego planu nie zrezygnuje.

A jednocześnie jego ludzie oskarżają izraelskich Arabów, którzy wyrośli na poważną polityczną siłę, o wyborcze fałszerstwa. Netanjahu poza podpalaniem regionu najwyraźniej jest gotów podpalić własny kraj. ●

Bartosz T. Wieliński

Andrzej rysuje



Kod dostępu do Wyborcza.pl





Netanjahu stał się rekruterem światowego antysemityzmu

JOHN IRVING
cała rozmowa z autorem „Świata według Garpa"
▶ **wyborcza.pl**

eprasa.pl ce60f33c89

Polskie sprawy ostateczne

Po śmierci sprawy zaczynają się układać i przybierają właściwy obrót

Karawan przyjeżdża błyskawicznie, panowie wchodzą, kładą ciało na mary, owijają je prześcieradłem. Nawet nie czuję się zobligowany, żeby wyjąć z kieszeni pięć dych. Wynoszą mojego ojca i już.

Olszewski





FOT. GETTY IMAGES/WESTEND61

Przed śmiercią jest inaczej: toczymy z mamą nieustanne rozmowy o tym, co robić, czasami bywa nerwowo. Mój ojciec umiera po katolicku, czyli powoli i w wielkim bólu, mimo że dostał plastry i zestaw najsilniejszych leków przeciwbólowych. Jest naćpany, nieprzytomny, a jednocześnie ból rozrywa go na strzępy. Ja poznaję nazwy leków, o istnieniu których wcześniej nie miałem pojęcia. Na końcową fazę bólu nowotworowego nie działa żaden koktajl.

Robimy, co możemy, ale nie jesteśmy fachowcami, a opieka hospicyjna w niemal 60-tysięcznym mieście opiera się na niewielkiej grupie pielęgniarek i lekarzy, która, choć niestrudzenie kursuje po domach, nie jest w stanie reagować na każde zawołanie.

Biuro naszego hospicjum domowego otwarte jest w godzinach rannych, od poniedziałku do piątku. Pomoc nocna? Cóż – możemy wynająć ludzi, którzy spędzą z nami te kilka godzin, ale przecież i tak nie mamy dokąd się wynieść. Zatem w nocy z mamą nie śpimy, obracając ojca z boku na bok i aplikując kolejne porcje leków przeciwbólowych. Piszę o tym bez szczególnej pretensji, ale i bez złudzeń: ta część systemu umierania nadal skonstruowana jest w sposób, który maksimum wysiłku przenosi na rodzinę umierającego.

W pobliżu mojego miasta rodzinnego znajdują się dwa państwowe hospicja, do obu trzeba ustawić się w kolejkę, która z wiadomych przyczyn jest długa i przesuwa się powoli. Zaskakuje mnie, że dla jej rozładowania na drodze zastawione są pułapki, o których wcześniej nie myślałem.

Na przykład w pierwszym ośrodku, do którego dzwonimy, pani dyrektor stanowczo żąda, żeby przed dostarczeniem umierającego wykonać operację chirurgiczną. Ojciec nie je, a ośrodek ma obowiązek pacjenta odżywiać. Oczywiście zabieg chirurgiczny jest równoznaczny ze śmiercią ojca, poza tym nikt o zdrowych zmysłach takiej operacji nie wykona, więc traktujemy to jak sprytny wybieg, dzięki któremu w kolejce do hospicjum stanąć nie możemy.

Jeśli chodzi o hospicjum numer dwa, to na przeszkodzie staje sprawa prozaiczna: publiczna komunikacja nie kursuje pomiędzy oboma miastami od dawna. Mama nie ma samochodu, a chciałaby odwiedzać ojca jak najczęściej, ja nie zawsze jestem na miejscu. Też odpada.

Oddział opiekuńczo-leczniczy w szpitalu miejskim również nie wchodzi w grę, ponieważ nie przyjmuje chorych z nowotworami.

Szeroko otwarte są za to drzwi prywatnego Caritasu, mają miejsce od ręki. Koszt: 7 tysięcy plus leki, pieluchy i inne dodatki, 8 tysięcy miesięcznie wyjdzie jak nic, nie stać nas.

Kiedy sytuacja staje się trudna, przyjeżdżają zespoły ratownicze. SOR nic tu nie pomoże, a wieźć człowieka na wewnętrzny nie ma sensu, chyba że – słyszymy – chcemy, żeby umarł pomiędzy kaloryferem a lodówką w kącie oddziału. Jeśli uprzemy się, to zabiorą. Nie upieramy się.

Zatem mamy domowe umieranie rozłożone na nie wiadomo jak długi czas. Na szczęście ściany naszego bloku są dosyć grube i nikt nie zgłasza zastrzeżeń. Po dwóch miesiącach rozwiązanie przychodzi samo: ojciec umiera bardzo cicho, w środku słonecznego dnia.

●

Natomiast po śmierci sprawa ma się zupełnie inaczej.

Ksiądz, który nie zdążył z ostatnim namaszczeniem, mówi, żeby się nie przejmować, bo dusza wychodzi z ciała jakieś dwie godziny. Ostatnie namaszczenie udzielone zostaje zatem trzy kwadranse po śmierci, za co mama jest mu bardzo wdzięczna.

Lekarz rodzinny z aktem zgonu przyjeżdża o umówionej godzinie: mimo że jest już po godzinach, to nie ma żalu, bo sytuacja wyjątkowa. Sprawdza, czy ojciec umarł, i modli się nad ciałem, za co mama również jest mu bardzo wdzięczna.

Dyspozytor z firmy pogrzebowej jest na posterunku, odbiera połączenie i ordynuje karawan. Karawan przyjeżdża błyskawicznie i jakoś dyskretnie, wszystko dobrze się składa, bo na podwórku akurat nikogo nie ma, więc nie będzie zbiegowiska. Operacja trwa raptem kilka minut: panowie wchodzą, kładą ciało na mary, owijają je prześcieradłem, wychodzą, odjeżdżają. Nie mrugają okiem, nie stroją min, więc nawet nie czuję się zobligowany, żeby wyjąć z kieszeni pięć dych. Wynoszą mojego ojca i już.

Nie ma lamentów, płaczek pogrzebowych, wielodniowej modlitwy, którą zapamiętałem jeszcze z dzieciństwa. Jest sprawnie, pragmatycznie i bardzo mi się to podoba.

Równie sprawnie przebiega nasza wizyta w zakładzie pogrzebowym, gdzie przywozimy garnitur, koszulę i buty na ostatnią drogę.

Piszę, że po śmierci sprawy przybierają właściwy obrót, bo podniesienie zasiłku pogrzebowego do wysokości 7 tysięcy złotych wyszło wszystkim na dobre: taka kwota (z niewielką górką, rzecz jasna, którą bez szemrania dodajemy) wystarcza na kosmetykę ciała, przyzwoitą trumnę, duży autokar na pół dnia, grabarzy, nagłośnienie na cmentarzu i klucze do kostnicy, w której możemy siedzieć do woli.

Atmosfera podczas ustalania szczegółów jest spokojna, nie ma pól konfliktu. Moja mama jest zapobiegliwa, więc wyremontowała wcześniej grób rodzinny, żebym ja nie musiał się tym zajmować. Jest miejsce dla ojca, dla niej, a przedstawiciel zakładu, patrząc na mnie z pogodnym uśmiechem, dodaje, że znajdzie się jeszcze miejsce na urnę. Doceniam ten pragmatyzm.

Zatem 7 tysięcy to kawał grosza, który trochę cywilizuje rynek pośmiertny dotychczas oparty na niedomówieniach i banknotach wtykanych ukradkiem poszczególnym pracownikom branży. Do tego tysiąc złotych za dwa duże wieńce pogrzebowe, od nas i od rodziny ze Stanów. Pani kwiaciarka dostarczy je swoim autem punktualnie do kostnicy i wypisze na szarfach choćby najdłuższe pożegnanie.

Gorzej ze stypą, bo wszystkie restauracje pozajmowane, ale znajdujemy w końcu przyzwoity lokal, powinniśmy się zmieścić w 2 tysiącach za rosół, schabowego, ciasto i kawę dla 20 osób. Msza kosztuje co łaska, ale zwyczajowo od pięciu stów w górę. I dodatkowe pieniądze za organistę, jeśli chcemy, żeby było na ładnie.

Wszystko, co dzieje się po śmierci, jest dopięte na ostatni guzik, co do minuty i co do złotówki. Kwoty są znane, nie ma zaskoczeń, każdy wie, co robić.

●

Jeśli przypadek mojej rodziny nie jest odosobniony, to da się z niego wyprowadzić następującą puentę: szlak rodziny i zmarłego pomiędzy łóżkiem, na którym skonał, a cmentarzem wygląda na coraz bardziej zadbany i coraz łatwiejszy do pokonania. Już po śmierci społeczne role i obowiązki są dobrze określone. Na swoich zadaniach świetnie znają się i ksiądz, i lekarz, i pani z kwiaciarni, i grabarze, którzy przynoszą mary.

Jeśli zaś mowa o tym, co dzieje się wcześniej, pomiędzy momentem, kiedy ciało odmawia posłuszeństwa, a chwilą śmierci, to tu nadal rozpościera się ziemia, na której konieczne są przede wszystkim upór i końskie zdrowie rodziny umierającego, na przykład gotowość, żeby nie spać siedem nocy z rzędu. A mój ojciec umierał zaledwie dwa miesiące. Mógł umierać znacznie dłużej, na przykład rok.

Państwo do tej sytuacji nie jest przygotowane w wystarczającym stopniu ani od strony pomocy oferowanej rodzinom, które chcą, by chory został w domu, ani od strony państwowych hospicjów stacjonarnych, w których, mówiąc brutalnie, podaż jest znacznie mniejsza niż popyt.

Teraz, kiedy emocje powoli opadają, siadam z mamą przed telewizorem. Trochę wspominamy, trochę milczymy. Jest między nami fundamentalna rozbieżność. Mama uważa, że system należy naprawić, wzmacniając hospicja domowe i hospicja stacjonarne dla tych, z którymi rodzina nie jest w stanie już sobie poradzić. Cała reszta nie budzi jej zastrzeżeń. Bolało, ponieważ śmierć naturalna bywa bolesna, nie nam o tym decydować. Ojciec umarł po katolicku, można powiedzieć, jak Pan Bóg przykazał, według wytycznych państwa, które jest niby świeckie, ale w gruncie rzeczy nakłada płynące z religii obowiązki i na wierzących, i na ateistów.

Ja idę dalej i uważam, że same hospicja nie wystarczą. Chciałbym dożyć momentu, w którym będę mógł zadecydować, czy chcę spędzić ostatnie chwile życia wyprężony z bólu na kanapie czy szpitalnym łóżku, czy też po prostu wcześniej zasnąć po otrzymaniu odpowiedniej porcji leku nasennego.

Mam małą nadzieję, że moje państwo kiedyś mi to umożliwi. Na razie wielu z nas umiera w niewyobrażalnym cierpieniu, bez możliwości wyboru ścieżki na drugą stronę.

I słaba pociecha, że po drugiej stronie sprawy toczą się bardzo sprawnie. ●

Michał Olszewski

eprasa.pl ce60f33c89

TEMAT WAŻNY

Pożegnanie po holendersku

Od 2002 roku na eutanazję w Holandii zdecydowało się ponad 121 tys. osób. Liberałowie chcą iść jeszcze dalej, ale są głosy, że temat wymyka się spod kontroli.

Łukasz Koterba



eprasa.pl ce60f33c89

Jak się przygotować na śmierć własnego dziecka? Dla rodzica to niepojęte. Wiedzieliśmy jednak, że to się wydarzy i tego dnia nasza córka wejdzie schodami na górę, by spotkać śmierć – głos Mireille Verhoof się łamie. Matka opowiada o dniu, w którym zmarła jej 17-letnia córka. – Mówiłam czasem, że gdy nadejdzie ta chwila i lekarz zadzwoni do drzwi, to mu nie otworzę.

Po latach depresji, lęków, powracającej traumy, bezsennych nocy, prób samobójczych, terapii, hospitalizacji i po wypróbowaniu wielu leków i metod leczenia Milou poddała się 2 października 2023 r. eutanazji.

W przejmującym filmie dokumentalnym „Walka Milou trwa" („Milou strijd gaat door") w reżyserii Barta Hölschera rodzice, koleżanki i terapeuci Milou opowiadają jej historię. Także sama ją opowiada, bo wykorzystano m.in. jej filmiki z serwisów społecznościowych i zapiski z dziennika.

Widzimy, jak wrażliwa dziewczyna pogrąża się w bólu i rozpaczy. W wieku 11 lat Milou została zgwałcona. Prawie w ogóle nie spała, nie chodziła do szkoły, okaleczała się, miała halucynacje, podejmowała próby samobójcze. Wciąż myślała i mówiła o śmierci.

W ośrodku terapeutycznym znów została wykorzystana seksualnie. Po kolejnych bezskutecznych terapiach Milou coraz częściej mówi, że chce odejść w godny sposób. Wie, czym jest trauma, i nie chce nią obarczać najbliższych, którzy mogliby ją znaleźć po kolejnej, już udanej próbie samobójczej. Rodzice rozumieją jej decyzję.

●

Według psychiatry Menno Oosterhoffa, który przeprowadził eutanazję Milou, w przypadku 17-latki można było mówić o cierpieniu psychicznym, które było nie do zniesienia i bez szans na poprawę.

Holenderskie prawo dopuszcza eutanazję nie tylko z powodu cierpienia fizycznego, ale także psychicznego. W obu przypadkach trzeba wykazać, że cierpienie jest „nie do zniesienia" i nie ma szans na poprawę. Obowiązująca od 2002 r. ustawa pozwala też, przy zachowaniu szczególnej ostrożności, na eutanazję osób w wieku 12-17 lat.

Taki pacjent, podobnie jak dorosły, musi sam świadomie i dobrowolnie zwrócić się o eutanazję, a jeśli ma 12-15 lat, zgodę muszą wyrazić też rodzice. Jeśli ma 16 lub 17 lat, rodzice muszą być „zaangażowani w tę decyzję".

Dla wszystkich eutanazji konieczna jest zgoda lekarza prowadzącego dany wniosek oraz drugiego, niezależnego lekarza konsultanta (tzw. SCAN-arts). Dla eutanazji z powodu cierpienia psychicznego konieczna jest opinia jeszcze jednego lekarza.

Sytuacje takie jak Milou – czyli eutanazja osoby niepełnoletniej i cierpiącej psychicznie – są niezwykle rzadkie. W latach 2021-25 Regionalna Komisji do spraw Oceny Eutanazji RTE odnotowała dwa takie przypadki. Komisja sprawdza każdy przypadek eutanazji pod kątem zgodności z prawem i procedurami.

Wśród osób w wieku do 30 lat eutanazji z powodu cierpienia psychicznego jest już więcej. W ubiegłym roku było ich 19, a w minionych pięciu latach – 96. Na tle ponad 10 tys. eutanazji zarejestrowanych tylko w 2025 r. to wciąż niewiele.

Eutanazje młodych pacjentów psychiatrycznych wywołują jednak duże emocje i ostre debaty. Wie o tym dobrze Oosterhoff, który przeprowadził eutanazję Milou. – To była jedna z najtrudniejszych decyzji w moim życiu i nie mam nic przeciwko, by ludzie zadawali pytania w tej sprawie – mówił w filmie.

Na pytaniach się jednak nie skończyło.

●

W 2024 r. do holenderskiej Prokuratury Publicznej wpłynął list podpisany przez 14 psychiatrów. Autorzy wyrazili w nim zaniepokojenie praktyką eutanazji z powodu cierpienia psychicznego, opisywał dziennik „NRC". Zarzucili Oosterhoffowi, że propaguje eutanazję jako łatwo dostępną metodę, i zasugerowali, by prokuratura przyjrzała się sprawie śmierci nastolatki (imię Milou nie pada, ale z kontekstu wynika, że chodzi o nią).

Prokuratura nie wszczęła dochodzenia, bo eutanazja Milou została zbadana przez RTE i nie stwierdzono uchybień.

List miał być poufny, ale jeden z sygnatariuszy opowiedział o nim publicznie. W reakcji na to Oosterhoff zwrócił się do prokuratury o udostępnienie listu i dostał go, ale z zamazanymi nazwiskami. Oosterhoff i rodzice Milou, oburzeni treścią listu, domagali się ujawnienia nazwisk. Rozpoczęła się medialna i sądowa batalia.

– Czułem, że stawia się mnie w roli przestępcy. Do tego jeszcze oskarżanie rodziców. Myślę, że to przynosi wstyd naszej grupie zawodowej – powiedział Oosterhoff w „Walka Milou trwa".

Tytuł dokumentu nawiązuje właśnie do walki, jaka rozpętała się po śmierci Milou, w mediach i wśród psychiatrów. Kiedy prokuratura odmówiła rodzicom ujawnienia nazwisk, ci poszli do sądu i wygrali. Prokuratura nazwiska przekazała, ale „z powodów pryncypialnych" odwołała się od wyroku.

Oosterhoff uważa, że w pewnych przypadkach cierpienie psychiczne pacjenta jest tak wielkie i beznadziejne, a jego pragnienie śmierci tak duże, że jego rolą jako lekarza jest pomóc mu w zakończeniu tego cierpienia – mówi w filmie. – Na szczęście większość schorzeń psychicznych albo sama mija, albo możemy je leczyć. W niektórych przypadkach to jednak niemożliwe.

●

Wśród sygnatariuszy listu był znany holenderski psychiatra Jim van Os. Pytam go więc, czy w jego opinii eutanazja z powodu cierpienia psychicznego w określonych przypadkach powinna być możliwa.

– Nie mówię „nigdy". Mogę sobie wyobrazić, że jeśli ktoś od trzydziestu lat słyszy przeraźliwe głosy, nie ma życia i stracił wszelką nadzieję, to w takim przypadku możemy o tym rozmawiać – odpowiada.

Według niego współczesna psychiatria nie wypracowała jednak jednej, opartej na naukowych podstawach procedury, która pozwoliłaby stwierdzić, że czyjeś cierpienie psychiczne jest nie do zniesienia i bez szans na poprawę, a dalsze leczenie daremne.

Komisja przeanalizowała w ubiegłym roku wszystkie przypadki eutanazji. Było ich ponad 10,3 tys. Tylko w siedmiu stwierdzono, że nie spełniono warunków staranności.

Eutanazje stanowiły w 2025 r. już niemal 6 proc. wszystkich zgonów w Holandii. Trzy czwarte pacjentów, którzy poddali się eutanazji, miało co najmniej 70 lat.

Najczęściej o eutanazję proszą pacjenci onkologiczni. W 2025 r. rak był przyczyną ponad połowy eutanazji. Współwystępowanie kilku schorzeń somatycznych odpowiadało za 18 proc., a schorzenia układu nerwowego – za 7 proc.

Do RTE zgłoszono w ubiegłym roku 60 przypadków (120 osób) podwójnej eutanazji. Chodzi o sytuacje, gdy dwie osoby jednocześnie poddają się eutanazji. Każda z nich osobno przechodzi procedurę i tylko wykonanie zabiegu odbywa się w tym samym momencie, co pozwala im odejść razem.

Głośną podwójną eutanazją była śmierć Driesa Van Agta i jego żony. Van Agt był prawicowym premierem Holandii w latach 1977-82. Znany z dużej niezależności, po zakończeniu kariery zmienił poglądy na bardziej progresywne. W lutym 2024 roku 93-letni polityk i jego 93-letnia żona wspólnie zakończyli życie.

●

Wielu holenderskich seniorów rozmawia o eutanazji, szczególnie po śmierci partnera – mówi „Wyborczej" 88-letnia Liesbeth Quaadgras z limburskiego Hoensbroek. Przez lata była wolontariuszką telefonu zaufania Luisterlijn, a jako członkini Związku Humanistycznego wygłaszała mowy na pogrzebach. O cierpieniu i śmierci, w tym w wyniku eutanazji, często słuchała i mówiła.

Holenderskie prawo dopuszcza eutanazję nie tylko z powodu cierpienia fizycznego, ale także psychicznego

– Jeśli ktoś ma raka, to można relatywnie łatwo ustalić, kiedy dalsze leczenie nie ma sensu i nie ma szans na poprawę. Problem z cierpieniem psychicznym jest jednak taki, że trudno je zrównać z cierpieniem fizycznym – tłumaczy w rozmowie z „Wyborczą". – Weź dwóch psychiatrów i nie będzie między nimi zgody co do kryteriów eutanazji z powodu cierpienia psychicznego.

Przywołuje przykład Kanady i Francji, gdzie pomoc w umieraniu jest legalna, ale podstawą nie może być wyłącznie cierpienie psychiczne. – W Holandii powiedzieliśmy jednak, że mamy odpowiednie procedury i jeśli zostaną one zachowane, to wszystko się zgadza.

Van Os jest zwolennikiem ograniczenia możliwości eutanazji z powodów psychicznych u ludzi, którzy nie ukończyli 30 lat. W 2025 r. parlament odrzucił jednak wniosek o wprowadzenie trzyletniego moratorium na eutanazje pacjentów psychiatrycznych w wieku do 30 lat.

Według Van Osa trzeba spojrzeć też na szerszy kontekst. – W społeczeństwie jest dziś wiele cierpienia: egzystencjalnego, społecznego, psychicznego. Trudno jedno oddzielić od drugiego. Kiedy jednak państwo mówi, że możliwy jest „medyczny exit", to wielu będzie chciało z niego korzystać – ostrzega.

– Dotyczy to szczególnie młodych ludzi: z neuroróżnorodnością, autyzmem, ADHD, doświadczeniem traumy, czujących, że są inni, samotni, że nigdzie nie pasują. Ten „medyczny exit" ich przyciąga, zaczynają się z nim identyfikować i widzą go jako rozwiązanie – tłumaczy. Dlaczego zatem jest zwolennikiem ograniczenia prawa do śmierci?

– Cierpienie psychiczne jest częścią ludzkiej egzystencji – uzasadnia.

●

Zdecydowana większość eutanazji w Holandii dotyczy jednak przypadków cierpienia fizycznego. Eutanazja z powodu cierpienia psychicznego stanowiła w 2025 r. tylko 1,7 proc. (174 osoby) wszystkich przypadków – jak wynika z raportu RTE. To mniej niż w 2024 r., ale więcej niż kilka czy kilkanaście lat temu.

– Niektórzy moi znajomi poddali się eutanazji, a raz doświadczyłam tego bardzo blisko, bo dotyczyło to mojej siostry. Bardzo mnie to poruszyło – opowiada przez telefon. Mimo podeszłego wieku mówi wyraźnie, głośno, energicznie.

– Wcześniej o tym rozmawiałyśmy, więc wiedziałam, że jest gotowa. Rozumiałam w pełni, że zdecydowała się tak odejść, a nie w sposób straszny i bolesny, niespodziewany dla dzieci. To ważne, że ludzie, którzy cię kochają, mogą być przy tobie, mogą trzymać twoją dłoń. Świadomość, że nie musisz umierać w samotności, daje wielki spokój.

Pamięta dzień, w którym jej siostra odeszła. – To było takie piękne, spokojne, pełne ukojenia. Była już stara, miała 86 lat. Jej cierpienie się skończyło. Towarzyszyli jej mąż i dzieci.

– Wszystko odbyło się starannie. Każdy był przygotowany i mógł się pożegnać. Smutek oczywiście był wielki jak przy każdej śmierci, ale jednak mniejszy. Nie musieliśmy patrzeć, jak kona – mówi.

– Bo ta ostatnia część życia przeważnie nie jest piękna.

●

Kiedy Quaadgras przyszła na świat, kościoły w Holandii były jeszcze pełne, w parlamencie dominowały partie chrześcijańskie, a duża część dzisiejszej Indonezji była Holenderskimi Indiami Wschodnimi.

W kolejnych dekadach Holandia bardzo się zmieniła, podobnie jej wizerunek. Z kolonialnej potęgi surowych chrześcijan stała się krajem, którym niektórzy konserwatyści straszą dziś dzieci. Patrzcie, w coffee shopach sprzedają tu marihuanę, geje adoptują dzieci, z kościołów robią dyskoteki, a do tego aborcja, prostytucja i eutanazja. Zarówno obraz dawnej konserwatywnej Holandii, jak i obecnej liberalnej jest uproszczeniem, ale duże zmiany społeczne i kulturowe, jakich to społeczeństwo doświadczyło od lat sześćdziesiątych XX w., są faktem.

Także wejście w życie ustawy o eutanazji w 2002 r. poprzedziła długa debata o tym, czy, kiedy i jak można skrócić cierpienie chorym bez szans na poprawę. To-

◀ **17-letnia Milou poddała się eutanazji z powodu cierpienia psychicznego 2 października 2023 roku**
FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Śmierć w Holandii

6

• **Taki procent zgonów w 2025 r. stanowiły dopuszczalne prawem formy eutanazji**

eprasa.pl ce60f33c89

czono ją w gabinetach lekarskich, kościołach, salach sądowych i na łamach gazet.

Głośna była sprawa lekarki Geertruidy Postmy, która w 1973 r. podała ciężko chorej matce śmiertelną dawkę morfiny. Lekarkę ostatecznie skazano na symboliczną karę, ale w jej obronie stanęło wielu medyków, prawników i pacjentów. Sprawa Postmy przyczyniła się do powstania Holenderskiego Stowarzyszenia na rzecz Dobrowolnej Eutanazji NVVE prężnie działającego do dziś. W amsterdamskim biurze NVVE pracuje 40 osób.

W Holandii tradycja zrzeszania się i organizowania jest mocna także na polu prawa do eutanazji. Centrum Eksperckie ds. Eutanazji pomaga pacjentom w znalezieniu lekarzy, którzy poprowadzą ich wniosek. Fundacje KEA i ThaNet działają na rzecz cierpiących psychicznie, a Fundacja Pozwól Odejść z Miłością zrzesza rodziców dzieci, które z powodu cierpienia psychicznego zdecydowały się na eutanazję lub ją planują.

Kolejne procesy, wyroki i orzeczenia doprowadziły do tego, że już na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w. wypracowano wytyczne, wedle których lekarz mógł przeprowadzić eutanazję, za którą nie był karany. – Skoro lekarze i tak pomagają skrócić cierpienie chorym, to przynajmniej ustalmy jakieś zasady – uznali pragmatyczni Holendrzy.

•

W końcu wytyczne ujęto w ramy ustawy. Nie daje ona pacjentom prawa do eutanazji, ale określa warunki, które muszą być spełnione, by lekarz, który pomógł w zakończeniu życia, nie był pociągany do odpowiedzialności karnej.

W tytule ustawy jest mowa o „zakończeniu życia" i o „pomocy w odebraniu sobie życia". W pierwszej sytuacji to lekarz dożylnie aplikuje pacjentowi śmiertelną substancję (de facto jest to więc eutanazja). O „pomocy w odebraniu sobie życia" (wspomaganym samobójstwie) jest mowa, gdy pacjent sam wypije płyn zawierający barbiturany w śmiertelnej dawce. Dużo częściej dochodzi do pierwszej sytuacji. W ubiegłym roku na ponad 10,3 tys. zgłoszonych przypadków tylko 175 dotyczyło drugiej kategorii.

Ustawę uchwalono pod koniec drugiej kadencji tzw. fioletowego rządu (paars kabinet) premiera Wima Koka. Rząd nazywano fioletowym ze względu na kolory koalicjantów. Czerwień lewicy wymieszana z błękitem liberałów przyniosła fioletową, progresywną mieszankę. Przed powstaniem pierwszego rządu Koka w 1994 r. krajem przez ponad 70 lat rządziły koalicje z udziałem co najmniej jednej partii chrześcijańskiej.

Paars kabinet zerwał z tą tradycją. To za czasów Koka i jego progresywnej wicepremierki Els Borst Holandia jako pierwszy kraj na świecie umożliwiła zawieranie małżeństw osobom tej samej płci. Pierwszego takiego ślubu udzielono 1 kwietnia 2001 r., a dokładnie rok później weszła w życie ustawa regulująca eutanazję.

•

Dlaczego to właśnie Holandia była pierwszym krajem na świecie, w którym ustawowo uregulowano tę kwestię? Według Marty Grzywacz, dziennikarki, reporterki i autorki książek, w tym najnowszej „Umrę jutro o szesnastej. Holendrzy o eutanazji i innych sposobach na śmierć" (Wydawnictwo Czarne), można wskazywać na kilka przyczyn.

Po pierwsze, w ciasnym kraju, gdzie od stuleci wyrywano wodzie kawałki lądu, wypracowano kulturę współpracy, kompromisu i otwartej debaty. – Żeby wspólnie radzić sobie z zalewającą kraj wodą, Holendrzy, niezależnie od tego, czy się lubili, czy nie, musieli ze sobą rozmawiać. W rezultacie tej wielowiekowej tradycji zarówno na szczeblu lokalnym, jak i krajowym zmiany, które mają bezpośredni wpływ na życie społeczeństwa, są szeroko dyskutowane. Od budowy szkoły na osiedlu po eutanazję. Więc kiedy decyzje już zapadną, ludzie nie protestują, bo mieli szansę się wypowiedzieć, a to, co uchwalono, to efekt kompromisu – opowiada „Wyborczej".

– Drugi powód wiąże się z religią. Katolicyzm sprzeciwiał się eutanazji, ale z protestantyzmem było inaczej. W 1985 r. synod Kościołów reformowanych ostatecznie dopuścił eutanazję jako wyjście z sytuacji, w której człowiek cierpi, a medycyna nie ma na to lekarstwa – tłumaczy Grzywacz.

Wiązało się to w dużym stopniu z transparentnością, bardzo ważną dla protestantów. – Niderlandzcy teologowie cytują Lutra, który mówił: grzesz odważnie. Czyli jeśli już grzeszysz, to przynajmniej miej odwagę o tym mówić. Także rozumienie przykazania: „Nie zabijaj", jest inne. Nie chodzi o abstrakcyjne „nie zabijaj", ale bardziej o „nie zabijaj bez powodu" – mówi Grzywacz. Skrócenie cierpień konającego waży dla wielu protestantów więcej niż prawo naturalne rzekomo nakazujące obronę życia do końca. – Natura jest również omylna, w związku z czym możemy ją korygować, uważają.

Wspomniana transparentność w przypadku eutanazji w Holandii to dokładnie opisane zasady, wytyczne i procedury. – Kiedy zaczęłam się zajmować tym tematem, trochę już o eutanazji wiedziałam. Moi niderlandzcy przyjaciele mieli doświadczenia z tym związane. Wiedziałam więc, że nie jest tak, jak piszą niektóre media, że „w Holandii zabija się starszych ludzi, kiedy stają się uciążliwi". Zaskoczyło mnie jednak to, jak sformalizowane są warunki udzielenia eutanazji i że każdy przypadek jest dokładnie sprawdzany pod kątem tzw. należytej staranności. Nie ma tu mowy o żadnej samowoli ze strony lekarzy – mówi Grzywacz.

•

Ustawa z 2002 r. precyzyjnie opisuje warunki, które muszą być spełnione, by eutanazja była możliwa. To tzw. zorgvuldigheideisen, kryteria należytej staranności.

Po pierwsze, decyzja pacjenta musi być dobrowolna, świadoma i przemyślana. Nie może wynikać z presji otoczenia lub impulsu, a rozpoczęcie procedury poprzedza wiele rozmów pacjenta z lekarzem, przeważnie lekarzem pierwszego kontaktu (huisarts).

Drugie kryterium mówi o cierpieniu pacjenta, które powinno być, jak już wiemy, „nie do zniesienia" (ondraaglijk) i bez szans na poprawę (uitzichtloos). Kluczowe jest tu to, jak sam chory doświadcza tego cierpienia.

Lekarz musi też w zrozumiały sposób poinformować pacjenta o jego stanie zdrowia i rokowaniach, a następnie muszą wspólnie dojść do wniosku, że nie ma „innego racjonalnego rozwiązania". Konieczne jest też zasięgnięcie opinii niezależnego lekarza konsultanta (SCAN-arts), który spotyka się z pacjentem i ustala, czy lekarz prowadzący działał zgodnie z zasadami.

Dopiero po zatwierdzeniu wniosku przez lekarza konsultanta może dojść do eutanazji. Ostatnie kryterium dotyczy samego zabiegu: musi być przeprowadzony zgodnie z wytycznymi, również dokładnie opisanymi.

W społeczeństwie jest dziś wiele rodzajów cierpienia. Trudno je oddzielić. Kiedy jednak państwo mówi, że możliwy jest „medyczny exit", wielu będzie chciało z niego korzystać

Umrę jutro o szesnastej

• To tytuł książki, która 21 października ukazała się nakładem wydawnictwa Czarne. Jej autorka, Marta Grzywacz, wielokrotnie nagradzana dziennikarka, opowiada w niej o tym, jak to się stało, że w Holandii, kraju, w którym ogromna część społeczeństwa niegdyś niemal codziennie czytała Biblię, eutanazja oraz wspomagane samobójstwo są dziś legalne. Ustawa w tej sprawie weszła w życie w 2002 roku po ponad trzech dekadach burzliwych sporów. Żeby zrozumieć jak doszło do jej uchwalenia autorka rozmawiała z lekarzami, teologami, prawnikami, a także z reżyserką filmową, wynalazcą „maszyny śmierci", oraz ciężko chorymi pacjentami i ich rodzinami. Podczas pracy nad książka żegnała też 20-letnią Demi i 82-letnią Enny, które poddały się eutanazji. „Ten reportaż jest próbą przybliżenia nam, Polakom, kultury geograficznie bliskiej, a jednak bardzo dalekiej. Chciałabym, aby przyczynił się do zrozumienia tej kultury i stał się głosem w dyskusji o wolnym wyborze końca życia, która – mam nadzieję – pewnego dnia rozpocznie się także u nas" – pisze w pierwszych zdaniach swojej książki.

• Marta Grzywacz, **„Umrę jutro o szesnastej. Holendrzy o eutanazji i innych sposobach na śmierć"**, Wydawnictwo Czarne



•

Theo Boer, profesor etyki medycznej na Protestanckim Uniwersytecie Teologicznym w Utrechcie, w latach 2005-14 był członkiem RTE, czyli komisji sprawdzającej, czy zabiegi eutanazji przeprowadza się zgodnie z wytycznymi.

Boera nie dziwiło, że to Holandia uregulowała eutanazję jako pierwsza. – Katolicy często stosują zasadę „don't ask, don't tell", ale protestanci chcą wszystko uregulować. Tak zrobiliśmy z miękkimi narkotykami, małżeństwami homoseksualnymi, aborcją, prostytucją. I także z eutanazją – tłumaczy.

Według niego wprowadzenie ustawy pozwoliło objąć kontrolą to, co i tak już się działo. Lekarze i przed 2002 r. pomagali umierać cierpiącym pacjentom. Aby uniknąć kary, przypadki te mieli zgłaszać – a więc eutanazje w Holandii od dawna były rejestrowane.

Ustawa nie była więc rewolucją, ale pozwoliła na większą transparentność i kontrolę. Co ciekawe, jej wprowadzenie doprowadziło w pierwszych latach do spadku liczby eutanazji, przypomina Boer.

– Doszedłem więc do wniosku, że jeśli zalegalizuje się eutanazję w taki sposób jak w Holandii, to paradoksalnie wykonuje się ich mniej, a praktyka jest bardziej transparentna. W dodatku dzieje się to staranniej – tłumaczy.

Fakt, że od kilkunastu lat liczba eutanazji rośnie, Boera jednak niepokoi. W ubiegłym roku zarejestrowano ich ponad pięć razy więcej niż dwie dekady wcześniej. Także przyczyny eutanazji się zmieniły.

– Początkowo były to głównie eutanazje pacjentów w ostatniej fazie choroby, skracające życie o kilka dni, tygodni lub miesięcy. Teraz coraz częściej eutanazję wykonuje się u chorych przewlekle lub psychicznie – mówi Boer. Według niego to groźny trend i dowód na to, że zapisy ustawy interpretowane są coraz szerzej.

– Dziś uważam, że albo w ogóle nie powinniśmy legalizować eutanazji i liczyć na to, że sędziowie wykażą się współczuciem i miłosierdziem, albo trzeba ją było zalegalizować na innych zasadach. Powinniśmy mianowicie jasno zapisać, że chodzi tylko o pacjentów w ostatniej fazie choroby i że pacjent, jeśli to możliwe, sam powinien wypić śmiertelny płyn – postuluje.

•

Krytyka obecnych rozwiązań w Holandii ze strony Van Osa i Boera przez niektórych może być odczytana jako głos przeciwko eutanazji. To uproszczenie. Obaj dopuszczają przecież uregulowaną prawnie pomoc przy zakończeniu życia cierpiącego. Mają jednak zastrzeżenia co do treści ustawy, jej interpretacji i obecnej praktyki.

Z drugiej strony są też głosy domagające się liberalizacji prawa. Licząca 30 tys. członków Kooperacja Ostatniej Woli CLW domaga się prawa do eutanazji bez medycznych przesłanek. Człowiek powinien mieć prawo zakończyć życie bez tłumaczenia się przed lekarzem – uważają zwolennicy rozszerzenia możliwości eutanazji o przesłankę tzw. spełnionego życia (voltooid leven).

Projekt ustawy mającej to umożliwić podpisany przez 70 tys. ludzi trafił w tym roku do parlamentu, a we wrześniu ogłoszono, że będzie procedowany. Choć szanse na jego przyjęcie są małe, to pokazuje to, że debata na temat granic prawa do eutanazji trwa.

Nie jest to łatwa i przyjemna debata, ale i umieranie takie nie jest. Rozmowa o eutanazji wymaga dużej wrażliwości, empatii i odrzucenia hipokryzji. Bywa bolesna na przykład dla pacjentów psychiatrycznych starających się o eutanazję. Kwestionowanie ich prawa do godnego zakończenia cierpienia może być przez nich i ich bliskich odbierane jako atak i oskarżenie. Z drugiej strony żadne prawo nie jest na wieki, a jego interpretacja może się zmieniać.

W Holandii więc dyskutują, spierają się, proponują zmiany, przedstawiają argumenty za liberalizacją i za ograniczeniem prawa do eutanazji. Zakładają stowarzyszenia i fundacje, debatują w parlamencie i na łamach gazet, doprecyzowują wytyczne i analizują poszczególne przypadki.

A w Polsce?

– Nie wyobrażam sobie, żeby w najbliższej przyszłości w Polsce kwestia eutanazji została prawnie uregulowana – ocenia Grzywacz. – Jestem jednak przekonana, że tak jak kiedyś w Holandii, także u nas i w wielu innych krajach lekarze skracają życie ciężko chorym ludziom z litości, z szacunku dla tego, kim byli, zanim zniszczyła ich choroba. Nie wątpię, że stają wówczas przed trudnym wyborem: nieść ulgę swoim pacjentom czy im „przede wszystkim nie szkodzić". Dobrze by było, żebyśmy chociaż mogli zacząć o tym rozmawiać.

Także według Quaadgras o umieraniu i śmierci zdecydowanie należy rozmawiać; również z bliskimi i póki nie jest za późno. Pod koniec naszej rozmowy to ona zaczyna pytać. – Rozmawiałeś już o śmierci z rodzicami? Jeśli masz odwagę i potrafisz, zrób to – radzi.

– W Holandii nie boimy się o tym mówić. To bardzo ważne. Ludzie rozmawiają dziś o wszystkim, ale o śmierci często nie. A przecież wszyscy kiedyś umrzemy.

Według wyliczeń ekspertów z RTE od 2002 roku, kiedy ustawa zaczęła działać, na eutanazję obu rodzajów w Holandii zdecydowało się ponad 121 tys. osób. ●

1 RP

eprasa.pl ce60f33c89

Tajemniczy uśmiech Jacka Kurskiego

W prawicowym dyskursie nowe pieśni – oryginalne oraz parafrazy – pełnią funkcję poboczną, ale nie powinniśmy ich ignorować.



Michał Rusinek

Zachęcona zapewne sukcesem swobodnej adaptacji „Lalki", której dokonał Paweł Maślona, pewna pani w wojskowym mundurze i czarnym berecie z kapitańskimi gwiazdkami wykonała niedawno pod Trybunałem Konstytucyjnym parafrazę „Roty".

Z pewnością pieśń jej miała wysoką rangę polityczną, zasługującą na znacznie więcej gwiazdek, albowiem w chórkach wystąpił sam Jarosław Kaczyński oraz – uśmiechający się tajemniczo – Jacek Kurski.

Mogliśmy więc usłyszeć, że: „Nie będą nam narzucać praw,/ Unia już jest lewacka./ Polska nie podda nigdy się,/ odwaga w nas husarska./ Przed obcym brońmy domu wrót,/ tak nam dopomóż Bóg!". Pomijając niedokładne rymy, na które nie pozwoliłaby sobie Maria Konopnicka – ze słowem „lewacka" doskonale rymowałaby się „odwaga junacka", ale junak kojarzy się z peerelowskimi młodzieżowymi hufcami pracy, a husarz należy do prawdziwie patriotycznej ikonografii; ze słowem „Bóg" rymowałby się lepiej np. „domu próg", ale wrota brzmią i kojarzą się dostojniej – zauważmy przeświadczenie, że prawo jest czymś narzucanym, przeciwko czemu należy rzucić ciężką jazdę.

Dalej: „Nie będzie lewak niszczył szkół,/ dzieci nam deprawował./ Odrodzi się na powrót w nas/ Armia Krajowa nowa./ Bezprawia nas nie zniszczy wróg,/ tak nam dopomóż Bóg!".

Tu już jest mowa nie o narzucaniu prawa, lecz – przeciwnie – o narzucaniu bezprawia i deprawowaniu, czyli zapewne edukacji seksualnej.

Zamiast husarii jest za to inna, nowsza formacja wojskowa, również silnie obecna w prawicowej ikonografii.

I na koniec: „Póki nam w życiu starczy sił/ bronić będziemy ducha,/ aż się rozpadnie w proch i w pył/ ideologia głupia./ Zielony Ład, czerwony wróg,/ tak nam dopomóż Bóg!".

Rezygnacja z oryginalnej zawieruchy spowodowała tu spadek jakości rymów (a przecież ideologia mogła być „głucha"!). Element ikonograficzny przyjmuje tu formę znienawidzonych kolorów, choć z kontekstu można wywnioskować, że Bóg powinien dopomóc Zielonemu Ładowi i czerwonemu wrogowi. Ale przecież wszyscy wiedzą, że nie powinien i że nie dopomoże.

W prawicowym dyskursie nowe pieśni – oryginalne oraz parafrazy – pełnią funkcję poboczną, ale nie powinniśmy ich ignorować. Niesłusznie na przykład uszła naszej uwadze powstała już przed rokiem „Ballada o Karolu Nawrockim" odwołująca się do tradycji hagiografii śpiewanej. Na YouTubie ma prawie 680 tysięcy wyświetleń, aż o 150 tysięcy więcej niż „Ballada o Rafałku" tego samego autora. Co jest w pewnym sensie zrozumiałe.

„Ballada o Karolu Nawrockim" (bo przecież nie o Karolku) zaczyna się od aluzji do jednej z zakazanych piosenek: „Pierwszego czerwca roku pamiętnego/ Polacy wybrali Karola Nawrockiego./ Pogonili precz lewacką hołotę,/ która wciąż i wciąż obrzuca nas błotem". Nie jest to logiczne, bo jak się kogoś pogoni precz, to on już nie może obrzucać błotem. To jednak tylko wstęp, teraz następuje część właściwa: „Nawrocki Karol, chłopak z blokowiska,/ od małego walczył o swoje./ Był sportowcem, nazwali go gangsterem,/ jest kibicem, nazwali go kibolem".

Bohaterowie hagiografii zawsze musieli się borykać z odrzuceniem i niezrozumieniem. Nawrocki jednak wyznawał określone wartości i miał swoje autorytety: „Święty Jan Paweł II to twój autorytet,/ z obrony Ojczyzny uczyniłeś swój priorytet".

Fakt, że „autorytet" i „priorytet" się rymują, może kusić do użycia ich w charakterze rymu w tekście, ale nie należy ulegać tej pokusie. Podobnie rzecz się ma z rymami gramatycznymi, które nie bez powodu nazywane są częstochowskimi: „Siedem książek napisałeś, doktorat obroniłeś./ O dzieci w łonach matek dzielnie walczyłeś (...)./ Tu dwa krzyże zasługi i wiele medali,/ tam dziadek z Wehrmachtu i wolność na szali".

Kiedy jednak spojrzymy przez palce na rymy, oczom naszym ukażą się czyny (łac. gesta) bohatera hagiografii, czyli pięcie się po szczeblach edukacji, imponujący dorobek naukowy i literacki oraz – w wolnych chwilach – walka o kwestie fundamentalne.

W przeciwieństwie do osławionego i, jak widać, wiecznie żywego „dziadka z Wehrmachtu", a właściwie jego wnuka, który chce nam odebrać, a może nawet potem sprzedać komuś naszą wolność. Swoją drogą „walka o dzieci w łonach matek" może wywołać w nas wrażenie, że Karol Nawrocki w przerwach między pisaniem uczonych rozpraw z dziedziny historii zajmował się medycyną prenatalną. Być może to jeden z wielu owianych mgłą tajemnicy wątków w biografii obecnego prezydenta.

Jak rozumieć zdanie ogólne, że „ziemia polska w patriotów jest żyzna"?

„Dałeś nam nadzieję, prawicę zjednoczyłeś,/ w Twym sercu Bóg, Honor, Ojczyzna./ Bohaterom Niezłomnym pamięć przywróciłeś,/ ziemia polska w patriotów jest żyzna". Znów nie patrzmy na rymy, ale na treść: zjednoczenie prawicy (tylko na czas wyborów) i przywrócenie pamięci o żołnierzach niezłomnych (o których poprzedni prezydenci też już jednak pamiętali) wydają się zrozumiałe. Ale jak rozumieć zdanie ogólne, że „ziemia polska w patriotów jest żyzna"?

Po pierwsze, zgodnie z XIX-wieczną, dość makabryczną ikonografią polska ziemia jest użyźniona krwią patriotów. Tu makabryczność została podniesiona jednak na wyższy poziom, bo mowa jest nie tylko o krwi. Po drugie, dodanie tego zdania – zapewne dla rymu – może wywołać wrażenie, że Nawrocki miał z tym coś wspólnego, a to już niebezpieczna insynuacja.

Być może autor (niejaki JKowalsky, twórca internetowy) wiedział, że pod koniec legendy o świętym musi się pojawić motyw krwi i męczeństwa. Skoro jednak bohater hagiografii żyje i ma się całkiem dobrze, niech to będzie męczeństwo kogoś innego.

Cóż, można się wyśmiewać z toporności obu tekstów przypominających patriotyczne plakaty generowane przez AI. Oprócz romantycznego bogoojczyźnianego instrumentarium są w nich antyunijność, antyimigranckość i antydemokratyczność; nie ma za to – co charakterystyczne – antyrosyjskości.

Nie muszą być przecież arcydziełami poezji śpiewanej, żeby skutecznie budować wspólnotę. Ba, byłyby zapewne mniej skuteczne, gdyby były lepsze literacko. Wie o tym doskonale Jacek Kurski, który niegdyś przecież śpiewał z Zenkiem Martyniukiem, a teraz uśmiecha się tajemniczo. ●

Łatwo wyśmiać starszą panią

Prawica ma spójną narrację i wobec Unii, i wobec Ukrainy. Co z tego, że nienawistną i fałszywą?



Marcin Matczak

„Robimy, nie gadamy" – to kampania rządu, która właśnie skończyła rok. Hasło z dumą powtarzają politycy i generalnie wydaje się to strategią dobrą. Ludzie przecież chcą wyników, a nie słów, prawda?

Mamy więc stronę „RobimyNieGadamy", gdzie jest kilka zakładek („Bezpieczna Polska", „Silni rodziną" i „Tania energia" na przykład) i odpowiedni hasztag w serwisach społecznościowych.

To, czego nie mamy, to opowieść, a więc rama, w której zakładki połączą się w całość. Może dlatego, że tę opowieść ukradła prawica i prowadzi kampanię „Nie robimy, bo nie rządzimy, ale ładnie opowiadamy".

Semiotyk Algirdas Greimas pisze, że każda skuteczna opowieść obsadza role podmiotu, przedmiotu pożądania, przeciwnika i pomocnika. W opowieści polskiej prawicy te role są zajęte: podmiotem jest naród, który pożąda wielkości i bezpieczeństwa, Niemcy, Bruksela i „elity" to przeciwnicy, a zwykli ludzie pomagają w walce z nimi.

W opowieści liberalnej po 2023 r. zniknął przeciwnik, bo PiS stracił władzę, a przedmiot („przywrócona praworządność") rozmył się w procedurach. Tym samym liberalne opowieści skarlały. Nie ma jasnej narracji, czym chce być Polska pod rządami liberałów i jakie jest miejsce każdego z nas w tej opowieści. Mamy zamiast tego pięć niepowiązanych ze sobą ramą kafelków na stronie internetowej.

A prawica ma taką narrację i wobec Unii, i wobec Ukrainy. I co z tego, że nienawistną i fałszywą? Opowieść łączy rzeczy, które inaczej wydają się niepoukładane. Nadaje spójność i sprawia wrażenie konsekwencji w dążeniu do celu, nawet jeżeli naprawdę tak nie jest. I to w dwie strony – rama pozytywna pozwala ukrywać idiotyzmy, a rama negatywna wszystko zinterpretuje negatywnie.

Nawet opowieść o Tusku sprzedającym wszystko Niemcom jest ramą narracyjną, w której ludzie umieszczają sobie kawałki jego zachowania. „Tusk sprzedaje Polskę Niemcom" to hasło na tyle ogólne, że skupia wokół siebie dowolne zarzuty i pretensje. SAFE, Mercosur, rozmowy w Unii – każdy z tych elementów może wpaść w tę ramę, a jeśli nic nie wpada, rama i tak się trzyma.

Łatwo wyśmiać starszą panią, która na pytanie w sondzie ulicznej „ale co konkretnie sprzedał?", nie umie podać żadnego przykładu. Nie musi – opowieść ma się dobrze i bez przykładów. Hanna Arendt pisała, że to, co przekonuje masy, to nie fakty, nawet nie fakty wymyślone, lecz jedynie spójność systemu, którego rzekomo są częścią.

MAGA też jest opowieścią – o powrocie. Jest klasycznie zbudowana z trzech aktów. Akt pierwszy to „Złoty wiek". Kiedyś Ameryka była wielka, miała fabryki, pewną pracę i szacunek świata. W akcie drugim („Upadek przez zdradę") ktoś to zniszczył: elity, globalizacja, imigranci albo sojusznicy, którzy żerują na Ameryce. Wreszcie w akcie trzecim („Powrót bohatera") ktoś spoza systemu przywraca to, co Ameryka utraciła.

Najważniejsze słowo w „Make America Great Again!" to „again". Opowieść liberalna jest strzałą postępu skierowaną w nieznaną przyszłość. MAGA odwraca tę strzałę: przyszłość ma być znaną przeszłością, więc jest bezpieczna. Badanie YouGov pokazało, że Amerykanie za najlepszą uważają zwykle dekadę, w której mieli około 11–15 lat. „Wielkość" to dla każdego słuchacza jego własna młodość, pusty znak, który wypełnia osobiście.

A jeszcze słuchacz dostaje w tej opowieści rolę. W 2017 r. Trump powiedział „zapomniani mężczyźni i kobiety naszego kraju nie będą już zapomniani". Odbiorca przestaje więc być widzem i staje się postacią.

Liberałowie nie mają takiej opowieści. Zamiast ramy narracyjnej oferują coś w rodzaju listy zakupów, a więc tego, co za pieniądze wypracowane przez wolnorynkową gospodarkę udało się społeczeństwu kupić.

Nawet opowieść o praworządności im ukradziono. Już w 2024 r. Kaczyński mówił o „łamaniu konstytucji, ustaw, praw człowieka, wszystkich zasad cywilizowanego państwa" i że „bez rzeczywiście niezależnego TK nie ma praworządności". To opowieść Tuska z roku 2023, w której jest ofiara (obywatel, sąd), oprawca (władza łamiąca prawo) i obrońca. Tylko zamieniono aktorów.

Bez spójnej, liberalnej opowieści, w której ludzie poczują emocje i odnajdą dla siebie rolę, nie da się prowadzić skutecznej polityki

Potrzebna jest nam nowa opowieść, w której Polska nie będzie petentem Unii, ale jej liderem. W tej opowieści Niemcy nie są ani panem, ani wrogiem, za to można z nimi jak kadra Nawałki na boisku prowadzić zdrową rywalizację, zamiast opowiadania w kółko o reparacjach. Ale takiej opowieści nikt nie oferuje.

Opowieść wobec Ukrainy też się rozsypała. 25 czerwca mówimy, że od partnerstwa Polski i Ukrainy zależy bezpieczeństwo Europy. A 10 lipca, że „prawda jest absolutnie niezbędnym fundamentem pojednania" i że oczekujemy, że Kijów będzie przeciwdziałał „antypolskim ekscesom". Każde z tych zdań da się obronić, ale razem nie nie dają nam jasnej roli. Bo „wstrzemięźliwy sojusznik" to nie postać, tylko stan zawieszenia.

Podobnie w kwestii migracji – liberalny miłosierny Samarytanin wystraszył się opinii naiwniaka, więc uznał, że trzeba być twardym i zawiesić pomoc, a przynajmniej prawo azylowe. Fabuła bardziej zawiła niż w „Modzie na sukces".

Bez spójnej, liberalnej opowieści, w której ludzie poczują emocje i odnajdą dla siebie rolę, nie da się prowadzić skutecznej polityki. Potrzebny jest szeroko nakreślony cel, w którym poszczególne działania nabiorą sensu. Zatem raczej „Robimy i gadamy": o tym, co jako społeczeństwo chcemy osiągnąć, a nie tylko wyliczamy, co kupiliśmy i co jeszcze chcielibyśmy sobie kupić. ●

eprasa.pl ce60f33c89

KRAJ



Czeski film w

Nikt nic nie wie – to stan rzeczy w koalicji i opozycji rok przed wyborami. Czy najpierw się lubić, a potem czubić, przy kim zatkać nos, kogo odkryć na nowo – partie zamawiają kolejne sondaże i nadal nie wiedzą, jak ułożyć listy wyborcze

Dominika Wielowieyska

Po obu stronach sceny politycznej trwają gorączkowe debaty, w jakiej formule wystartować za rok do Sejmu i Senatu. Partie wydają sporo na sondaże, by przetestować najlepszy wariant.

Premier Donald Tusk dąży do stworzenia jednej listy Koalicji 15 Października. Taki układ – szczególnie po odejściu Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz z rządu i po usunięciu jej z Polski 2050 – wydaje się najbardziej prawdopodobny. Ale na razie ani PSL, ani Nowa Lewica oficjalnie nie chcą zadeklarować, że się na to godzą.

I szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, i marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty zapewniają, że do wyborów idą samodzielnie ze swoim komitetem wyborczym. Nie ma co się spieszyć z deklaracjami o wspólnej liście. Obaj liderzy uważają, że w ciągu pół roku wiele może się zdarzyć, a poparcie dla tej koncepcji zawsze zdążą wyrazić. Kluczowe jest to, aby ich partie były uwzględniane w sondażach, bo każdy punkt procentowy to lepsza pozycja wyjściowa w negocjacjach.

Więc na razie ludowcy i „duża" lewica czekają na rozwój wypadków. A jeśli chodzi o rozłamaną na pół Polskę 2050, to nikt nie bierze pod uwagę jej opinii. Posłowie Szymona Hołowni muszą się przytulić albo do PSL, albo do Koalicji Obywatelskiej. Wielu jest zresztą dogadanych ze swoimi właściwymi patronami.

Ale niezależnie od dzisiejszych deklaracji i Kosiniak-Kamysz, i Czarzasty wiedzą, że jeśli koalicja rządząca chce utrzymać władzę, to innego wyjścia nie ma. Start osobno oznacza oddanie pola skrajnej prawicy.

PSL w sondażach ląduje zazwyczaj pod progiem i do tej pory nie znalazł partnera, który pociągnąłby ludowców w górę. Nowe Lewica jest zazwyczaj nad progiem, w niby solidnych okolicach 7 proc., ale żeby być naprawdę pewnym wejścia do Sejmu, trzeba mieć w sondażach trwałe 8-9 proc., gdyż błąd statystyczny wynosi +/- 3 proc. Tymczasem Czarzasty nie może być tego pewny, bo depcze mu po piętach partia Razem Adriana Zandberga, która zbiera w sondażach kluczowe kilka procent.

A jednocześnie badania robione przez wszystkie partie pokazują, że nawet jeśli Nowa Lewica przekroczy próg, a PSL pójdzie na listach z KO, to i tak Koalicja 15 Października zdobywa za mało mandatów, by mieć większość w Sejmie.

●

Więc dlaczego dziś jedna lista obozu demokratycznego jest optymalna? Bo prawica jest bardzo podzielona, a metoda d'Hondta – chodzi o przeliczanie głosów na mandaty poselskie – teraz jej nie sprzyja. Jest korzystna szczególnie dla tych komitetów, które mają dobrze powyżej 20 proc. – a wśród partii prawicowych tylko PiS czasami ten próg przekracza. Pierwsza w sondażach jest Koalicja Obywatelska, wobec czego premię mandatową, która przypada zwycięzcy, wzięłaby znów zjednoczona koalicja obecnych partii współrządzących.

Pracownie już zaczęły robić badania z uwzględnieniem tych dwóch wariantów. Pierwszy: K15P idzie na jednej liście, drugi: KO, PSL i Nowa Lewica startują osobno. Wygląda na to, że nawet gdyby PSL jakimś cudem przekroczył próg 5 proc., to i tak rozdrobnienie obozu rządzącego daje mniej mandatów niż wspólna koalicja. A różnica może sięgnąć nawet kilkunastu mandatów. Konkluzja jest jasna: albo wspólna lista, albo utrata władzy.

eprasa.pl ce60f33c89



polskim Sejmie

Nowa Lewica obawia się, że lądując na wspólnej liście, da paliwo Razem, bo nie ma szans, aby dwa ugrupowania lewicowe się dogadały, a tak bliskie sąsiedztwo z liberałami pozwoli „razemitom" jeszcze łatwiej atakować „starą" lewicę – za zdradę ideałów, rezygnację z obietnic i współpracę z liberałami umizgującymi się do prawicy.

Co prawda na razie sondaże nie pokazują wzrostu partii Zandberga w tym wariancie. Można było domniemywać, że Razem wzmocni jako lewicowa alternatywa dla ekipy Tuska, ale może działać inny mechanizm: elektorat lewicowy i liberalny postawi na jedną listę, bo będzie widział w niej jedyną szansę na to, by nie dopuścić skrajnej prawicy do władzy. W myśl zasady: lepiej zagłosować z niesmakiem niż stracić głos. Z kolei chwiejni wyborcy mogą dojść do wniosku, że lepsza na ciężkie czasy jest zwarta K15P niż rząd tworzony przez cztery partie, które jeszcze na dodatek są ze sobą potężnie skłócone. Tak czy owak i ludzie Czarzastego, i Zandberga będą zamawiać kolejne sondaże, by zbadać efekt jednej listy.

Ludowcy z kolei są przywiązani do swojej partyjnej autonomii, ale są też realistami. Struktury terenowe są zakotwiczone w różnych instytucjach czy to rządowych czy samorządowych. Utrata władzy to dla nich armagedon.

Jeszcze niedawno w PSL panowało przekonanie, że sojusz z lewicową formacją ich osłabi, bo została im trauma z czasów zjednoczonej opozycji pod szyldem Koalicji Europejskiej z 2019 roku, startującej do Parlamentu Europejskiego. Wtedy PiS, wykorzystując bardzo progresywne obyczajowo i ignorujące aspekt socjalny oblicze ówczesnej lewicy, nadał Kosiniakowi-Kamyszowi ksywkę „tęczowy Władek". Ale teraz zaczyna dominować inna emocja: to nie jest tak, że tylko my ludowcy tracimy niezależność, po prostu siła wyższa, konieczność dziejowa, wszyscy idą razem, Nowa Lewica też. I wszyscy solidarnie podejmujemy tę decyzję dla dobra Polski.

Kosiniak-Kamysz i Czarzasty zdają więc sobie sprawę ze swoich realnych szans wyborczych i ich priorytetem będzie przede wszystkim to, by zmusić Tuska, aby właśnie ten tercet stanowił szyld zjednoczonej koalicji rządzącej, a nie sam premier.

●

Koalicjanci pocieszają się, że prawa strona jest o wiele bardziej podzielona niż Koalicja 15 Października. I mocniej się ze sobą kłóci.

Z PiS odeszła grupa Mateusza Morawieckiego i obie formacje bez przerwy sobie dogryzają. Konfederacja dystansuje się do obu tych grup, a jeden z jej liderów, będący w potocznym odbiorze twarzą „konfiarzy" Sławomir Mentzen ostro atakuje Jarosława Kaczyńskiego. A do tego w siłę urosła Konfederacja Korony Polskiej, za którą nikt pozostały nie przepada, a wielu polityków prawicy w ogóle nie wyobraża sobie tworzenia rządów z prokremlowską formacją Grzegorza Brauna.

Zresztą może się okazać, że nie wszystkie te prawicowe komitety przekroczą próg 5 proc. Najbardziej tego boi się stowarzyszenie Rozwój Plus Morawieckiego, którego notowania oscylują właśnie wokół tego progu.

Początkowo Rozwój Plus zaznaczyło swoją obecność z przytupem. Rzeczywiście duża grupa posłów opuściła Kaczyńskiego. Ale Morawiecki liczył, że jego formacja zacznie zbierać w sondażach kilkanaście procent głosów. A przy notowaniach 7-5 proc. tylko nieliczni z czterdziestki parlamentarzystów, którzy poszli za Morawieckim, mogą liczyć na odnowienie mandatu. Jeśli te notowania się nie zmienią, może powstać ferment w szeregach stowarzyszenia.

Niemniej na razie nie ma mowy o tym, aby ekspremier pogodził się z dawnym mentorem. Oba ugrupowania atakują się nawzajem. Morawiecki ogłosił, że ostatnie pomysły podatkowe PiS to kurs Leszka Balcerowicza. Porównanie z surowym ojcem transformacji gospodarczej po PRL, naprawa skutków której – godnościowa i materialna – od dwóch dekad jest główną opowieścią PiS – miała być najstraszniejszą obelgą dla Kaczyńskiego.

W oczach wyborców na razie taką nie jest, czy była dla samego „Naczelnika", nie wiadomo, ale i tak politycy PiS z kręgu Jacka Sasina i Patryka Jakiego nie szczędzą byłemu premierowi wyrzutów. I na wyprzódki odcinają się od decyzji rządu Morawieckiego, próbując przypodobać się elektoratowi, który odpłynął do Konfederacji.

Natomiast były szef rządu Zjednoczonej Prawicy od pewnego czasu sięga po nowe porównanie – ogłasza, że chce budować Trzecią Drogę, ale po prawej stronie.

• Liderzy ugrupowań (wówczas) opozycyjnych parafują w Sejmie umowę koalicyjną. Od lewej: Szymon Hołownia, Władysław Kosiniak-Kamysz, Donald Tusk, Włodzimierz Czarzasty, Robert Biedroń. 10.11. 2023 r.

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl ce60f33c89

Pomysł jest taki, że pozycjonująca się jako propaństwowa pragmatyczka Pełczyńska-Nałęcz zbuduje swoje stowarzyszenie, spróbuje zgromadzić wokół siebie jakąś grupę i zbudować się na atakowaniu Tuska. Potem nawiąże współpracę z Morawieckim, co wywoła przypływ byłych wyborców PSL i Hołowni, rozczarowanych ich spolegliwością wobec liberałów.

Tyle że za Pełczyńską-Nałęcz nikt nie poszedł oprócz jej zastępcy, więc wartość dodana tej operacji może być skromna. I póki co projekt „Jesteśmy prawicą i umiarkowaną, i odpowiedzialną, i prawdziwą" nie wygląda obiecująco.

●

PiS po rozłamie miał w sondażach kilkanaście procent, teraz podskoczył do ponad 20. Rozwój Plus buksuje w miejscu. Z czego to wynika?

W PiS mówią, że gdy buduje się nową formację, to ważny jest start. A rozłam nastąpił w czasie wakacji: to nie sprzyja mocnej ofensywie politycznej.

Potem Morawiecki zdecydował się na grę w sojuszu z Koalicją 15 Października przeciwko Nowogrodzkiej w sprawie wicemarszałka Sejmu. Marcin Horała, bliski współpracownik ekspremiera, zajął to stanowisko tylko dzięki temu, że koalicja rządząca mu pomogła. Wyborcom prawicy mogło się nie spodobać to, że Morawiecki ręka w rękę utrącił PiS-owskiego kandydata Marcina Ociepę. Bo ten elektorat ma jedną silną emocję: nie znosi Donalda Tuska i ciężko mu wybaczyć układ z obecnym premierem.

W dodatku na niekorzyść Morawieckiego zadziałała pogłębiająca się polaryzacja w sprawie Trybunału Konstytucyjnego. Sprawa utrzymuje we wrzeniu twardy elektorat PiS, wymusza opowiedzenie się po jednej ze stron. A Rozwój Plus co prawda krytykuje koalicję rządzącą w sprawie Trybunału, ale ta krytyka jest letnia, w dodatku „harcerze" przyznają, że „za naszych rządów popełniono błędy".

To wynika nie tylko z prób pokazania się jako uczciwi, samokrytyczni i propaństwowi, również ze zdrowego rozsądku posłów Rozwoju Plus: wiedzą, że prezydent Karol Nawrocki powinien odebrać ślubowanie od sędziów TK, więc nie chcą zbyt ostentacyjnie promować łamania konstytucji. Proponują reset w sprawie TK, co na papierze wygląda ładnie, ale jest nierealistyczne. Konsensus wokół zmian w konstytucji jest bardzo mało prawdopodobny.



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Spotkanie prezydenta Andrzeja Dudy z przedstawicielami KW Konfederacja. Od lewej: Włodzimierz Skalik, Grzegorz Braun, Krzysztof Bosak i Sławomir Mentzen. 25.10.2023**

Mentzen podobno rozważa obsadzenie „jedynek" nieznanymi bardzo młodymi ludźmi. Ten ruch ma dać efekt świeżości. Poza tym nowy zaciąg będzie w 100 procentach oddany liderowi

W tym samym czasie to PiS dorzuca do pieca i gromadzi wokół siebie krytyków Tuska. Rozwój Plus niedawno zorganizował swoją konwencję, z rozmachem i obiecując skupienie się na merytoryce – ale Nowogrodzka tego samego dnia zarządziła demonstrację pod Trybunałem i impreza byłego premiera na tym tle wypadła słabo. Po prawdzie demonstracja PiS była rachityczna, nie przyszło zbyt wiele osób, no ale uwaga elektoratu prawicowego była jednak bardziej skoncentrowana na angażującym emocjonalnie i wyrazistym Trybunale.

Poza tym Morawiecki mówił, że założy partię, potem powiedział, że zmienił zdanie, stwierdził, że partia się źle kojarzy Polakom, zaś pod koniec października zmienił zdanie i znów partię zakłada. A wyborcy cenią konsekwencję. Owszem, wybaczają jej brak, czego przykładów nie brakuje w Koalicji 15 Października, o PiS nie mówiąc, ale pod warunkiem, że lider jest przekonywujący, gdy uzasadnienia woltę.

Kolejny przykład niekonsekwencji ekspremiera to aborcja.

W 2024 roku wszystkich zaskoczył oświadczeniem, że zawsze był za tak zwanym kompromisem aborcyjnym i że decyzja Trybunału Julii Przyłębskiej, delegalizująca przesłankę związaną z wadą płodu, była błędem. Co więcej, ujawnił kulisy tamtej decyzji, informując, że w zasadzie o odpaleniu tematu aborcji zdecydował Kaczyński, bo miał problemy wewnętrzne w partii z fundamentalistami katolickimi. W publicznych wypowiedziach Morawiecki deklarował poparcie dla prac nad projektem ustawy przywracającym tak zwany kompromis sprzed 2020 r. W sierpniu w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim stwierdził: „Jeżeli pojawiłaby się taka możliwość, to byłbym za powrotem do kompromisu". Po czym co zrobił, gdy możliwość się pojawiła w zeszłym tygodniu? Zagłosował przeciw.

To pokazuje polityczne niedoświadczenie Morawieckiego. Ale też to, że były premier boi się, iż jego posłowie – widząc niskie notowania w sondażach – będą wracać do PiS. Co będzie wizerunkową klęską, a ma w swoich szeregach radykałów opowiadających się za całkowitym zakazem aborcji, nie mógł więc ryzykować. Tylko po co było składać wcześniej inne deklaracje?

„Tak jak Ziobro niegdyś, tak Morawiecki zaraz wróci do Kaczyńskiego na kolanach" – słyszę od prawicowych polityków.

Ważna postać w PiS: „Morawieckiemu do ucha szepcze Marcin Mastalerek, niegdyś doradca Andrzeja Dudy. Mastalerek jest na kontrze wobec Kaczyńskiego, prezes PiS go nie znosi, Mastalerek widzi swoją szansę w powodzeniu Rozwoju Plus, więc podpowiada Morawieckiemu: Mateusz nie wracaj do PiS, nie martw się, może i Rozwój Plus spadnie pod próg, ale powyżej 3 proc. będziesz miał subwencję, a bez Rozwoju Plus prawica nie stworzy rządu, będzie chaos, nie będzie stabilnej większości dla żadnej ze stron, a to oznacza przyspieszone wybory, Kaczyński coraz starszy i wtedy ty znajdziesz dla siebie przestrzeń".

Ważna postać od Morawieckiego: „W 60 proc. powiatów mamy już struktury, to wkrótce wyda owoce. Będziemy mieć 9-8 proc. w wyborach i trzydzieści mandatów".

No ale dziś Rozwój Plus ma 39 posłów i dwóch senatorów, wszyscy nie załapią się nawet przy tak optymistycznym wariancie.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34423354



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl
Wydawnictwo Agora
1 RP

eprasa.pl ce60f33c89

„Owszem, ale jakby byli w PiS, to też na pewno by się nie załapali, bo PiS z 34 proc. w wyborach w 2023 r. zjechał do 20 proc.”.

●

Tymczasem w PiS marzy się inny scenariusz. Pod patronatem Karola Nawrockiego, który jest nadal bardzo popularny w elektoracie szeroko pojętej prawicy, powstałby blok stworzony przez PiS, Rozwój Plus oraz Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka. Na Nowogrodzkiej zrobili badania i wyszło im, że taka koalicja miałaby wynik z czwórką z przodu. Ale to by wymagało nie tylko pogodzenia się Morawieckiego z Kaczyńskim, lecz także przekonania Bosaka, by wziął rozwód z Mentzenem, liderem konserwatywno-libertariańskiej Nowej Nadziei, która razem z narodowcami tworzy Konfederację.

„Krzysiek nie jest na to gotowy” – przyznają w PiS. „Bosak na to nie pójdzie” – zapewniają w Konfederacji. Konfederacja zbudowała swoją siłę także na sprzeciwie wobec PiS, nigdy nie rządziła, więc przymierze z politykami, którzy przez osiem lat mieli władzę, Bosakowi się nie opłaca. W Konfederacji dostanie „jedynki” w połowie okręgów, już dawno tak podzielili się z Mentzenem.

Natomiast w kuluarach Sejmu mówi się, że o ile przed wyborami Konfederacja się nie rozpadnie, to po wyborach... – Stworzą dwa osobne kluby parlamentarne – można usłyszeć.

Mentzen podobno rozważa wariant, w którym obsadzając należne mu „jedynki” w 20 okręgach, wykluczy dotychczasowych rozpoznawalnych działaczy. Lokomotywami mają zostać bardzo młodzi ludzie, do tej pory nieznani. To ma dać efekt świeżości, a poza tym będą w 100 procentach oddani liderowi.

Może też Mentzen wcale nie wyklucza koalicji z Tuskiem, a przy takim ryzykownym kroku – przecież układanki w Sejmie po wyborach 2027 roku są wielką zagadką – przyda się klub złożony z wiernych żołnierzy, a nie z doświadczonych polityków solistów wierzących, że noszą buławy w teczce, z których każdy będzie miał swoją koncepcję.

Sytuacja może się zmienić, jeśli „duża Konfa” osłabnie w ciągu roku. Politycy prawicy wskazują, że wedle sondaży dziś w elektoracie Konfederacji Bosak jest bardziej popularny od Mentzena w proporcji 60:40. Jeśli notowania nadal będą powyżej 10 proc., to nie ma co mówić o rozłamie. Tak, Bosak dystansuje się w wielu sprawach od Mentzena, który popełnia sporo błędów, na przykład kpiąc z kobiet w policji czy opowiadając się za powszechnym poborem do wojska. Tymczasem jego libertariańska partia ma sporo wyborców wśród młodych mężczyzn, którzy musieliby iść do wojska, a wolnościowcy nie lubią, gdy państwo ich do czegoś zmusza, szczególnie do służby wojskowej, gdy w tym czasie mogliby zarabiać.

Dogadanie się partii prawicowych jest bardzo trudne: politycy atakują się wzajemnie, następnie obiecują sobie, że będą tylko uderzać w Tuska, ale potem w ferworze debaty zaczynają walczyć. Na przykład Mentzen miał teraz przyjąć zasadę, że zostawi w spokoju PiS i Morawieckiego i skoncentruje się na rządzie, ale ostatnio znów do spółki z Bosakiem zaatakowali decyzję rządu PiS o emeryturach dla Ukraińców.

Konfederaci niezgodnie z prawdą twierdzą, że cudzoziemcy, którzy pracowali u nas, a mieszkają na emeryturze poza granicami Polski, mogą od polskiego państwa dostawać emeryturę minimalną plus trzynastą i czternastą. To nieprawda, takie uprawnienie mają cudzoziemcy, którzy na stałe mieszkają w naszym kraju, i to tylko wtedy, gdy spełnią wiele warunków.

Bosakowi zaraz w tej sprawie ostro odpowiedział wicemarszałek Sejmu Marcin Horała z Rozwoju Plus, wskazując na jasne przepisy, że cudzoziemiec, który nie mieszka w Polsce, polskiej emerytury nie dostanie.

●

Jedyne, co może się udać po prawej stronie, to pakt senacki. W którym zwłaszcza PiS upatruje szansy na szybkie podkopanie nowego rządu Tuska po wyborach, gdyż zgodnie z prawem prezydent razem z Senatem może decydować o przeprowadzeniu referendum. Byłby to ciekawy instrument w rękach Nawrockiego.

Jednak i w sprawie paktu jest wiele przeszkód.

Każda partia wyznaczyła już negocjatora i pod auspicjami prezydenta mają rozpocząć się negocjacje w sprawie podziału okręgów. PiS reprezentuje były marszałek Senatu Stanisław Karczewski, Rozwój Plus – od lat zaufany współpracownik Morawieckiego Michał Dworczyk, Konfederację – Krzysztof Rzońca, Konfederację Korony Polskiej – najbardziej zaufany współpracownik Grzegorza Brauna Włodzimierz Skalik, choć chciał tę funkcję przejąć Ryszard „Kilometrówka” Czarnecki, który musiał odejść z PiS i teraz obstawia Brauna.

Lecz jeszcze rozmowy na poważnie się nie zaczęły, a już wybuchła awantura. Bowiem we wrześniu minister w Kancelarii Prezydenta Wojciech Kolarski w rozmowie ze mną w TOK FM oznajmił: „Nie widzę możliwości współpracy z Grzegorzem Braunem w ramach tak zwanego paktu senackiego prawicy”. Wtedy Skalik ogłosił, że Braun wystawi kandydatów we wszystkich okręgach. I zaczęło się obłaskawianie obu w kuluarach, że nie, że to tylko zdanie Kolarskiego, który nie ma pojęcia o tym, co myśli prezydent, że oczywiście Grzegorz w pakcie będzie.

Niemniej Rozwój Plus nie chce współpracować z prokremlowskim Braunem. Morawiecki nie podjął jeszcze decyzji w tej sprawie, ale nie wyklucza, że porzuci ten projekt, aby sobie nie pobrudzić rąk. Bardziej mu zależy na wyniku w wyborach do Sejmu, a w zrobieniu go nie zaszkodzi, gdy będzie mógł dumnie mówić, że nie zhańbił się aliansem z putinowską formacją.

Problem w tym, że na pakt bez Brauna nie zgodzi się Konfederacja Bosaka i Mentzena. Więc w Pałacu Prezydenckim słychać głosy, że nie ma co Brauna demonizować, jak wskaże kandydatów mniej kontrowersyjnych, to można zacisnąć zęby i wejść w ten układ.

„To ładnie brzmi, ale Braun jest asertywny i już w rozmowach kuluarowych zapowiada, że nikt mu nie będzie dyktował jakich kandydatów ma zgłaszać” – słyszę od moich rozmówców.

W każdym razie bazą do negocjacji i podziału mają być te okręgi senackie, w których PiS wygrał wybory w 2015 r. Reszta specjalnie się nie liczy, bo prawica nie ma tam szans.

Pakt ma ogarnąć szef gabinetu prezydenta Paweł Szefernaker. W idealnej wersji swoją pulę kandydatów wystawią nie tylko cztery partie prawicowe, ale także sam prezydent.

Jeśli porozumienie senackie jednoczące wszystkie ugrupowania prawicowej opozycji nie powstanie, będzie to poważna porażka Nawrockiego. Mit lidera prawicy zostanie potężnie nadwyrężony.

Wynik wyborów jest zagadką, nie ma stałych trendów, aż do ostatnich dni kampanii mogą zdarzyć się rzeczy, które całkowicie zmienią polityczną dynamikę. Niemniej jedno wydaje się pewne: kto pójdzie bardziej zjednoczony, ma większe szanse na rządy w Polsce od końca przyszłego roku. ●

REKLAMA Kraj/34458207



1 RP

eprasa.pl ce60f33c89

ZMIENISZ PRACĘ 15 RAZY



• Prof. Avivah Wittenberg-Cox: Najpierw trzeba walczyć o równość płac, a potem o równy wiek emerytalny

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dobra wiadomość od boomerki dla „zetek”:
Będziecie nie tylko żyć dłużej, będziecie też dłużej zdrowi i będziecie mieć dłuższe kariery.

Z **PROF. AVIVAH WITTENBERG-COX,** SPECJALISTKĄ OD RÓWNOŚCI PŁCI ROZMAWIA **MARIA KORCZ**

Od jakiegoś czasu coraz żywiej dyskutujemy w Polsce o zrównaniu wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn. Dla rządu to wyjątkowo trudny temat, bo na to, by wszyscy zyskiwali świadczenia w wieku 60 lat, za bardzo nas nie stać. A podniesienie wieku emerytalnego dla kobiet byłoby politycznym samobójstwem. Masz jakieś rady dla polityków, którzy znaleźli się w takim potrzasku?
– Nie powiedziałabym, że to potrzask. To po prostu wasze historyczne dziedzictwo. W wielu krajach jeszcze do całkiem niedawna obowiązywał inny wiek emerytalny dla kobiet i dla mężczyzn. Jego zrównywanie zaczęło nabierać sensu, kiedy kobiety zaczęły częściej być aktywne zawodowo i zaczęliśmy zwracać większą uwagę na równość płci.

Wcześniej krótszy wiek emerytalny dla kobiet wynikał choćby z obowiązków opiekuńczych wobec rodziców, dzieci czy wnuków, które na nich spoczywały.

Nasze emerytury są zwykle mniej warte, bo nie pracujemy tak regularnie, jak mężczyźni – wiele z nas ma kilkuletnie przerwy w karierze na urodzenie i wychowanie dzieci. Biorąc to pod uwagę, żeby zrównać naszą emeryturę z emeryturami mężczyzn – i nadal wychowywać dzieci – musiałybyśmy pracować nawet dłużej niż oni.

Z tymi samymi problemami mierzyła się choćby Wielka Brytania, która niezbyt sprawiedliwie, bo nagle, w 2018 roku podjęła decyzję o przyspieszeniu procesu, który miał trwać kilka lat. Dziś i kobiety i mężczyźni pracują tam do 66 roku życia. Dla wielu kobiet to była zmiana niemal z dnia na dzień.

Każdy kraj stanie przed tym wyzwaniem prędzej czy później, bo wszyscy będziemy musieli pracować dłużej. Dania właśnie podniosła wiek emerytalny do 70 lat dla obu płci.

Kiedy niemiecki kanclerz Otton von Bismarck wymyślił system emerytalny 150 lat temu, wiek emerytalny ustalił najpierw na 70, a potem 65 lat, bo wtedy większość ludzi nawet go nie dożywała. A dziś po przejściu na emeryturę żyjemy jeszcze dwadzieścia albo i trzydzieści lat.

Nie było to chyba szczególnym problemem aż do momentu, kiedy nie zorientowaliśmy się, że taki system będzie coraz trudniej utrzymać. Bo za coraz dłuższym życiem przestała nadążać liczba nowych urodzeń.
– Nasze pokolenie sześćdziesięcio- i siedemdziesięciolatków będzie w pewnym sensie okradać własne dzieci. Jeśli będziemy upierać się przy utrzymaniu starych poziomów wieku emerytalnego i jednocześnie żyć do dziewięćdziesiątki, system przestanie być sprawiedliwy. Bo za nasze długie emerytury zapłacą kolejne pokolenia, które będą musiały pracować długo dłużej.

Dziś dzięki ich pracy możemy cieszyć się emeryturą, która trwa trzy albo i cztery dekady, ale oni mogą już tego przywileju nie zyskać. Jeśli zorganizowalibyśmy spotkanie i w jednym pokoju posadzili kobiety i mężczyzn w różnym wieku i tak im to wytłumaczyli – że muszą jakoś się dogadać, żeby pieniędzy starczyło na godne emerytury dla wszystkich, to prawdopodobnie sami doszliby w pewnym momencie do tego, że podniesienie wieku emerytalnego oraz zrównanie go dla dwóch płci jest jedynym rozwiązaniem.

Ludzie chyba to wiedzą. A dane pokazują, że coraz więcej emerytów pracuje po 60 i 64 roku życia. Ale nie ma dziś polityka, który odważyłby się tę wiedzę przekuć w czyny.
– Najlepszym rozwiązaniem jest działać powoli i stopniowo. Są na to sposoby. Na przykład w Holandii, zamiast robić głośną rewolucję, wiek emerytalny powiązano ze wskaźnikiem oczekiwanej długości życia. Im bardziej ona wzrasta, tym bardziej rośnie wiek emerytalny. Ludzie za bardzo tego nie czują, a system miesiąc po miesiącu powoli się równoważy.

Jeśli chodzi natomiast o zrównywanie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn, to moim zdaniem nie da się tej dyskusji przeprowadzić bez wcześniejszej rozmowy o równych płacach. Nie można walczyć o jedno, nie walcząc o drugie. Jeśli kobiety dostają niższe pensje niż mężczyźni na tych samych stanowiskach, to debata o podnoszeniu ich wieku emerytalnego będzie skazana na porażkę.

Najpierw trzeba walczyć o równość płac, a potem o równy wiek emerytalny. Rząd musi być w tym konsekwentny.

Wydaje mi się, że jest jeszcze jeden problem, który musimy rozwiązać, zanim podniesiemy wiek emerytalny. Dziś większość opieki nad seniorami, których bardzo szybko przybywa, sprawują na własną rękę kobiety 60+. Nie ma domów opieki, a jeśli są, to są bardzo drogie. Migrantom, którzy mogliby te prace wykonywać, coraz bardziej blokujemy dostęp do rynku pracy.
– Właśnie dlatego uważam, że tę dyskusję należy zacząć od rozmowy o równości płci. Można ją zacząć na przykład od zrównania długości urlopu wychowawczego matek i ojców. Czy w Polsce po urodzeniu dziecka mężczyzna ma prawo do tak samo długiego urlopu, jak matka?

Tuż po porodzie nie, dopiero później, na tak zwanym urlopie rodzicielskim, oboje rodzice mają wspólną pulę tygodni do podziału. Ojcom przysługuje niezbywalne 9 tygodni, które nie przechodzą na matkę.
– No właśnie. Rząd nie może wiarygodnie forsować równości płci w kontekście wieku emerytalnego, jeśli nie będzie konsekwentnie dążył do równości płci na rynku pracy, na którą w dużej mierze wpływa to, jak dzielimy się obowiązkami opiekuńczymi nad dziećmi, ale też nad starszymi. Dopiero jeśli ojcowie będą brali tak samo długie urlopy rodzicielskie, jak

eprasa.pl ce60f33c89

kobiety, będziemy mogli rozmawiać o tym, by zrównywać wiek emerytalny.

Kolejna kwestia to równość płci w zawodach opiekuńczych. Potrzebujemy więcej mężczyzn w opiece. Opieka senioralna stanie się wkrótce ważniejsza niż opieka nad dziećmi.

Jeśli cały ten sektor będzie opierał się tylko na pracy kobiet, nigdy nie urośnie na tyle, by stanowić realne wsparcie dla rodzin. Co oznacza, że kobiety nie będą mogły pracować, bo będą musiały opiekować się swoimi rodzicami, a często też teściami.

Mówimy o różnicach płciowych, ale nawet zrównanie wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn, a potem podnoszenie im go po równo, i tak nie zapobiegnie pogłębianiu się nierówności dochodowych. Bardziej zamożni będą mogli przechodzić na emeryturę, kiedy chcą, a osoby o najmniejszych dochodach, której nie mają poduszki finansowej, będą pracować tak długo, aż rząd nie przyzna im prawa do emerytury. Zwykle to ta sama grupa, która wykonuje najbardziej obciążające fizycznie prace.

– Tak będzie, jeśli ich jakoś przed tym nie ochronimy. Żeby ludzie pracowali dłużej, nie wystarczy tylko podnoszenie wieku emerytalnego. To wymaga także inwestycji w miejsca pracy i podnoszenia kwalifikacji.

Dużo przykładów dostarcza wasz zachodni sąsiad. W Niemczech przez kilka lat głowiono się, jak zatrzymywać dłużej pracowników linii produkcyjnych. A potem pojawiły się roboty, które zautomatyzowały wiele tych stanowisk pracy. Zawody wymagające pracy fizycznej bardzo się zmieniają. Coraz większy udział ma w nich wsparcie technologiczne, które odciąża ludzi fizycznie.

A czy nierówności dochodowe będą dalej istnieć? Obawiam się, że to się nie zmieni.

Nie zakładałabym też, że praca jest czymś złym i ludzie chcą się jej jak najszybciej pozbyć. Dla wielu osób, także w zawodach wymagającego wysiłku fizycznego, jest powodem do dumy. Dzięki niej tworzymy wspólnoty społeczne, które dają nam bezpieczeństwo, satysfakcję, poczucie przynależności.

To, o czym mówisz, to jednak realny problem. Już teraz mamy wielu pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatków, którzy nie pracują z powodu złego stanu zdrowia, jeszcze zanim osiągną wiek emerytalny. Niezależnie od dyskusji o wieku emerytalnym, utrzymanie zdrowia populacji stanie się ekonomicznym imperatywem. Jeśli ludzie mają pracować dłużej – a tego wymagają zmiany demograficzne – zdrowie społeczeństwa będzie wymagać większej uwagi państwa. Lepszej opieki zdrowotnej, lepszej profilaktyki, lepszych warunków życia. To będzie wymagało przeprojektowania miejsc pracy. Jeśli one się nie zmienią, ludzie nie będą w stanie pracować dłużej.

W Polsce rząd sfinansował pilotaż skróconego tygodnia pracy, ale pomysł spotkał się z dużą krytyką części polityków i środowiska przedsiębiorców.

– Moim zdaniem to świetny pomysł. Myślę, że rynek pracy tak zmieni się przez rozwój AI, że prędzej czy później czeka nas dyskusja o tym, jak i ile pracujemy. Choćby dlatego, że to ważne dla osób po sześćdziesiątce, które często chcą pracować w mniejszym wymiarze godzin i z większą elastycznością. Pracodawcy będą się musieli do nich dostosować.

Odpoczynek staje się coraz ważniejszy w społeczeństwie, które żyje i pracuje coraz dłużej. Żeby mieć ręce do pracy za kilka lat, firmy muszą już teraz pomyśleć o tym, jak czynić ją bardziej elastyczną. Może zwiększać wymiar urlopu albo wprowadzać urlopy sabatyczne, czyli kilkutygodniowy, a niekiedy nawet roczny urlop, podczas którego zachowuje się stanowisko i wynagrodzenie, a przez ten czas próbuje innego zajęcia albo po prostu odpoczywa.

A czy nie jest trochę tak, że biznes zaczął się interesować długowiecznością – na przykład w Polsce branża longevity do niedawna zdawała się typową amerykańską fascynacją dla naiwnej klasy wyższej średniej, a dziś rozwija się błyskawicznie – żeby znormalizować pracę na emeryturze, wycisnąć z ludzi jeszcze więcej? A skracanie czasu pracy i dłuższe urlopy – to tylko ładne opakowanie, z którego nic nie będzie.

– Kiedy wprowadzano w Europie po raz pierwszy wiek emerytalny, ludzie nie dożywali 65 lat. Teraz większość z nas ma realne szanse dożyć dziewięćdziesiątki. Piramidy wieku się odwróciły. Masz jakieś inne rozwiązania?

Ale od czasów Bismarcka staliśmy się też dużo zamożniejsi i wymyśliliśmy kilka technologii, które bardzo podnoszą produktywność pracy. Może będzie nas mniej, ale praca stanie się bardziej efektywna i to pozwoli utrzymać systemy emerytalne?

– Nie jestem pewna, czy wszyscy młodzi by się z tobą zgodzili. Większość bogactwa jest dziś zakumulowana w kilku najstarszych pokoleniach. Młodzi czują się biedniejsi niż ich rodzice i dziadkowie. Są sfrustrowani, bo czują, że mają mniejsze szanse i mniej pieniędzy niż oni. Jak im wyjaśnić, że pozwalamy dziś ludziom nie pracować przez 20-30 lat, ale oni będą musieli pracować co najmniej o dekadę dłużej?

> Otwieranie programów dla ludzi dojrzałych, nastawienie na uczenie się przez całe życie, to przyszłość uniwersytetów. Osiemnastolatków, którzy będą mogli zapełnić sale wykładowe, jest coraz mniej

To też kwestia solidarności społecznej. Dlatego tu nie chodzi o jakieś krwiożercze firmy, które mają swoje interesy. Tu chodzi o to, by jak sprawiedliwie podzielić się zasobami zgromadzonymi w systemie emerytalnym.

Trudno dziwić się młodym, że są sfrustrowani. Słyszą od lat, że na ich emerytury pieniędzy nie będzie, że będą pracować do śmierci. A teraz jeszcze, że tak właściwie to po drodze może ich zastąpić AI.

– To, kogo i na jaką skalę zastąpi AI, rozwiąże się najpewniej w ciągu najbliższych kilku lat. Dla każdego rządu to dziś problem – jak poruszać się w tej dramatycznie nowej erze demograficznej w sposób, który będzie sprawiedliwy? Ale media, które uwielbiają pisać o różnicach pokoleniowych, o tym, jak grupy społeczne się nienawidzą, tylko pogłębiają to napięcie.

Byłam niedawno na konferencji branży ubezpieczeniowej. Tam wszyscy są już zajęci budowaniem nowych produktów i usług, które sprostają nowym realiom dłuższego życia młodych ludzi. Główkują: jak oni będą oszczędzać? Jak zamierzają zabezpieczyć sobie emeryturę? Kluczem zawsze było wzajemne dzielenie ryzyka. Po to mamy państwo, po to mamy rządowe instytucje. Dzielimy się ryzykiem poprzez solidarną dystrybucję środków.

W przypadku każdej rewolucji straszy się ludzi katastrofą. Ale najbardziej prawdopodobny scenariusz jest taki, że owszem, część miejsc pracy zniknie, ale jednocześnie powstaną też nowe. Może dzięki temu część osób zyska lepszą, ciekawszą pracę? Jak dotąd badania nad rynkiem pracy nie wskazują na to, że czeka nas masowe bezrobocie.

Czyli moje pokolenie nie tylko musi przygotować się na to, że będzie pracować dłużej, ale też na to, że będzie musiało przestawiać karierę na zupełnie nowe tory, bo zawody, do których się uczyliśmy, zastąpią inne?

– Nie zdziwiłoby mnie, gdybyś przed przejściem na emeryturę zmieniła pracę 10, a może i 15 razy. Ja sama pracowałam w 15 miejscach! I uważam, że taka zawodowa zmiana może być czymś wspaniałym.

To może się wydawać przerażające, ale ja jestem przekonana, że taki zmiany są dla nas dobre. Firmy, które osiągają najlepsze wyniki, często same prowadzą programy przenoszenia pracowników ze stanowiska na stanowisko co kilka lat.

Taki świat, w którym rynek pracy będzie się szybko zmieniał, a ludzie będą musieli zmieniać kariery, będzie też wymagał stworzenia nowego systemu zabezpieczeń społecznych. Czegoś na wzór szwedzkiego *flexicurity*, które w razie utraty zatrudnienia daje ci bezpieczeństwo w postaci świadczeń i dostępu do ochrony zdrowia, ale jednocześnie pomaga ci się przekwalifikować i znaleźć nową pracę.

Część ekonomistów uważa, że rynek pracy dąży raczej do modelu gig economy. Czyli sytuacji, w której zamiast pracować w jednym miejscu na etacie albo ewentualnie skakania od etatu do etatu, wszyscy będziemy wolnymi elektronami, które wykonują pojedyncze zlecenia dla różnych firm. Bez żadnej stabilizacji, pewności, kiedy, ile i na jakich warunkach zarobimy.

– To jeden z dość prawdopodobnych scenariuszy. Cóż, to, co nazywamy dziś *gig economy*, to tak naprawdę model gospodarczy stary jak świat. Kiedyś każdy miał swoje rzemiosło, był w czymś dobry i żył z tego, że ludzie od niego kupowali. Pojawienie się wielkich korporacji, które zatrudniają tysiące osób na całe lata, to dość nowe zjawisko.

To, że stworzyliśmy sobie stabilne warunki zatrudnienia, które dają bezpieczeństwo finansowe, to pewne osiągnięcie cywilizacyjne. Nie jestem pewna, czy ludzie będą chcieli z tego rezygnować.

– To bezpieczny model, ale niekoniecznie dla wszystkich interesujący. Dlatego rozwiązaniem jest stworzenie kilku warstw zabezpieczeń, tak, by ludzie mogli bezpiecznie robić przerwy między jedną a drugą pracą. Dzięki temu możemy też lepiej korzystać z kompetencji społeczeństwa – lepiej dopasowywać ludzi do miejsc pracy. To mogłoby zadziałać bardzo dobrze, gdyby ludzie, pracując do siedemdziesiątki, mogli mieć przerwy na podwyższanie kwalifikacji i ponowną naukę. Nie uważam też, żeby to był zły scenariusz dla młodych ludzi. Czy nie chciałbyś mieć co dekadę rocznej przerwy, żeby nauczyć się czegoś nowego?

Rok przerwy na naukę czegoś nowego? Jak dla mnie brzmi świetnie.

– To zrób to! Wbrew pozorom przebranżawianie się co kilka lat ma bardzo dobry wpływ na naszą karierę, pozwala nam zajść dalej, niż tkwienie przez wiele lat w jednym miejscu z nadzieją na awans i jakąś zmianę.

Przyszłość, w której będziemy się wielokrotnie przebranżawiać, jest też nową szansą dla sektora edukacji. Dziś uczelnie koncentrują się głównie na osobach do 22-25 roku życia. Otwieranie programów dla ludzi dojrzałych, nastawienie na uczenie się przez całe życie, to przyszłość uniwersytetów. Osiemnastolatków, którzy będą mogli zapełnić sale wykładowe, jest coraz mniej. Jakoś będą musieli ich zastąpić, znaleźć źródło dochodu gdzie indziej.

To oczywiście brzmi świetnie – zacząć nową karierę po pięćdziesiątce. Ale skoro dziś wiele firm ma opory przed zatrudnianiem dojrzałych pracowników, to czy tym bardziej nie będą ich odrzucać, gdy będą nie tylko po pięćdziesiątce, ale i bez doświadczenia w branży, do której nagle chcą się przenieść?

– Stereotypy, którymi się kierujemy, niestety nie ulegają zmianom tak szybko, jak gospodarka i społeczeństwo. Ale wkrótce firmy nie będą miały innego wyjścia. Teraz są ageistami, bo wydaje im się, że znajdą wszystkie potrzebne kompetencje wśród młodych ludzi. Ale gdy ciężar zacznie się bardziej przechylać, gdy w populacji pracowników będzie więcej starszych niż młodych, nie będą miały wyjścia. Pewnego dnia się obudzą i okaże się nagle, że do wyboru mają niemal samych pięćdziesięciolatków. Nie będą mieli innej opcji, niż zatrudniać właśnie ich.

Jest jeszcze jedna sprawa. Mam teraz 65 lat i moje życie wygląda zupełnie inaczej, niż życie mojej mamy, gdy była w moim wieku. Cały czas czuję, że jestem w dobrym momencie zawodowym, że cały czas mam możliwości aktywności i dalszego rozwoju. Starzejemy się dziś inaczej niż nasi rodzice, a twoje pokolenie będzie starzeć się inaczej niż my. Żyjemy dłużej, dłużej jesteśmy zdrowi i sprawni.

Widać to już teraz, w tym, jak dla generacji Zet ważne jest dbanie o siebie, co widać choćby w tym, że coraz częściej rezygnujecie ze spożywania alkoholu. Będziecie nie tylko żyć dłużej, będziecie też dłużej zdrowi i będziecie mieć dłuższe kariery.

Myślisz, że młodzi zaczęli o siebie dbać, bo już wiedzą, że czeka ich praca do 70.?

– Młodzi zdrowieją, bo lepiej jedząc, pijąc mniej i więcej się ruszając, po prostu czują się lepiej i lepiej wyglądają.

Ale to prawda, że życie, które trwa wiele dekad, trzeba planować inaczej. Dostaliśmy dzięki rozwojowi nauki dodatkowe trzy dekady, których nasi przodkowie nie mieli. Musimy inaczej planować pracę, inaczej planować małżeństwa. W Wielkiej Brytanii najwyższy odsetek rozwodów jest dziś wśród małżeństw w okolicach pięćdziesiątki. Bo ludzie nagle zdają sobie sprawę: mam przed sobą jeszcze 40 lat życia. Czy na pewno chcę je tak spędzić?

Jedną z konsekwencji tego, że żyjemy dłużej, jest to, że dłużej możemy się rozwijać i częściej zmieniać. Skupiamy się na tym, że będziemy dłużej pracować, ale będziemy mieć też więcej czasu na podróże, czas z bliskimi i cieszenie się życiem. ●

Avivah Wittenberg-Cox

• Ur. w 1962 r., dyrektorka generalna 20-first, jednej z głównych europejskich firm doradczych. Od lat zaliczana do najważniejszych specjalistek od równości płci i równowagi pokoleniowej. Ambasadorka Centrum Długowieczności Uniwersytetu Stanforda, profesor nadzwyczajna na Uniwersytecie DePaul w Chicago, wykłada gościnnie w Said Business School w Oxfordzie i na francuskim INSEAD. Jest współdyrektorką programu Longevity Leadership Programme na Portugalskim Uniwesytecie Katolickim.

eprasa.pl ce60f33c89

ŚWIAT

Kurica nie ptica wiecznie żywa

Opowieść o Polakach jako odwiecznych wrogach Rosji jest Kremlowi bardzo potrzebna. I urasta do jednego z fundamentów jego polityki historycznej.



„Kurica nie ptica, Polsza nie zagranica” – „Kura to nie ptak, Polska nie leży za granicą” – powiedzenie rosyjskie

Wiktoria Bieliaszyn

„Rusofobka” albo „ta ruska”. Te obraźliwe epitety niczym dwa wierne cienie kroczą tuż za mną przez większą część życia. Pierwszy ujawnia się, kiedy spotykam na swojej drodze umownego Smirnowa, czyli przesiąkniętego kremlowską propagandą Rosjanina; drugi, gdy głos zabierze przeciętny Kowalski, dla którego rosyjska część mojego pochodzenia automatycznie czyni mnie człowiekiem drugiej kategorii.

Mierzę się z tym od dziecka. Już wtedy doskonale rozumiałam, że jeśli w Polsce powiem rówieśnikom, że jestem w połowie Rosjanką, a w Rosji, że w połowie Polką, to w obu przypadkach z dużym prawdopodobieństwem przestanę być postrzegana jako ta „fajna koleżanka”.

I że z ust młodych osób obu narodowości usłyszę (również w obu sytuacjach), że w tym drugim kraju „nic nie ma, samo dziadostwo”.

Żartobliwie obwiniam o to rodziców: Polkę i Rosjanina, którzy zdecydowali się wychować mnie tak, bym pomieściła w sobie obie ich ojczyzny. I obie ich rodziny.

Polska i Rosja: dwie opowieści

Nie było to łatwe.

W czasie, gdy polska część moich korzeni pielęgnowała pamięć o przodku, poruczniku Gąsiorowskim, ofierze zbrodni katyńskiej, zamordowanym przez NKWD wiosną 1940 roku, bez trudu mogłam znaleźć, także wśród krewnych ojca, osobę głęboko przekonaną, że stoją za nią nie Sowieci, tylko hitlerowskie Niemcy.

W czasie, gdy jedna babcia, ta polska, płakała na wspomnienie II wojny światowej i działań Armii Czerwonej w Polsce, druga, rosyjska, mimo że znacznie bardziej świadoma niż przeciętny obywatel, z pewnym zakłopotaniem, a nawet smutkiem słuchała moich dziecięcych wykładów, podpartych wiedzą z lekcji historii w szkole podstawowej, o tym, że rosyjscy żołnierze nie są postrzegani przez Polaków jako bohaterowie.

Wreszcie, w czasie, gdy polska część mojej rodziny podkreślała, że przekleństwem Rosji jest to, iż prezydentem został były kagiebista, od kuzyna ojca usłyszałam, że ich kraj potrzebuje silnej ręki. I że nie ma dla Putina alternatywy.

Moi rodzice wyraźnie nie wzięli pod uwagę skali i ciężaru gabarytu polsko-rosyjskiej tożsamości, na którą mnie skazali. Na szczęście oboje dali mi coś, co pozwoliło uniknąć wewnętrznego chaosu: świadomość, że polska i rosyjska pamięć historyczna nie są obciążone w równym stopniu, a także wiedzę, skąd biorą się różnice między nimi. Z biegiem lat zrozumiałam również, dlaczego oskarżenie o „rusofobię” tak łatwo powraca w rosyjskiej opowieści o Polsce i dlaczego słyszę je nie tylko od zwolenników Kremla, lecz także od części Rosjan krytycznych wobec władz.

Zaczęłam tę opowieść od dzieciństwa nieprzypadkowo. W rosyjskim dyskursie publicznym Polska od dawna jest przedstawiana jako jeden z najbardziej rusofobicznych krajów Europy. I nie jest to żadna nowość ani zjawisko, które, jak mogłoby się niektórym wydawać, pojawiło się na skutek napaści Rosji na Ukrainę i z powodu postawy Polski solidarnej z zaatakowanym sąsiadem.

Zresztą, nazwa wystawy „Dziesięć wieków rosyjskiej rusofobii”, którą przygotowało w ubiegłym roku Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne i która przedstawia Rosjanom Polaków jako ogarniętych nienawiścią wobec wszystkiego, co rosyjskie, wrogów i zdrajców, jasno wskazuje, że problem dla Kremla nie jest nowy.

Mała, nieciekawa Polska

W różnych okresach i warunkach politycznych ta narracja to słabła, to się nasilała, ale obecna była zawsze. Towarzyszył jej arsenał różnych emocji.

I nawet jeśli chwilowo w relacjach politycznych między oboma krajami nie było żadnych obostrzeń, to trudno było mi nie zauważyć, że przeciętny Rosjanin, czyli najczęściej taki, który w Polsce nigdy nie był, ma do Polski i Polaków stosunek nie tyle wrogi, ile lekceważący lub pogardliwy.

Bardzo mocno wpisuje się w niego przekonanie, że Polska to mały, słaby, nieciekawy kraj, który chce udowodnić, że cokolwiek znaczy, podporządkowując się i dając się wykorzystywać „kuratorom z Zachodu”.

Ale też przejawia się w innych formach, bardziej miękkich, czasem wręcz niedostrzegalnych. Na przykład w szczerym zdziwieniu rosyjskich rozmówców podróżujących po Europie, których pytałam, czy byli kiedyś w Polsce, a jeśli tak, to z jakimi wrażeniami wrócili. „W Polsce? Nie, jakoś nie było nigdy po co... Nie przyszło mi to nigdy do głowy. I, nie obraź się, ale trochę nie wiem nawet, co można byłoby tam zobaczyć. Warszawa, wynika ze zdjęć, to taka miniaturowa wersja radzieckiego miasteczka, prawda? Znajomi, którzy byli, mówili, że nic tam nie ma, wiesz?” – usłyszałam od jednej z osób. Inna, mniej subtelna, powiedziała po prostu: „Kurica nie ptica, Polsza nie zagranica”.

O ten stosunek do Polski zapytałam Iwana Prieobrażenskiego, niezależnego rosyjskiego politologa. Potwierdził, że Rosjanie rzeczywiście Polską się nie interesują, nie znają jej. – Niestety, ale skutkuje to tym, że wiedzę o niej czerpią wyłącznie z propagandy, która o Polsce zawsze mówi bardzo źle – podkreślił.

Zastrzegł, że inaczej było w przeszłości, Polską interesowali się wtedy przedstawiciele rosyjskiej inteligencji, a później, w czasach ZSRR, dysydenci, którzy odnosili się do Polski z szacunkiem i sympatią.

Ogólny obraz dzisiaj określił jednak jako „pogardliwo-obojętno-negatywny”.

eprasa.pl ce60f33c89



• Uczestnicy marszu „Jesteśmy zjednoczeni", zorganizowanego w Dniu Jedności Narodowej. Święto ma upamiętniać dzień, kiedy Rosjanie wyparli z Kremla siły polskie. Moskwa, 4.10.2016.

FOT. ANADOLU/GETTY IMAGES

– Mam takie wyraźne wspomnienie z czasów dzieciństwa, że każdy pokaz serialu „Czterej pancerni i pies" psuli nam dorośli. Zawsze znalazł się ktoś, kto krytykował fabułę, mówił, że Polacy kłamią i próbują nam opowiadać, jakie to rzekomo mieli zasługi w II wojnie światowej. I że są niewdzięczni, bo przecież to my zwyciężyliśmy, wyzwoliliśmy ich, a oni przegrali – wspominał. – Zresztą, Rosjanie zasadniczo znają mało historycznych faktów o Polsce, ale jeśli już, to wszystkie są negatywne i albo zmanipulowane, albo całkowicie nieprawdziwe. Niestety, od lat skutecznie działa to na społeczeństwo – dodał.

Polska jako przeszkoda dla Rosji

To, że rosyjska wersja historii różni się od tej przyjętej w Polsce i potwierdzonej przez ustalenia historyków, nie jest tajemnicą. Co więcej, sposób przedstawiania przeszłości zmienia się w Rosji wraz z politycznymi potrzebami władz. Dobrym przykładem jest zbrodnia katyńska. Przez dziesięciolecia Związek Radziecki przypisywał ją Niemcom. W 1990 roku władze ZSRR oficjalnie przyznały, że polskich oficerów zamordowało NKWD, a w 2010 roku rosyjska Duma potępiła zbrodnię i wskazała odpowiedzialność Stalina oraz innych przywódców sowieckich. Nie zamknęło to jednak sprawy. W kolejnych latach w rosyjskiej przestrzeni publicznej powracały próby podważania lub relatywizowania odpowiedzialności ZSRR.

Przekonałam się o tym na własnej skórze podczas rozmowy ze studentem jednej z moskiewskich uczelni. Kiedy wspomniałam o Katyniu, natychmiast przypomniał o śmierci jeńców sowieckich w polskiej niewoli po wojnie polsko-bolszewickiej, zabieg od lat obecny w rosyjskiej propagandzie. Wyraźnie trudno było mu się pogodzić z tym, że jego ojczyzna ma na koncie również ciemne karty historii.

Nie chodzi więc wyłącznie o to, że część Rosjan zna historię niedokładnie albo pamięta ją inaczej niż Polacy. Przez lata państwo dostarczało im określonej interpretacji przeszłości, w której odpowiedzialność sowieckich władz jest przemilczana, pomniejszana albo, jak dziś, na nowo kwestionowana, a polskie próby jej przypominania przedstawiane są jako przejaw wrogości, „polskiej rusofobii". Właśnie dlatego spory o przeszłość nie są tu jedynie sporami o fakty. Stają się także sposobem wyznaczania, kto ma prawo opowiadać historię i czyje poczucie krzywdy zostanie uznane.

Mówił mi też o tym Jan Raczyński, szef zdelegalizowanego w Rosji Stowarzyszenia Memoriał, który przyznał, że jego stosunek do Polski i Polaków „nie jest reprezentatywny". – Mam większą wiedzę, jeśli chodzi o historię relacji rosyjsko-polskich, niż przeciętny Rosjanin. Widzę więc ją inaczej niż większość Rosjan, których podejście do Polski od wieków kształtuje się pod wpływem polonofobii narzucanej przez różne rosyjskie rządy i działającej w ich służbie propagandy – wyjaśnił.

Poprosiłam Raczyńskiego o wskazanie głównych przyczyn tej niechęci. – Głównym problemem dla rosyjskich władz na przestrzeni wieków była niechęć, brak woli Polaków, by się przed Rosją ugiąć, a także by uznać i oświadczyć, że rosyjskie zwierzchnictwo jest dla nich dobrodziejstwem – powiedział.

Jego zdaniem Polska jest też dla rosyjskich władz przeszkodą. Wspólna trudna historia utrudnia im bowiem przedstawianie Rosji jako państwa, które nigdy nie dopuściło się żadnego grzechu. Nie oznacza to oczywiście, że Polska nie ma w swojej historii kart, z których nie może być dumna. Chodzi jednak o to, że w rosyjskiej opowieści o przeszłości polskie winy służą często do pomniejszania lub przesłaniania odpowiedzialności samej Rosji.

62

PROC.

• uczestników przeprowadzonego w Rosji niezależnego sondażu określa Polskę jako „wroga"

Putin nienawidzi Polski

To podejście dobrze wpisuje się w sposób, w jaki Władimir Putin mówi o rosyjskiej historii. Już w 2003 roku w orędziu do Zgromadzenia Federalnego podkreślał, że Rosjanie powinni pamiętać i szanować swoją wielką historię oraz być z niej dumni. Przekonywał też, że Rosja może się rozwijać i zachować swoje granice tylko wtedy, gdy pozostaje silnym i wpływowym państwem. Historia staje się w tej wizji częścią opowieści o potędze państwa. Polska, która przypomina o niewygodnych dla Moskwy wydarzeniach z przeszłości, podważa więc obraz historii, z której można być wyłącznie dumnym.

Wielu Rosjan nie chce znać prawdy o historii swojego kraju. Mówiła mi o tym kilka lat temu Lena Kostiuczenko, reporterka „Nowej Gazety". – Wielu Rosjan nie jest gotowych na poznanie prawdy. Wierzą w bardzo przyjemną wizję, że żyją w kraju, który jest bezgrzeszny i sprawiedliwy. I który nigdy nie zaczął żadnej wojny, jedynie je kończył.

Z kolei Prieobrażenski zwracał też uwagę na to, że duże znaczenie we wzajemnych relacjach ma fakt, że... przez lata ich nie było. – Większość Rosjan niewiele wie o współczesnej Polsce. Nie znają jej kultury, nie mieli okazji do bezpośrednich kontaktów z Polakami.

eprasa.pl ce60f33c89

W efekcie nie wykształciły się nawet pozytywne stereotypy na temat Polski. Spójrzmy, jak inaczej do Polaków odnoszą się Rosjanie z obwodu królewieckiego, którzy mieli z nimi kontakt, a jak reszta – wskazywał.

Obok tych historycznych i społecznych uwarunkowań w rozmowach o stosunku Kremla do Polski powraca też pytanie o samego Putina: na ile jego osobiste nastawienie wpływa na politykę państwa?

Zdaniem Christo Groziewa, słynnego dziennikarza śledczego, który ma wciąż kontakty w strukturach rosyjskich władz i wśród elit politycznych, to osobiste emocje Putina wobec Polski miały i mają w formowaniu wzajemnych relacji największe znaczenie. – Od osoby z bliskiego otoczenia Putina wiem, że jego nienawiść do Polski jest tak silna, że nawet dla wielu „jastrzębi" z jego kręgu aż niezrozumiała. Mówią, że u niego to już swego rodzaju obsesja – mówił.

Gdy spytałam o to jeszcze innego eksperta, który poprosił mnie o możliwość zachowania anonimowości, usłyszałam z kolei, że co prawda nie wie, co czuje Putin, ale większość jego wypowiedzi na temat polsko-rosyjskich relacji i II wojny światowej jest „żywcem wyjęta z propagandowego podręcznika, z którego Putin, żaden intelektualista, uczył się historii w wieku 15 lat". – Putin jak przeciętny sowiecki człowiek, gdyby miał odpowiedzieć, dlaczego czuje niechęć do Polski, to, pomijając obecną sytuację i konflikty, z historii wymieniłby Iwana Susanina. Większej wiedzy na temat wzajemnych relacji to on specjalnie nie ma – orzekł. Przypomnę, że w rosyjskiej mitologii Iwan Susanin, chłop ze wsi położonej na północ od Moskwy, ponad 400 lat temu uratował cara Michaiła Romanowa, wyprowadzając ścigające go polskie wojska na bagna.

Smoleńsk, czyli punkt zwrotny

Jan Raczyński i Iwan Prieobrażenski wskazują też na rolę wykształcenia. Obaj zgodnie podkreślają, że byli i są wśród wykształconych Rosjan tacy, którzy w czasach minionych żywili solidarny i pełen szacunku stosunek do Polski oraz polskich dążeń niepodległościowych, a w czasach współczesnych doskonale zdają sobie z tego aspektu historii sprawę i w pełni go rozumieją. – Niestety, więcej możliwości do rozpowszechnienia na szeroką skalę i zaszczepienia się w umysłach ludzi zawsze miała wersja prymitywna, imperialna, a nie poglądy i spojrzenie np. Aleksandra Hercena czy radzieckich dysydentów – tłumaczył mi Raczyński.

A mnie w tym momencie przypomniały się pytania, które wielokrotnie, jako „przedstawicielka polskiego narodu" na różnych etapach mojego życia i w różnych okolicznościach od Rosjan słyszałam. „Dlaczego Polacy nienawidzą Rosji? Dlaczego nie są nam wdzięczni za ratunek i ocalenie w II wojnie światowej? Dlaczego zakłamują historię? Dlaczego Polacy, zamiast być z nami, wolą być pod butem Waszyngtonu i Brukseli?".

Najpierw w ten sposób zagadywały mnie co mniej taktowne sąsiadki babci, wśród których przeważały typowe rosyjskie babuszki dzielące życie między wizyty w cerkwi, czas przed telewizorem, kuchnię i obserwowanie świata z poziomu ławki przed kamienicą. Później rosyjscy rówieśnicy, nastolatki chcące wyraźnie błysnąć wiedzą historyczną i jakoś tę moją polską tożsamość uszczypnąć. Następnie, z różnymi intencjami, tzw. zwykli Rosjanie, wśród których było wielu mieszkańców prowincji. Część wyrażała przy tym pewne ubolewanie, część – wyraźne rozdrażnienie lub złość.

Co ciekawe, w pewnych okresach te pytania pojawiały się częściej. Jednym z nich był czas krótko po katastrofie smoleńskiej. Mówiłam o tym Prieobrażenskiemu. – W pewnym momencie propaganda się rozkręciła. Putin wyraźnie był poirytowany koniecznością wypowiadania się na ten temat. Bardzo go denerwowały ciągłe pytania i to, że musiał się tłumaczyć i bronić przed zarzutami. Putin przed nikim nie musiał się tłumaczyć tak długo i tak często jak przed Polakami. I myślę, że to też na niego i na Rosjan wpłynęło – wyjaśniał.

Polska odpowiedzialna za wojnę

We współczesnych rosyjskich podręcznikach historii wizerunek Polski przedstawiany jest oczywiście w ścisłej zgodzie z państwową polityką historyczną. Według obowiązującego dzisiaj programu nauczania Polska w dużej mierze w sytuacjach wojennych i konfliktowych sama ponosiła odpowiedzialność za swoje porażki geopolityczne.

Nawet jeśli była jawną ofiarą wojny. „W nowych podręcznikach odpowiedzialność za kryzys przypisuje się między innymi polskim władzom, a pakt Ribbentrop-Mołotow oraz wkroczenie wojsk radzieckich we wrześniu 1939 roku wyjaśnia się jako środek konieczny w celu ochrony przed postępem III Rzeszy" – analizuje niezależny portal The Insider.

Emocjonalny zabieg stosują też np. autorzy podręczników historii w rozdziale poświęconym relacjom Litwy i Polski z Państwem Moskiewskim w XVI wieku. Podsumowali je stwierdzeniem: „Władze Polski zawsze nienawidziły Rosjan bardziej niż Krymian".

Polska jako wróg

Po inwazji Rosji na Ukrainę nastroje w grupach społecznych, do których należą właśnie tacy Rosjanie czy autorzy wymienionych chwilę wcześniej pytań, tylko się pogorszyły. W styczniu 2026 roku Centrum im. Lewady, jedno z niewielu, któremu w Rosji można ufać, wskazało, że 62 proc. respondentów określiło Polskę jako wroga w pytaniu klasyfikującym relacje Rosji z innymi państwami. Z kolei z raportu opublikowanego przez Centrum Lewady w czerwcu 2026 roku wynika, że „Polska nadal znajduje się wśród państw najczęściej uznawanych przez Rosjan za nieprzyjazne".

Trudno, by było inaczej. Od momentu pełnowymiarowej napaści Rosji na Ukrainę kremlowska propaganda regularnie mówi o Polsce jako o jednym z głównych wrogów Rosjan, który sponsoruje wojnę, chce osiągnąć swoje imperialne cele i posłusznie wykonuje polecenia „kolektywnego Zachodu".

Władimir Sołowjow, znany propagandysta rosyjskiej telewizji państwowej, wielokrotnie mówił, że „Warszawa w końcu powróci do rodzimych granic", a także groził, iż „rosyjscy żołnierze ponownie dotrą do Berlina". A to tylko jeden przykład.

Nie tylko propagandyści, ale i rosyjscy politycy pozwalają sobie na coraz ostrzejsze wypowiedzi, z których wiele traktowanych jest przez Polskę jako próby szantażu czy groźby o charakterze militarnym. Groźbom takim jak ta o pozbawieniu Polski państwowości w ciągu „dwóch, trzech dni", jeśli przystąpi do działań wojennych przeciw Rosji, którą zszokował w połowie września Nikołaj Patruszew, jeden z najbliższych współpracowników Putina, towarzyszą ataki pod adresem przedstawicieli polskich władz. Ich częstym celem jest Radosław Sikorski, którego wypowiedzi tylko w ostatnim czasie Maria Zacharowa, rzeczniczka rosyjskiego MSZ, określiła jako „rusofobię mózgu".

Ta opowieść jest zresztą potrzebna Kremlowi nie tylko po to, by zdyskredytować Polskę. Pomaga też konsolidować rosyjskie społeczeństwo wokół przekonania, że Rosji zagrażają wrogowie, a ona sama jest przede wszystkim ofiarą zachodniej agresji. W takim obrazie świata łatwiej usprawiedliwiać działania władz, nawet te, które wobec innych państw trudno byłoby obronić.

W tej logice również wojna przeciwko Ukrainie może być i jest przedstawiana jako obrona przed agresywnym Zachodem, a Polska – jako jeden z krajów, które mają Rosji zagrażać. Właśnie dlatego oskarżenie o rusofobię jest dla rosyjskich władz tak użyteczne: pozwala wskazać wroga, odwrócić uwagę od własnych działań i przedstawić rosyjską agresję jako konieczną odpowiedź na cudzą wrogość.

Dla mnie, osoby o polsko-rosyjskiej tożsamości, ważne jest jednak jedno rozróżnienie: krytyka rosyjskiego państwa i jego polityki nie jest tym samym co niechęć do Rosjan ze względu na ich pochodzenie. W rosyjskiej opowieści o Polsce te dwie rzeczy są jednak często utożsamiane. Rosjanom od pokoleń władze wpajały, że krytyka działań władz ich kraju oznacza zdradę i brak patriotyzmu, a ze strony innych państw jest wyrazem nienawiści do wszystkiego, co rosyjskie.

To nie jest niewinna opowieść o historycznych krzywdach ani wyłącznie narzędzie bieżącej propagandy. Utrwala obraz świata, w którym Rosja jest nieustannie zagrożona, a wrogość wobec sąsiadów można przedstawiać jako obronę własnego kraju. Taka wizja ma realne konsekwencje: utrudnia porozumienie, usprawiedliwia agresję i sprawia, że kolejne pokolenia mogą przejmować nieufność wobec Polski, zanim jeszcze zdążą ją poznać.

Te przekazy na zwyczajnych Rosjan działają. Kilka miesięcy temu dostałam niespodziewaną, gniewną wiadomość od Artioma, znajomego z dzieciństwa, z którym przez lata nie miałam kontaktu. „Widzę, że mówisz i piszesz o rosyjskiej propagandzie. Nie przeczę: my mamy swoją propagandę, a wy w Polsce swoją, tylko silniejszą i totalnie rusofobiczną. Całe zło widzicie w Rosjanach, dyskryminujecie nas na każdym polu, zawsze chcecie dla nas wszystkiego, co najgorsze. Wszystko ma swoje granice. Polska w swojej zajadłej rusofobii już dawno je przekroczyła" – napisał.

Z konsekwencjami tej opowieści przyjdzie nam się mierzyć jeszcze długo: niezależnie od tego, jak potoczą się dalsze losy wojny w Ukrainie i rosyjskiej polityki. ●

> Oskarżanie Polaków o rusofobię jest dla rosyjskich władz potrzebne: pozwala wskazać wroga i odwrócić uwagę od własnych działań

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34414015

W PIĄTEK, 6 LISTOPADA W WYBORCZEJ

PRZEWODNIK
po wydarzeniach kulturalnych

- Kulturalny rozkład jazdy na jesień i początek zimy
- Wyczekiwane festiwale: Pięć Smaków, American Film Festival, Boska Komedia
- Premiery teatralne, koncerty i wystawy, na które warto się wybrać



1 RP

eprasa.pl ce60f33c89



FOT. REUTERS/EDUARDO MUNOZ

• **Nowy Jork 17.10. 2026. Ogólnokrajowa akcja „No Kings: Vote Early” („Żadnych królów: Głosuj wcześniej”) miała zachęcać Amerykanów do wcześniejszego głosowania przed wyborami połówkowymi. Uczestniczka demonstracji trzyma wachlarz z hasłem „Burn it down” („Zburzyć ten system”)**

RÓŻOWA MOŻE BYĆ TYLKO BARBIE

We wtorkowych wyborach połówkowych Demokraci „zmiotą z planszy” Republikanów. Ale nie ci Demokraci, którzy mogliby naprawdę ulżyć Amerykanom

Mateusz Mazzini

Dawno nic nie wzbudziło tak wielkiej i nieproporcjonalnej paniki ludowej w amerykańskiej polityce, jak pojawienie się w szeregach Partii Demokratycznej polityków progresywnych, lewicowych i – sporadycznie – otwarcie socjalistycznych.

Abstrahując od rozkochanego w przesadzie samego Donalda Trumpa, który naprzemiennie nazywa ich komunistami i islamskimi terrorystami (z racji na deklarowane przez nich często propalestyńskie poglądy), nawet bardziej umiarkowani politycy i komentatorzy dali się złapać w pułapkę tej dziwnej histerii.

Co jest o tyle zastanawiające i miejscami wręcz zabawne, że naprawdę młodą amerykańską lewicę trudno w tej chwili uznać za znaczącą siłę polityczną – i na pewno nie będzie taką w kolejnym Kongresie, bez względu na ostateczne wyniki wyborów połówkowych z 3 listopada.

•

Pierwszym dowodem na absurdalny charakter obaw o komunistyczny zwrot u Demokratów są liczby.

Analitycy renomowanego think-tanku The Brookings Institution obliczyli, że w tegorocznym sezonie wyborczym, obejmującym głosowania do Izby Reprezentantów, Senatu, na stanowiska w samorządzie lokalnym i w legislaturach stanowych – Democratic Socialists of America (DSA), powstała w 1982 r. organizacja zrzeszająca polityków i aktywistów o lewicowych przekonaniach, poparła łącznie 282 kandydatów w całym kraju.

282 kandydatów – a mowa tu o wszystkich możliwych szczeblach głosowań we wszystkich 50 stanach Ameryki.

W dodatku w zdecydowanej większości przypadków przechodzili dodatkowe sito przed właściwym głosowaniem, bo stawali w szranki prawyborcze, rywalizując z innymi kandydatami o nominację Partii Demokratycznej. Członkowie i stronnicy DSA rzadko startują jako niezależni, bo wtedy nie mieliby szans na wygraną. Najczęściej starają się o etykietkę Demokratów, bo ta działa jak mnożnik ich poparcia.

Dla uzmysłowienia rzeczywistych rozmiarów tego ruchu należy spojrzeć, jak wiele urzędów ma w USA bezpośrednią legitymizację demokratyczną.

We wszystkich legislaturach stanowych jest 7386 miejsc wybieranych w wyborach powszechnych.

DSA poparło w tym roku 104 kandydatów, spośród których nominację partyjną otrzymało 66 (z czego 10 nie miało kontrkandydata w wyborach).

Innymi słowy, nawet gdyby każdy polityk startujący z rekomendacji oficjalnego organu amerykańskich socjalistów zdobyłby mandat, taki sukces oznaczałby zwiększenie stanu posiadania organizacji o mniej niż 1 procent wszystkich dostępnych miejsc na tym szczeblu władzy.

W wyborach do Kongresu wcale nie jest o wiele lepiej.

Amerykanie będą 3 listopada wybierać 435 członków Izby Reprezentantów i 35 senatorów, czyli 470 osób.

Na kartach do głosowania pojawi się 19 członków lub zwolenników DSA.

Przyjmując abstrakcyjne założenie, że wszyscy wygrają, przejmą 4 proc. miejsc na Kapitolu. Naprawdę trudno nazwać to czerwoną zarazą.

Po drugie, debata nad większą rolą lewicy, zwłaszcza na szczeblu federalnym w dużej mierze pozostaje wewnętrzną dyskusją Demokratów. Ci spośród socjalistów, którzy mają jakieś szanse w wyścigu do Izby Reprezentantów czy Senatu, wystartują raczej w okręgach od lat zdominowanych przez wyborców progresywnych i liberalnych. Innymi słowy, to nie oni zadecydują o tym, czy partia ostatecznie przejmie kontrolę nad Senatem.

•

A w ostatnim tygodniu przed wyborami szanse na Kongres pod całkowitą kontrolą Partii Demokratycznej są już bardzo duże. Nate Silver, najbardziej znany w USA statystyk polityczny i analityk sondaży, regularnie aktualizuje na blogu The Silver Bulletin tzw. model FLIPR, czyli skomplikowaną machinę obliczeniową agregującą dane sondażowe z całego kraju i dostosowującą je do kryteriów socjologicznych, by zwiększyć ich reprezentatywność.

W odczycie FLIPR z 27 października prawdopodobieństwo „niebieskiej”, czyli odpowiadającej Partii Demokratycznej większości w Izbie Reprezentantów, wynosiło 95 proc. Dla Senatu było to 75 proc., a dla całego Kongresu pomalowanego na niebiesko – 71 proc.

Biorąc pod uwagę fakt, że przy dwuizbowym parlamencie są cztery możliwe scenariusze układu sił, blisko

eprasa.pl ce60f33c89

trzy czwarte wszystkich symulacji pokazujących ten sam wynik to już bardzo dużo.

Tak dużo, że Silver, goszcząc w programie Ezry Kleina z „New York Timesa" pokusił się o stwierdzenie, że Republikanie 3 listopada zostaną „zmieceni z planszy" przez Demokratów.

Nawet jeśli tak się stanie, zasługa polityków DSA będzie w tym niewielka, bo reprezentują okręgi, które i tak przypadłyby Demokratom. Erin Covey, analityczka z cenionego komercyjnego serwisu Cook Political Report prześledziła wszystkie okręgi, w których rywalizacja partyjna jest jeszcze wyrównana.

Tu przypomnieć należy, że takich okręgów jest w USA wręcz szokująco mało, bo w wyniku zmieniania map okręgów, czyli gerrymanderingu, manipulacji przy spisach wyborców oraz dysproporcji w finansowaniu kandydatów, zdecydowana większość obszarów wyborczych jest całkowicie zabetonowana.

Lee Drutman, ekspert z centrum analitycznego New America Foundation, szacował kilka miesięcy temu, że na 435 okręgów do Izby Reprezentantów otwarta rywalizacja będzie miała miejsce jedynie w mniej więcej 15.

Obecne oceny są ciut bardziej optymistyczne – Cook Political Report za *toss-up*, czyli wyrównaną, uznaje 17 okręgowych wyścigów.

Jeśli chodzi o Senat, takie miejsca można policzyć na palcach obu rąk.

Z analizy Erin Covey wynika, że tam, gdzie rywalizacja jest najbardziej zacięta, w prawyborach Demokratów wygrywali prawie zawsze kandydaci bardziej centrowi, o umiarkowanych poglądach.

To oczywiście spore uproszczenie, bo Ameryka jest krajem olbrzymim i bardzo politycznie zróżnicowanym, więc pojęcia takie jak „umiarkowanie", „centryzm" czy „skrajna lewica" co innego będą znaczyć w Nowym Jorku lub Kalifornii, a co innego w Kansas czy w Nebrasce. Niemniej, zauważa Covey, mało kto związany z DSA czy progresywnym skrzydłem partii będzie musiał rywalizować z kandydatem Republikanów w naprawdę zaciekłym boju. Poza pojedynczymi okręgami w Colorado, Maine i Kalifornii takich miejsc w zasadzie na politycznej mapie Stanów Zjednoczonych nie ma.

A po trzecie, lewica lewicy nierówna, bo bardzo wielu kandydatów, których prawica określa mianem komunistów, a nawet socjalistów, od tych pojęć zdecydowanie się odcina.

Żeby jednak zrozumieć, kto jest kim w młodej Partii Demokratycznej, trzeba poświęcić trochę miejsca na analizę terminologii politycznej. Demokratyczni Socjaliści to bowiem nie to samo, co socjaldemokraci, typowi dla powojennych demokracji Europy Zachodniej.

Najdobitniej i najsprawniej różnicę między tymi grupami opisał niedawno prof. David Runciman, brytyjski historyk idei, dawniej związany z Uniwersytetem w Cambridge, dzisiaj autor podcastu Past, Present, Future. „Demokratyczni socjaliści akceptują tyle demokracji, ile potrzeba im do realizacji ich postulatów socjalistycznych. Natomiast socjaldemokraci akceptują tyle socjalizmu, ile jest konieczne do zrealizowania celów demokratycznych".

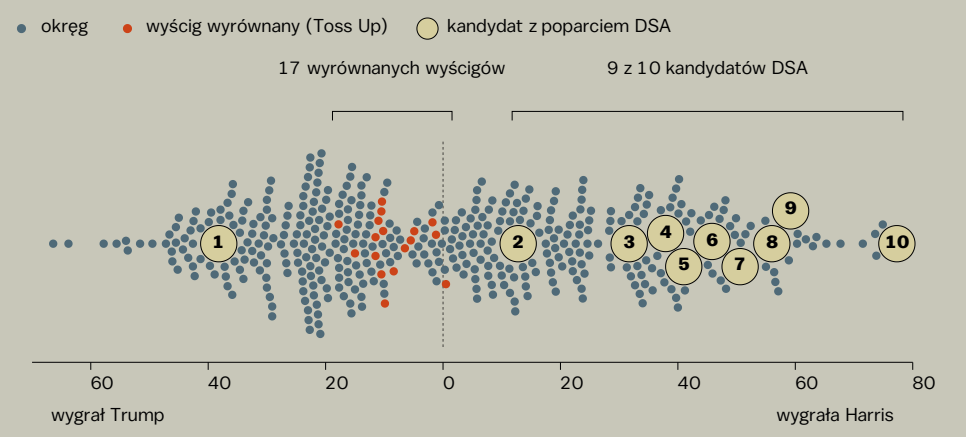
Różnica na pierwszy rzut oka subtelna, ale znacząca, bo zahaczająca o charakter ustroju. I tak w zbiorczym worku „dalekiej" czy „radykalnej" lewicy są politycy, którym w przeszłości zdarzało się publicznie chwalić doktrynę marksistowską, jak i tacy, którzy zwyczajnie chcą bardziej rygorystycznych regulacji dla sektora technologicznego, wyższych podatków dla najbogatszych czy poszerzenia – nawet nie upowszechnienia – ubezpieczenia zdrowotnego.

Postulaty niektórych są z europejskiego punktu widzenia tak oczywiste, że gdyby przeszczepić ich na grunt polityki brytyjskiej, niemieckiej czy hiszpańskiej, nie mówiąc o skandynawskiej, byliby kandydatami na wskroś centrowymi. Często bowiem domagają się wprowadzenia w USA polityk publicznych, które w Europie są normą od dekad.

Startują tam, gdzie demokraci i tak wygrywają

Gdzie startują kandydaci Demokratycznych Socjalistów Ameryki (DSA) w wyborach do Izby Reprezentantów 3 listopada 2026 r.

Każda kropka to jeden z 435 okręgów do Izby Reprezentantów. Ułożyliśmy je według przewagi w punktach procentowych, z jaką wygrał w nich wybory prezydenckie w 2024 r. Donald Trump albo Kamala Harris.

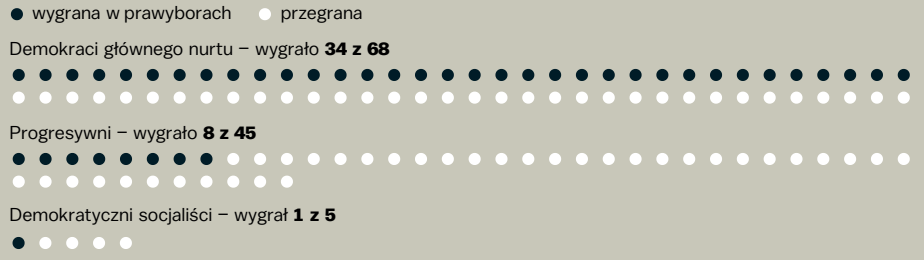


Przewaga w pkt proc. Dziewięcioro z 10 kandydatów DSA startuje w okręgach, w których wygrała Harris. Wyjątek: Lauren Jewett w LA-1, po stronie Trumpa.

1. **Lauren Jewett**
LA-1 · Trump +38 pkt proc.
rywalizuje z republikaninem Steve'em Scalise'em
2. **Mai Vang**
CA-7 · Harris +13 pkt proc.
rywalizuje z urzędującą demokratką Doris Matsui
3. **Alexandria Ocasio-Cortez**
NY-14 · Harris +32 pkt proc.
urzędująca posłanka
4. **Rashida Tlaib**
MI-12 · Harris +38 pkt proc.
urzędująca posłanka
5. **Donavan McKinney**
MI-13 · Harris +41 pkt proc.
w prawyborach pokonał urzędującego demokratę
6. **Claire Valdez**
NY-7 · Harris +46 pkt proc.
urzędująca posłanka nie startuje
7. **Angela Gonzales-Torres**
CA-34 · Harris +51 pkt proc.
rywalizuje z urzędującym demokratą Jimmym Gomezem
8. **Melat Kiros**
CO-1 · Harris +56 pkt proc.
w prawyborach pokonała urzędującą demokratkę
9. **Darializa Avila Chevalier**
NY-13 · Harris +59 pkt proc.
w prawyborach pokonała urzędującego demokratę
10. **Chris Rabb**
PA-3 · Harris +77 pkt proc.
urzędujący poseł nie startuje

W wyrównanych wyścigach prawybory wygrywali demokraci głównego nurtu

Kandydaci demokratów w 43 najbardziej wyrównanych wyścigach do Kongresu. Każda kropka to jeden kandydat.



Wynik wyborów prezydenckich 2024 w granicach okręgów obowiązujących w 2026 r. Wyścig wyrównany: ocena „Toss Up" Cook Political Report z 23 października. Prawybory: 33 okręgi do Izby i 10 wyścigów do Senatu o wskaźniku Cook PVI od D+2 do R+2, bez 9 kandydatów, których Brookings nie przypisał do żadnego nurtu. Jedyny zwycięski socjalista, William Lawrence z Michigan, w lipcu przestał być członkiem DSA. Źródło: 270toWin, Cook Political Report, Ballotpedia, Brookings.

© GAZETA WYBORCZA

ŹRÓDŁO: 270TOWIN, COOK POLITICAL REPORT, BALLOTPEDIA, BROOKINGS

INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA, WYBORCZA.PL/BIQDATA, 28.10.2026

DSA ma słowo „socjaliści" w nazwie, a to dla sporej części amerykańskiego społeczeństwa oznacza czerwoną zarazę. Nikt nie zagłębia się w szczegóły, nie widzi zgodności z własnymi poglądami na Medicare, ICE czy Izrael Wszystko jedno, czy chodzi o kandydatów naprawdę progresywnych, jak Abdul El-Sayed, czy o centrystów, jak James Talarico

Ciekawym przykładem jest tutaj dr Abdul El-Sayed, 42-letni epidemiolog z Michigan, ubiegający się o mandat senacki z ramienia Partii Demokratycznej. Jego rodzice pochodzą z Egiptu, choć rozwiedli się już po przyjeździe do USA, a jego macocha była Amerykanką. El-Sayed urodził się już w Michigan, studiował na tamtejszym uniwersytecie, po czym otrzymał Stypendium Rhodesa, jedno z najbardziej prestiżowych wyróżnień w całej amerykańskiej nauce, pozwalające na podjęcie studiów na Oksfordzie. Potem skończył jeszcze nowojorską Columbię, szefował też departamentowi zdrowia publicznego w Detroit.

Trudno o lepsze kwalifikacje w zakresie próby reformowania amerykańskiego systemu opieki zdrowotnej. El-Sayed jest jednak łatwym celem dla rywali, tych z wewnątrz partii, jak i spoza obozu Demokratów. Jest muzułmaninem, synem imigrantów, działania Wojsk Obrony Izraela (IDF) w Gazie nazywa otwarcie ludobójstwem, a w prawyborach prezydenckich w 2024 roku oddał głos nieważny, protestując przeciwko polityce Joego Bidena na Bliskim Wschodzie. Nie oznacza to jednak, że poparł Trumpa, bo w listopadzie zagłosował już poprawnie. A wśród jego postulatów znajduje się słynne hasło „Medicare for all", które administracja Trumpa uznaje za komunistyczne.

Tymczasem „Medicare for all" oznaczałoby po prostu wprowadzenie systemu pojedynczego płatnika składki zdrowotnej w USA. Nie byłaby to nacjonalizacja istniejącej infrastruktury, taka reforma nie tworzyłaby też „publicznej służby zdrowia" takiej jak w Polsce czy w Wielkiej Brytanii, gdzie to państwo jest właścicielem większości szpitali, klinik czy poradni. W USA po reformie nadal dominowałyby instytucje prywatne. Z tą różnicą, że byłyby finansowane na zasadzie kontraktów przez państwo, które zyskiwałoby możliwość centralnego negocjowania cen leków z koncernami farmaceutycznymi.

W gruncie rzeczy „komunistyczna" rewolucja byłaby kapitalistyczna – osłabiałaby spatologizowane monopole oraz układ, w którym zarabiającym krocie firmom ubezpieczeniowym, funduszom inwestycyjnym wykupującym szpitale i koncernom produkującym leki po prostu nie opłaca się utrzymywać zdrowej populacji, bo na chorych, zwłaszcza przewlekle, można więcej zarobić.

I to nie są hiperbole, amerykański system naprawdę tak działa. Patrick Radden Keefe, wybitny reporter „New Yorkera" i autor „Imperium Bólu", wielokrotnie nagradzanej książki o kryzysie opioidowym, opisał w niej sceny z posiedzeń zarządów i zespołów menedżerskich w wielkich firmach farmaceutycznych. Gdy zewnętrzni konsultanci prezentowali wyliczenia przewidywalnych zgonów przy odpowiednio wysokich cenach leków albo przy łatwej dostępności opioidów, menedżerowie zawsze wybierali te opcje, które koncernom dawały największy zysk.

„Medicare for all" to nie jest więc postulat radykalny, a centrowy. Wystarczy spojrzeć na badania opinii publicznej.

Przeprowadzony pod koniec września sondaż pracowni Ipsos na zlecenie portalu Axios pokazał, że postulat publicznego ubezpieczenia zdrowotnego dla wszystkich popiera 43 proc. Amerykanów. Sprzeciwia się mu 52 proc. wyborców Partii Republikańskiej, co oznacza, że blisko połowa z nich albo jest „za", albo nie ma zdania.

Inny sondaż, przeprowadzony przez firmę doradczą KFF, pokazuje jeszcze mocniejszy zwrot w kierunku zaangażowania państwa w sektor ochrony zdrowia. Aż 79 proc. Amerykanów uważa, że rząd federalny powinien robić więcej, by liczniejsi Amerykanie mieli ubezpieczenie zdrowotne. Wśród Republikanów ten odsetek wynosi 61 proc.

W tym badaniu 34 proc. wyborców prawicy opowiada się też za „Medicare for all". Czy to oznacza, że jedna trzecia osób o poglądach prawicowych w USA nagle stała się komunistami?

Równie dobrze histerię wokół młodej lewicy obnaża inny postulat kandydata z Michigan, czyli zakończenie wsparcia militarnego dla Izraela. Przeprowadzone w lipcu badania Chicago Council on Global Affairs pokazały, że Amerykanie coraz gorzej oceniają najbliższego sojusznika Ameryki.

Na 100-punktowej skali stosunku do Izraela średnia wynosi 44 proc., co oznacza, że większość Amerykanów deklaruje odczucia bardziej negatywne niż pozytywne. 21 proc. Amerykanów opowiada się za ograniczeniem wsparcia wojskowego dla Izraela, aż 35 proc. chce je całkowicie zakończyć.

I znowu – po rozbiciu tych danych na elektoraty partii widać, że niekorzystne dla Benjamina Netanjahu trendy utrzymują się w całym społeczeństwie. Wśród Demokratów ograniczyć pomoc militarną dla Izraela chce 26 proc., zakończyć ją aż 46 proc. Po stronie Republikanów odpowiednio 14 i 16 proc. Innymi słowy, prawie co szósty wyborca partii Trumpa ma wobec wysyłania broni do Izraela dokładnie takie same poglądy, jak Abdul El-Sayed.

Czy to oznacza, że jedna szósta Republikanów stała się nagle komunistami?

eprasa.pl ce60f33c89

Takich przykładów można znaleźć dużo więcej. El-Sayed stanowi o tyle wdzięczny materiał do analizy, że członkiem DSA nie jest, nie startuje z ich list, nie jest oficjalnie przez socjalistów popierany i sam w wywiadach mówi, że za osobę o takich poglądach się nie uważa. Co najwyżej można go identyfikować z tak zwanym skrzydłem progresywnym w Partii Demokratycznej, które nie różni się specjalnie od typowych europejskich liberałów.

Część europejskich partii liberalnych, na przykład holenderska D66, ma właśnie zabarwienie socjalne, pozostając ugrupowaniami całkowicie demokratycznymi i przywiązanymi do gospodarki wolnorynkowej. Z D66 wywodzi się do kości proeuropejski, wolnorynkowy, liberalny premier Holandii Rob Jetten. W dzisiejszej Ameryce byłby komunistą, przynajmniej w oczach tamtejszej prawicy i centroprawicy, do której zaliczają się nawet tak zwani Never-Trumpers, czyli Republikanie przeciwni Trumpowi.

Nie inaczej jest z innym kontrowersyjnym tematem w amerykańskiej polityce, czyli imigracją.

W powszechnej opinii prawicowych publicystów z portali i magazynów opinii, takich jak „The Federalist" czy założony przez znanego komentatora Glenna Becka „The Blaze", młodzi socjaliści domagają się całkowitej i bezwarunkowej amnestii dla nielegalnych imigrantów w USA.

Tyle tylko, że to co najwyżej półprawda. Portal Semafor poinformował wprawdzie w 2026 roku, że DSA programowo domaga się amnestii, ale na stronie internetowej organizacji nie ma ani jednego dokumentu potwierdzającego taką tezę.

Co więcej, poszczególni kandydaci, nawet ci bezpośrednio związani z DSA, jak startująca z Nowego Jorku i popierana przez Berniego Sandersa czy burmistrza Nowego Jorku Zohrana Mamdaniego – zresztą Demokratycznego Socjalisty – Claire Valdez, nie mówią publicznie o amnestii. Ich postulatem jest wprowadzenie zakazu używania zasobów stanowych i lokalnych w procesie deportacji prowadzonym przez rząd federalny. To znowu nie wydaje się takie kontrowersyjne, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że polityką imigracyjną i bezpieczeństwem granicy zajmują się ICE i CBP, dwie agencje podlegające Departamentowi Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a więc centralne.

Argument prawicy dotyczy rzekomych ukrytych intencji Socjalistów. Valdez czy Dariliza Avila Chevalier mówią bowiem o poszerzeniu spektrum dostępnych dróg do legalizacji pobytu w USA, tak, żeby ci, którzy są tu od lat, płacą podatki i nie byli notowani, mogli szybciej i sprawniej stawać się obywatelami kraju. Dla prawicy takie rozwiązania są równoznaczne z amnestią i masową, bezwarunkową legalizacją statusu quo.

Z kronikarskiego obowiązku trzeba podkreślić, że amnestia nie jest fantomowym bólem trumpistów, jeszcze niedawno próbowano ją wymusić na kandydatach demokratycznego głównego nurtu. W prezydenckiej debacie prawyborczej Partii Demokratycznej w 2020 roku wszystkim, łącznie z Joe Bidenem, zadano pytanie o amnestię dla nielegalnych imigrantów – bardzo sugestywnie, niejako suflując, że powinno być to stanowisko każdego, kto chce reprezentować partię w walce z Trumpem. Jeszcze kilka lat temu w okładkowych esejach do amnestii nawoływał nawet magazyn „Time".

Dzisiaj mało kto decyduje się na taką odwagę, wśród Demokratów panuje zgoda, że Biden całkowicie zaniedbał bezpieczeństwo granicy, a Trump i ruch MAGA mieli sporo racji, mówiąc, że przejścia trzeba uszczelnić, bo zagrażają bezpieczeństwu narodowemu. Nie chodzi o wyimaginowaną inwazję, która miałaby uzasadniać stan wyjątkowy w całym kraju, ale o działalność gangów przemycających narkotyki i ludzi do USA na masową skalę. Wyjście przed szereg z propozycją amnestii jest stanowczo zbyt ryzykowne, okno w debacie publicznej przesunęło się dużo dalej na prawo.

Postulaty lewicy są popularniejsze niż sami socjaliści

Ilu dorosłych Amerykanów popiera wybrane postulaty, według sondaży z 2026 r.

Poparcie, w proc.	Wszyscy	Demokraci	Republikanie
Medicare for All – jedno rządowe ubezpieczenie zdrowotne dla wszystkich KFF, 16–21 września	66%	84%	34%
Rząd federalny powinien robić więcej, by ubezpieczenie zdrowotne miało więcej Amerykanów KFF, 16–21 września	79%	94%	61%
Likwidacja ICE, federalnej policji imigracyjnej YouGov dla „The Economist", 17–20 lipca	48%	73%	24%
Całkowite wstrzymanie pomocy wojskowej dla Izraela Chicago Council on Global Affairs, 10–21 lipca	35%	46%	16%

Dla porównania – jak Amerykanie oceniają samych socjalistów

Ocena pozytywna, w proc.	Wszyscy	Demokraci	Republikanie
Politycy określający się jako demokratyczni socjaliści mają dużo lub sporo dobrych pomysłów Reuters/Ipsos, 24–26 lipca	27%	53%	8%

Każdy wiersz to inny sondaż; próby, pytania i definicje grup się różnią, YouGov badał tylko obywateli USA. W ostatnim wierszu suma odpowiedzi „dużo" i „sporo" dobrych pomysłów. W sondażu Ipsos dla Axios (25–28 września), w którym 32 proc. odpowiedziało „nie wiem", Medicare for All poparło 43 proc. W 2020 r. popierało je według KFF 53 proc. Amerykanów i 21 proc. republikanów.

© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: KFF, YOUGOV, CHICAGO COUNCIL ON GLOBAL AFFAIRS, REUTERS/IPSOS, AXIOS/IPSOS

Kandydatów z poparciem DSA jest garstka

Kandydaci z poparciem Demokratycznych Socjalistów Ameryki (DSA) na kartach do głosowania w wyborach 3 listopada 2026 r.

131 **kandydatów z poparciem DSA** w 30 stanach i w Waszyngtonie



52 na 6 139
kandydatów DSA na miejsca w legislaturach stanowych wybierane 3 listopada (0,8 proc.)

10 na 435
kandydatów DSA na miejsca w Izbie Reprezentantów (2,3 proc.)

2 do 7–9
posłów z poparciem DSA: tylu jest dziś w Izbie i tylu może być po wyborach

Kandydaci z poparciem krajowego lub lokalnych oddziałów DSA według zestawienia Ballotpedii z 26 października. To nie wszyscy lewicowi kandydaci – np. Abdul El-Sayed, kandydat demokratów do Senatu z Michigan, nie ma poparcia DSA. W legislaturach stanowych wybieranych jest w tym roku 6 139 z 7 386 miejsc.

© GAZETA WYBORCZA ŹRÓDŁO: BALLOTPEDIA, BROOKINGS

To natomiast, co pojawia się w postulatach praktycznie wszystkich kandydatów DSA, progresywnych i lekko lewicowych, to skasowanie policji imigracyjnej ICE. Mówią o tym Valdez, Chevalier czy inny lewicowy kandydat z Nowego Jorku, Brad Lander. Przy czym to też nie jest postulat pozbawiony sensu.

Jak na łamach „New York Timesa" przypomniał niedawno Ben Rhodes, były doradca Baracka Obamy, do 2003 roku sprawami imigracyjnymi i legalnością pobytu zajmował się Departament Sprawiedliwości. Dopiero kiedy powstał Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego (DHS), kompetencje te trafiły pod jego skrzydła i powołano ICE. Oznacza to, że w przeszłości państwo radziło sobie z nielegalną imigracją bez użycia opresyjnej, zamaskowanej policji wchodzącej bez nakazu do prywatnych mieszkań. Nie mówiąc o tym, że pokaz brutalności, który Amerykanom zafundowała przez ostatnie niecałe dwa lata administracja Trumpa, zniszczył resztki społecznego poparcia dla tej instytucji.

Badanie przeprowadzone na przełomie września i października przez Pew Research Centre pokazało, że większość – 56 proc. – mieszkańców USA ma negatywną opinię na temat ICE. Inne badanie z lipca – YouGov dla „The Economist" – pokazało, że aż 48 proc. wszystkich Amerykanów popiera zamknięcie ICE. Wśród Republikanów odsetek ten wynosi 24 proc., wśród tych, którzy identyfikują się jako zwolennicy MAGA – 16 proc.

Czy to oznacza, że 16 proc. najbardziej zagorzałych nie wyborców, ale wręcz wyznawców Trumpa stało się teraz komunistami?

Skąd więc tak wielka niechęć do młodych progresywnych polityków Partii Demokratycznej? W dużej mierze wynika ona z problemów wizerunkowych – co każe sądzić, że negatywna kampania Trumpa i ocean nienawiści wylany z prawej strony w dużym stopniu działa.

Ten paradoks doskonale opisała na łamach prawicowego portalu The Dispatch Carroll Doherty, była szefowa badań politycznych w Pew Research. Przytoczyła dość zaskakujące lipcowe badanie Ipsos dla Reutersa, z którego wynika, że Amerykanie po prostu nie znają postulatów lewicy. Jedynie 27 proc. respondentów uznało, że politycy sympatyzujący z Demokratycznymi Socjalistami mają „sporo dobrych pomysłów". To paradoks, bo jednocześnie albo większość, albo bardzo dużo Amerykanów ma identyczne poglądy na konkretne sprawy, którymi chcą zająć się politycy DSA, progresywni oraz centrolewicowcy. Co pokazuje, że szerszy elektorat po prostu nie utożsamia lewego skrzydła Partii Demokratycznej z poszczególnymi obszarami polityki, pomysłami legislacyjnymi czy sposobami na naprawę amerykańskiego państwa.

Działa tu polityczne echo: ponieważ DSA ma słowo „socjaliści" w nazwie, dla sporej części amerykańskiego społeczeństwa oznacza to czerwoną zarazę. Nikt nie zagłębia się w szczegóły, nie widzi zgodności z trendami społecznymi w sprawie Medicare, ICE czy Izraela. Wszystko jedno, czy chodzi o kandydatów progresywnych jak El-Sayed, czy o centrystów, jak startujący w Teksasie James Talarico.

Nawet jeśli młodzi lewicowcy przebijają się jako jednostki, pozostają nieskuteczni w czymś, co jest dziś abecadłem politycznego marketingu i w czym choćby z powodów pokoleniowych powinni być dobrzy – czyli w tworzeniu masy krytycznej wokół swojej zbiorowej tożsamości.

Czego konkretnie wciąż nie potrafią zaangażowani socjaliści, pokazuje sukces ich najsłynniejszego przedstawiciela, który opanował niezbędne triki. Kampania Zohrana Mamdaniego jest dzisiaj wzorcem działań politycznych w internecie. Kandydat na burmistrza Nowego Jorku nie tylko wygrał, ale jeszcze stał się figurą polityczną działającą na wyobraźnię daleko poza Stanami, bo był bardzo sprawny na TikToku, otoczył się doradcami umiejącymi wytworzyć organiczny ruch na Instagramie czy Facebooku, wyszedł naprzeciw zmianom technologicznym. Nie znaczy to, że omijał tradycyjne media – udzielił wywiadów „New Yorkerowi" czy „New York Timesowi", ale nacisk położył na świat internetowy. Był pierwszym politykiem w historii amerykańskiej demokracji, który zorganizował konferencję prasową w całości dla influencerów.

Problem w tym, że to może zadziałać w Nowym Jorku, skąd startują Lander, Valdez czy Chevalier, albo w innych dużych miastach, ale niekoniecznie na głębokiej prowincji albo w interiorze. Tam potrzeba albo intensywnej kampanii i fizycznej obecności – a na to lewicowcy zwykle nie mają pieniędzy, albo wielu ogłoszeń wyborczych w telewizji kablowej – a te firmy z kolei są w większości jawnie prawicowe, a na pewno niechętne progresywnym kandydatom.

W pewnym sensie więc ograniczona skuteczność lewicy w budowaniu rozpoznawalności obnaża jednocześnie ograniczenia świata internetowego. W którym, wbrew pozorom, nadal żyje mniejszość Amerykanów.

Nie zmienia to faktu, że panika wokół lewicy jest w karykaturalny sposób przesadzona, a ich program przez to nie dociera do mas. Po raz kolejny okazuje się, że strasząc, wypisując okraszone wykrzyknikami agresywne bzdury w internecie i szerząc nieprawdę, Trump po prostu wszystkich w Ameryce zakrzyczał.

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Michał Olszewski (szef), Marek Markowski (zastępca), Mirosław Maciorowski, Jan Cywiński, Ewa Wieczorek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl ce60f33c89



Na niebie nad Atakamą wyraźnie widać galaktyki, które w Polsce są schowane pod horyzontem, Mały i Wielki Obłok Magellana

Pustynia Atakama w Chile to mekka astronomów. Suchy klimat, bezchmurne niebo i niskie zanieczyszczenie światłem sprawiają, że to jedno z najlepszych miejsc do obserwacji nieba.

Podczas gdy astronomowie z całego świata ustawiają się tam w kolejkach po cenny czas obserwacyjny, Polacy jadą do siebie. Od trzech lat Centrum Astronomiczne im. Mikołaja Kopernika Polskiej Akademii Nauk (CAMK) prowadzi własne obserwatorium w sercu chilijskiej pustyni.

Lwy morskie po drodze

– Jakie było pana pierwsze wrażenie, kiedy zobaczył pan to miejsce? – pytam profesora Grzegorza Pietrzyńskiego, dyrektora Obserwatorium Cerro Murphy, przed wyjazdem do Chile. – Tam jest zjawiskowo; marsjańskie krajobrazy, czerwona ziemia dookoła i suchy klimat. Nawet gołym okiem widać, że gwiazdy wyglądają tam lepiej niż gdziekolwiek na świecie – mówi.

Jadę do Chile we wrześniu, kiedy kończy się tam zima, a warunki obserwacyjne są najlepsze. Po 26-godzinnej podróży – trzy loty i kolejne godziny spędzone na lotniskach w oczekiwaniu na przesiadkę – docieram do Antofagasty, największego miasta na północy kraju, stolicy górniczego zagłębia.

Ląduje się tu właściwie na pustyni, bo lotnisko zbudowano 24 kilometry od centrum miasta. Pierwsze, co widać po wylądowaniu, to piaszczyste wzgórza Atakamy. Ale w drodze do miasta wrażenia się wyrównują, bo do surowości pustyni dochodzi Pacyfik. Wieczorem gapię się na wylegujące się na nadbrzeżnym deptaku w pobliżu mojego hotelu lwy morskie.

Podobną drogę pokonują astronomowie, którzy przyjeżdżają do Chile na trzytygodniowe zmiany. W obserwatorium zawsze są dwie osoby. Docierają tam na zakładkę. Każdy w połowie swojego pobytu odwozi do miasta swoją towarzyszkę lub towarzysza i odbiera kolejną osobę.

Zabieram się do obserwatorium w trakcie jednej z takich zmian. Do Antofagasty z Wrocławia przyleciał właśnie dr Dawid Moździerski, astronom z Uniwersytetu Wrocławskiego. Odbiera nas Mirosław Kicia, programista z CAMK-u. – Czuję się jak na haju od tego tlenu, mózg się nie może nadziwić, że znów ma go tak dużo – mówi.

Wkrótce sama się przekonam, o co chodzi. Ale na razie trzeba zrobić zakupy – ja na trzy dni, obserwatorzy na półtora tygodnia. I to nie są żarty – tam, gdzie jedziemy, nie da się wyskoczyć po chleb czy mleko, jeśli ich zabraknie. A na dodatek w sklepie czyhają pułapki: jak nie doczytasz, a raczej nie przetłumaczysz z hiszpańskiego, wylądujesz np. z mąką już zmieszaną z drożdżami (i spróbuj potem usmażyć z niej naleśniki) albo z popularnym w Chile solonym masłem.

Bardzo Duży Teleskop i Ekstremalnie Duży Teleskop

Atakama przyciąga astronomów od ponad 100 lat, kiedy zaczęto tu budować pierwsze stacje badawcze. Dziś mieści się tu nawet połowa światowej aparatury obserwacyjnej.

Na przykład na płaskowyżu Chajnantor ze swoimi 66 radioteleskopami rozłożyło się Obserwatorium ALMA (Atacama Large Millimeter/submillimeter Array), gdzie obserwuje się m.in. obłoki gazu i pyłu, w których rodzą się nowe gwiazdy.

Na szczycie Cerro Pachón, na obrzeżach Atakamy, Amerykanie umieścili swój Teleskop im. Very C. Rubin, który ma pomóc w badaniu natury ciemnej materii i ciemnej energii.

W południowej części pustyni mieści się z kolei amerykańskie Obserwatorium Las Campanas, gdzie 1,3-metrowy teleskop mają astronomowie z Uniwersytetu Warszawskiego. Wyniki z ich projektu OGLE w ciągu

eprasa.pl ce60f33c89



MIERZENIE WSZECHŚWIATA

Co ciągnie astronomów na chilijską pustynię? Nigdzie na świecie nie ma czystszego i ciemniejszego nieba.

Alicja Gardulska

FOT. BARTŁOMIEJ ZGIRSKI

ostatnich 30 lat kilka razy zmieniły współczesną astrofizykę.

Obserwatorium Cerro Murphy, do którego jadę, mieści się w całkiem prestiżowej lokalizacji. Leży jakieś 20 minut drogi samochodem od europejskiego Obserwatorium Paranal, które działa tu od 1999 roku. Należący do niego Bardzo Duży Teleskop (Very Large Telescope – VLT) już dostarczył danych na trzy Nagrody Nobla.

A to niejedyny VIP-owski sąsiad – kilometr obok na wzgórzu Cerro Armazones powstaje właśnie największy teleskop świata – Ekstremalnie Duży Teleskop (ELT). Ma dostarczać obrazy aż 16 razy ostrzejsze niż te uzyskiwane przez słynny Kosmiczny Teleskop Hubble'a. I przynieść m.in. odpowiedź na pytanie, czy możliwe jest życie na innych planetach.

Co ciągnie astronomów na chilijską pustynię? Nigdzie na świecie nie ma czystszego i ciemniejszego nieba. Powietrze jest tu wyjątkowo stabilne, suche, prawie pozbawione zachmurzenia.

– Mamy tu nawet 330 nocy obserwacyjnych w roku. To unikalne warunki na skalę światową – mówi Dawid Moździerski. Dla porównania: w Polsce to 30-50 takich nocy.

Dodatkowo to ciągle jeszcze tereny w miarę bezludne, oddalone od świateł cywilizacji. Jak pokazały badania porównawcze największych obserwatoriów na świecie z 2023 roku, najciemniejsze niebo jest właśnie w tej części Atakamy, którą upatrzyli sobie polscy astronomowie. Sztuczna poświata generuje tu mniej niż procent dodatkowego światła.

Źródłem tego niskiego zanieczyszczenia jest nie tylko Antofagasta, ale także kompleksy górnicze i przemysłowe oraz elektrownie słoneczne i wiatrowe, nawet te oddalone o 300 km, które wciskają się na Atakamę. Czasem próbują zbliżyć się za mocno. Jeszcze na początku roku w odległości kilkunastu kilometrów od Obserwatorium Paranal planowano olbrzymi amerykański kompleks przemysłowy, którego łuna nieodwracalnie zniszczyłaby nocne niebo. Na szczęście firma wycofała się z inwestycji po protestach naukowców.

Krajobraz z „Mad Maxa"

Do obserwatorium mamy z Antofagasty około 150 km. Miasto kończy się nagle. Jeden delikatny zakręt i Pacyfik, nad którym się rozciąga, znika z oczu. A razem z nim znikają kolory. Mijamy blokowisko na wzgórzu po prawej stronie drogi. Budynki wyglądają jak nasze czteropiętrowce z wielkiej płyty przeklejone w pustynny krajobraz. Po lewej jeszcze kilka rachitycznych palm, ostatnie niskie zabudowania, samotny niebieski billboard i ostre cięcie. Wjeżdżamy w suchy, skalisty wąwóz. Po obu stronach drogi zza piaszczysto-kamiennych wzgórz wyglądają niemal czarne wzniesienia. Odtąd wszystko będzie w różnych odcieniach brązu i szarości.

Droga wspina się do La Negry, potężnego kompleksu przemysłowo-logistycznego pośrodku pustyni. Szkieletowe konstrukcje, olbrzymie zbiorniki, hangary i kadzie, dymiące kominy, a wszystko jasnobrązowe, jakby ubrudzone piaskiem. Obrazy żywcem przeniesione z „Mad Maxa".

Setki zaparkowanych tirów, stacje benzynowe i zakurzone zajazdy, które wyglądają, jakby dawno nikt z nich nie korzystał. Na pasie oddzielającym jezdnie dogorywają małe wysuszone palmy. Tu zaczyna się Ruta Minera – droga, która prowadzi do Escondidy, największej na świecie kopalni miedzi. Bo Chile jest pierwszym globalnym producentem miedzi, drugim dostawcą litu. Większość tych surowców pozyskuje się tu, na Atakamie.

Za La Negrą wjeżdżamy na Autostradę Panamerykańską, która łączy obie Ameryki, prowadząc od Alaski aż do Argentyny. Krajobraz już na dobre robi się bezkreśnie pustynny i surowy. Ale ruch jest jeszcze spory; w obie strony kursują wielkie ciężarówki i mniejsze samochody dostawcze.

Monotonię trasy naruszają ustawiane na poboczu animitas, czyli domki dla dusz. Niektóre przypominają miniaturowe wille

eprasa.pl ce60f33c89

z przeszklonymi drzwiami i oknami, przystrojone girlandami sztucznych kwiatów, z powiewającymi na dachach chilijskimi flagami. Chilijczycy wierzą, że w momencie nagłej śmierci dusza błąka się jeszcze przez jakiś czas po świecie, budują jej więc schronienie w miejscu wypadku.

Skręcamy na drogę lokalną i wjeżdżamy na Marsa.

NASA testuje tu kosmiczne łaziki

Historia obserwacji nieba na wzgórzu Cerro Murphy (choć wtedy jeszcze tak się nie nazywało) zaczyna się od niemieckiego uczonego, prof. Rolfa Chiniego. Na początku XXI wieku był dyrektorem Instytutu Astronomicznego Uniwersytetu Ruhry w Bochum i szukał sposobu, by przetestować nowy niemiecki teleskop typu hexapod (HPT).

Projekt był obiektem drwin tamtejszego środowiska naukowego. Zbudowali go inżynierowie Kruppa przy sporym wsparciu środków publicznych i po latach testowania porzucili. Prototyp wylądował w ogrodzie botanicznym Uniwersytetu w Bochum. „Poczułem się zobowiązany, by kontynuować tę niekończącą się opowieść" – wspominał po latach prof. Chini.

Tak znalazł małą stację badawczą przy drodze szutrowej u podnóża Cerro Armazones. Wtedy jeszcze nikt nie myślał nawet o tym, by budować tu gigantyczny teleskop. Prowadzili ją naukowcy z Katolickiego Uniwersytetu Północnego (UCN) w Antofagaście. A teren podarował im chilijski rząd. Profesor Chini wspomina, że „widok kilku kontenerów, generatora, zbiornika na wodę i dwóch małych kopuł wyrastających pośrodku niczego" przekonał go do sprowadzenia teleskopu na Atakamę.

Ale obserwatorium trzeba było przenieść wyżej. Początkowo rozważano nawet Cerro Armazones, ale uznano, że jest na nim zdecydowanie za wietrznie. Niemiecko-chilijskie obserwatorium stanęło więc na bezimiennym wzniesieniu tuż obok.

Budowa zaczęła się w 2005 roku od ścięcia szczytu. Na niewielkim płaskowyżu na wysokości 2817 m n.p.m. stanął budynek obserwatorium, przygotowano miejsca dla trzech teleskopów i wytyczono nową 12-kilometrową drogę.

Atakama tak bardzo przypomina Marsa, że NASA testuje tu kosmiczne łaziki. Przypominam sobie o tym, kiedy droga pnie się coraz wyżej i zbliżamy się do obserwatorium. Od dawna nie minęliśmy żadnego samochodu, jest bezkreśnie pusto. Przed nami tylko czarna wstęga poskręcanej jezdni przecinająca pustynię. Horyzont po obu stronach tworzą niskie, falujące wzgórza. Nie widać żadnej roślinności. Pustynia zmienia kolory; czasem jest czerwonobrązowa, innym razem jasna i pokryta różnej wielkości kamieniami i głazami.

– Wjeżdżamy na naszą ziemię – mówi Mirek, kiedy mijamy tabliczkę z napisem „Observatorio" i informacją, że do celu zostały 24 km. Droga jest zrobiona po europejsku – ma światełka odblaskowe i barierki ochronne po bokach – powstała niedawno na potrzeby budowy największego teleskopu na świecie.

To teren Europejskiego Obserwatorium Południowego (ESO), międzynarodowej organizacji, do której od 2015 roku należy także Polska. ESO ma obserwatoria w kilku miejscach na Atakamie, do niej należy m.in. wspomniany już, pobliski Paranal.

W 2010 roku rada organizacji zdecydowała, że swój największy projekt wybuduje na Cerro Armazones. Umowa, którą ESO podpisała z chilijskim rządem, obejmowała darowiznę także na 189 km kw. gruntów wokół wzgórza. W ten sposób, trochę przy okazji, Obserwatorium Cerro Murphy – którym wtedy jeszcze zarządzali niemieccy i chilijscy badacze – znalazło się na terenie ESO.

Na miejscu widok zawłaszcza wielka kopuła ELT i olbrzymie dźwigi budowlane, które sprowadzono tu z Włoch. Jesteśmy jakieś 300 m pod nią. Jeszcze tylko budka strażników i szlaban, a za nim rozległy teren base campu – czyli osiedla dla inżynierów i ekip budowlanych, które stawiają tego kolosa.



By dostać się na Cerro Murphy, skręcamy w prawo i pokonujemy krótką, ale wyboistą i stromą, kamienistą drogę. – To już koniec darmowego tlenu – śmieje się Dawid. A mi zupełnie brakuje słów.

Projekt Araucaria

Profesor Pietrzyński po raz pierwszy odwiedza to miejsce w okolicach 2017 roku. Wtedy zna już Chile doskonale. Jako doktorant, a potem pracownik Uniwersytetu Warszawskiego do 2016 roku brał udział w projekcie OGLE. Regularnie jeździł do Obserwatorium Las Campanas. Po doktoracie przeprowadził się wraz z rodziną do Conception w środkowej części kraju; spędził pięć lat na tamtejszym uniwersytecie.

Wszyscy chcieli wtedy robić staż podoktorski w Stanach Zjednoczonych, a jego ciągnęło do Chile. – Bo tam budowano wielkie i nowoczesne teleskopy – mówi. I tam w 1999 roku wziął się do mierzenia Wszechświata – razem z prof. Wolfgangiem Gierenem rozpoczął projekt „Araucaria" (od nazwy wiecznie zielonego chilijskiego drzewa), który trwa do dziś.

Kiedy Pietrzyński spotykał się po raz pierwszy z prof. Chinim, kierował już międzynarodowym zespołem kilkunastu astronomów (dziś ok. 50 osób), głównie z Polski, ale też z Chile, USA, Francji, Niemiec i Japonii. W ramach projektu obserwowali niebo za pomocą 30 różnych teleskopów i opublikowali ponad 120 prac naukowych, zmierzyli odległości do dziesięciu pobliskich galaktyk. Właśnie przeniósł się do CAMK PAN, zdobył prestiżowy grant Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC) w wysokości 2,4 mln euro na kolejne pomiary Wszechświata i szukał małych, wyspecjalizowanych teleskopów.

A trzeba powiedzieć, że czas teleskopowy to najbardziej pożądany w świecie astronomów towar. Nie da się tak po prostu go kupić. Zazwyczaj trzeba go uzyskać – złożyć wniosek i wygrać w konkursie grantowym.

W tamtym czasie wiadomo już było, że z teleskopu, który testował prof. Chini, nie będzie na dłuższą metę pożytku. Naukowiec próbował więc z innymi, m.in. 0,8-metrowym teleskopem podczerwonym IRIS (który działa do dziś). Spotkanie z polskim astronomem rozpoczęło naukową współpracę, która wkrótce wyszła daleko poza obserwacje.

– Na początku miałem mieszane uczucia, bo widziałem postępującą degradację budynków i ogrom pracy, które trzeba by w to miejsce włożyć. A z drugiej strony spędziłem trzy lata na obserwacjach w różnych miejscach i dostrzegłem ogromny potencjał, że jest to miejsce, gdzie trzeba stawiać teleskopy – opowiada prof. Pietrzyński.

Początkowo projekt zakładał, że będzie to polsko-niemieckie obserwatorium. 19 mln zł na rozbudowę infrastruktury i postawienie nowych teleskopów dało Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

– Szybko nasz wkład, zarówno organizacyjny, jak i finansowy, stał się dominujący. Profesor Chini wybierał się na emeryturę, a jego zespół nie był wystarczająco duży, by udźwignąć ten projekt. Udało się go przekonać, że dobrze zaopiekujemy się tym miejscem – mówi prof. Pietrzyński.

W 2020 roku właścicielem obserwatorium został CAMK. A jesienią tego samego roku Pietrzyński rozbił bank. Zdobył jeden z najwyższych grantów na świecie i pierwszy taki w Polsce (dziś mamy dwa!) – ERC Synergy w wysokości 14 mln euro na „precyzyjną kalibrację kosmicznej skali odległości". A to pozwoliło na zainwestowanie w kolejny, jeszcze większy, bo 2,5-metrowy teleskop, który właśnie jest montowany na Atakamie.

Obserwatorium oficjalnie otwarto w 2023 roku. Dostało nową nazwę, w której uhonorowano pierwszych twórców. Teraz to Obserwatorium Cerro Murphy – na cześć prof. Miguela Murphy'ego, ówczesnego dziekana wydziału fizyki na UCN w Antofagaście – imienia Rolfa Chiniego. Zresztą obaj naukowcy dalej współpracują z ośrodkiem; prof. Chini zatrudnił się nawet w CAMK.

Samotność i pękające usta

– Zobacz, stąd widać całe Chile wszerz – mówi Mirek Kicia. Na wschodzie rozciągają się Andy. Wyraźnie widać Llullaillaco najwyższy na Ziemi czynny wulkan, który leży na granicy Chile z Argentyną. Kiedy spojrzy się na Zachód, zza wzgórz wystaje Pacyfik.

– Tu nic nie pachnie, powietrze jest suche, podszyte piachem – mówi Dawid.

Szybko się przekonuję, że idealne warunki do obserwacji nieba nie są zbyt przyjazne dla człowieka. Niektórzy potrzebują kilku dni, by się zaaklimatyzować. Jesteśmy na wysokości 2817 m, czyli 300 m ponad Rysami. Ciśnienie spada do 730 hPa. Atmosfera jest rzadsza, a powietrza jest ok. 27 proc. mniej niż normalnie. Zadyszki łapie się nawet przy niewielkim wysiłku.

Niebo jest prawie cały czas granatowe, bo niemal nie ma w nim wilgoci. Średni procent wilgotności na Atakamie waha się od 5 do 20 proc. Do tego dochodzi promieniowanie UV, które tu jest najczęściej ekstremalnie wysokie. A to oznacza, że już po niecałych 10 minutach na niechronionym ciele mogą się pojawić bolesne oparzenia skóry. Pękające usta i sucha skóra to tu codzienność.

– Trudno powiedzieć, że to miejsce powszednieje – mówi Dawid, który jest w obserwatorium piąty raz. – Tu zawsze zachwyt miesza się z niepokojem, bo jednak jesteśmy na odludziu.

Obserwatorzy opowiadają, że czasem docierały do nich wieści o napadach na kopalnie czy obserwatoria na Atakamie. Ale mają poczucie, że teren jest dziś znacznie lepiej zabezpieczony niż jeszcze kilka lat temu. – Mamy procedury bezpieczeństwa, system monitoringu, łączność radiową na wypadek, gdyby wysiadł nam prąd, i wsparcie w base campie. Na dole jest też lekarz, choć do tej pory na szczęście nic poważnego się nam nie działo. Zawsze też można zadzwonić po pomoc na Paranal – mówi Mirek.



• **Od lewej: Alicja Gardulska, autorka tekstu oraz dr Dawid Moździerski i Mirosław Kicia – obserwatorzy z Cerro Murphy**

FOT. ARCHIWUM ALICJI GARDULSKIEJ

eprasa.pl ce60f33c89



Na wzgórzu obok polskiego obserwatorium powstaje największy na świecie Ekstremalnie Duży Teleskop. Ma dostarczać obrazy 16 razy ostrzejsze niż Kosmiczny Teleskop Hubble'a

FOT. OCM

– Najtrudniejsza jest rozłąka z rodziną, reszta jest do ogarnięcia – dodaje. To samo słyszę od Dawida. – Bywa samotnie – potwierdza, ale dodaje, że w takim miejscu można sobie wiele rzeczy w głowie poukładać. – Wiem, że są osoby, którym pobyt tu pomaga. Przyjeżdżają przeciążone codziennością, a wracają po trzech tygodniach trochę uleczone – mówi Mirek. Czasem z automatu człowiek odcina się tu od problemów z Polski, mniej śledzi to, co się dzieje w kraju i na świecie, kontakt z tamtym światem ogranicza się do tego z najbliższymi.

Raz w tygodniu jadą na Paranal, gdzie w hotelu dla obserwatorów i inżynierów obsługujących tamtejsze obserwatorium (który – tak na marginesie – zagrał w filmie o Jamesie Bondzie „Quantum of Solace") mogą zjeść stołówkowy posiłek, skorzystać z basenu i odpocząć.

Łóżko obok teleskopu

Polacy przebudowali obserwatorium nie do poznania. Zaprojektowany przez żonę prof. Chiniego parterowy budynek mieszkalny przeszedł gruntowny remont. To w nim dzieje się całe życie – tu jest control room, z którego prowadzi się obserwacje, tu są też pokoje obserwatorów, kuchnia, malutki pokój gościnny i łazienka. Jak słyszę, to rzadkość, by sypialnie były tak blisko teleskopów.

Centralnym punktem budynku jest przechodni salon, w którym można odpocząć na wygodnych kanapach, obejrzeć film czy posłuchać muzyki. Przez kuchnię i pomieszczenie gospodarcze wychodzi się na zewnątrz na niewielki wybetonowany placyk, który obserwatorzy nazywają tarasem. Można się napić kawy albo posiedzieć na leżaku i pogapić w niebo.

Jest trochę jak w domu, bo wszystko trzeba ogarnąć samemu – nie ma kucharza czy serwisu sprzątającego. Ale dziś pobyt tu jest znacznie łatwiejszy niż jeszcze kilka lat temu, w czasach przed remontem. Badacze wspominają, że zbiornik na wodę był tak mały, że trzeba było mocno ją oszczędzać – porządny prysznic wchodził w grę raczej raz w tygodniu. Cały czas były problemy z prądem, bo magazyn energii miał już swoje lata.

Musieli też sami nadzorować produkcję ciekłego azotu, który jest potrzebny do chłodzenia teleskopu IRIS. Po nocnych obserwacjach czekali, aż słońce wzejdzie na tyle, by panele pracowały z odpowiednią wydajnością. Wtedy mogli włączyć urządzenie. – Czasem to było wyzwanie, szczególnie kiedy coś się zacinało i azot nie chciał się produkować. Zamiast odsypiać, kontrolowaliśmy ciśnienie na beczce – wspomina Dawid.

Dziś obserwatorium ma nowe przyłącza elektryczne i światłowodowe, zbiorniki na wodę i paliwo diesel. Jest jedyną na świecie placówką tego typu w pełni zasilaną energią słoneczną – ma specjalnie zaprojektowaną instalację fotowoltaiczną z własnym magazynem energii o pojemności 320 kWh.

Ale przede wszystkim ma niemal zupełnie nowy, uszyty na miarę zestaw teleskopów. To trzy, już działające teleskopy optyczne o średnicach: 0,6, 0,8 i 1,5 m. W tym ostatnim zamontowano także wysokiej rozdzielczości spektrograf. Każdy z nich ma w nazwie astronoma – odpowiednio: prof. Wojtka Krzemińskiego, dr. Zbigniewa „Zibiego" Kołaczkowskiego i prof. Janusza Kałużnego.

Kiedy odwiedziłam to miejsce we wrześniu, do obserwatorium płynął już 2,5-metrowy Teleskop prof. Wolfganga Gierena – wyposażony będzie w szerokokątną kamerę optyczną, kamerę podczerwoną i spektrograf. Na miejscu czekała na niego olbrzymia kopuła. Będzie największym teleskopem, jakim kiedykolwiek dysponowali polscy naukowcy. Na początku października prof. Pietrzyński pojechał do obserwatorium nadzorować montaż i przesyłał pozdrowienia z kwitnącej pustyni (to rzadkie zjawisko przyrodnicze, kiedy Atakama pokrywa się dywanem kolorowych roślin).

Nowe kopuły wybudowano też dla wspomnianego już teleskopu IRIS oraz 30-centymetrowego refraktora zainstalowanego tu w 2017 roku i obsługiwanego zdalnie przez Instytut Astrofizyki Leibniza w Poczdamie. Budynek czeka też na ostatni, japoński teleskop – niezwykły, bo tylko trzycentymetrowy.

Astronomowie nie patrzą już w niebo

Rytm życia w Cerro Murphy wyznaczają obserwacje. Prowadzi się je w nocy, od zachodu do wschodu słońca. Obserwatorzy sami ustalają, jak ułożą sobie pracę. Dawid i Mirek dzielili się nocami, zmieniali się około 3 w nocy. Zaczyna się od uruchomienia teleskopów. Zanim pojawią się gwiazdy, każdy z nich musi wykonać obrazy kalibracyjne. Czyli takie mapy wszystkiego, co może zanieczyścić obraz.

Zawodowi astronomowie nie patrzą już w niebo – teleskopy to wielkie, zrobotyzowane maszyny sterowane z control roomów. Ale też coraz rzadziej w ogóle przyjeżdżają do obserwatoriów. W Europejskim Obserwatorium Południowym na przykład aż 80 proc. obserwacji prowadzonych jest w trybie serwisowym, czyli przez wykwalifikowany personel placówki. Naukowcy dostają gotowe dane do analizy.

– W naszym obserwatorium od samego początku było jasne, że automatyzacja jest koniecznością – tłumaczy Mirek. Razem z Mikołajem Kałuszyńskim i dr. Markiem Górskim tworzy grupę programistów, którzy zbudowali system dostosowany dokładnie do potrzeb obserwatorium.

– Dla nas to była kwestia życia i śmierci. Nie jesteśmy w stanie wysłać do Chile dużej liczby obserwatorów, a mamy już siedem teleskopów, które trzeba obsłużyć – mówi prof. Pietrzyński.

Dlatego powstał centralny system zarządzania całym zestawem teleskopów. – Możemy sterować wszystkimi jednocześnie z jednego miejsca, nawet z komputera w Warszawie – tłumaczy Mirek.

System dostaje od astronomów listę obiektów i dobiera optymalny sposób prowadzenia obserwacji. Za pomocą narzędzi sztucznej inteligencji na każdą noc przygotowany jest program, który sprawia, że teleskopy realizują określony zestaw obserwacji w odpowiednich filtrach – zależnych m.in. od naukowych potrzeb i warunków atmosferycznych – i we właściwych momentach.

– Tu widać wykres zmienności jednej z cefeid, które obserwujemy. – Dawid wskazuje na wykres na jednym monitorów. Cefeidy to pulsujące gwiazdy, które ze względu na swoje właściwości służą za kosmiczne znaczniki odległości.

– Trzeba wracać do niej przez kilka lub kilkanaście kolejnych nocy w odpowiednich momentach, by wypełnić pomiarami całą tą krzywą – tłumaczy.

To oprogramowanie nie tylko kontroluje teleskopy i planuje obserwacje, ale też na bieżąco przetwarza dane, co pozwala na żywo kontrolować ich jakość. Moduły sieci neuronowych analizują na bieżąco każde zdjęcie pod kątem jakości, a informacja o jakości wyświetla się chwilę po obserwacji. Obserwator na bieżąco reaguje na wszystko, co może zepsuć obserwacje. Nie dziwię się więc, kiedy Dawid przerywa opowieść, by coś przestawić. – Trzeba mieć na oku „Zibiego" – mówi bardziej do siebie niż do mnie.

Oprogramowanie ma dziś ponad 100 tys. linijek kodu i jest ciągle ulepszane. Potencjał tego systemu dostrzegła Europejska Rada ds. Badań Naukowych – zespół prof. Pietrzyńskiego dostał w tym roku kolejny grant ERC, tym razem Proof of Concept w wysokości 150 tys. euro, na prace nad pomysłem autonomicznych obserwatoriów astronomicznych.

> *Polscy astronomowie na placówce w Chile: Jeśli to nie błędy w pomiarach, to cała fizyka może lec w gruzach*

Cień Wenus

Dobra, skłamałam. Nawet zawodowi astronomowie patrzą w niebo. Tyle że nie podczas obserwacji, ale w przerwie.

Dobrze, że obok jest Dawid, który mi to niebo tłumaczy. Dzięki niemu wiem, że dzieją się tu rzeczy rzadko spotykane. Około 45 minut po zachodzie Słońca nad horyzontem pojawia się wyraźny szeroki stożek światła. Sięga wysoko w stronę gwiazdozbioru Strzelca. To światło zodiakalne widoczne wyłącznie przy naprawdę ciemnym niebie. Powstaje, kiedy światło słoneczne odbija się od cząstek pyłu kosmicznego, który unosi się w przestrzeni międzyplanetarnej.

Dawid zamyśla się chwilę nad światłem zodiakalnym, a po chwili wpada na nowy test niezwykłości nieba.

– Mówi się, że blask Wenus wydaje się tak silny, że przy przejrzystej atmosferze może rzucać cień – tłumaczy. Po chwili wpatrujemy się we własne cienie widoczne na białej karoserii samochodu. – To nawet rzadsze do uchwycenia niż światło zodiakalne – cieszy się astronom.

Ale to nic w porównaniu z tym, co wyświetla się na niebie. Dokładnie nad głowami mamy środek naszej Galaktyki. Jej najgęstszy, wypukły obszar, czyli zgrubienie centralne, jest w zenicie. A cała Droga Mleczna wyświetla się z zaskakującą wyrazistością. Taką jej część można zobaczyć tylko na półkuli południowej, w Polsce jest przekrojona w połowie horyzontem.

Na jej tle widać postrzępione, ciemne kolumny, które odchodzą od świecącej na czerwono gwiazdy Antares w stronę centrum. To gęste obłoki molekularne, ciemne na tle tak jasnych gwiazd. Na niebie nad Atakamą wyraźnie widać dwie karłowate galaktyki, które w Polsce są schowane pod horyzontem, Mały i Wielki Obłok Magellana.

– To najważniejsze galaktyki dla badaczy odległości we Wszechświecie, nasze laboratorium odległości – mówi Mirek.

Dystans do Wielkiego Obłoku Magellana

– Dobrze wyznaczona odległość jest fundamentem wiedzy astronomicznej. Tylko jeśli znamy odległość od danego obiektu, możemy obliczyć, ile energii emituje, i poznać jego naturę – tłumaczy Dawid Moździerski.

Astronomowie od dawna mierzą odległości we Wszechświecie za pomocą drabiny odległości. To metoda, w której każdy kolejny pomiar opiera się na poprzednim: najpierw mierzy się dystans do bliskich gwiazd, potem wybiera się takie, które mają stałą jasność, mierzy dalej i znowu wybiera kolejną grupę gwiazd. I tak, szczebel po szczeblu, do coraz odleglejszych galaktyk.

A dystans do Wielkiego Obłoku Magellana odgrywa we współczesnej astronomii rolę wzorca metra z Sevres. Jest linijką, za pomocą której odmierza się odległości do innych galaktyk, a także wylicza stałą Hubble'a, która mówi, z jaką szybkością rozszerza się kosmos.

Zespół prof. Pietrzyńskiego zasłynął właśnie niezwykle dokładnymi wyznaczeniami odległości do pobliskich galaktyk. Dzięki nowatorskiej metodzie pomiarów za pomocą układów zaćmieniowych w 2013 roku badacze podali dystans do Wielkiego Obłoku Magellana z nieznaną wcześniej, 2-procentową precyzją.

A sześć lat później jeszcze tę własną kosmiczną linijkę poprawili, schodząc do 1-procentowej dokładności. – Te pomiary pozwoliły wyznaczyć tempo ekspansji Wszechświata z dokładnością do mniej więcej 2 proc. – tłumaczy prof. Pietrzyński. Dodaje, że ze względu na kryzys, w jakim znalazła się współczesna astrofizyka, doskonalenie metod pomiarów odległości i kalibrowanie kosmicznej skali ma dziś jeszcze większe znaczenie.

Coś się nie zgadza

Chodzi o napięcie Hubble'a – według wielu astronomów jeden z największych kryzysów w historii nauki.

Tempo rozszerzania Wszechświata mierzy się na różnych etapach jego ewolucji. Ale ostatnio w tych pomiarach coś się mocno nie zgadza.

Według ostatnich wyników – uzyskanych za pomocą metody kosmicznej drabiny odległości – wartość stałej Hubble'a wynosi 73,5 km/s na megaparsek. Co oznacza, że każdy fragment przestrzeni o średnicy megaparseka (około 3 mln lat świetlnych) rozszerza się w każdej sekundzie o 73,5 km.

Zupełnie inny wynik wyłania się z obserwacji mikrofalowego promieniowania tła, czyli najstarszego światła we Wszechświecie. Obliczenia na podstawie obserwacji misji satelity Planck sugerują, że dzisiejsze tempo ekspansji kosmosu powinno być wolniejsze – wynosić tylko 67-68 km/s na megaparsek.

– Nie potrafimy doprowadzić do zgodności tych wyników. I zupełnie nie wiemy, dlaczego tak się dzieje. Możliwe, że popełniamy jakieś błędy w pomiarach. Ale równie dobrze cała fizyka, którą znamy, może lec w gruzach. Bo to na niej oparty jest nasz model kosmologiczny – tłumaczy prof. Pietrzyński.

Profesor podkreśla, że moment jest szczególny także z innego powodu. Na początku XXI wieku, kiedy projekt „Araucaria" się rozkręcał, pojawiła się nowa generacja instrumentów obserwacyjnych, m.in. kamery podczerwone, które pozwoliły zmniejszyć wpływ gazu i pyłu kosmicznego na pomiary kosmicznych odległości. To znacząco poprawiło jakość danych.

Teraz znów mamy technologiczny przełom. Misje kosmiczne, jak Gaia i TESS, Teleskop Jamesa Webba i gigantyczne teleskopy naziemne nowej generacji przyniosą astrofizyce niejedną rewolucję, w tym w dziedzinie badań rozszerzania się Wszechświata.

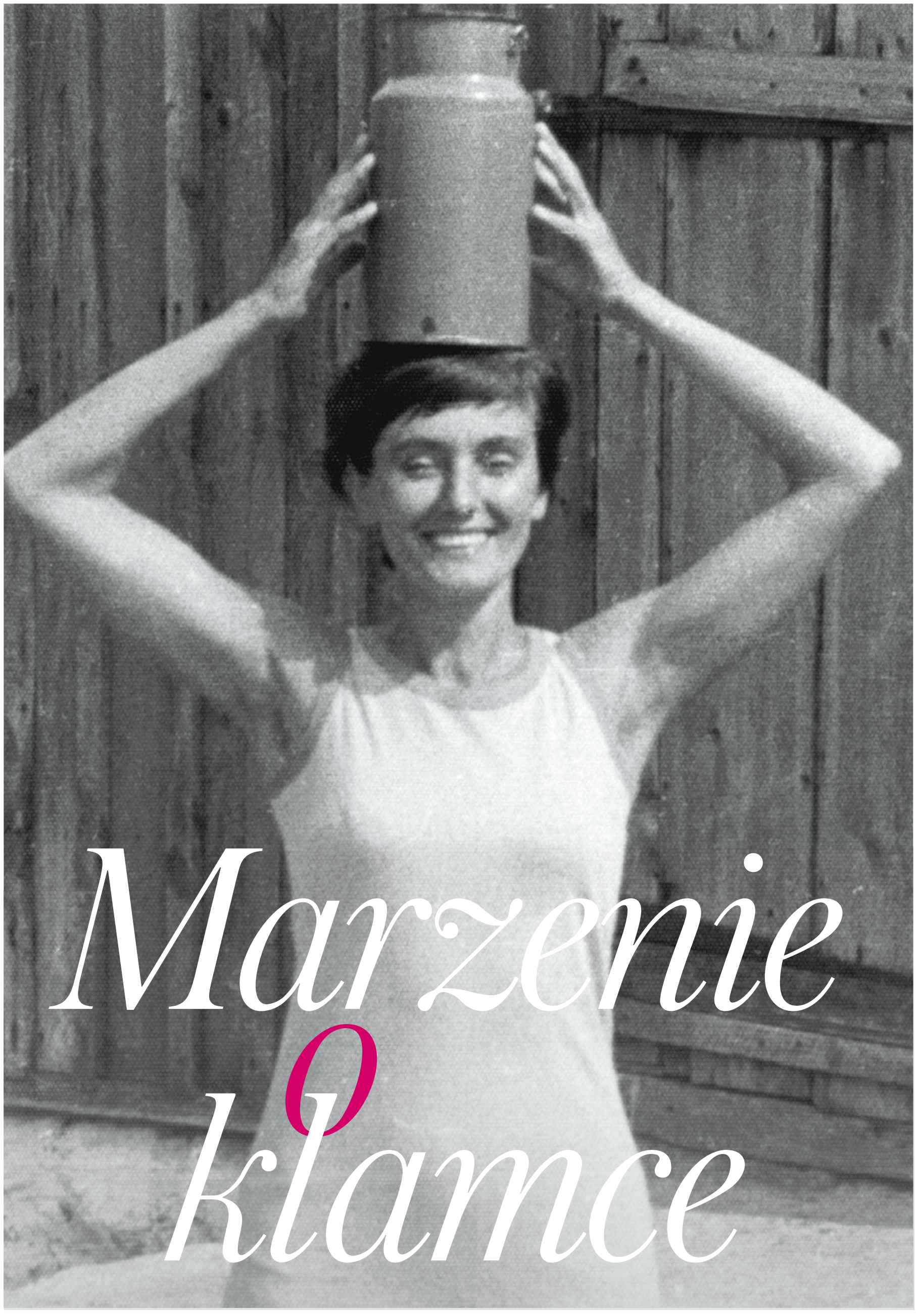
– Ale, by w pełni wykorzystać te nowe możliwości i dane, potrzebujemy też precyzyjnych obserwacji z pomocą mniejszych teleskopów naziemnych, które wypełnią lukę w pomiarach – mówi profesor. Tłumaczy, że skupiając się wyłącznie na wielkich teleskopach, stracilibyśmy miliony gwiazd. Bo ich detektory są zbyt czułe, by mierzyć te jasne i najbliższe obiekty.

Dlatego obserwatorium w takim miejscu, z takim zestawem teleskopów może się okazać strzałem w dziesiątkę.

– Co się dzieje z Wszechświatem? Dlaczego jego ekspansja przyspiesza? To jest główne pytanie i ogromne naukowe wyzwanie – mówi profesor. – Sami tego nie rozstrzygniemy, ale jestem przekonany, że nasz wkład będzie znaczący. ●

eprasa.pl ce60f33c89

KULTURA OBYCZAJE



Marzenie o klamce

eprasa.pl ce60f33c89

Kiedy Jacek szedł do więzienia, w domu robiło się spokojniej. Gajka mogła odetchnąć

Dorota Wodecka

Mogłabym zacząć tę historię od lipca 1955 roku, kiedy piętnastoletnia Grażyna zakochuje się w dwudziestojednoletnim Jacku, a potem trzymając się faktów, dojść do puenty, że żyli razem szczęśliwie.

Mogłabym też opowiedzieć ją od końca, czyli od roku 1982, i poprosić, byście wyobrazili sobie leżącą na oddziale u doktora Marka Edelmana Grażynę, z trudem łapiącą oddech oraz Jacka leżącego na więziennej pryczy, również próbującego złapać w płuca jak najwięcej powietrza, co z każdym kolejnym haustem jest trudniejsze. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Kiedy ból rozsadzający płuca puszcza, przeczuwa, że Grażyna umarła.

Interesuje mnie to, czego nie pokazują dokument Marii Zmarz-Koczanowicz „Nie palcie komitetów" ani film fabularny „Nasza rewolucja" Piotra Domalewskiego.

Próbuję zrekonstruować jej codzienność, co jest zadaniem karkołomnym. Bo jak opisać trud zakupów, porządków, kucharzenia, wychowywania syna, dojazdów tramwajem do pracy i z powrotem? Opróżniania popielniczek z petów po papierosach w mieszkaniu, w którym „można było siekierę zawiesić", parzenia hektolitrów herbat, odbierania najmniej kilkunastu telefonów dziennie i pamiętania co, komu, kiedy i gdzie.

Jacek Kuroń zostawił po sobie autobiograficzne teksty, nagrania, książki i mnóstwo nasyconych szczegółami wspomnień ich wspólnych znajomych. Gros dotyczy jego działalności społecznej i politycznej. Miał naturę ekshibicjonisty, ciągle musiał o sobie opowiadać – zauważają ci, z którymi rozmawiam.

Gajka wręcz przeciwnie. Powściągliwość, spokój, elegancja, klasa. Z każdą moją rozmową wybrzmiewa ta sama mantra: „Była wspaniała, kochana, piękna, wyjątkowa". Gdziekolwiek wchodziła, rozjaśniała to miejsce swoim światłem, miał powiedzieć o niej Jan Józef Lipski, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników. Żadnej rysy, choćby niewielkiej?

Zachodzę w głowę, jak to możliwe, staram się być precyzyjna i nieufna, ale po tylu latach trudno dokopać się do faktów. Przeważają refleksje i emocje. Może i Jacek chlapnął po jej śmierci, że wybacza, bo kiedy siedział, musiała się czuć samotna, ale nie rozumie, dlaczego z tym mężczyzną właśnie. Pytanie: czy to prawda?

Albo czy prawdą jest, że klękał przed nią i mówił: „lej", a ona „lała go po pysku"? Niby niektórzy z moich rozmówców twierdzą, że tak być mogło, ale nikt tego na własne oczy nie widział. Może prócz ich syna Maćka, ale i to już nie jest do sprawdzenia, bo zmarł osiem lat temu.

Nie chcę pisać o polityce. O jej zaangażowaniu w działalność Jacka, wspieraniu Komitetu Obrony Robotników, „Solidarności" i więźniów politycznych. O swojej codzienności Gajka wspomina Jackowi w listach wysyłanych mu na adres kolejnych więzień. Jest ich sporo, bo na 27 wspólnych lat Kuroń spędzi za kratami dziewięć. Nie licząc zatrzymań na dobę czy dwie.

Słowa, których się nie używa

Gaja ma 25 lat, kiedy w marcu 1965 roku Jacek trafia do więzienia, po raz pierwszy w ich małżeńskim życiu. Kilka miesięcy wcześniej, w listopadzie, esbecja dowiaduje się o memoriale, który Kuroń nazywa „nowym manifestem komunistycznym". Jest krytyką metod działania partii.

Podpiszą się pod nim Karol Modzelewski i Jacek Kuroń, ale to w marcu, bo na razie esbecy, obawiając się, że memoriał lada chwila zostanie opublikowany, wchodzą do mieszkania Joanny i Stanisławy Gomułków, u których zastają Modzelewskiego i Gajkę z Jackiem.

U tego pierwszego znajdują maszynopis tekstu, który zapisze się w historii jako liczący ponad sto stron „List otwarty do partii", w założeniu przeznaczony do wywołania dyskusji wśród jej członków. Postulują w nim m.in. wprowadzenie zarządzania przedsiębiorstwami przez rady robotnicze, wielopartyjność, likwidację cenzury prewencyjnej, wolność prasy, twórczości naukowej i kulturalnej.

Przesłuchiwana wtedy przez milicję Gaja zapowiada, że nie odpowie na żadne pytania, bo jest zmęczona, chce jej się spać i odmawia podpisania protokołu.

Dzień po tym, gdy sygnatariusze listu złożą go w komitetach uczelnianych PZPR i ZMS na Uniwersytecie Warszawskim, a kilka egzemplarzy rozdadzą znajomym z uczelni, zostają zatrzymani, a po procesie skazani: Jacek na trzy, a Karol na trzy i pół roku więzienia.

Prof. Barbara Weigl, wówczas licealistka, kilkakrotnie zdobywa przepustkę na proces. Co więcej, w bieliźnie pod sukienką wnosi na salę sądową dyktafon i nagrywa mowę końcową Karola cytowaną nazajutrz w rozgłośni Radia Wolna Europa.

Dyktafon należy do Felicji Łojakowaj, dziennikarki radiowej i mamy jej ówczesnego chłopaka, która nie ma pojęcia, że syn wyniósł z domu jej sprzęt.

– Z tamtego czasu mam przed oczami bardzo wyrazisty obraz. Korytarz sądowy, a na nim młodzi ludzie, którzy przyszli okazać wsparcie i choćby pomachać prowadzonym na rozprawę Jackowi i Karolowi. I nagle z ich grona wyrywa się Gajka, podbiega do Jacka i przytulają się, co było dla mnie krańcowo wzruszające – opowiada.

Wspólna historia Gajki i Jacka toczy się wtedy od dziesięciu lat. Poznają się na obozie walterowskim w Wolinie. Zgodnie z pomysłem Jacka, który organizuje tak zwane „czerwone harcerstwo", dwunastoletnimi dziećmi opiekują się wychowawcy, zazwyczaj studenci i ich pomocnicy, najczęściej uczniowie ostatnich klas szkoły średniej.

Na tym obozie Gajka jest zastępową. Pierwszej nocy kładzie swoich podopiecznych spać, opiera się na plecaku, nakrywa głowę kocem i zasypia. Budzi ją światło latarki – to Jacek, robi obchód i sprawdza, czy dzieci są przykryte, czy nie płaczą.

Do „tej małej" nie ma żadnych uwag. Spekuluje, że dziewczyna z długim warkoczem, którą obudził, radzi sobie z małymi dziećmi, bo ma młodsze rodzeństwo, którym się opiekuje. Tak, ma – przyznaje.

Od tamtej pory, kiedy wychowawcy schodzą się co wieczór do namiotu żeńskiej kadry, Jacek siada na Gajki pryczy, bierze w ręce jej warkocz i snuje gawędy. Nieżyjąca już Marta Petrusewicz wspomina w biografii „Jacek", że kiedy poznał Gaję, najczęściej były to gawędy o miłości.

W jego „Wierze i winie" trafiam na zdanie: „Mówiłem niby do wszystkich, ale głównie do Gajki".

Końcem lipca dziewczyna zapowiada, że nie zostaje na sierpniowym turnusie. Wraca do Warszawy, bo kocha Jacka, a ponieważ „nie ma żadnych szans", nie chce zostać w Wolinie.

Jacek zapewnia wtedy, że też ją kocha. Jest przerażony i uczuciem, i swoim wyznaniem.

– Miałem dopiero 21 lat, aż 21 lat i wiedziałem, że ludzie sobie na słowo nie wierzą, że takie słowa się mówi i one jakby nic nie znaczą – pisze w „Wierze i winie". – Że do dobrego tonu należy nie wierzyć w takie słowa. A ta moja dziewczynka, kiedy usłyszała, że ja też, uznała, że to jest opoka i na tej opoce zbuduje kościół swój. Zrozumiałem, że skoro ta mała dziewczynka tak mi wierzy, to tak musi być. Można się wszystkim na świecie sprzeniewierzyć, ale nie jej.

Wracają do Warszawy końcem sierpnia, na ławce w Łazienkach Jacek czyta jej „Poemat dla dorosłych" Adama Ważyka, który kilka dni wcześniej ukazuje się w „Nowej Kulturze". Jest jawną krytyką partii, tym bardziej zaskakującą, że jej autor to główny teoretyk literatury komunistycznej.

– „Ludzie tu chodzą byle jak, w drelichach/ szybko się u nas kobiety starzeją" – czyta Jacek. I dalej: „kiedy miedziaki nudziarstwa/ zagłuszają wielki cel wychowawczy,/ kiedy sępy abstrakcji wyjadają nam mózgi/ kiedy zamyka się uczniów w podręcznikach bez okien,/ kiedy redukuje się język do trzydziestu zaklęć,/ kiedy gaśnie lampa wyobraźni (...) wtedy nam grozi tępota".

Gajka słucha strof o ludziach, którzy nigdy nie byli w teatrze, o zaniedbanych przez służbę zdrowia dzieciach, o chłopcach i dziewczynach zmuszanych do kłamstwa i starych żonach wyrzucanych z mieszkań przez mężów.

Następnego dnia ich związek prawdopodobnie zostaje zawieszony. Na poobozowym spotkaniu walterowskim z powodu zaniedbania Jacka w Wiśle topi się troje dzieci, które były pod jego opieką.

Zanim Gaja zostanie przesłuchana, przypada jej zadanie poinformowania o tragedii rodziców. Czy to nie jest za trudne wyzwanie dla piętnastolatki? Co czuje? Jak dobiera słowa? I w końcu co myśli o Jacku? Czy wciąż jest dla niej bohaterem?

Jacek dostaje zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci. Wychodzi z aresztu śledczego po miesiącu. Rozmawia z Gają i proponuje, by zostali przyjaciółmi. W czasach, gdy nie znano relacji friends with benefits, oznacza to, że nie chce z nią być w relacji romantycznej. Przekonuje siebie, że Gajka jest dzieckiem i kocha go tak, jak się kocha w tym wieku nauczyciela.

Wszyscy wchodzą przez okno

W biografii „Jacek" Anna Bikont i Helena Łuczywo odnotowują, że ich bohater czasem jeździ na Mokotów, staje pod domem na dzisiejszej ulicy Dąbrowskiego i patrzy w okno, za którym Gaja, pilna uczennica, odrabia lekcje. Czy domyśla się wtedy, że ich domy nijak do siebie nie przystają?

Wielkie pobojowisko – tak opisuje swój w autobiograficznym tekście. „Na ścianach ślady zabłoconych piłek, kolorowych tuszów i atramentów porozlewanych przy okazji różnych bitew i meczów rozgrywanych z bratem i kuzynem. Ślady czerwonego wina, które tatuś robił metodą oszczędnościową z czarnego bzu przy minimalnym użyciu cukru i które kiedyś eksplodowało, połamane meble, podarte kapy na zawsze rozbebeszonych łóżkach z przyciętymi poręczami, żeby zrobić z nich nowoczesne tapczany".

Tę opowieść uzupełnia Joanna Liszkiewicz-Kuroń, synowa Gajki i żona Maćka, z którą spotykam się w cukierni na Placu Wilsona, niemalże vis-à-vis bloku na ul. Mickiewicza, gdzie w 1946 roku wprowadzili się Kuroniowie.

– To był dom otwarty w sensie dosłownym, bo tam nigdy nie zamykano drzwi wejściowych. Niektórzy wchodzili również przez okno w pokoju, gdzie mieszkał Maciek ze starszym o trzy lata bratem Gajki. Tak było szybciej, bo nie trzeba było przechodzić naokoło przez podwórko ani płacić nocą dozorcy za otwieranie bramy.

Nawet sąsiadka Maćka korzystała z tego okna, w którym nie było firanek ani zasłon – mówi i na kartce z zeszytu rysuje mi układ mieszkania, do którego przychodzi po raz pierwszy w siódmej klasie. Trochę mi się miesza, gdzie mieszka teść Gajki, Henryk, teściowa Wanda, brat i kuzyn Jacka, a wreszcie Jacek.

Zanim do tego grona dołączy Gaja, każdy je, kiedy chce, co chce i ile chce. Za aprowizację odpowiada pan Henryk, który na liście wiszącej w kuchni każdej osobie przypisuje tygodniową rację żywnościową. Na przykład: pięć jajek, trzy śledzie, cztery plasterki wędliny, trzy boczku i dwa jabłka. Można zjeść swoją rację w dwa dni albo i w jeden, a przez kolejne głodować. Może niezupełnie, bo pan Henryk raz w tygodniu gotuje gar bigosu albo fasoli po bretońsku. Wszystkie te szczegóły zawdzięczam Annie Bikont, Helenie Łuczywo i Joannie Szczęsnej.

Na zdjęciach przekazanych Ośrodkowi Karta widzę jednak tak zwane gdańskie meble i próbuję dociec, skąd się tam wzięły. Okaże się, że opisując „istne pobojowisko", Jackowi umyka, że w dużym pokoju stoi kredens, stół z krzesłami i biurko, które przyjechały do Warszawy ze Lwowa, z rodzinnego domu jego matki.

Adam Wajrak: Jacek był ogrem, a Gajka była królową. Nie, nie było to ani piękne podwórko, ani czasy. Nic poza Gajką nie było piękne

• **Gaja Kuroń w Kuklach koło Suwałk, rok 1979**
FOT. JERZY BRUKWICKI, ZBIORY OŚRODKA KARTA

eprasa.pl ce60f33c89

Czy te meble łagodzą przygnębienie Gajki, kiedy wprowadza się na Mickiewicza po ślubie? A może w ogóle nie jest przygnębiona? Jest zakochana, ma 19 lat i jest studentką pierwszego roku fizyki.

Nie wiem, czy jej związek z Jackiem odradza się po roku jego sporadycznego wystawania pod jej oknem, czy wcześniej, bo w kwestii jego ówczesnych związków biografki dopatrują się w Jacka wspomnieniach nieścisłości.

– Jacek uwielbiał mówić o sobie i koniecznie chciał mi opowiedzieć ze szczegółami o ich pierwszej wspólnej nocy pod namiotem, mimo że krzyczałam, by przestał, bo ja nie chcę tego w ogóle słuchać – wspomina Anna Bikont.

Śmieję się, wyobrażając sobie rozemocjonowanego paplę Kuronia i ją zatykającą uszy. Na wszelki wypadek uprzedzam ewentualne oskarżenia wobec niego za zdeprawowanie nieletniej. Wiek zgody wynosi wtedy 16 lat. Trudno mi się nie zgodzić z cytowaną w „Jacku" Ewą Milewicz, kiedy mówi, że tylko w swojej wyobraźni 21-letni Jacek był dorosłym facetem zakochanym w dziewczynce.

– Oni razem rośli – kwituje.

Graži tańczy fokstrota

– To ja wymyśliłem „Gaję" – mówi Jacek Borucki, który jako dziecko nie potrafił wołać na siedemnaście lat starszą siostrę „Grażyna". Jego siostra Danuta precyzuje, że tak naprawdę Grażyna miała na imię Elżbieta, ale od jej urodzenia nikt tego imienia nie używał, bo w rodzinie był trzy Elżbiety. Synowa Gai wyjaśnia mi, że to ksiądz nie chciał ochrzcić Grażyny, bo uznał, że to imię niechrześcijańskie.

– A Gražina to litewskie imię pochodzące od „graži", czyli „piękna" – mówi. Jakby nie było, imię do Gajki pasuje idealnie, bo „piękna" jest jednym z przymiotników, jakim opisują ją jej znajomi.

Zamieszanie z nadanym jej imieniem nie jest jedynym. Nie urodziła się 2 stycznia 1940 roku, jak podaje Wikipedia, ale pod koniec grudnia.

– Był strasznie zimno, a tato miał w nodze odłamek po powstaniu i bardzo go to bolało. Dlatego zarejestrował ją w urzędzie w styczniu, mówiąc, że urodziła się drugiego – dopowiada Jacek.

Rodzina mieszka w Warszawie. Edmund Borucki przeprowadza się tam z Tuliszkowa, a kiedy na rogu Puławskiej i Grażyny otworzył sklep, wraca do rodzinnego miasteczka po żonę.

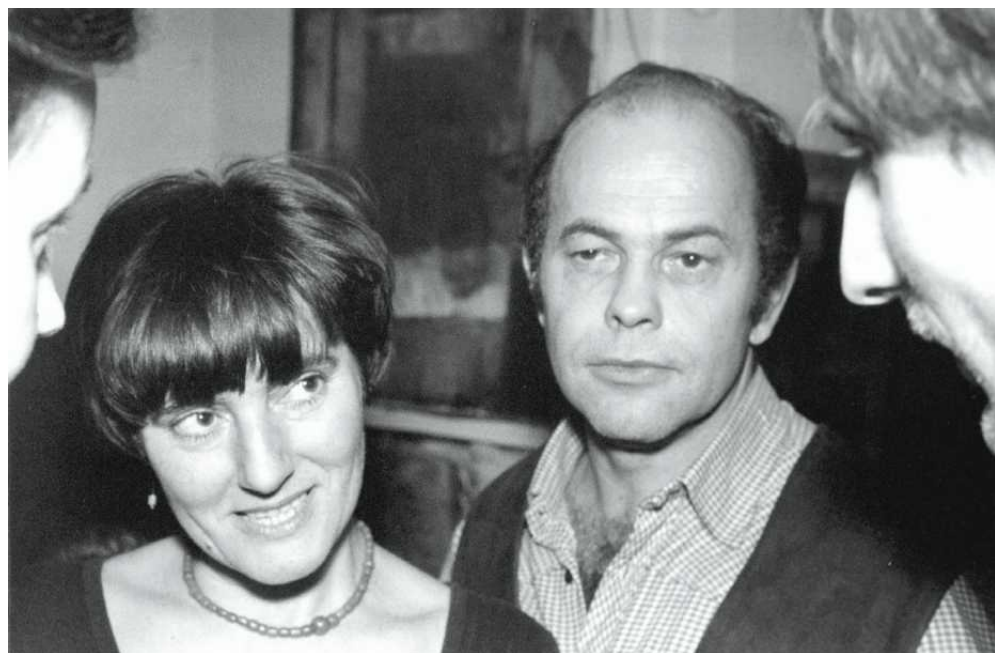
– Zapytał babcię, którą córkę mu odda, i ożenił się z moją mamą. Był mistrzem masarskim i robił wspaniałe kiełbasy, szynki i salcesony – snuje Jacek. Nie pamięta więc miłości, jaką jego tato obdarzał swoje córki, co znajduję w książkowej biografii Kuronia Anny Bikont i Heleny Łuczywo.

„Miałyśmy szczęście rosnąć w ciepłym domu. Mimo piątki dzieci jakoś się nam powodziło. Ojciec pracował, mama prowadziła dom. Tata udzielał nam lekcji fokstrota, polki, tanga, wyobrażał sobie, że przygotowuje nas na bale. Lubił powtarzać, że nikt nie ma tak pięknych, mądrych i dorodnych córek. Mama kochała gotować. Ale wszystko robiła sama, nas w ogóle nie wpuszczała do kuchni. Nasz dom był pod tym względem antypedagogiczny, nie miałyśmy obowiązku sprzątania, zmywania. Zawsze jednak było pozmywane, posprzątane i pięknie podane do stołu".

Rodzina siada do wspólnych posiłków przy stole nakrytym czystym obrusem. W mytych kilka razy w roku oknach wiszą wykrochmalone firanki, a w sobotę pachnie pastą do podłogi.

Najważniejszym zadaniem sióstr jest uczenie się. I kiedy odrabiają przy stole lekcje, mama obiera jabłka, kroi je na cząstki i wkłada każdej do ust.

Maryla, z wykształcenia genetyczka, wspomina, że w szkole słyszała od nauczycieli, że jej siostra była wspaniałą uczennicą. Nawet czuła się gorsza z tego powodu, szczególnie na matematyce.



• **Gaja i Jacek Kuroniowie, Sylwester 1980 roku** FOT. NN, ZBIORY OŚRODKA KARTA

Maciek Kuroń z goryczą zauważa, że rodzice stanowili tak silny związek, że ojciec chciał mieć mamę na wyłączność. – Ja tylko przeszkadzałem

– Gaja nie wymagała opieki. Była bardzo samodzielna i opiekuńcza wobec nas i osób potrzebujących pomocy. My wszystkie mamy w sobie gotowość pomocy słabszym, tak nas wychowali rodzice, a harcerstwo walterowskie jeszcze te cechy rozwinęło – dodaje Danuta, która rodzi się, kiedy Gaja ma siedem lat. Ewa z Marylą są jak jej ogonki, drepczą już wtedy za trzy lata starszą siostrą do pobliskiego ogródka jordanowskiego. Bawi się z nimi, czyta im bajki i pomaga w codziennych czynnościach. Trudno to uznać za beztroskie dzieciństwo.

– Można jej trochę współczuć, bo przecież fajnie jest być w okresie trzpiotowatym, którego Gajka nigdy nie przeżyła, bo najpierw opiekowała się siostrami, a potem dziećmi walterowskimi – zgadza się ze mną Anna Bikont. Przyjaciółka Gajki Marta Petrusewicz miała powiedzieć, że Gaja zawsze była dorosła.

Rodzinna roszada

Z zadbanego domu Gaja wprowadza się do pokoju ogołoconego z firanek i z drzwiami bez klamki. W kuchennej szafce mają z Jackiem swój garnek i półprodukty, które Jacek kupuje raz na dwa-trzy dni. Gaja nie umie gotować.

– Są u nas na obiedzie w każdą niedzielę, a potem mama pakuje im do słoików jedzenie na kilka dni – przypomina sobie Danuta.

Tato za każdym razem pyta: „Grażynko, czy potrzebujesz czegoś", a ona za każdym razem odpowiada, że nie.

Jacek się nie zastanawiał, czy Gaja czuje się na Mickiewicza dobrze – aż do wieczora, kiedy siedzą w kawiarni na Marszałkowskiej, piją kawę i wino. Nazajutrz ona wyjedzie na obóz studencki do Jugosławii, gdzie nauczy się gotować swój osławiony pilaw z baraniną, a po powrocie zacznie ostatni rok studiów na psychologii. Jest rok w plecy, bo za namową Jacka Gaja zostawia fizykę.

Opowiada Jackowi, co kupi, kiedy zacznie zarabiać pieniądze. W pierwszym miesiącu wstawi zamek i klamkę do drzwi, potem odmaluje ich pokój, kupi firankę, stół i regał z książkami. Rysuje na serwetce, jak rozstawi meble i gdzie zawiesi słomiankę.

Jacek słucha, „utrzymuje uśmiech na twarzy i czuje, jakby go ktoś spoliczkował, bo dopiero w tym momencie rozumie, jaką straszną krzywdę wyrządził tej małej dziewczynce". Kiedy wychodzą, chowa ukradkiem serwetkę do kieszeni, a gdy Gajka wyjedzie, pokazuje ją Ewie. Bierze „gigantyczną pożyczkę", za którą Ewa kupi meble. Wystarczy jeszcze na klamkę i na malarza.

Kiedy Gaja wraca z obozu, ich pokój wygląda tak, jak zamierzała go urządzić po kilku latach pracy. Rodzice i bracia nie wpadają już do nich bez pukania.

– „I tak zaczęła się wielka sanacyjna akcja Gajki, która zmieniła stopniowo charakter naszego mieszkania i sprawiła, że tata i mama do śmierci mieszkali już jak wszyscy inni ludzie" – pisze Jacek w „Wierze i winie". Łazienka i kuchnia zostają wyremontowane, podłogi wycyklinowane, a w oknach wiszą firanki.

Musi tam gdzieś jeszcze stać łóżeczko Maćka, który rodzi się w marcu 1960, rok po ślubie. Żeby Gaja mogła studiować, w opiekę nad wnukiem angażuje się jej mama.

Dochodzi do rodzinnej roszady. Trójka Kuroniów przeprowadza się na Dąbrowskiego, a w ich pokoju na Mickiewicza instalują się siostry Gajki – Ewa i Maryla, wówczas siedemnasto- i osiemnastolatka. Właściwie to przyjeżdżają tam tylko na noc – po lekcjach i one jadą na Mokotów.

Gajka wpada do rodziców między zajęciami, karmi syna i znów biegnie na uczelnię. We wrześniu wracają na Żoliborz, ale każdego ranka zawozi Maćka do dziadków. Tym sposobem brat Gajki, Jacek, zyskuje brata. Widują się codziennie, bo kiedy Maciek pójdzie do szkoły, jeździ do dziadków po skończonych lekcjach. Gdy Jacek ma 17 lat, wprowadzi się do wspólnego pokoju na Żoliborzu, gdzie mieszka z małymi przerwami od 1972 do 1984 roku.

Rozmawiamy. Notuję:

– Maćkiem opiekowała się mama, z pomocą Ewy i Maryli. I do niej Maciek zaczął mówić „mama". Ja tego nie pamiętam, bo gdy się urodził, miałem trzy lata. Kochałem Gajkę, bo była moją siostrą, ale kiedy z nią mieszkałem, dawaliśmy jej wszyscy popalić. Była przeciążona. Pracowała na dwa etaty w poradni pedagogiczno-psychologicznej, na jej głowie były zakupy, sprzątanie, opieka nad rodzicami Jacka. Raz na jakiś czas mówiła mu, że nie ma siły, i płakała.

Jacek robił wtedy listę dyżurów, kto kiedy sprząta, kto robi zakupy, a następnego dnia wyrzucał wszystkich z kuchni i robił porządek. I po pierwszym rzucie aktywności wyłączał się z dbania o dom. My z Maćkiem staraliśmy się robić zakupy, co tam kto upolował, aż po kilku miesiącach historia się powtarzała. Gaja płakała, Jacek robił grafik i porządki, myśmy się starali.

– Życie Gajki nie było łatwe – dodaje Maryla. – Dawniej rola kobiety polegała na organizacji życia w domu, utrzymania porządku i opieki nad dzieckiem. A Gajce doszło jeszcze zarabianie, bo przecież Jacek nie pracował. Prowadzenie otwartego domu z zarobkami psychologa na państwowej posadzie było zadaniem karkołomnym. Ludzie przychodzili i zawsze coś skubnęli z tego stołu, który starała się zapełnić.

Kiedy Jacek był w więzieniu

Zmarły w ubiegłym roku brat Jacka – Andrzej – uważał, że kiedy Jacek szedł do więzienia, w domu robiło się spokojniej.

– Gajka mogła odetchnąć – mówił Janowi Radomskiemu z „Liberté!".

– Dom na Mickiewicza się wyciszał. Gaja pracowała, brała różne chałtury, żeby podreperować finanse. Pooddawała długi, a nawet zdołała coś zaoszczędzić. Gaja nigdy zresztą nie narzekała, że mieli mało pieniędzy. Na Mickiewicza przez lata nie było żadnej pralki i Gaja opowiadała, że znalazła świetny sposób na pranie: wcześniej siedziała w wannie i tupała, a teraz wymyśliła, że można wziąć przepychaczkę do zlewów i nią tłuc. Zarabiała niewiele, ale umiała się tym rządzić, nie lubiła pożyczać, pamiętała, żeby oddawać. W odróżnieniu od Jacka, którego pieniądze się nie trzymały.

O jego stosunku do pieniędzy jest sporo anegdot, raczej nieśmiesznych. Tak czy owak potrafił wydać ostatnie pieniądze na taksówkę. Albo na kwiaty dla Gajki.

Prof. Barbara Weigl przekazuje czasami pieniądze zebrane w Szwecji dla Gajki i Jacka przez Natana Tanenbauma, przyjaciela i emigranta marcowego. Jest jedną z wielu osób, które odwiedzają Gaję w trakcie pierwszego uwięzienia Jacka.

– Tam się po prostu chodziło. W powietrzu wisiało przekonanie, że skoro Jacek jest w więzieniu, to trzeba ją odwiedzać i jej pomagać, choćby przy odbieraniu Maćka z przedszkola (najczęściej ten obowiązek bierze na siebie Jan Lityński). Nie wiem, jak na te wizyty zapatrywała się Gajka, ale nigdy nie dała nikomu odczuć, że jest niemile widziany. Wręcz przeciwnie. Była serdeczna, życzliwa i każdego obdarzała swoją uwagą, przez co czuł się wyjątkowy. A tak naprawdę to Gajka była wyjątkowa.

Poznaje ją przez Wandę Marchlewską, sąsiadkę Kuroniów. Spędzają wspólnie sylwestry, a latem wyjeżdżają do Zakopanego, gdzie teściowie Wandy mają dom. Wieczorami siedzą przy ognisku, ktoś się dosiada albo to one się dosiadają i śpiewają balladę Włodzimierza Wysockiego: „Z wszystkich gór najwspanialsze są góry, których zdobyć nie zdołał wciąż nikt". Barbara, prawdopodobnie jak i Gaja, odbiera tę frazę metaforycznie: trzeba stawiać sobie cele i zdobywać to, co jeszcze nie jest zdobyte.

Zastanawiam się, czy Gaja była spełniona.

Polityka pozbawia ją możliwości robienia kariery naukowej. Po pierwszym aresztowaniu Jacka zostaje zwolniona z uczelni, na której dopiero zaczyna pracę. W listach do kolejnych więzień pisze Jackowi, że nie ma ani si-

eprasa.pl ce60f33c89

ły, ani możliwości robić doktoratu. Tłumaczy się przed nim z niepodejmowania tej próby równie często, jak często on sugeruje, by koniecznie się temu poświęciła. W liście z lipca 1977 roku jest kategoryczna:

„Zrozum, zupełnie nie ma o tym mowy. Kiedy byliśmy we dwoje, mieliśmy mało czasu na czytanie, bibliotekę, spokojne pomyślenie, nie mówiąc już o kinie. A teraz... chyba sobie wyobrażasz, jak bardzo wiele mam kłopotów, jak dużo pracy. Tylko Ty przy swojej niezwykłej umiejętności koncentrowania się mogłeś w naszym domowym rozgardiaszu pracować. Ja tego nie potrafię – żeby pracować, musiałabym wychodzić do czytelni naukowej. A na to nie mogę sobie pozwolić. [...] Telefon dzwoni do późna w nocy, a zaczyna świtem. Miałam chwilami poczucie, że oduczyłam się spać. Od dwóch dni chodzę jak pijana i marzę o tym, żeby się wyspać".

W listach Gajka często wspomina zmęczenie, „gonitwę w walce o byt" i dodatkowe, męczące chałtury. Robi korekty prac doktorskich, pisze prace magisterskie, koduje testy psychologiczne.

Czy jest z siebie zadowolona? W Boże Narodzenie 1969 roku dzieli się z uwięzionym mężem refleksją: „Lada dzień skończę trzydzieści lat – wystarczająco dużo, żeby obejrzeć się w tył i dokonać bilansu. Nie chodzi o wielkie dzieła, ale o to, czy Tobie było i jest ze mną dobrze, czy robię wszystko, na co mnie stać, żeby było najlepiej.

Czy Maciek jest szczęśliwym dzieckiem, czy moi staruszkowie mogą uznać, że warto było tak straszliwie chorować, aż zapomnieć o sobie? Czy wywiązuję się z zaufania, jakim obdarzają mnie ludzie? Gdybym mogła sobie potaknąć i czuć się zadowolona, świadczyłoby to wyłącznie o mojej głupocie.

Nie potrafię jednak ustawić sobie bariery, określić wysokości tej poprzeczki, którą powinnam wziąć. Ciągle wydaje mi się nie to, nie tak, czasami mam wrażenie, że nie podrywam się z dna. A może Bóg nie był łaskaw dać mi daru samozadowolenia?".

Zabawy w powrót dzielności

Aleksander Smolar w filmie pt. „Maciej Kuroń" w reżyserii Cezarego Mironiuka (2014) wraca do swoich rozmów z Jackiem, który czuł, że swoim trybem życia i w konsekwencji więzieniem krzywdzi Gajkę i Maćka, który „nie ma normalnego domu, normalnego dzieciństwa".

Barbara Toruńczyk wtóruje, że nie męczyły go długoletnie wyroki, ale sprawa wychowania Maćka.

– Gajka podzielała poglądy Jacka i nie chciała nigdy go łamać argumentami, że dla dobra dziecka trzeba coś zrobić. Odwrotnie. Ona uważała, że dla dobra dziecka rodzice powinni siebie jak najlepiej realizować, zgodnie ze swoimi poglądami, bo to jest prawdziwe dobro dziecka i dobro wychowawcze, które można mu dać, żeby go odpowiednio ukształtować.

Ewa, Gajki siostra: – Gaja i Jacek stanowili jakby parę zamkniętą, ona nawet nie miała swoich przyjaciółek, może ich zresztą nie potrzebowała. Byli bardzo skoncentrowani na sobie i swojej miłości, a Maciuś był trochę z boku. I tak to odczuwał. Jak Jacek szedł siedzieć, to był paradoksalnie dla Maćka lepszy czas.

Maciek potwierdzi jej słowa już jako dorosły mężczyzna w rozmowie z Anną Bikont i Joanną Szczęsną. Z goryczą zauważa, że rodzice stanowili tak silny związek, że ojciec chciał mieć mamę na wyłączność. – Ja tylko przeszkadzałem.

Od pierwszego aresztowania Jacka Gaja rozwija w synku poczucie odpowiedzialności. Bawi się z nim w „powrót dzielności". „Powiedziałam mu kiedyś, że z wiekiem traci dzielność i robi się coraz większą ofiarą. Przejął się tym ogromnie i ostatnio bardzo stara mi się udowodnić, że dzielność wraca. Myślę, że mu się to naprawdę uda. Oprócz tego dużo czytamy, rozmawia-my i uprawiamy działkę" – pisze do Jacka.

Kiedyś ogromnie się zawstydzi. Gdy stoją przed wystawą księgarni, sześcioletni Maciek prosi ją o książeczkę według jej oceny dla trzyczy czterolatków. Mówi mu, że to chyba zbyt dziecinne, „a on cichutko mi odpowiedział, że bardzo lubi książeczki i zabawki dla maluszków, tylko wstydzi się przyznać do tego, bo ja ciągle powtarzam, że on jest taki dorosły".

Jest wysoki i duży, przez co w wieku 12 lat może uchodzić za 16-latka. Angażuje się w działalność antykomunistyczną rodziców. W mieszkaniu, do którego numer telefonu razem ze swoim imieniem i nazwiskiem wykrzykiwali ludzie zgarniani przez milicję z ulicy, telefony się urywają. Maciek odbiera i notuje nazwiska zatrzymanych i aresztowanych.

Pod nieobecność ojca gotuje w domu, czego nauczy się od babci, i pierze. – Jest towarzyszem swojej matki – mówi Joanna, synowa.

– Wszyscy mówią, że Gaja była bardzo ciepła i serdeczna, ale kiedy przychodziłam do Maćka, to trochę się jej bałam. Nie była przytulaśna. Nie skracała na siłę dystansu, wręcz przeciwnie. Wchodziła do pokoju, gdzie siedzieliśmy z innymi dzieciakami, i mówiła: „Maćku, a może ty byś lekcje odrobił?".

Anna Bikont: Jacek koniecznie chciał mi opowiedzieć ze szczegółami o ich pierwszej wspólnej nocy pod namiotem, mimo że krzyczałam, by przestał

W pamięci rodziny zapisze się miłość Jacka i Gajki, którą można odtworzyć z ich listów. Niekiedy egzaltowanych, niekiedy wzruszających. – Może nie jestem obiektywna – zastanawia się Maryla – ale mam przeczucie, że dla nich ważniejsza była ich miłość i sprawy, o które walczyli, niż chronienie dziecka. Ja bym spasowała, gdyby do mojego domu wpadła bojówka i waliła głową mojego nastoletniego syna o ścianę.

Jacek raz jeden chce spasować. W stanie wojennym, kiedy Gaja leczy się w szpitalu na oddziale u Marka Edelmana, władze proponują mu wyjazd z żoną za granicę. Chce ją ratować. Gaja się nie zgadza.

Kiedy czytam ich listy, trudno mi się zgodzić, że nie ma w nich miejsca dla Maćka. Gaja jest zachwycona synem, jego przemianą z bałaganiarza w poukładanego, troskliwego faceta. Zachwyca ją też, kiedy składa literki w pierwsze słowa, zadaje wnikliwe pytania i wędruje z nią po górach. Lubi z nim spędzać czas.

Jej brat pamięta, że Gaja ich z Maćkiem przytulała. I mówiła, że ich kocha.

Wajrak: Nic poza Gajką nie było piękne

Maryla: – Gaja nigdy się nie skarżyła. Czasami czuła się przygnieciona i jako psycholożka wiedziała, że powinna coś dla siebie zrobić. I wtedy kupowała kapelusz. To była jej jedyna ekstrawagancja i reakcja na stres.

Danusia przypomina sobie, że kapelusze były z dużym rondem. A ubrania kolorowe. Kiedy z kolei Gaja zarobiła ekstra pieniądze, szła do Cepelii na Chmielnej i kupowała materiały. Ciocia krawcowa uszyła jej płaszcz z angielskiego tweedu w granatowo-zielono-czerwoną kratę. Albo rudozielony wełniany kostium.

– Widzę ją. Wąska, prosta spódnica z rozcięciem z tyłu i żakiet wkładany przez głowę z mankietami obitymi aksamitem. Była piękna. To jej spojrzenie, te ruchy... Cokolwiek założyła, była piękna.

Każde pojawienie się Gajki na podwórku wywołuje poruszenie. Dzieciaki biegną do niej, a ona uśmiecha się i pyta:

– Grasz w zielone?

– Graam! – odpowiadają.

– Masz zielone?

– Maaaam! – i pokazują jej trzymane w rękach zielone listki, gałązkę albo trawkę. Gaja wyjmuje z kieszeni po cukierku i daje każdemu, kto bierze udział w tym podwórkowym rytuale.

Jest wśród nich sześcio- albo siedmioletni Adaś Wajrak, dziś wybitny przyrodnik i dziennikarz oraz mój redakcyjny kolega.

– Jacek był ogrem, a Gajka była królową. Dobrą, spokojną, zawsze uśmiechniętą – wspomina i snuje dalej z nostalgią w głosie, tak mi się w każdym razie wydaje.

– On był jak wzburzone morze, gestykulował, chował się za śmietnikiem, spiskował i rodzice kazali nam się trzymać od niego z daleka. Przy trzepaku zawsze wystawali śledzący go esbecy. Nie, nie było to ani piękne podwórko, ani czasy. Nic poza Gajką nie było piękne.

Mam wizję, że idzie przez podwórko taka indiańska księżniczka Pocahontas, wyprostowana, z energią, która nie była energią bardzo pewnej siebie osoby, ale emanującą przekonaniem, że wszystko jest dobrze i będzie dobrze. Przy Jacku nie czułem spokoju, ale ona była niczym hiszpański dzwoneczek cascabel, który zapowiada radość i dobro.

Adam zna i hiszpańskie dzwoneczki, i księżniczkę podobną do Pocahontas. Jego żona Nuria jest ciemnooka, ciemnowłosa i rozpoznał w niej tę samą energię, którą odbierał na swoim podwórku. Mam przeczucie, powiada, że z Gai zrodził się mój archetyp kobiety.

Podobną radość rozpoznaje w niej Helena Łuczywo, która końcem roku 1979 i początkiem kolejnego przychodzi o ósmej rano do mieszkania Kuroniów, by uczyć Jacka języka angielskiego. Jest zwykle przed ósmą. Jacek wygrzebuje się z łóżka, a Gaja wraca z delikatesów.

– Przynosi wspaniałe rzeczy – opowiada Helena – pieczywo, pyszny biały ser, jajka. I to śniadanie z nimi jest jednym z najpiękniejszych momentów w moim życiu – wyznaje, a ja ma chyba dreszcze, choć dopytuję, co takiego się działo, żeby mówić o szczęściu.

Helena wyjaśnia: sytuacja była ponura, ostatni rok przed sierpniem 1980 roku, ciągle kogoś wsadzali. A kiedy Gaja kładła na stół śniadanie, można było poczuć zwyczajne życie.

– Spotkanie z nią było jak muśnięcie skrzydłem anioła – mówi Helena, ale nie potrafię odczytać z notatek, czy to jej słowa, czy cytuje Jana Józefa Lipskiego.

Anioł potrafił być też surowy, szczególnie dla przeciwników politycznych. Kiedy się wściekł, zwężał usta i oczami ciskał gromy. Esbecy nazywali ją Lwicą. W czasie rewizji w przeciwieństwie do Jacka nie proponuje im herbaty. Jest opryskliwa i wyniosła. Mówi im, że nie są mile widziani.

Helenę też zruga.

– Wyleciałam z pracy w szkole, gdzie przez rok uczyłam angielskiego. Nie odnowili ze mną umowy. Miałam pieniądze, bo tłumaczyłam rozmowy kolegów z „Solidarności" z zachodnimi dziennikarzami. Ale miałam wbite przez mamę do głowy, że trzeba mieć posadę. Zaczęłam Gajce pojękiwać, co rzadko w życiu robiłam, że nikt nie chce mnie zatrudnić. I wtedy jeden, jedyny raz Gaja zwróciła się do mnie ostrym głosem: „Helenko?! I to jest takie nieszczęście?". Było mi wstyd.

Coś się definitywnie skończyło

Kiedy z obozu internowania Gaja trafi pod opiekę Marka Edelmana, nie wie, że jest śmiertelnie chora. Dr Edelman nie poda jej prawdziwej diagnozy. Kłamie, że ma gruźlicę, a nie nieuleczalne wówczas zwłóknienie płuc. Do Jacka do więzienia wysyła gryps.

„Uważałem wtedy, że mam dwoje pacjentów, Gajkę chorą na płuca i Jacka chorego na więzienie. Odpisałem, że jest ciężko chora, ale nigdzie nie będzie leczona lepiej niż w Polsce. Nie mogłem powiedzieć prawdy wprost. On zresztą chyba i tak nie byłby w stanie jej przyjąć" – mówi Edelman, którego cytuję za biografią „Jacek".

Kiedy sytuacja staje się dramatyczna, interweniuje u generała Kiszczaka, by pozwolił Jackowi odwiedzić śmiertelnie chorą żonę. Podobno wrzeszczy na niego.

Zanim 22 listopada wprowadzi Jacka na salę Gajki, powie mu, że ona umiera, a on ma iść do niej i się uśmiechać. Na noc Jacek wraca do więzienia. O czwartej nad ranem Gaja umiera.

Marek Edelman mówi Joannie Szczęsnej: „Była do końca szczęśliwa, uśmiechnięta. Wiedząc, jakie objawy będą przed śmiercią, powiedziałem, jak się stanie to a to właśnie, to znak, że zdrowieje. Pewnie myślisz, że jestem bezczelny skurwysyn, ale uważałem, że tak trzeba. Leczyłem ją objawowo, żeby się dobrze czuła. Lepiej niż u mnie nie byłoby jej nigdzie".

Wieść rozchodzi się szybko.

Barbara przeczyta nekrolog w gazecie. Mieszka wtedy we Wrocławiu, gdzie wyjedzie za miłością.

Helena dowie się na Puławskiej w budce telefonicznej, kiedy dzwoni do Henryki Wujec. Nie wie, co się dzieje na mieście, ukrywa się.

– Kiedy powiedziała, że Gajka nie żyje, poczułam, że świat się skończył. Mam nadzieję, że płakałam, bo płacz może ulżyć człowiekowi.

Adam wraca do domu i słyszy od mamy, że „zabili panią Gaję".

– Przed oczami pojawia mi się sekwencja obrazów. Olśniewająca czarnowłosa Gaja idzie przez podwórko w beżowym płaszczu, starszy pan Kuroń siedzi w słońcu na leżaku na trawce i uśmiecha się do dzieci, Jacek gestykuluje przy śmietniku i wszystko jest ładne i dobre. A nagle Jacek znika, starszy pan umiera, pani Gaja zostaje zamordowana, a piesek otruty, co ostatecznie okazało się miejską legendą. I wtedy coś się dla mnie definitywnie skończyło.

Miejsce i datę pogrzebu Gai podaje Radio Wolna Europa. Tłumy z całej Polski słuchają mowy Wiktora Woroszylskiego: „Jeżeli istnieje na świecie szlachetność i bezinteresowność, czystość intencji i czynów, to nie znaliśmy jej prawdziwszego, głębszego uosobienia niż Gaja. Jeżeli istnieje wierność i solidarność, to któż jak nie Gaja był jej wcieleniem. Jeżeli istnieje harmonia urody ciała i ducha, piękna, wrażliwa kobiecość, to ją właśnie w postaci Gai składamy do grobu. Jeżeli istnieje na świecie mądrość i dobroć albo łącznie mądra dobroć, to tym właśnie była Gaja". ●

• Korzystałam z: „Kuroń. Autobiografia". Wydawnictw Krytyki Polityczne, Warszawa 2009;
• „Jacek", Anna Bikont, Helena Łuczywo, Wydawnictwo Agora, Wydawnictwo Czarne 2018 r.;
• „Maciej Kuroń" – film w reżyserii Cezarego Mironiuka 2014 r.;
• „Fiołki na pocieszenie" – rozmowa Anny Bikont i Joanny Szczęsnej, Wysokie Obcasy 2014 r.;
• „Jacek Grażyny słuchał zawsze" – rozmowa Andrzeja Radomskiego z Andrzejem Kuroniem, Liberte, 2014 r.

eprasa.pl ce60f33c89

MIŚ I SZKLANKA. CO ZOSTAJE PO LUDZIACH?



• Stanisław Koralewski prowadzi we Wrocławiu antykwariat. – Misia Stasia uratowałem w ostatniej chwili. I stał się częścią mojego życia – mówi

FOT. KRZYSZTOF ZATYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nasza klientka pracuje z dziećmi z domów dziecka. Tworzy kolekcje ze starych zdjęć ludzi podobnych do siebie. A potem ustawia je dziecku na biurku.

ZE **STANISŁAWEM KORALEWSKIM,** AUTOREM KSIĄŻKI „W CUDZYCH DOMACH. WYZNANIA ANTYKWARIUSZA" ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

Dlaczego ludzie kupują zdjęcia obcych osób?
– Potrzebujemy czuć łączność z przeszłością, jakiś rodzaj ciągłości dziejowej.

Patrząc na cudzą rodzinę?
– Nie ma znaczenia, czyja to rodzina. Ważne, że to rodzina ze świata, do którego czuję przynależność. To ludzie, którzy stworzyli świat, w którym żyję.

Nawet jeśli to powstałe w 1935 roku zdjęcie niemieckiej rodziny, o której poglądach politycznych nic nie wiem?
– Nawet wtedy. Na Dolnym Śląsku to przecież ludzie, którzy – chcemy tego czy nie – stworzyli świat, którego częścią się staliśmy. Zdjęcia są czymś szczerym, autentycznym. Gdy przyglądamy się przedwojennym fotografiom, widzimy ludzi takimi, jakimi dzisiaj już nie umiemy być. Jest w nich często coś dostojnego, ale też zabawnego. Są dziwni dziwnością, którą dzisiaj trudno nam uchwycić na zdjęciach robionych smartfonem.

Można nawiązać relację z takim fantomowym przodkiem?
– Jedna z naszych klientek pracuje z dziećmi z domów dziecka. Opracowała coś w rodzaju autorskiej terapii polegającej na kompletowaniu rodzin dla tych dzieci. Tworzy małe kolekcje ze zdjęć ludzi podobnych do siebie, a następnie takie zdjęcia ustawia dziecku na biurku czy wiesza w jego pokoju. Najbardziej ją cieszy, gdy trafi na zdjęcia jednej osoby zrobione na różnych etapach jej życia. To sprawia, że dana osoba zyskuje historię.

Dzięki takiej kolekcji dzieci mogą w jakiś sposób poczuć się lepiej. Mogą też trochę wzmocnić swoją tożsamość. Bo przecież co to jest tożsamość? To rodzaj opowieści, która często nie ma nic wspólnego z faktami. Czemu by nie użyć do jej zbudowania ludzi z dawnych fotografii?

Jak często jesteś zapraszany do cudzych mieszkań, by wycenić przedmioty?
– Staram się nie przekraczać dwóch lub trzech wizyt tygodniowo. Dominują wizyty pośmiertne, zdarzają się też przeprowadzki. Jeśli ktoś ma pięćdziesiąt książek, to wystarczy, że prześle mi zdjęcie. Ale jeśli to cały księgozbiór, to oczywiście trzeba pojechać i go zobaczyć.

Wchodzisz do takiego mieszkania i kogo spotykasz?
– Rodzinę nieboszczyka. Choć, wiesz... gdy teraz o tym myślę, to widzę, że w mieszkaniach po zmarłych częściej spotykam wdowy niż wdowców. Kobiety – córki, partnerki, siostry. Rzadko są to mężczyźni. Gdy już są w mieszkaniu, to najczęściej w towarzystwie kobiety – brat z siostrą, córka z mężem.

Jak długo mieszkania czekają na opróżnienie ?
– Bardzo różnie. Na ogół kilka miesięcy. Ale zdarza się, że wchodzę do mieszkań, które nie były użytkowane od kilku dekad. Widzę, że ktoś zmarł w latach 80. XX wieku, i od tego czasu niczego nie ruszono. Zdarzają się też przypadki na odwrót – gdy na drzwiach wejściowych jeszcze wisi klepsydra. Może rodzina zmarłego mieszka za granicą, przy-

eprasa.pl ce60f33c89

jechała na pogrzeb i chce jak najszybciej zamknąć sprawę? Nauczyłem się niczemu nie dziwić.

Są emocje?
– Bardzo dużo emocji. Nasiąkam nimi jak gąbka. Niby się przyzwyczaiłem, ale wciąż potrafią mnie te sytuacje zaskoczyć.

Jesteś świadkiem rozpaczy?
– Niekiedy, ale też ulgi, spokoju czy nawet radości. Często spotykam starsze kobiety, które czują, że odchodzą, i chcą uporządkować swoje życie tak, by po śmierci „nie robić kłopotu". Niektóre z nich usłyszały od dzieci, że wyrzucą wszystko, co zgromadziły. Podczas takich wizyt zdarza mi się usłyszeć: „Ale ten wazonik to nie, bo córka sobie odłożyła".

Starsi ludzie często żałują przedmiotów, które zgromadzili, ale też wiedzą, że ich dzieci nie mają gdzie tego przechowywać, mają swoje życia z innymi przedmiotami.

Nie jest tak, że bardzo lubię takie sytuacje. Oczywiście, że łatwiej jest przyjść, wycenić, kupić i powiedzieć: „do widzenia". Po co mi te emocje? Tylko że w tym zawodzie nie można uciekać przed cudzymi emocjami. My, antykwariusze, musimy wysłuchać, czasem delikatnie pocieszyć, a jednocześnie zawsze być profesjonalistami i w miarę możliwości zachowywać zimną krew. Tylko potem... wylewa się to z człowieka. Dlatego napisałem książkę „W cudzych domach", w której zamieściłem ponad sto miniatur poświęconych takim wizytom.

Kto twardziej negocjuje ceny – starsi czy rodziny zmarłych?
– Nie ma reguły. Dla jednych liczy się ocalenie przedmiotu, dla innych cena.

Gdy cena nie ma większego znaczenia, ważne staje się to, że przedmiot zyskuje szansę na przedłużenie żywota. Są też klienci, którzy ostro negocjują, czasem wręcz absurdalnie. Nie chodzi o pazerność, tylko o pamięć, której nie da się wycenić, a za którą mimo to jednak próbujemy uzyskać jak największą sumę, bo „to była ulubiona szklanka dziadka". Co z tego, że jest warta pięć złotych, skoro była cenna dla osoby, którą kochaliśmy. Takie sytuacje wymagają ode mnie spokoju i taktu.

Mówisz o ocaleniu przedmiotów, ale antykwariat to jednak nie muzeum...
– Oczywiście nikomu nie zagwarantuję, że nasi klienci nie pozbędą się kiedyś tych rzeczy, ale większość osób, które kupują w antykwariatach, wkłada wiele energii w to, by rzeczy przetrwały. Zwłaszcza że ciągle brakuje przedmiotów.

Co przez to rozumiesz?
– Obiekty zbierane przez kolekcjonerów rzadko trafiają do antykwariatów. Najczęściej są dziedziczone z pokolenia na pokolenie, a jeśli już zostają „uwolnione", to przeważnie są sprzedawane na aukcjach lub trafiają do zbiorów muzealnych. Pozostałe obiekty przeważnie ulegają zniszczeniu – palą się, tłuką, degenerują. Dlatego ciągle przesuwa się granica tego, co jest interesujące dla antykwariusza.

Jak ta granica przesunęła się w ostatnich dekadach?
– Teoretycznie – zależnie od przepisów – za antyki uważa się przedmioty, które mają przynajmniej 50 lub 100 lat. Jednak w Polsce granicę antyku wyznaczyła II wojna światowa. Były rzeczy przedwojenne i powojenne – te drugie bardzo długo nikogo nie interesowały. Nawet gdy w latach 90. XX wieku minęło 50 lat od zakończenia wojny, nadal nasze zainteresowanie obejmowało wyłącznie rzeczy sprzed 1945 roku. Bariera pękła jakieś 10, może 15 lat temu.

Dlaczego pękła?
– Wziąłbym pod uwagę dwa czynniki. Po pierwsze, zaczęli umierać projektanci, a zawsze jest tak, że – jakkolwiek brutalnie to brzmi – nic tak nie pomaga zainteresowaniu czyjąś twórczością, jak śmierć tej osoby. Obserwowałem to zjawisko w 2019 roku, gdy zmarł zaprzyjaźniony z naszym antykwariatem Zbigniew Horbowy. Zainteresowanie jego projektami – choć już wcześniej widoczne – wręcz eksplodowało.

Po drugie, trzeba też docenić rolę młodszego pokolenia historyków sztuki, kuratorów czy po prostu fascynatów, którzy najpierw zachwycili się PRL-owską architekturą, a następnie designem. Pojawiły się opracowania, katalogi, informacje o twórcach i twórczyniach. W efekcie szkło i ceramika z PRL, zwłaszcza z lat 60. i 70., są dzisiaj niezwykle popularne.

Na tym jednak się nie zatrzymujemy. Dzisiaj w antykwariatach można znaleźć już nawet przedmioty związane z latami 90. – zabawki, karty kolekcjonerskie czy lampki z Ikei.

Wróćmy do 1945 roku. We Wrocławiu i na Ziemiach Odzyskanych to granica niezwykle ostra.
– To przede wszystkim granica języka. Ci, którzy zasiedlali te ziemie w 1945 roku i kolejnych latach, bardzo często nienawidzili niemieckiego. Masowo niszczono wtedy księgozbiory. Gdy w nutach strona tytułowa była w tym języku, wyrywano ją. Na szczęście polska inteligencja, która osiedlała się na Dolnym Śląsku, przechowała część przedmiotów.

Granicę 1945 roku potrafię czasem dostrzec w mieszkaniach, które odwiedzam. W mieszkaniach przedwojennej inteligencji zachowało się niewiele przedmiotów sprzed wojny, za to większość w bardzo dobrym guście. Podczas przesiedleń, wyprowadzek ze Lwowa, Krakowa czy innych miast musieli dokonać selekcji tego, co ocalą. Wybierali rzeczy najcenniejsze. Zdarzają się też mieszkania, w których znajduję mnóstwo przedmiotów sprzed wojny przywiezionych gdzieś z centralnej Polski czy Lwowa. Jak im się to udawało?

Mit przesiedleńczy głosi, że ludzie przyjechali tu bydlęcymi wagonami i z jednym tobołkiem...
– ...i palili w piecach niemieckimi książkami. Tak, na pewno wiele osób paliło, ale byli też tacy, którzy zachowali księgozbiory ludzi, do których mieszkań weszli. Z punktu widzenia antykwariusza takie mieszkania są czymś fantastycznym. Miejscami, w których wszystko się przenika.

Znajdujesz przedmioty z czasów nazistowskich?
– Tak. Najczęściej talerze i sztućce ze swastykami. Niekiedy jakieś dokumenty z czasów narodowego socjalizmu. Czasem można się natknąć na album „Olympia 1936" ze zdjęciami Leni Riefenstahl. Wydano go w gigantycznym nakładzie – niektóre źródła mówią nawet o dwóch milionach egzemplarzy. Może to było jednak trochę zbyt ładne, by trafić do pieca?

Oczywiście większość rzeczy zniszczono. Jestem przekonany, że na strychach i w piwnicach znaleźlibyśmy niejeden taki kłopotliwy przedmiot. Zresztą, jeśli ktoś chce sprzedawać takie przedmioty, nie idzie do polskiego antykwariatu, a nabywców szuka w Niemczech.

Gdy przychodzimy do antykwariatu, raczej domyślamy się, że większość przedmiotów była kiedyś w mieszkaniach ludzi, którzy nie żyją. Jak ta świadomość wpływa na kupujących?
– Dla naszych klientów to często coś wręcz ekscytującego. Potrzebujemy przedmiotów z historią. Najlepiej świadczy o tym fakt, że bardzo często próbuje się im tę historię przypisać. Książka z nadpalonym rogiem? Oczywiście, że uratowana z powstania warszawskiego. Obraz, który zwinięty w rulon przeleżał gdzieś na strychu? Pamiątka po pradziadku, który brał udział w powstaniu styczniowym lub był zesłany na Sybir. Jakby pożar nie mógł wybuchnąć, bo ktoś przewrócił świeczkę, a obraz po prostu się nie spodobał i szybko został zdjęty z krosna. Nasza wyobraźnia chętnie przypisuje rzeczom przygodowe i szalone życie.

Ważną kategorią są rzeczy „autentyczne". Książka z autografem, obraz, który wisiał w czyimś salonie, co potwierdza zachowane zdjęcie. Dzisiaj do tego dochodzi rękodzieło, przedmioty, na których zachował się odcisk człowieka.

Dzisiaj już nawet masowo produkowane przedmioty „designerskie" udają rękodzieło i podrabiają np. odcisk palców, by klient czuł „autentyczność". Wszystko przez to, że boimy się całkowitego zawładnięcia światem przez maszyny.

Czy któryś z przedmiotów, jakie możemy zobaczyć w Szarlatanie, jest ci szczególnie bliski?
– Miś Staś. Siedzi na kanapie i każdy może się do niego przytulić. To też przedmiot z czyjegoś życia. Byłem u klientki, która odziedziczyła mieszkanie. Przeszliśmy już przez kolejne pokoje, kuchnię. Pani była bardzo otwarta i pozwoliła mi zajrzeć do każdej szafki. Gdy wychodziłem, zobaczyłem, że na korytarzu stoją wielkie, niebieskie worki na śmieci. Nauczony doświadczeniem zapytałem, czy mogę do nich zajrzeć. Okazało się, że w jednym z nich był miś z dzieciństwa tej kobiety. Do tego mój imiennik. Uratowałem go niemal w ostatniej chwili. I tak miś Staś stał się częścią mojego życia.

Nie było jej przykro, gdy zobaczyła, że doceniasz coś, co sama wyrzuciła?
– Nie. Przeważnie zresztą sytuacja jest odwrotna. Ludzie są na mnie źli, że nie doceniam tego, co jest dla nich ważne. Chodzi o docenienie w postaci konkretnej kwoty, ale też o samo zainteresowanie danym przedmiotem.

Sami też często nie doceniamy tego, co posiadamy. Ludzie często przychodzą i mówią: „Miałam dziesiątki takich wazoników!". Zanim wyrzucimy coś starego, warto przyjść do antykwariatu i się skonsultować. Wtedy mamy szansę nie tylko na zarobek, ale też przekazanie rzeczy kolejnym pokoleniom.

Ludzie niedoszacowują?
– Najczęściej jednak spotykam takich, którzy uważają, że mają w ręku skarby, a ja tego nie doceniam.

Ostatnio ten problem się nasilił, bo klienci, zanim przyjdą do antykwariatu, pytają chatboty o cenę. Maszyny niemal zawsze zawyżają ceny, bo opierają się na danych aukcyjnych, rekordach i rzadkich przypadkach. Nie wspominając już o tym, że często błędnie rozpoznają przedmioty.

Wydaje nam się, że książka sprzed 50 lat ma jakąś szczególną wartość, a tak nie jest. Kiedyś była u mnie starsza pani z synem. Przynieśli książkę zawiniętą bardzo dokładnie w folię bąbelkową. Ucieszyłem się. Pomyślałem, że przynieśli coś naprawdę unikatowego. Po kilku chwilach rozwijania moim oczom ukazała się wydana w latach 80. XX wieku książka Elizy Orzeszkowej. Powiedziałem, że niestety, wartość takiej książki jest minimalna. Gdy państwo wychodzili, syn powiedział do matki: „Nie stać go".

Książki to chyba niezbyt dobra lokata kapitału?
– Przeważnie bardzo słaba.

Kiedyś byłem u pana, który odziedziczył mieszkanie i olbrzymi księgozbiór po swoim kuzynie. Kuzyn, jak się dowiedziałem, był zamieszany w jedną z głośniejszych kradzieży w czasach PRL. Przestępców było kilku. Podzielili się łupem, zanim milicja wpadła na ich trop. Po zatrzymaniu próbowano odzyskać pieniądze z kradzieży. U kuzyna mojego klienta nie znaleźli ani grosza. Facet odsiedział swoje, po wyjściu z więzienia znalazł jakąś uczciwą pracę. Pytanie: gdzie były pieniądze?

Otóż ten kuzyn złodziej był też miłośnikiem książek. I większość swojej części łupu wydał na książki. Gdyby milicjanci, którzy przeszukiwali jego mieszkanie, przyjrzeli się tytułom na półkach, zobaczyliby, że niemal wszystkie pochodzą z tego samego roku. Facet po prostu wykupił całą księgarnię. Niestety, książki nie okazały się najlepszą lokatą pieniędzy z kradzieży. Po latach ich wartość drastycznie zmalała.

Czego się dowiedziałeś o sobie, rozmawiając z ludźmi, którym niedawno ktoś umarł?
– To jest taki walec, który mnie stale rozjeżdża. Przyjemniej jest zajmować się swoimi sprawami niż cudzymi zmarłymi. W naszej kulturze umówiliśmy się, że każdy ma „swoich" zmarłych i nie angażuje w to przyjaciół czy sąsiadów.

A co mi to dało? Wiesz... chyba pozbawiło mnie złudzeń, jakichś fałszywych wyobrażeń o sobie i życiu.

Co przez to rozumiesz?
– Że wiem, co jest w życiu ważne, a co nie.

Co jest prawdziwe i ważne?
– Miłość.

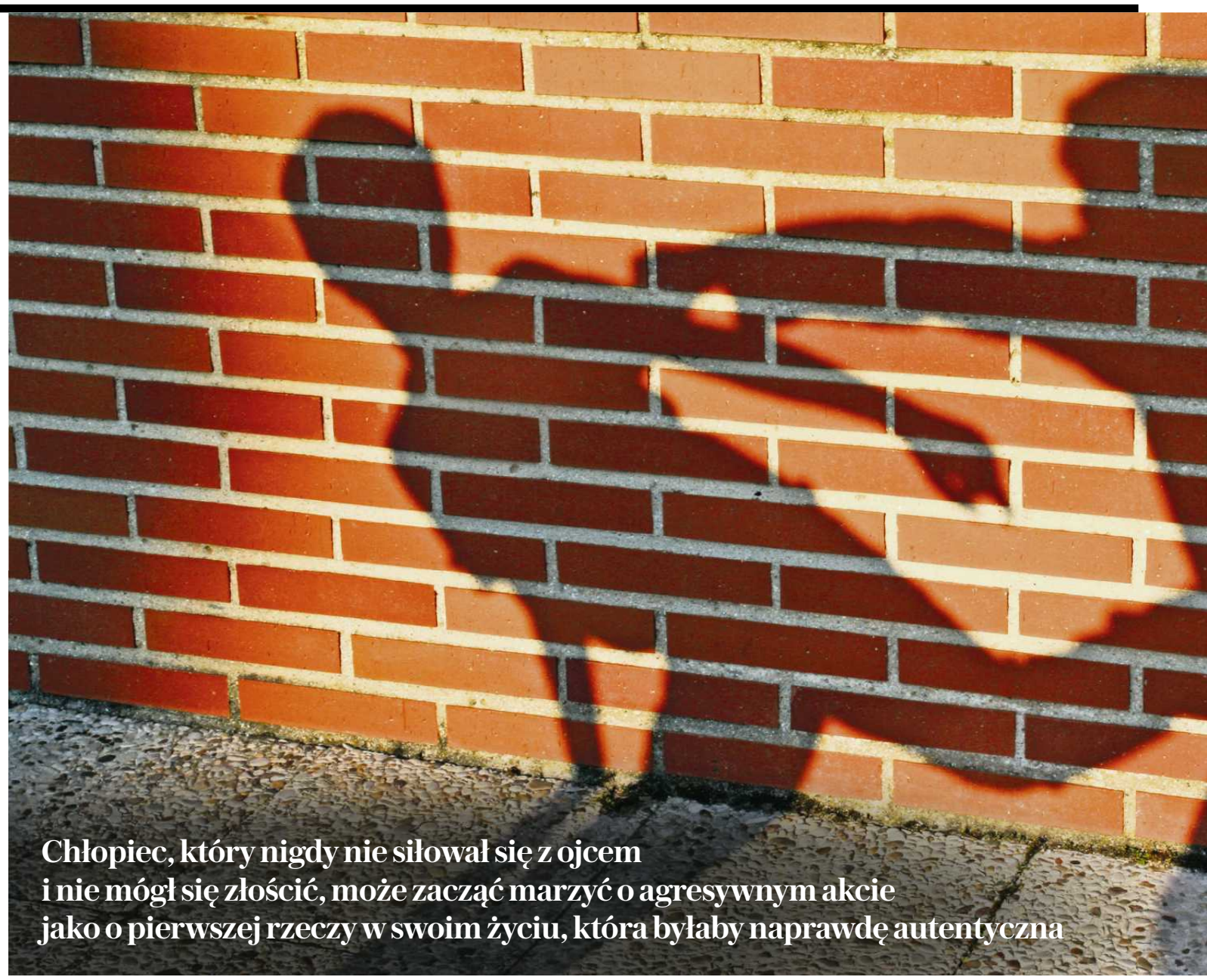
Pamiętamy, że to była ulubiona szklanka męża, ale przecież nie o szklankę nam chodzi. Gdy włączymy serwis społecznościowy czy otworzymy gazetę, widzimy tysiące spraw, którymi mamy się przejmować. Ale to wszystko jest nieważne. Ważna jest ta druga osoba. To, że ktoś się krząta w kuchni czy siedzi w fotelu. ●

> Starsi ludzie często żałują przedmiotów, które zgromadzili, ale też wiedzą, że ich dzieci mają swoje życia z zupełnie innymi przedmiotami.



Stanisław Karalewski
„W cudzych domach. Wyznania antykwariusza"
Wydawnictwo Szarlatan
Wrocław 2026

eprasa.pl ce60f33c89



Chłopiec, który nigdy nie siłował się z ojcem i nie mógł się złościć, może zacząć marzyć o agresywnym akcie jako o pierwszej rzeczy w swoim życiu, która byłaby naprawdę autentyczna

PIESEK YNK UCZY SIĘ OBSŁUGI NOŻA

Z **PAWŁEM DROŹDZIAKIEM*** ROZMAWIA **KRYSTYNA ROMANOWSKA**

Czy człowiek rodzi się agresywny? Kanadyjski psycholog Richard Tremblay, który przez lata badał rozwój agresji fizycznej u dzieci, wykazał, że pojawia się ona bardzo wcześnie, a szczyt osiąga zwykle między drugim a czwartym rokiem życia. Potem większość dzieci stopniowo uczy się ją kontrolować. Z kolei badania bliźniąt wskazują, że czynniki genetyczne wyjaśniają znaczną część różnic w poziomie agresywności między ludźmi. Czy to znaczy, że przychodzimy na świat z określonym zasobem agresji?

– O tym, w jakim stopniu ktoś jest agresywny i jakie formy przybierze jego agresywność, decydują trzy czynniki. Geny, środowisko rówieśnicze i wychowanie. W tej kolejności.

Zwykle wpływ domu mocno się przecenia, a wpływu pierwszych dwóch nie docenia. Z tym że te czynniki mogą się przeplatać, bo na przykład dziecko o określonych predyspozycjach wrodzonych może częściej trafiać do określonych grup rówieśniczych, stąd ten obraz nie zawsze jest jasny.

Jednak generalnie, jeśli chodzi o agresję, normy rówieśnicze będą dla dziecka często ważniejsze niż normy sugerowane przez rodziców. Wpływ rodziców może więc polegać raczej na zwracaniu uwagi, z kim dziecko się kontaktuje niż na prostym sugerowaniu wzorców. Choć oczywiście i to ma pewien wpływ, ale trzeba pamiętać, że dzieci są istotami bardzo społecznymi.

Biologia reguluje skłonność, a środowisko sugeruje formy. Od urodzenia różnimy się temperamentem, między innymi reaktywnością emocjonalną, podatnością na frustrację czy zdolnością regulowania pobudzenia. Z czasem to odzwierciedla się w cechach osobowości, takich jak ugodowość czy impulsywność. Wszystkie te właściwości mają istotny komponent genetyczny.

Wzorce zachowań agresywnych bardzo zależą od płci. Zwykle słyszymy, że za męską agresywność odpowiada testosteron. To tylko część prawdy, bo po pierwsze, tu nie chodzi tylko o ten jeden hormon, a po drugie – ten hormon reguluje wiele rzeczy, niekoniecznie po prostu agresję.

Druga sprawa to kultura, która w ogromnym stopniu decyduje o tym, jakie formy może agresja przybierać. Ludzie w różnych społeczeństwach mogą przeżywać podobną złość, ale zupełnie inaczej ją okazywać. Proszę sobie wyobrazić, że żyjemy w społeczności, w której odcięcie głowy pokonanemu wrogowi jest uznawanym elementem wojennego obyczaju. Dla nas to niewyobrażalne okrucieństwo, ale są miejsca na świecie, gdzie to wciąż funkcjonuje.

Jeszcze w XIX wieku w Europie obrażony mężczyzna mógł wyzwać drugiego na pojedynek, a następnie go zabić. To nie znaczy, że był bardziej rozzłoszczony niż my dziś bywamy. Zmieniła się forma ekspresji, nie emocja.

Pojedynkowanie mieściło się w obowiązujących normach obyczajowych, choć prawo go zabraniało. W pewnych środowiskach obyczaj nie tylko dopuszczał takie zachowanie, lecz wręcz go wymagał. Odmowa pojedynku mogła oznaczać utratę honoru.

– Mogło być nawet tak, że złości było dużo mniej niż w kłótni dwóch kierowców, kto komu drogę zajechał. Ale normy środowiskowe nakazywały „żądać satysfakcji". Warto odróżnić złość, którą człowiek odczuwa, od zachowań, w jakich ją ujawnia. To, co robimy z własną złością, w dużej mierze zależy od kultury, obyczajów i środowiska, w którym żyjemy.

Jest wreszcie trzecia rzecz: nasze indywidualne doświadczenia. Agresja może być reakcją na to, co dzieje się w naszym życiu. Dziecko, które przeżywa trudną sytuację rodzinną może zacząć zachowywać się agresywnie, choć przecież jego biologiczne predyspozycje się nie zmieniły. Zmieniły się okoliczności, a agresja stała się sposobem radzenia sobie z napięciem. Inne dziecko w identycznej sytuacji może się wycofać, zamknąć w sobie, reagować lękiem albo smutkiem. To, które ma większą skłonność do agresywnych reakcji, prawdopodobnie właśnie w ten sposób będzie wyrażało emocje.

Co współczesne społeczeństwo zrobiło z agresją? Żyjemy w kulturze porozumienia bez przemocy, uczymy dzieci nazywania emocji, odchodzimy od kar fizycznych, coraz częściej uznajemy nawet drobne zaczepki za naruszanie granic. I słusznie, ale czy próbując usunąć agresję z życia społecznego, nie usunęliśmy również pewnych potrzebnych doświadczeń?

– Żyjemy w instytucjach, organizacjach, regulaminach, procedurach, korporacjach, zależnościach prawnych, więc cały ten system wymaga bardzo wysokiego poziomu współpracy i przewidywalności zachowań. Otwarta agresywność zwyczajnie nie mieści się w tym. Ale kiedy zaczynamy mówić o dzieciach, sprawa robi się bardziej skomplikowana. Musimy rozróżnić rodzaje agresji, ponieważ pod jednym słowem umieszczamy zachowania, które mogą mieć zupełnie inną dynamikę psychologiczną, społeczną, a nawet biologiczną.

Czymś innym jest przecież zwyczajne klasowe czy podwórkowe łobuzowanie, kiedy dzieciaki biegają, przepychają się, biją, przewracają różne rzeczy, czasem coś zniszczą, jeden drugiemu da w nos, i czasem jest w tym element fizycznej rywalizacji, a czasem tylko impulsywności, w sensie pewnego nieprzemyślanego działania. Często takie zachowanie szybko się zaczyna i równie szybko kończy, dzieci robią to jawnie, w grupie, w obecności innych dzieci. Ma to charakter w jakimś sensie pierwotny.

Czymś innym jest agresja internetowa. Ale i w jej obrębie musimy odróżnić sytuację, w której grupa uczniów wyśmiewa jednego kolegę – taka rówieśnicza cyberprzemoc, której konsekwencje oczywiście mogą być tragiczne – od sytuacji, w której ktoś zaczyna budować w internecie alternatywny świat, tworzyć kult przemocy, jej mistykę, legendę czy wręcz quasireligijną ideologię, fantazjuje o dokonaniu wielkich aktów przemocy, opowiada o nich i buduje wokół nich własną tożsamość.

Dziecko, które na szkolnym boisku przepycha się z kolegami i bierze udział w różnych awanturach, nie musi mieć nic wspólnego z młodym człowiekiem, który konstruuje w internecie opowieść o tym, że któregoś dnia wymorduje ludzkość. Tam mamy coś, co niekoniecznie musi występować przy prostym szkolnym łobuzowaniu. Ono może przerodzić się w groźne nękanie, zaszczuwanie wybranej ofiary – ale jednak to nie jest symboliczne ustanawianie przemocy jako elementu tożsamości.

To są różne mechanizmy i bardzo możliwe, że także zupełnie inne problemy psychiczne. Wiele badań pokazuje zresztą, że te grupy słabo albo wcale się nie pokrywają

Czyli niekoniecznie powinniśmy szukać przyszłych sprawców najpoważniejszych aktów przemocy wśród tych chłopców, którzy najczęściej wdają się w bójki?

– Właśnie o to chodzi, przy czym od razu muszę zrobić zastrzeżenie, że mówię o mechanizmach, które znamy z badań nad różnymi grupami sprawców, a nie o konkretnych wydarzeniach, które miały ostatnio miejsce w Polsce, ponieważ nie znam materiałów dotyczących tych spraw i nie mam podstaw ani uprawnienia do stawiania im diagnoz.

Natomiast wyobraźmy sobie sytuację, w której nagle grupa młodych ludzi zaczyna opowiadać w internecie, że ma wytypowane jakieś dzielnice i zamierza mordować tamtejsze dzieci. Pojawia się pytanie, kim są. Czy to są ci sami chłopcy, którzy łobuzują w szkole, przepychają się, biją i awanturują?

Nie powinniśmy automatycznie zakładać, że tak jest, ponieważ otwarta, żywiołowa agresywność, związana z fizyczną rywalizacją i uczestnictwem w grupie, jest czymś innym niż skryte budowanie fantazji o przemocy, konstruowanie wokół niej własnej legendy

eprasa.pl ce60f33c89



FOT. GETTY IMAGES

i czerpanie satysfakcji z tego, że inni ludzie reagują przerażeniem na te fantazje.

To, że dziecko jest żywiołowe, impulsywne, zaczepne, że uczestniczy w różnych grupowych wygłupach, nie oznacza, że będzie zainteresowane takim rodzajem przemocy, i odwrotnie, dziecko, które w ogóle nie przejawia otwartej agresywności, może mieć bardzo rozbudowany wewnętrzny świat agresywnych fantazji.

W badaniach nad przemocą rówieśniczą pojawia się kategoria sprawców-ofiar, czyli dzieci, które same doświadczają przemocy, ale również ją stosują. Często mają trudności z odnalezieniem się w grupie. W rozmowach do mojej książki „To był tylko żart" o przemocy rówieśniczej prof. dr hab. Aleksandra Tłuściak-Deliowska z Akademii Pedagogiki Specjalnej opisuje osobliwą grupę uczniów, którzy nie są popularnymi klasowymi agresorami, lecz raczej osobami wycofanymi, funkcjonującymi gdzieś na obrzeżach grupy. Czy to jest właśnie ten mechanizm?
– Może być, chociaż musimy uważać, żeby nie tworzyć z tych dzieci jednej kategorii diagnostycznej, ponieważ to nie jest grupa jednorodna klinicznie i nie ma jednego zaburzenia, które tłumaczyłoby wszystkie takie przypadki.

Natomiast sytuacyjnie rzeczywiście coś może te dzieci łączyć i bardzo często jest to poważny problem z adaptacją w grupie rówieśniczej. Taki chłopiec może czuć się nieadekwatny, obcy, niezdolny do porozumienia się z innymi, może mieć trudności komunikacyjne i na różne sposoby czuć odmienność od rówieśników.

Przyczyny bywają bardzo różne, ale wszystkie mogą prowadzić do podobnej funkcjonalnie sytuacji wyobcowania. Nie biorąc udziału w zwyczajnym życiu grupy: kuksańcach, meczach, wygłupach, nie jest otwarcie zaczepny i nie funkcjonuje w tej spontanicznej wymianie między chłopcami, w której ktoś kogoś potrąci, ktoś się z kimś posprzecza, ktoś komuś coś zabierze, a za chwilę wszystko jest w porządku. Takie dziecko pozostaje trochę poza tym światem.

Badacze mówią, że dzieci się od niego dystansują, intuicyjnie czując, że jest „coś nie tak". Ale co jest pierwsze? Czy grupa odrzuca chłopca, ponieważ zachowuje się inaczej, czy to odrzucenie sprawia, że zaczyna zachowywać się coraz bardziej niepokojąco?
– Tego bardzo często nie wiemy, ponieważ to jest pytanie o kierunek zależności, czyli o to, czy pewna odmienność, którą rówieśnicy wyczuwają, istniała wcześniej i przyczyniła się do wyobcowania, czy przeciwnie, dopiero długotrwałe wyobcowanie doprowadziło do powstania tej odmienności.

Możliwe są różne scenariusze, dziecko może być od początku inne, mieć trudności z komunikowaniem się, a grupa może na tę inność reagować dystansem, szyderstwem czy prowokacjami, ale może być również tak, że dziecko staje się coraz bardziej zamknięte właśnie dlatego, że doświadcza odrzucenia. Często oba kierunki zależności się wzajemnie wzmacniają.

Jeśli taki młody człowiek w pewnym momencie wybucha, akt agresji dla otoczenia jest zaskakujący, ponieważ wcześniej nie widziano u niego typowych zachowań agresywnych. On jednak przez długi czas mógł przeżywać bardzo silne napięcie, nie mając możliwości jego zakomunikowania.

Oczywiście, nie zawsze mamy do czynienia z takim samym mechanizmem, czasami to jest dziecko, które doświadcza zorganizowanego prześladowania, jest systematycznie dręczone i zaczyna fantazjować o zemście, o odwróceniu ról, o tym, że któregoś dnia pokaże wszystkim, kto naprawdę ma władzę. Nie przypadkiem to bardzo znany motyw literacki.

„Carrie" Stephena Kinga?
– Dobry przykład. Zresztą to niezła książka, a serial jest bardzo dobry i pod pewnymi względami nawet bardziej pogłębiony niż sama powieść, co przecież nieczęsto się zdarza.

Mamy dziewczynę, która doświadcza upokorzenia i odrzucenia, ale jednocześnie jej sytuacja psychiczna jest znacznie bardziej złożona niż prosta opowieść o ofierze, która pewnego dnia postanawia się zemścić.

Gdybyśmy popatrzyli na nią klinicznie, to również nie byłoby wcale takie jednoznaczne, co się właściwie dzieje. Nie wszyscy bowiem wyobcowani młodzi ludzie mają ten sam problem. Ale wśród nich mogą znajdować się osoby, które zamiast otwarcie uczestniczyć w konfliktach, budują w wyobraźni coraz bardziej rozbudowane scenariusze przemocy.

Jest jeszcze jedna grupa, o której mówi się zdecydowanie rzadziej, a która mnie szczególnie interesuje.

Jaka?
– Chłopcy, którzy z różnych powodów zostali odcięci od własnej otwartej agresywności. Nie mają z nią kontaktu, nie znają jej, nie potrafią jej rozpoznać, nie umieją się nią posługiwać. Mogą odczuwać z tego powodu pewien brak, jakąś złość, rozczarowanie sobą i światem, i wtedy zaczyna się bardzo ciekawy proces, ponieważ oni zaczynają agresję romantyzować.

Romantyzować przemoc?
– To trochę jak z mieszkańcami wielkiego miasta, którzy śpiewają szanty o piratach, wyobrażając sobie pirackie życie jako coś niesłychanie romantycznego. Prawdziwy pirat był człowiekiem zdolnym do niewyobrażalnego okrucieństwa. Ktoś, kto nigdy nie zetknął się z realną przemocą, może ją sobie wyobrażać jako coś pięknego, podniosłego, wyzwalającego.

Przypomina mi się Ynk, piesek z „Zimy Muminków", który marzył o tym, żeby zostać wilkiem, ponieważ wyobrażał sobie wilki jako

Jeżeli nieustannie opowiadamy, że nastolatki chodzą z nożami, że noże stały się jakimś symbolem współczesnej młodzieży, to dla części dzieciaków, które szukają sposobu wyrażenia swoich problemów, taki obraz może stać się atrakcyjny

istoty dzikie, wspaniałe, wolne, niepodlegające żadnym ograniczeniom. Tylko że nie miał pojęcia, czym naprawdę jest wilcze życie. Podobnie może być z chłopcem, który nigdy nie miał kontaktu ze swoją agresywnością, nigdy nie doświadczył jej w zwyczajnych sytuacjach – dla niego rozpoznanie własnych impulsów staje się abstrakcją, która może fascynować. Zaczyna o niej marzyć, buduje wokół niej jakieś narcystyczne wyobrażenia, fantazjuje o własnej sile, o przekroczeniu granic, o tym, że któregoś dnia zrobi coś, czego nikt wcześniej nie zrobił. Nie rozumie jednak, o czym właściwie marzy.

I wtedy nie musi występować żadna konkretna krzywda, bo chodzi nie tyle o pragnienie zemsty na kimś, ile o pragnienie stania się kimś innym

A potem może próbować te fantazje zrealizować?
– Czasami właśnie tacy ludzie popełniają straszne głupstwo, a później siedzą na sali sądowej i są autentycznie zrozpaczeni, ponieważ nagle dociera do nich, że to wszystko wydarzyło się naprawdę, oni naprawdę to zrobili. Słysząc wyrok, mają zdumione miny, bo nagle uświadamiają sobie, że ktoś rzeczywiście został skrzywdzony, a oni naprawdę są w więzieniu i ich życie zostało zniszczone.

Jak to się dzieje, że chłopiec zostaje odcięty od własnej agresywności? Co takiego może wydarzyć się w jego rodzinie, żeby nie miał kontaktu z czymś, co przecież jest naturalną częścią ludzkiej psychiki?
– W niektórych rodzinach może istnieć system komunikacji, z którego agresja jest całkowicie wyparta, nie można jej nazwać, nie można jej wyrazić, a czasami nie można nawet przyznać, że istnieje powód do złości. To jest szczególnie interesujące, ponieważ komunikaty przekazywane dziecku mogą być podwójne: z jednej strony nie ma możliwości sprzeciwu, a z drugiej – nie może powiedzieć, że coś jest nie w porządku. Nie wolno mu zaprotestować, a jednocześnie nie wolno mu zauważyć, że miałoby przeciwko czemu protestować. Emocje zostają niejako unieważnione.



FOT. JACEK MARCZEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Paweł Droździak

• Psycholog, psychoterapeuta, mediator rodzinny. Autor książek „Zawsze Bezpieczna. Psychologiczne aspekty samoobrony kobiet" i „Zdrada. (Nie)wierna towarzyszka związków", współautor książki „Blisko, nie za blisko".

Rodzina może być na pozór bardzo spokojna, troskliwa, bezpieczna, a jednocześnie nie zostawiać dziecku miejsca na własne impulsy. Takie dziecko od początku żyje w niezwykle bezpiecznym, uporządkowanym świecie, w którym wszystko jest eleganckie, przewidywalne, odpowiednie. Chodzi o pewien rodzaj sztuczności, o świat, w którym jakby zaprzecza się temu, że dziecko jest dzieckiem, że ma swoje impulsy, potrzeby, złość, żywiołowość, nieprzewidywalność. Wszystko jest zaaranżowane, właściwe, bezpieczne – Duduś z „Podróży za jeden uśmiech".

Taki chłopiec może zacząć marzyć o agresywnym akcie jako o pierwszej rzeczy w swoim życiu, która byłaby naprawdę autentyczna, o czymś, co pozwoliłoby mu przekroczyć ten sztuczny świat, wyrwać się z niego, wreszcie poczuć, że istnieje. Zaczyna więc opowiadać o tym, jak bardzo fałszywe jest społeczeństwo, jak bardzo zakłamani są ludzie, jak wszystko wokół jest nieprawdziwe.

Przemoc jako sposób na odzyskanie autentyczności?
– W jego wyobraźni może to tak wyglądać. Proszę przypomnieć sobie „Kompleks Portnoya" Philipa Rotha. Kogo tam mamy? Młodego człowieka wychowanego w bardzo tradycyjnym, silnie uregulowanym środowisku rodzinnym, gdzie wszystko jest określone, wszyscy mają coś do powiedzenia, ciotki, rodzina, całe otoczenie. Nie ma miejsca na jego impulsywność.

On akurat odreagowuje to w kompulsywnej seksualności. Ale podobne napięcie, w innych okolicznościach i przy innej konstrukcji psychicznej, może znaleźć wyraz w fantazjach wielkościowo-agresywnych, w wyobrażeniu, że któregoś dnia zniszczę ten świat, pokażę wszystkim, jacy naprawdę są, udowodnię im, czym jest prawdziwy strach. To może być fantazja o dokonaniu czegoś tak niezwykłego, tak przerażającego, że „wszyscy wreszcie będą musieli mnie zauważyć", „wszyscy się będą mnie bali".

Rzecz jasna nie twierdzę, że takie wychowanie musi prowadzić do podobnych zachowań, mówimy o możliwych mechanizmach, a nie o prostym związku przyczynowo-skutkowym.

Musimy pamiętać, że młodzi ludzie mają różne problemy psychiczne, trudności z organizacją emocji, myślenia, poczucia własnej tożsamości, z wchodzeniem w relacje. Te trudności muszą jakoś znaleźć wyraz.

Wiemy z badań, że kultura podsuwa młodym ludziom nie tylko wzorce zachowania, lecz także sposoby wyrażania cierpienia. Podczas pandemii lekarze obserwowali przecież nastolatki, u których nagle pojawiały się zachowania przypominające tiki podobne do tych prezentowanych w popularnych filmach na TikToku. Badacze wskazywali, że serwisy społecznościowe mogły wpływać na formę tych objawów.

Z kolei badania nad tak zwanym efektem Wertera pokazują, że sposób przedstawiania samobójstw w mediach może sprzyjać naśladownictwu. Czy podobny mechanizm może dotyczyć przemocy? Czy chłopiec, który nie potrafi poradzić sobie z własnymi emocjami, może sięgnąć po akurat taki sposób ich wyrażenia, jaki podsuwa mu współczesna kultura?
– Sam problem psychiczny może pozostawać podobny, ale sposób jego przedstawiania może się zmieniać, w jednej epoce będzie to jedna forma zachowania, w innej zupełnie inna.

Tutaj ogromne znaczenie może mieć naśladownictwo. Nie chodzi o to, że każde dziecko naśladuje to, co zobaczy, ale dziecko, które ma jakiś problem, szuka sposobu jego wyrażenia, i jeśli w otoczeniu pojawia się pewien wzorzec, może go wykorzystać.

Na przykład, jeżeli bardzo dużo mówi się o samobójstwach młodych ludzi, o tym, że młodzież doświadcza myśli samobójczych, to

eprasa.pl ce60f33c89

część szczególnie podatnych osób może zacząć interpretować własne cierpienie przez ten właśnie wzorzec, dlatego sposób mówienia o takich sprawach ma znaczenie.

Podobnie może być z przemocą, ponieważ jeżeli nieustannie opowiadamy, że nastolatki chodzą z nożami, że noże stały się jakimś symbolem współczesnej młodzieży, to dla części dzieciaków, które szukają sposobu wyrażenia swoich problemów, taki obraz może stać się atrakcyjny.

A przecież współczesna agresja coraz częściej potrzebuje publiczności. W 2026 roku Michelle Wright i Shruti Soudi opublikowały badanie 767 uczniów ósmych klas. Okazało się, że popularność, rozumiana jako wysoka pozycja i widoczność w grupie, wiązała się z agresją relacyjną i cyberagresją, natomiast bycie rzeczywiście lubianym wiązało się z mniejszym nasileniem takich zachowań. Czyli można być popularnym, choć inni wcale nas nie lubią. Można imponować im agresją.

To jest bardzo ciekawe, bo platformy społecznościowe robią coś, czego wcześniej nie było w takiej skali: tworzą społeczeństwo spektaklu, w którym każdy może wyjść na scenę, zrobić show, odegrać swoje pięć minut, pokazać coś, co przyciągnie uwagę.

Proszę zobaczyć, co często robią dzieciaki na TikToku: opowiadają różne historie w niezwykle dramatyczny sposób. Mamy całą dramaturgię cierpienia, obrazy, płaczu, gestów, min, czasami nawet zachowań autodestrukcyjnych. Czasami stoi za tym rzeczywiste cierpienie, czasami poczucie braku znaczenia, niedostrzegania przez innych, czasami potrzeba uzyskania jakiejś reakcji, ale niezależnie od tego młody człowiek zaczyna występować przed publicznością, opowiada o sobie jako o pewnej postaci i w jakimś sensie karmi się reakcjami widzów.

To jest zupełnie nowy wymiar funkcjonowania społecznego. Proszę pójść na koncert, na którym jest dużo nastolatków – co one robią? Z jednej strony uczestniczą w koncercie, a z drugiej niemal wszystkie trzymają telefony i filmują to, co dzieje się na scenie. I można zapytać, dla kogo ty to właściwie filmujesz?

Przypomniała mi się scena z koncertu Robbiego Williamsa w Poznaniu. Pod sceną stała nastolatka z transparentem, że jej mama kocha Robbiego. Piosenkarz wziął od niej telefon, połączył się z matką i zaśpiewał dla niej „She's the One". Dziewczyna była zachwycona. Ale kiedy chwilę później stali obok siebie, a ona nadal próbowała wszystko nagrywać, Williams upomniał ją, żeby schowała telefon i po prostu cieszyła się chwilą.

Nawet kiedy dzieje się coś niezwykłego, młody człowiek może być bardziej zajęty dokumentowaniem własnego życia niż jego przeżywaniem. Czy dzisiejsi nastolatkowie potrzebują publiczności nawet do najbardziej osobistych doświadczeń? Czy bez nagrania, bez świadków, bez możliwości pokazania innym tego, co się wydarzyło, samo przeżycie wydaje im się mniej wartościowe?

– Okazuje się, że samo nagrywanie ma znaczenie, ponieważ nie tylko jest się na koncercie, ale w pewnym sensie także się występuje, przeżywa, bierze udział w wydarzeniu i staje się częścią spektaklu. Dokładnie ten sam mechanizm może pojawiać się przy przemocy.

To dlatego młodzi ludzie nagrywają bójki, upokarzanie kolegów, awantury z nauczycielami?

– Nie chodzi już tylko o to, że uczeń rzucił w nauczyciela koszem na śmieci, chodzi o to, że rzucił tym koszem, a ktoś go filmował. To zasadnicza różnica. Czy to jest wyłącznie akt agresji, czy również spektakl przygotowany dla publiczności?

Oczywiście: jedno nie wyklucza drugiego, zachowanie może być realnie agresywne, a jednocześnie mieć charakter przedstawienia, ale ta publiczność zmienia sytuację. Młody człowiek wie, że ktoś go ogląda, że nagranie może trafić do internetu, że inni będą je komentować, przesyłać dalej, reagować.

W niektórych rodzinach może istnieć system komunikacji, z którego agresja jest całkowicie wyparta, nie można jej nazwać, nie można jej wyrazić, a czasami nie można nawet przyznać, że istnieje powód do złości

Kiedyś dziecko, które robiło awanturę w klasie, miało za publiczność góra parudziesięciu uczniów, teraz potencjalnie może mieć tysiące albo miliony widzów. To ewidentnie wpływa na sposób, w jaki pewne zachowania są organizowane – nie chodzi wyłącznie o to, co młody człowiek zrobi, ale również o to, jak to będzie wyglądało i jak zostanie odebrany.

Wróćmy do chłopców, którym nie pozwalamy doświadczać agresji w jej zwyczajnej, codziennej postaci. Jennifer St George i Emily Freeman, badaczki z University of Newcastle zajmujące się wpływem relacji z ojcem na rozwój dziecka, przeanalizowały kilka lat temu badania nad fizycznymi zabawami ojców z dziećmi: siłowaniem się, przepychankami, zapasami. Z kolei kanadyjski psycholog Joseph Flanders wykazał, że znaczenie ma nie tylko sama siłowa zabawa, lecz także umiejętność kierowania nią przez ojca i wyznaczania dziecku granic.

Nie chodzi więc o to, że każde siłowanie się jest dobre – bo bywają siłowania się rywalizacyjne, wyższościowe, przemocowe – ale że może być okazją do nauki regulowania siły. Czy współczesnym chłopcom nie brakuje takich doświadczeń?

– Podczas takich zabaw niekoniecznie chodzi o naukę samych umiejętności zapaśniczych jako takich. Tu dzieje się coś głębszego. Chodzi o nauczenie się, że pewne rzeczy są „jak gdyby". Że nie wszystko jest dosłowne. Czyli o umiejętność odróżniania przyjacielskiego kuksańca od ciosu.

To jest wbrew pozorom niezwykle ważna umiejętność społeczna. Chłopiec musi nauczyć się rozpoznawać, kiedy fizyczny kontakt jest elementem zabawy, kiedy jest zaczepką, kiedy rywalizacją, a kiedy rzeczywistym atakiem. Bo nie każda sytuacja, w której pojawia się jakiś element fizycznej agresywności, jest przemocą – tego właśnie dziecko może się uczyć w kontakcie z ojcem, z rodzeństwem, z innymi dziećmi. Uczy się pewnego kodu, rozpoznawania intencji, siły, kontekstu, granic. A kiedy ten kod jest opanowany, dziecko potrafi uczestniczyć w takich sytuacjach bez nadmiernego napięcia. Wtedy wie, że kolega może go żartobliwie potrącić albo zrzucić mu czapkę z głowy, ale to nie zawsze koniecznie oznacza to, że chce je skrzywdzić. Potrafi odróżnić zaczepkę od szyderstwa, wygłup od rzeczywistego upokorzenia.

Natomiast dziecko, które nigdy nie miało okazji tego przećwiczyć, może mieć poważny problem. Wyobraźmy sobie dziecko, które od najmłodszych lat było wychowywane w świecie bardzo starannej komunikacji, w którym wszystko się omawiało, nazywało emocje, pytało o uczucia, unikało impulsywnych zachowań – jak zachowa się w sytuacji, kiedy ktoś nagle naciąga mu czapkę na oczy, a ono może zupełnie nie wiedzieć, co się wydarzyło. Może poczuć się zaatakowane, chociaż wcale nie jest. Zaczyna więc przeżywać napięcie.

I powtarzam: może to być dziecko z bardzo dobrego domu, w którym zabrakło kodu spontanicznej, fizycznej, trochę „małpiej" komunikacji.

Proszę sobie wyobrazić, że takich sytuacji jest dziesięć. Dziesięć razy ktoś takiego chłopca zaczepił, potrącił, zrobił jakiś psikus, a on dziesięć razy nie wiedział, co właściwie się wydarzyło. Zaczyna być coraz bardziej napięty, coraz bardziej wycofany, coraz mniej spontaniczny, a inne dzieci to zauważają.

Mogą zacząć go traktować jak dziwaka.

– Mogą zacząć wyczuwać, że coś jest nie tak, że ten chłopiec reaguje inaczej, nie wygłupia się, nie odpowiada w sposób, którego się spodziewają, jest spięty, czasami reaguje nieadekwatnie. Powstaje błędne koło, ponieważ im bardziej on się napina, tym bardziej odstaje od grupy, im bardziej odstaje, tym częściej może stawać się obiektem zaczepek, a im więcej tych zaczepek, tym bardziej czuje się zagrożony.

Na początku może to być zupełnie niewinny wygłup, ale jeżeli dziecko nie potrafi wejść w tę wymianę, a grupa zaczyna wykorzystywać jego odmienność, sytuacja może przekształcić się w uporczywe prześladowanie. Wtedy mamy już realną przemoc rówieśniczą.

To jest właśnie problem z nierozróżnianiem tych sytuacji, ponieważ jeśli wszystko od początku nazywamy przemocą, możemy przestać dostrzegać, że istnieje różnica między żartobliwym kontaktem a celowym krzywdzeniem, ale jeśli z kolei uznamy wszystko za niewinny żart, możemy przeoczyć moment, w którym zaczyna się rzeczywiste dręczenie.

Mam wrażenie, że podobny mechanizm dotyczy dzisiaj ryzyka i kontroli. Znajome drużynowe pracujące z młodszymi harcerkami, opowiadają, że dzieci potrafią się dziś niezwykle ekscytować już samym słowem „nóż". Nie wiedzą, co z nim zrobić, boją się go lub nadmiernie nim ekscytują. Kiedyś dzieciaki w ich wieku strugały patyki, robiły różne rzeczy w lesie, grały w pikuty. W jaki sposób coś, co kiedyś było zwykłym narzędziem, stało się przedmiotem fascynacji? Właśnie dlatego, że zostało usunięte z codziennego doświadczenia?

– Człowiek ma w sobie pewien potencjał agresywny, może go wykorzystywać w sytuacjach, w których jest to potrzebne, może nauczyć się nad nim panować, ale może również pozwolić, żeby ten potencjał go zdominował i zniszczył mu życie. A nóż jest przedmiotem, który bardzo dobrze pokazuje tę różnicę.

Dlaczego? Ponieważ posługiwanie się nożem wymaga skupienia, uważności, kontroli własnych ruchów, świadomości, że trzymamy w ręku przedmiot, który ma określone możliwości i którego niewłaściwe użycie może mieć poważne konsekwencje. W tym sensie nóż jest trochę podobny do innych narzędzi, których używanie wymaga koncentracji.

Na przykład?

– Choćby do stalówki. Proszę sobie przypomnieć, jak kiedyś dzieci uczyły się pisać, przez długi czas ćwiczyły kaligrafię, stawianie liter, odpowiednie prowadzenie ręki, musiały się skoncentrować, ponieważ nieuważny ruch mógł zepsuć to, nad czym pracowały.

Dzisiaj często nie doceniamy znaczenia takich doświadczeń, a przecież w kulturze japońskiej kaligrafia jest traktowana niemal jak sztuka duchowa, jest sposobem ćwiczenia uwagi, skupienia, panowania nad ruchem. Jeżeli ktoś potrafi zaakceptować, że japońska kaligrafia ma takie znaczenie, to może zdoła też przyjąć, że nauka pisania stalówką mogła być dla dziecka ważnym doświadczeniem. Nie chodzi wyłącznie o ładne litery, chodzi o to, że człowiek uczy się koncentrować, kontrolować własne działanie i brać odpowiedzialność za jego rezultat. Z nożem jest podobnie, chociaż oczywiście konsekwencje nieuważności mogą być znacznie poważniejsze. Nóż daje człowiekowi pewną możliwość, której nie daje zwykły kawałek metalu, ma określony potencjał, ale właśnie dlatego trzeba nad nim panować.

Jaki komunikat otrzymuje dziecko, kiedy od początku słyszy, że nie wolno mu dotykać żadnego takiego narzędzia, ponieważ na pewno zrobi sobie krzywdę? Może odczytać to jako komunikat: nie potrafisz kontrolować własnego zachowania, nie jesteś w stanie przewidzieć konsekwencji. Ergo: nie możesz zaufać sam sobie

Czyli odbieramy mu poczucie sprawstwa?

– Tak, i to jest tutaj kluczowe. Posługiwanie się narzędziem nie polega wyłącznie na tym, że człowiek coś może zrobić, polega również na tym, że może czegoś nie zrobić. Ma pewien potencjał, ale sam decyduje, jak go wykorzysta.

Myślę, że właśnie to może fascynować dzieci w nożu. Nie samo cięcie, ale świadomość: „trzymam w ręku przedmiot, którym mogę coś przeciąć, a jednocześnie panuję nad tym, co robię, mam możliwość, ale nie muszę z niej korzystać". To jest bardzo ważne doświadczenie psychologiczne, ponieważ człowiek odkrywa, że posiada pewną siłę, ale nie jest niewolnikiem tej siły.

Samokontrola polega na tym, że potrafimy zapanować nad impulsami. Jeżeli człowiek posługuje się przedmiotem, który rzeczywiście może wyrządzić szkodę, musi zachować określony poziom uwagi, musi wiedzieć, co robi, musi kontrolować własne ruchy. Nie chodzi o to, żeby dzieci bawiły się niebezpiecznymi narzędziami bez nadzoru. Chodzi o to, że w wychowaniu istnieje różnica między całkowitym usuwaniem ryzyka a stopniowym uczeniem dziecka, jak sobie z nim radzić. W innym przypadku nie nauczy się sprawstwa.

Mam wrażenie, że ograniczyliśmy dzieciom możliwość znalezienia się w sytuacjach, w których muszą samodzielnie coś ocenić, podjąć decyzję, poradzić sobie z niepewnością. Wszystko staramy się zaaranżować, zabezpieczyć, przewidzieć, tak przygotować przestrzeń, żeby dziecko nie mogło zrobić sobie krzywdy. Tylko że w pewnym momencie ono musi nauczyć się funkcjonować w świecie, który nie jest całkowicie zaaranżowany.

Zabraliśmy z wychowania bardzo ważny element, czyli przekonanie dziecka, że ono samo musi nauczyć się kontrolować własne impulsy. Nie wystarczy, że dorośli usuną z jego otoczenia wszystkie sytuacje, w których mogłoby zrobić coś niebezpiecznego – wtedy dziecko nie uczy się panowania nad sobą, ono po prostu nie ma okazji sprawdzić, czy potrafi nad sobą zapanować.

Można stworzyć człowiekowi środowisko, w którym nie będzie mógł zrobić niczego złego, ponieważ wszystko zostało zabezpieczone. Ale z tego jeszcze nie wynika, że ten człowiek będzie umiał zachować się odpowiedzialnie, kiedy znajdzie się poza takim środowiskiem. Musi dostać możliwość samodzielnego działania, musi wejść w przestrzeń, której nikt wcześniej dla niego dokładnie nie przygotował. Musi czasami przeskoczyć strumyk, który nie został specjalnie zaprojektowany jako atrakcja dla dzieci, z odpowiednią nawierzchnią, barierkami i tabliczką informacyjną. Musi sam ocenić, czy da radę.

Oczywiście nie chodzi o wystawianie go na śmiertelne niebezpieczeństwo, tylko o doświadczenie, że istnieją realne konsekwencje i że od jego decyzji naprawdę coś zależy. ●

#NieMaMnieTutaj

• Tekst powstał w ramach akcji #NieMaMnieTutaj. Zaczęliśmy ją z niepokoju o świat, w którym dorastają dzieci i młodzież: o to, kto kształtuje ich emocje, relacje i sposób myślenia. Przyglądamy się samotności, kondycji psychicznej, szkodliwym treściom i odpowiedzialności Big Techów, a także temu, co naprawdę dzieje się po drugiej stronie ekranu.

• Czytaj tu: **#NieMaMnieTutaj**

eprasa.pl ce60f33c89

PŁAKAŁAM PRZY TAROCIE

Dlaczego to, co karty „mówią”, **tak bardzo pasuje do naszego życia?**

Katarzyna Staszak

Poszłam na urodziny pewnego hotelu. Imprezę zorganizowała koleżanka, z którą nie rozmawiałam od trzech lat. Nie byłyśmy więc na bieżąco z informacjami o swoim życiu prywatnym. A jednak w tamten wieczór poczułam się dogłębnie przejrzana. Miałam wrażenie, że to, co mnie gnębi, mam wręcz wypisane na twarzy.

Związki jak choroby

Atrakcją imprezy była tarocistka. Nie chodzę do wróżek ani nie czytam horoskopów, ale postanowiłam skorzystać z okazji. Z ciekawości, dla zabawy.

Przed drzwiami, za którymi przyjmowała tarocistka, utworzyła się kolejka jak do lekarza. Przysłuchiwałam się rozmowom – ktoś był świeżo po ślubie, ktoś od lat w szczęśliwym związku, ktoś inny intensywnie randkował.

Miłość była głównym tematem przed spotkaniem z tarocistką, tak jak przed gabinetem lekarza tematem są dolegliwości czekających pacjentów.

Gdy przyszła moja kolej, weszłam do sali, przy stole siedziała trzydziestolatka w kapeluszu. Rozłożyła między nami trzy karty – przeszłość, teraźniejszość, przyszłość. Zaczęła opowiadać, co znaczy każda z nich. Przy drugiej miałam łzy w oczach, przy trzeciej płakałam. Jak to możliwe, że to, co mówiła tarocistka, tak dobrze pasowało do mojego życia?

Na drugi dzień opowiedziałam o tym przeżyciu przyjaciółce. Przypomniała sobie, że kilkanaście lat temu też była na imprezie z tarocistką i też płakała, gdy słyszała, co „mówią” karty.

Inna znajoma na hasło „tarot” opowiedziała dokładnie taką samą historię o sobie. I dodała: – Zapytaj psychologa, dlaczego racjonalne osoby płaczą przy tarocie.

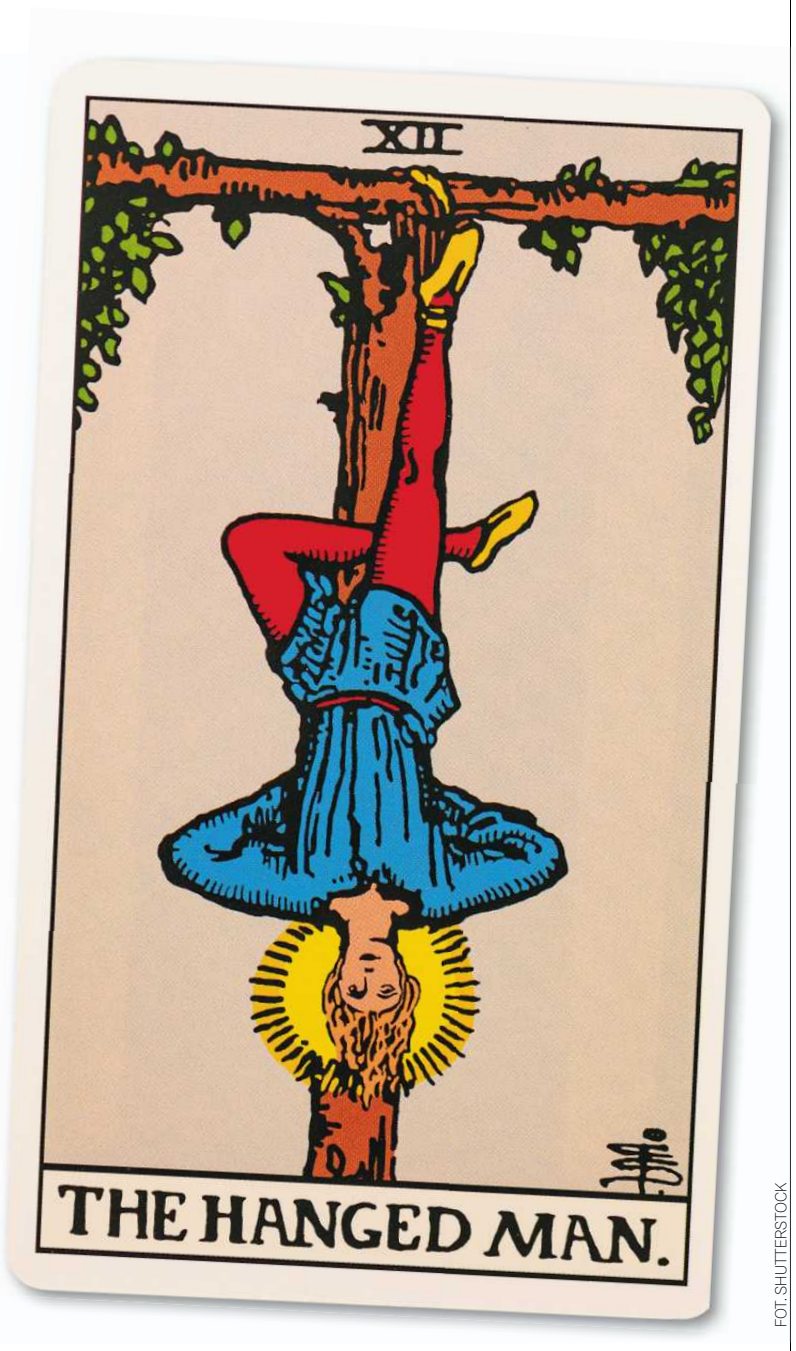
Zapytałam, ale zanim dam tu jego odpowiedź, muszę się jeszcze do czegoś przyznać. W wakacje w Londynie zobaczyłam tarota w księgarni, leżał na regale z bestsellerami. Dorzuciłam karty do wspólnego koszyka z zakupami. Gdy po powrocie do domu moja 13-letnia córka zobaczyła, że kupiłam tarota, powiedziała: – Przecież to scam! Chyba w to nie wierzysz?

„Scam” to z angielskiego oszustwo. Czyli po naszemu: Przecież to bzdura!

– Pewnie, że nie wierzę. Ale te karty mają ładne obrazki – odpowiedziałam.

Pierwszy raz tarota rozłożyłam dla mojej koleżanki Ewy. Była akurat po tygodniu pracy w nowej firmie. Przez lata zajmowała się dziećmi i pracowała tylko dorywczo z domu. Teraz musiała przywyknąć do wczesnego wychodzenia, pracy przez osiem godzin, rozmów z ludźmi zamiast siedzenia w ciszy. I stresowała się, jak z jej nieobecnością poradzą sobie dzieci. Była przytłoczona i zastanawiała się, czy zrezygnować z etatu.

Karta dotycząca przeszłości powiedziała Ewie, że ma za sobą czas wycofania, który mógł wyglądać jak lenistwo, ale był etapem zbierania sił. Karta oznaczająca teraźniejszość



FOT. SHUTTERSTOCK

mówiła, że bez ciężkiej pracy nie ma sukcesów i rozwoju, a wytrwałość się opłaca. Trzecia karta miała podobny przekaz.

Skoro tarot twierdzi, że mam zostać w tej pracy, to zostanę – śmiała się Ewa. Właśnie dostała trzeci raz wypłatę.

Psycholog: To nie wróżka, to nasz mózg

O tarocie zapomniałam na kilka dni, aż do chwili, gdy miałam psychiczny dołek. Rozłożyłam karty dla siebie. Pierwsza symbolizowała spełnione marzenie, ale leżała do góry nogami. Interpretacja według poradnika dla tarocistów: dostałaś to, czego chciałaś, ale okazało się, że to cię nie uszczęśliwia, tylko frustruje. Szok, bo właśnie to czułam!

Druga karta mówiła, że to, co się dzieje, wymaga cierpliwości i spokoju, że nie mogę niczego przyspieszać. Nie posłuchałam, bo z natury jestem niecierpliwa i impulsywna. Przez kolejne tygodnie robiłam dokładnie odwrotnie, niż radziła karta – i teraz bardzo żałuję.

Czy kompletnie zwariowałam, że myślę o poradach tarota? Jakim cudem widzę w kartach swoje życie?

– Z psychologicznego punktu widzenia nie ma w tym niczego nadprzyrodzonego, choć mechanizmy, które tu działają, są rzeczywiście fascynujące – mówi prof. Tomasz Grzyb, psycholog z Uniwersytetu SWPS. I wyjaśnia: – Jednym z tych mechanizmów jest tak zwany efekt Forera, nazywany również efektem Barnuma.

Polega na tym, że ludzie mają skłonność do uznawania bardzo ogólnych opisów osobowości czy życia za niezwykle trafne i odnoszące się właśnie do nich. Wróżby są zazwyczaj formułowane w taki sposób, żeby niemal każdy mógł znaleźć w nich coś dla siebie.

Jeśli usłyszymy, że jesteśmy osobami silnymi, ale czasem wątpimy w siebie, że mamy za sobą trudne doświadczenia, które wciąż na nas wpływają, albo że stoimy przed ważną decyzją – prawdopodobnie uznamy, że wróżka doskonale nas rozpoznała.

Co więcej, nasz umysł nie traktuje wszystkich otrzymywanych informacji jednakowo. Te, które do nas pasują, zauważamy, zapamiętujemy i uznajemy za znaczące, natomiast te nietrafne łatwo pomijamy lub o nich zapominamy. W rezultacie możemy wyjść od wróżki z przekonaniem, że wiedziała o nas rzeczy, których wiedzieć nie mogła.

Emocje są prawdziwe nawet przy filmie

Czas na pytanie od koleżanki: Dlaczego racjonalne osoby, które nie wierzą w przepowiednie, płakały na spotkaniu z tarocistką?

– Przede wszystkim dlatego, że racjonalność nie chroni nas przed emocjami, a znajomość psychologicznych mechanizmów nie oznacza, że zupełnie przestają one na nas działać – odpowiada psycholog.

Tłumaczy, że wróżba może przypadkowo dotknąć czegoś, co jest dla nas bardzo ważne: trudnej relacji, jakiejś straty, lęku o przyszłość czy jakiegoś nierozwiązanego od dawna problemu.

– Przecież tekst: „Czuję, że w twojej przeszłości jest silny konflikt z kimś bardzo ci bliskim”, można wypowiedzieć do losowej osoby i mieć gwarancję, że padnie na podatny grunt. Kiedy ktoś obcy wypowiada słowa, które interpretujemy jako opis naszych najbardziej osobistych doświadczeń, możemy poczuć się niezwykle poruszeni.

Dodatkowo sam rytuał, atmosfera tajemniczości i skupienie całej uwagi na jednej osobie sprzyjają intensywnemu przeżywaniu emocji. Nie oznacza to jednak, że wróżka rzeczywiście ma jakąś tajemną wiedzę. Siła emocjonalnego przeżycia nie jest dowodem na prawdziwość jego źródła.

Możemy przecież płakać podczas oglądania filmu, doskonale wiedząc, że przedstawiona historia jest fikcją. Emocje są prawdziwe, nawet jeśli interpretacja sytuacji, która je wywołała, niekoniecznie jest trafna – mówi prof. Grzyb.

Tarot jak książki i Lego

Karty do tarota nieprzypadkowo leżały latem w księgarni w Londynie. Są modne i świetnie się sprzedają. Karty wymyślone w XV w. we Włoszech pojawiają się obecnie w milionach filmów na Instagramie i Tik Toku. Są też elementem, który ozdabia stolik kawowy jak świece, książki o sztuce czy szachy.

Zwolennicy tarota przekonują, że to dobre narzędzie do zgłębiania własnych emocji i podświadomości. Narzędzie do samorozwoju, coś jak domowa psychoterapia.

– Nie chodzi o wróżenie z kart, tylko o przystępny cenowo sposób na autorefleksję – podkreślają badacze trendów społecznych. Łączą zainteresowanie tarotem z nową dorosłością. Nie chcemy być tylko poważni, chcemy mieć w życiu wieczną przestrzeń na zabawę, sposoby na ucieczkę od obowiązków.

Niektórzy układają trudne zestawy klocków Lego albo wciągają się w gry komputerowe, a inni rozkładają tarota.

78 kart tarota to zbiór archetypów – emocji i doświadczeń, z którymi każdy z nas może się w życiu spotkać. Można więc z pomocą kart opowiadać historie, które pasują do każdego. Wykorzystał to włoski pisarz Italo Calvino w swojej powieści „Zamek krzyżujących się losów”. Bohaterowie książki tracą zdolność mówienia, żeby opowiedzieć o sobie, korzystają z tarota.

– Nie mamy wystarczająco dobrych, regularnie prowadzonych badań, które pozwalałyby jednoznacznie stwierdzić, że na całym świecie systematycznie rośnie liczba osób korzystających z usług wróżek czy tarocistek. Być może częściowo obserwujemy po prostu większą widoczność takich praktyk, zwłaszcza w mediach społecznościowych. Można jednak postawić hipotezę psychologiczną: im mniej przewidywalny wydaje nam się świat, tym silniejsza staje się nasza potrzeba odzyskania poczucia kontroli – mówi prof. Tomasz Grzyb.

Zaznacza, że żyjemy w czasach, w których trudno przewidzieć nie tylko to, co wydarzy się za kilka lat, ale czasem nawet to, co przyniesie najbliższy miesiąc.

– Wojny, kryzysy, gwałtowne zmiany technologiczne i społeczne sprawiają, że poczucie niepewności staje się częścią codzienności. W takich warunkach ludzie mogą chętniej zwracać się ku astrologii, tarotowi czy rozmaitym praktykom ezoterycznym, bo oferują one coś psychologicznie bardzo atrakcyjnego: przekonanie, że rzeczywistość ma jakiś ukryty porządek, przyszłość można odczytać, a nad własnym losem da się odzyskać choćby odrobinę kontroli.

Nie musi to nawet oznaczać głębokiej wiary w nadprzyrodzone siły. Czasem wystarczy, że taki rytuał na chwilę zmniejsza niepokój. I właśnie dlatego, paradoksalnie, im bardziej niepewny staje się świat, tym bardziej kuszące mogą być obietnice tych, którzy twierdzą, że potrafią przewidzieć przyszłość – wyjaśnia psycholog.

Jeśli na zebraniu działu nauka i zdrowie „Gazety Wyborczej” ktoś mnie zapyta o tarota, powiem, że prowadziłam eksperyment psychologiczny. ●

eprasa.pl ce60f33c89



„A SZYJA TWOJA, JAK CERKIEW NA BUKOWINIE”

W październiku postanowiliśmy odwiedzić Bukowinę. Chcieliśmy zobaczyć Kaczykę, malowane cerkwie, poszwendać się po bukowych lasach i poszukać polskich śladów.

Andrzej Goworski, Marta Panas-Goworska

Jakieś 25 lat temu jeździliśmy po Ukrainie i Rumunii z kompasem zamiast Map Google'a. Samochodu nie mieliśmy, więc świat oglądaliśmy z pociągów, marszrutek czy autobusów. Czasem cały dzień po prostu szliśmy, ot na przełaj. A jeśli zatrzymany autostop jechał tam, gdzie nie zamierzaliśmy być, to wsiadaliśmy i...byliśmy. Dziś jest łatwiej? Zdecydowanie. Lepiej? To zależy. Na Bukowinie wciąż widać szwy czasu.

Wyborowa łapówkowa

Wtedy do Rumunii jeździliśmy przez Węgry, żeby wracać przez – łatwiejszą dla nas ze względu na język – Ukrainę. Tam rozumieliśmy rozmowy w wagonach, potrafiliśmy kupić bilet bez machania rękami, dowiedzieć się, czym jechać. Można było oczywiście polecieć do Bukaresztu albo pojechać międzynarodowym pociągiem „Karpaty” do Devy i dalej lokalnymi pociągami lub taksówką dostać się do serca Bukowiny. Tylko że trzeba było być o wiele zasobniejszym.

Oszczędzaliśmy. Wysiadało się przed granicą, przechodziło przez nią, potem kupowało tańszy bilet krajowy i wsiadało do tego samego pociągu, zazwyczaj na to samo miejsce. Kiedyś na granicy słowacko-węgierskiej zaspaliśmy, a mieliśmy bilety tylko do ostatniej stacji na Słowacji. Nie wiedzieć czemu byliśmy przekonani, że węgierscy konduktorzy są nieprzekupni. Biedni studenci! Już widzieliśmy siebie na posterunku, bo nie moglibyśmy zapłacić kary. A tu konduktor MÁV patrzy na nas, jakby na coś czekał, więc zaproponowaliśmy butelkę polskiej wódki. Wypisał bilety, a Wyborową schował do torby.

Od tamtej pory przybyło nam dzieci, pracy i obowiązków. Poza tym nie można już nikogo przekupywać wódką, bo dzieci patrzą. Kilkudniowy wyjazd wymaga też solidniejszych przygotowań niż dawna wyprawa na miesiąc. I tak też było w kwietniu, kiedy z dziećmi pierwszy raz szykowaliśmy się na Bukowinę.

Malowany domek ze zdjęcia

Pod Kaczyką zarezerwowaliśmy siedlisko z tradycyjnymi domami zaadaptowanymi na wygodne noclegi. Nazwy nie podajemy, ale zainteresowani znajdą. Na zdjęciach malowane w ludowe wzory ściany, drewniane sprzęty, ikony z zasłonkami, piec kuchenny z wygodnym łóżkiem, a do tego sauna, kąpielowa balia, konie i owce. I wszystko wśród pagórków.

Dwa noclegi ze śniadaniem dla sześciu osób miały kosztować 1700 złotych. Zakochaliśmy się w tym miejscu od pierwszego wejrzenia. Zwłaszcza Teresa, mama Marty, która uwielbia stare, wiejskie domy przystosowane do współczesnego życia, a nie tylko udekorowane na ludowo.

Na kolejne dwie noce wstępnie umówiliśmy się z mniszkami w monastyrze pod Suczawą, ale zastrzegły, że jeśli akurat odwiedzi je biskup, oddadzą mu nasze miejsca. Trzy pokoje na dwie doby – 400 zł. Andrzej wspomniał o swoich prawosławnych przodkach duchownych i dostał zniżkę. Na wszelki wypadek znaleźliśmy też inny nocleg, żeby nie zostać na lodzie, gdyby jednak zawitała tu jego eminencja.

▲ Widok na monastyr Sucevița. Dachy jak kapelusze, mury jak w twierdzy, a w środku smukła, malowana cerkiew. Na Bukowinie monastyry służyły nie tylko modlitwie. Bywały też miejscami obrony

FOT. GETTY IMAGES

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

Plan był wzorowy, ale na autostradzie pod Miszkolcem nasze auto dokonało żywota. Wynajęcie busa dla naszej szóstki tak podniosło nam koszty, że trzeba było z czegoś zrezygnować. Padło na Bukowinę – ostatni etap podróży, po Bułgarii i rumuńskiej delcie Dunaju.

Gospodarze siedliska pod Kaczyką zwrócili nam całą kwotę, mimo że odwołaliśmy przyjazd siedem dni przed terminem i mogli część zatrzymać. Zapamiętaliśmy im ten gest i jeszcze do nich pojedziemy.

Nowy plan na Kaczykę

Bukowina to historyczna kraina na pograniczu Rumunii i Ukrainy słynąca z malowanych monasterów, wielokulturowego – także polskiego – dziedzictwa oraz pięknych krajobrazów Karpat Wschodnich. W październiku postanowiliśmy więc ponowić atak na Bukowinę. Z pewnych względów – bez dzieci. I bez samochodu, bo na razie go nie mamy. Chcieliśmy zobaczyć Kaczykę, znów poszwendać się po bukowych lasach i poszukać polskich śladów.

I tu pierwsza niespodzianka: z Warszawy-Modlina można było polecieć za 490 zł w obie strony od osoby. Bukowina na wyciągnięcie ręki... Tylko nie do Suczawy ani Jass (połączenia z przesiadkami i drogo). Naszą tanią bramą stała się stolica Mołdawii.

W mrokach Kiszyniowa

Koła samolotu dotknęły ziemi po godz. 22 czasu miejscowego. Lotnisko w Kiszyniowie nieduże, jak dawne Okęcie. Trochę sentymentalne, a przez to sympatyczne. Ale za drzwiami ciemność, z której wynurzali się taksówkarze, wołali: „Taksi, taksi!” i nie patrzyli w oczy, jak-

eprasa.pl ce60f33c89

by chcieli sprzedać coś mniej oficjalnego niż kurs do centrum.

Od stycznia 2026 roku Mołdawia jest objęta unijnymi zasadami roamingu. Zmieniliśmy więc w popularnej aplikacji Warszawę na Kiszyniów i zamówiliśmy przewóz na dworzec autobusowy. Cena: 38 zł 67 gr. Jak na trasę liczącą kilkanaście kilometrów – super.

Na słabo oświetlonym dworcu stały autobusy do Odessy i Kijowa. O tej porze najrozsądniej było jechać do Jass w Rumunii. Chcieliśmy zapłacić gotówką i przy okazji obejrzeć banknoty Mołdawii. Dopiero drugi bankomat zrealizował zlecenie i w kasie za bilet zapłaciliśmy po 350 lei mołdawskich od osoby (76 zł).

Impresje z nocnej podróży przez Mołdawię: wszędzie ciemno, kiepskie drogi, im bliżej granicy, tym gorsze. Sam Kiszyniów jeszcze ciemniejszy, niż się zdawało, choć dwa salony Mercedesa i jeden Porsche jak latarnie morskie. Mnóstwo patroli policyjnych. Zatrzymali nas w połowie drogi. Zapytali, czy jadą obcokrajowcy. Kierowca wskazał „doi polonezi" (dwoje Polaków), a funkcjonariusze jakby szerzej otworzyli oczy. I na tym się skończyło.

Potem granica: trzeba dać paszporty i poczekać. Trwało jakieś pół godziny. Po rumuńskiej stronie też ciemno, lecz zniknęły dziury.

Iskry nad Jassami

Do Jass dotarliśmy ok. 2 w nocy. Poczekalnia na dworcu zamknięta do godz. 4, a pociąg do Suczawy odjeżdżał o godz. 4.48. Poszliśmy więc na spacer po peronach i wokół budynku.

Młodzież piła, starsi klaskali i tańczyli. Oświetlał ich stary parowóz niczym latarnia. Imprezowicze przechodzili przez najdłuższy pieszy most nad torami, jaki w ogóle widzieliśmy. Po bokach przeszklony, wyglądał jak przestrzeń z gry komputerowej z lat 90. Trochę strach, a jednak nie dało się tamtędy nie przejść.

Jeszcze ciekawsze były dwa wagony na sąsiednich torach, z tablicami Kiszyniów – Kijów. Skąd wzięły się w Jassach, skoro pociąg między tymi miastami nie przejeżdża przez Rumunię?

Okazuje się, że od roku kursują tędy wagony z Bukaresztu do Kijowa dołączane w Mołdawii do pociągu jadącego na Ukrainę. Może właśnie na takie trafiliśmy? W oknach firaneczki z motywem kiści winogron, w środku drewniana okleina i miodowe światło. Na oko miały 50 lat, a może i więcej.

Wiał porywisty wiatr, z kominów na dachach wydobywał się dym i sypały się iskry. Zapewne prowadnik właśnie dorzucił opału pod samowarem. Pociąg Św. Mikołaja albo lepiej: wagon, w którym Anna Karenina mogłaby się zakochać we Wrońskim. Obiecaliśmy sobie, że kiedyś wybierzemy się takim w podróż. Tylko jak? – po chwili przyszło otrzeźwienie. Na Ukrainie nad torami latają rosyjskie drony.

Przed 5. podstawiono piętrusa do Suczawy.

„Mul umesc" – rumuńskie „dziękuję"

Dworzec stoi na obrzeżach Suczawy. Ceglany budynek, w środku odrestaurowana hala, która kojarzy się z nawą kościoła. Jak przez mgłę pamiętaliśmy, że kiedyś wyglądała raczej jak opuszczona fabryka niż anglikańska świątynia.

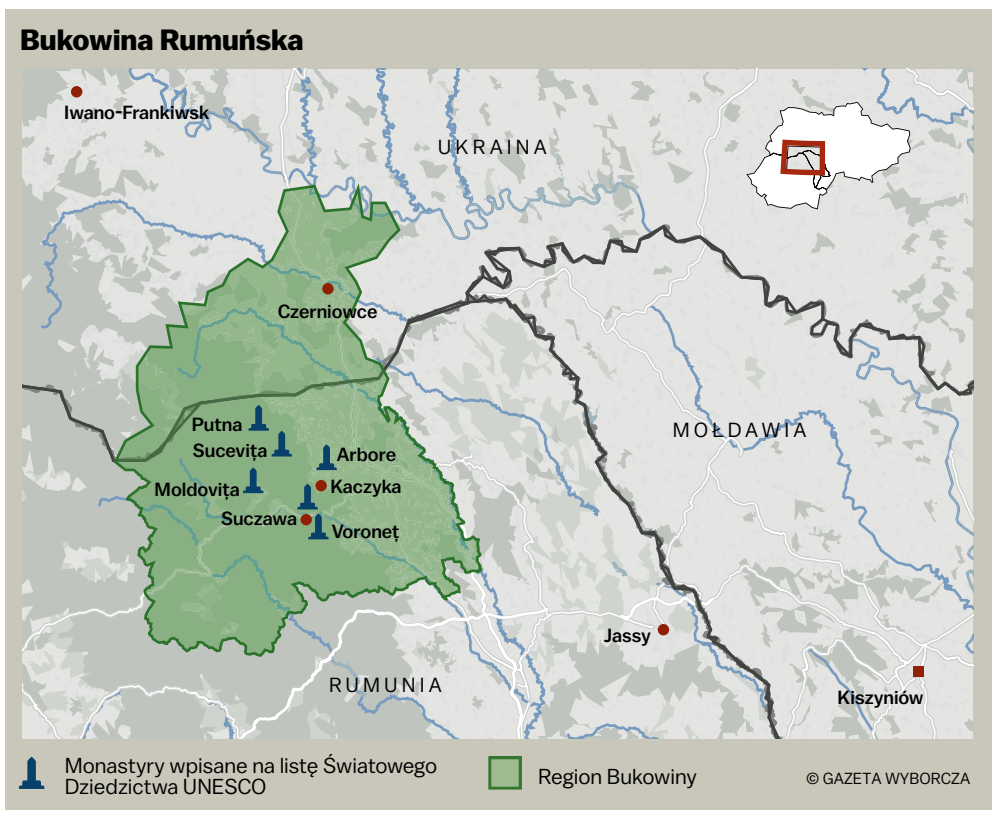
Nigdzie się nam nie spieszyło i jak za dawnych czasów szliśmy pieszo. Powracały obrazy z tamtych podróży: niedokończone wiadukty, samotne betonowe podpory, powybijane szyby w fabrykach, komin dymi, komin się chyli.

Ale dziś obok postapokaliptycznych ruin są zielone tereny przy rzece, place zabaw z tablicami „ze środków unijnych", wielki salon sukien ślubnych i nowe centrum handlowe. Może niezbyt piękne, ale pełne życia. Dawniej mieliśmy wrażenie, że rumuńska część Bukowiny obumiera, a życie toczy się po ukraińskiej stronie. Teraz tutaj tętni: ludzie jadą do pracy, na przystankach kupują precelki. W ogóle multum tutaj budek z pieczywem i kawą.

W Suczawie słynna twierdza była zamknięta z powodu remontu, więc odwiedziliśmy Muzeum Historii. Obok sali rady Stefana Wielkiego z figurami zagranicznych posłów jest tu sklep z czasów komunizmu, a w nim świńskie racice nazywane w Rumunii „adidasami".

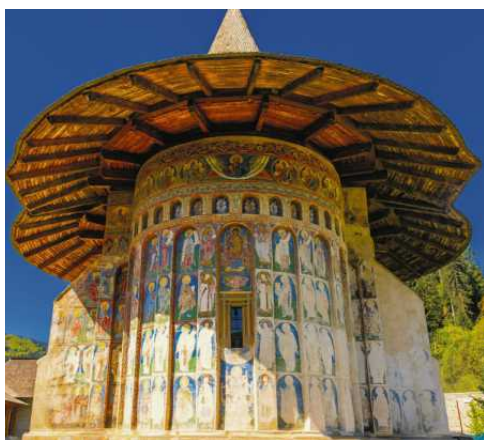


• **Carskie wrota w monastyrze w Moldoviței. Została ufundowana w 1532 r. przez hospodara Piotra Rareșa** FOT. GETTY IMAGES





• **Zabytkową kopalnię soli w Kaczyce uruchomiono w 1791 r. Pracowali tu górnicy z galicyjskich żup solnych, zwłaszcza z okolic Wieliczki i Bochni** FOT. SHUTTERSTOCK



• **Cerkiew w Voroneț ufundował hospodar Mołdawii Stefan Wielki w 1488 r. Bywa nazywana „Kaplicą Sykstyńską Wschodu"** FOT. SHUTTERSTOCK

Do Kaczyki zamierzaliśmy pojechać z „czerwonego dworca", bo wydawało nam się, że stąd powinny odjeżdżać wszystkie autobusy i busy. Mimo deszczu spacer był przyjemny i pełen niespodzianek. Np. mijamy zadbany biurowiec, a obok cerkiewka. Wyremontowana, wypieszczona. Nagłą chęć, żeby zajrzeć do środka, ostudził fakt, że to teren należący do policji i wchodzi się przez portiernię przy bramie.

Na dworcu konieczny był kontakt z człowiekiem i nie było łatwo. Po angielsku pan nie mówił, po rosyjsku i ukraińsku nie bardzo chciał. Ostatecznie zrozumieliśmy, że mamy albo kilka godzin czekać, albo pójść do „centro" – powiedział, wskazując ręką, i dodał – „McDonald's".

„Czy tam będzie marszrutka do Kaczyki?" – pytaliśmy. Najwyraźniej wschodnie słowo „marszrutka" mu nie odpowiadało i oświadczył: „mikrobus". Wtedy pożegnaliśmy go „mulțumesc", czyli przydatnym „dziękuję", które staraliśmy się zapamiętać, podskakując do rytmu „multu-mesk" – „mnóstwo mszy".

Za Olbrachta wyginęła szlachta

Suczawa, dziś ponad 80-tysięczna, była stolicą historycznego Księstwa Mołdawskiego. Obecna Republika Mołdawii zajmuje znaczną część historycznej Besarabii. Wylądowaliśmy więc najpierw w dzisiejszej stolicy Mołdawii, a teraz chodzimy ulicami dawnej stolicy Mołdawii – tyle że w Rumunii.

Sama zaś Bukowina – jak już wspomnieliśmy – leży po obu stronach granicy rumuńsko-ukraińskiej. I ona też ma swoją stolicę: Czerniowce, dziś ćwierćmilionowe, tylko że teraz po ukraińskiej stronie. Gdyby to był mem, trzeba byłoby dopisać: „Czego tu nie rozumiecie?".

Ale lepszy dopisek zrobił polski monarcha. W 1497 r. Jan Olbracht przyprowadził tutaj armię i we wrześniu rozpoczął oblężenie twierdzy w Suczawie. Jej obroną dowodził Łukasz Arbore, służący hospodarowi Stefanowi Wielkiemu, Ștefan cel Mare. Polskie podręczniki te zmagania opisują jako wielką klęskę. W Rumunii pomniki i nazwy ulic przypominają o Stefanie, który obronił swoją stolicę i księstwo.

Olbracht wycofywał się na północ, a 26 października jego wojska zostały zaatakowane w lesie koźmińskim, Codrii Cosminului. Straty były wielkie i stąd przysłowie: za króla Olbrachta wyginęła szlachta. Miejsce tamtego starcia leży dziś po ukraińskiej stronie Bukowiny.

Dlaczego Mołdawia była tak ważna? Bo tędy biegły drogi nad Morze Czarne, a o dostęp do niego rywalizowali Jagiellonowie, Węgrzy i Osmanowie. Do tego Suczawa miała własne powody, by bronić murów. Zresztą na Bukowinie obronne było prawie wszystko, nawet cerkwie i klasztory.

Szlak cerkwi malowanych

I tu glosa. W „Pieśni nad pieśniami" oblubieniec woła: „Szyja twoja jak wieża Dawida". W miastach starożytnego Izraela wieże służyły obronie, były masywne. Oblubieniec nie chciał przecież obrazić ukochanej. Pewnie chodziło mu o to, że nie każdy może złożyć pocałunek na jej szyi.

Ale takie porównanie byłoby pełniejsze, jeśli by powiedzieć: „Szyja twoja jak cerkiew na Bukowinie". Bo tutejsze świątynie bywają malowane nie tylko wewnątrz, lecz także na zewnątrz. Osiem cerkwi z końca XV i XVI wieku wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Na przykład cerkiew w Voroneț, niedaleko Gura Humorului, przyciąga wzrok błękitami. W monastyrze Sucevița, kilkanaście kilometrów od Radauți, na jednym z malowideł można zobaczyć drabinę prowadzącą ku niebu, z postaciami spadającymi ze szczebli; świetne motywy na tatuaże. Większość świątyń i monasterów pełniła podwójną funkcję: sakralną i militarną. W Sucevicie klasztor otoczono potężnymi murami, ale pośrodku tej warowni stoi cerkiew smukła i piękna – wypisz wymaluj szyja oblubienicy.

Rozmyślaliśmy o tym, kiedy trafiliśmy na długi płot z falistej blachy. Szliśmy wzdłuż niego, a zza płotu dobiegały coraz wyraźniej basowe głosy duchownych. Droga wiodła na wzniesienie i stamtąd zobaczyliśmy dachy kilku cerkiewek. Wyglądały właśnie jak małe warownie. Staliśmy na oko co najmniej 100 m od budynków, a śpiew niósł się tak wyraźnie, że Andrzej powtarzał: „To troparion, troparion" [krótki hymn liturgiczny w Kościołach wschodnich, przede wszystkim prawosławnym i greckokatolickim. Jest śpiewany lub recytowany podczas nabożeństw]. Ale czy tak było w istocie? I wtedy przypomniał nam się najpiękniejszy chyba cytat z Pisma Świętego, właśnie z „Pieśni nad pieśniami": „Nie budźcie i nie płoszcie miłości, dopóki sama nie zechce!".

W „centro" przy McDonaldzie, kolejna cerkiew, z której też dobiegał śpiew. Obeszliśmy ją dookoła. Na zewnątrz dwa świeczniki – metalowe domki z szybkami, wypełnione piaskiem, w których stawia się świece. Nie było tu jednak napisów, jakie zapamiętaliśmy z innej cerkwi

eprasa.pl ce60f33c89

w Suczawie podczas dawnych podróży: na jednym „vii", na drugim „morti". Wtedy pomyśleliśmy, że chodzi o życie i śmierć. Nasz towarzysz, fan muzyki metalowej, uparł się, że wyda szalone pieniądze, aby zapalić jak najwięcej świec po stronie „śmierć". Wytłumaczono nam jednak, że to świece i za żywych, i za zmarłych.

Salina w Kaczyce

Do kopalni w Kaczyce, z rumuńska „saliny", leżącej 30 km na zachód od Suczawy warto zabrać osobne ubranie i po wyjściu zapakować je do szczelnego worka. Pod ziemią unosi się tak intensywny zapach ropy, że jeszcze po tygodniu czujemy go z domowej szafy, gdzie leży plecak. Dlaczego?

Od 1956 roku sól wydobywa się tu również przez rozpuszczanie jej wodą w podziemnych komorach. Aby woda nie zniszczyła sklepienia, stosowano zwykłego diesla, który jako lżejszy utrzymywał się na powierzchni solanki i tworzył balonik ochronny. I właśnie z tą techniką wiąże się ta woń. Jeśli więc nie chcecie pachnieć jak dystrybutor na stacji, worek się przyda. Poza tym pamiętajcie, że pod ziemią jest chłodno.

Z zewnątrz kompleks nie zachęca. Niepozorne budynki w niemuzealnym stanie. Bilet kupuje się na górze, wysłuchuje przestróg pracownika i samemu schodzi w dół. Pierwsze drewniane stopnie są mokre i śliskie, niżej jest lepiej. Za schodami otwierały się rozległe sale i korytarze, w których oddychało się zaskakująco swobodnie.

Polscy górnicy z Bochni

W 1775 roku Bukowinę zajęli Habsburgowie, a sól była dla nich cenna. Pozyskiwano już solankę, lecz administracja chciała uruchomić podziemne wydobycie. Bochnia i Wieliczka po pierwszym rozbiorze znalazły się pod panowaniem tego samego monarchy i górników nie trzeba było szukać za granicą.

Na początku lat 90. XVIII wieku sprowadzono do Kaczyki około 20 polskich rodzin, głównie z Bochni. Umieli drążyć szyby, przygotowywać wyrobiska i zabezpieczać chodniki. Wokół kopalni powstawały domy, z czasem szkoła i warsztaty. Ostatecznie w Kaczyce zostali dłużej niż Habsburgowie.

Pod ziemią urządzili Kaplicę Świętej Barbary, obok jest także miejsce modlitwy związane z prawosławną Świętą Warwarą (ta sama patronka, tyle że imię w wersji wschodniej). W salach jest też przestrzeń muzealna, ale nas zainteresowały napisy zostawione przez turystów. Miłosne deklaracje, nazwiska, daty, dużo cyrylicy, w tym: „Putin chujło".

Osobliwy zbiór tworzą rzeźby w solnych ścianach. Część z nich wykonał Bolek Majerik, artysta ludowy polskiego pochodzenia z Pleszy. Jego pramatka Ewa pojawia się co najmniej dwa razy, do tego odwrócona plecami. Zawsze z dbałością o szczegóły kobiecej figury. „Pupa, nie dupa" – zapisaliśmy w notatkach nie bez powodu, bo to drugie słowo widniało i na kartce na drzwiach dworca, i na znaku informującym, jak jechać do kościoła ewangelickiego. Po rumuńsku zapisuje się je „dupa" i oznacza „po" albo „według".

Przysiedliśmy w podziemnej sali balowej na dwie godziny, podłączyliśmy telefony do ładowania, wyciągnęliśmy komputer, był zasięg sieci komórkowej. W pobliżu działała kawiarnia, jest toaleta. Zapamiętaliśmy tańczącą dziewczynkę i zatęskniliśmy za naszymi dziećmi.

Cztery miejsca Must Go, piąte – niekoniecznie, a szóste – niestety teraz to No-Go Zone

1. Suczawa. Muzeum wsi

Oczywiście Suczawa nie jest wsią, choć jako miasto nie zalicza się do najpiękniejszych. W internecie można znaleźć nawet opinie umieszczające ją wśród najbrzydszych miast Rumunii.

Za to nieopodal dawnej twierdzy hospodarów mołdawskich, znajduje się tu niezwykle interesujące Muzeum Wsi Bukowińskiej: ze starymi domami, szkołą, gospodą, cerkwią i młynem wodnym z 1860 r. Są warsztaty, sprzęty do obróbki wełny, piece i meble. W jednej z chałup odtworzono nawet pierwszą kąpiel niemowlęcia po chrzcie. Można sprawdzić, jak wyglądały stare chaty, zanim zaczęto je przerabiać na pensjonaty z jacuzzi.

Bilet – 16 lei (ok. 14 zł), ulgowy – 4 leie. Czynne: od wtorku do niedzieli, od października do marca w godz. 9-16, a od kwietnia do września w godz. 10-18.

A co z twierdzą? Od 12 października 2026 r. jest zamknięta – remont. Podobno tylko na miesiąc do półtora, ale termin ponownego otwarcia nie został ogłoszony. Na razie, wzorem polskiego króla Jana Olbrachta, który oblegał ją w 1497 r., do środka się nie dostaniemy.

2. Kaczyka. Król na tratwie

W kopalni soli znajduje się podziemne jezioro. I właśnie po nim w 1902 r. miał przeprawić się tratwą król Rumunii Karol I. Przez lata owa tratwa obrastała kryształami soli. Kiedy w 2013 r. wydobyto ją z wody, wyglądała raczej jak osobliwa rzeźba niż środek transportu. Można ją oglądać, a nawet rzucić obok niej monetę na szczęście.

Temperatura pod ziemią to ok. 14 stopni. Pamiętajcie o cieplejszym ubraniu i szczelnym worku na nie, bo na pewno przesiąknie zapachem ropy, który jest wszechobecny w kopalni.

Bilet – 38 lei (ok. 33 zł), dzieci – 25 lei. Czynna: w październiku, wtorek- niedziela, w listopadzie środa-niedziela, w godz. 9-17. Zwiedza się bez przewodnika.

Poza kopalnią i pobliską bazyliką warto wybrać się na stary cmentarz, na którym zachowały się groby ludzi tworzący tutejszą polską społeczność. Dobry pomysł, to zabrać i zapalić im znicze.

Do Kaczyki z Suczawy można dotrzeć pociągiem regionalnym lub mikrobusem. Pociągi kursują rzadko, więc koniecznie trzeba sprawdzić rozkład. Busy też jeżdżą, ale trudno zrozumieć ten system.

3. Voroneț. Koniec świata

Do Voroneț jest ok. 6 km z Gura Humorului. Latem najprzyjemniejszy może być rower, poza sezonem – samochód. Do samego Gura Humorului można dojechać z Suczawy pociągiem. Komunikacja mikrobusami również działa.

Jest tu cerkiew św. Jerzego z 1488 r., według przekazów wzniesiona w trzy miesiące i trzy tygodnie. Później dobudowano przedsionek, a w XVI w. pokryto jej zewnętrzne ściany malowidłami. Najsłynniejsze zajmuje całą zachodnią fasadę i przedstawia Sąd Ostateczny.

Nie wystarczy jednak stanąć przed ścianą i powiedzieć: „O, jakie piękne". Trzeba podejść bliżej, bo malarze umieścili tam dziesiątki szczegółów. Nam najbardziej podobali się aniołowie obwieszczający koniec świata. Nie dmą w trąby, ale grają na buciumach, długich instrumentach używanych przez karpackich pasterzy. A król Dawid trzyma kobzę, nie biblijną harfę.

Bilety – 10 lei (ok. 9 zł), dla dzieci, uczniów i studentów – 5 lei. Poza sezonem zwiedzanie w godz. 9-17, latem dłużej. Trzeba pamiętać, że to czynny monastyr i podczas nabożeństw zasady zwiedzania są inne. Za fotografowanie malowideł – dodatkowa opłata.



FOT. SHUTTERSTOCK

• Twierdza w Suczawie. Dawna siedziba hospodarów Mołdawii. Zbudowana w XIV w., m.in. do obrony przed Imperium Osmańskim

4. Sucevița. 10 tysięcy pereł

Z Suczawy do Sucevity jest 55 km. Autem jedzie się mniej więcej godzinę. Komunikacją publiczną – ogólnie trudniej.

Monastyr powstał pod koniec XVI wieku z fundacji rodziny Movila, która wydała m.in. dwóch hospodarów Mołdawii i metropolitę. Cerkiew pokrywają malowidła przedstawiające niemal całe biblijne dzieje świata. Co ciekawe, wśród postaci pojawiają się także starożytni filozofowie.

Do Sucevity warto przyjechać nie tylko dla fresków. Przy klasztorze działa muzeum posiadające niezwykłe zbiory haftów, ksiąg i przedmiotów liturgicznych. Można tam zobaczyć np. wyszywane portrety hospodarów oraz pochodzący z 1597 r. epitafion, czyli haftowany całun przedstawiający złożenie Chrystusa do grobu, zdobiony 10 tys. pereł. Trudno nawet wyobrazić sobie pracę człowieka, który musiał je przyszywać.

Za wejście – 10 lei. Jest możliwość oprowadzania za dodatkową opłatą. Czynny codziennie. Latem od 9 do 20, zimą od 9.30 do 17. Przynajmniej do niedawna obowiązkowa była tu gotówka.

5. Kiszyniów

To nie Bukowina, ale chcemy go tutaj umieścić. Stolica Mołdawii pozostaje dla nas terra incognita. Widzieliśmy ją nocą, przez szyby samochodu, a poznawaliśmy głównie z opowieści naszego kierowcy, Gagauza. Zaproponował nam wyprawę do Naddniestrza śladami Marcina Romanowskiego; w sierpniu do polskiego sądu dotarł list podpisany jego nazwiskiem, nadany właśnie w Naddniestrzu.

Podoba nam się ta możliwość. Kierowca oferował także wycieczki do mołdawskich monastyrów. Ale można w ogóle zrezygnować z auta i wsiąść do pociągu ze starymi wagonami, które wypatrzyliśmy na dworcu w Jassach: z firaneczkami, dymiącym kominem i samowarem opalanym drewnem.

6. No-Go Zone? Czerniowce

Z Suczawy do Czerniowiec autobus jedzie 2,5 godz., jeśli nie ma większej kolejki na granicy. Połączenia są regularne, bilety niedrogie. Pod względem komunikacyjnym to jedna z najatrakcyjniejszych wycieczek podczas pobytu na Bukowinie. A i na miejscu jest co oglądać.

Czerniowce były stolicą austriackiej Bukowiny, miastem wielu języków i religii. Jest dawna ulica Pańska, teatr, ratusz i Dom Polski. Przede wszystkim jednak ogromna rezydencja metropolitów Bukowiny i Dalmacji, obecnie część uniwersytetu, wpisana na listę UNESCO. Tak, Dalmacji! Taki oficjalny tytuł nosił urząd metropolitów prawosławnych w monarchii habsburskiej. Jej architekt, Czech Josef Hlávka, zaprojektował zespół, w którym bizantyjskie kopuły spotykają się z zachodnioeuropejskimi pałacami.

Podczas naszego krótkiego pobytu w Czerniowcach mieliśmy wrażenie, że wojny nie ma. Jeżdżą trolejbusy, dwie starsze panie próbowały nas naciągnąć na 100 hrywien – życie. Ale to wrażenie bywa zwodnicze. 12 lipca 2025 r. Rosjanie zaatakowali Czerniowce rakietą i dronami. Zginęło pięć osób.

Dlatego dziś nie możemy polecać Czerniowiec jako celu turystycznego wyjazdu. Warto, nawet bardzo. Tylko nie teraz.

Krakowiak dla wszystkich

Tańczy się też nad ziemią. W miejscowym Domu Polskim działa „Kaczykanka", zespół dzieci i młodzieży. Zaczynał od czterech par, dziś dzieci jest kilkadziesiąt. Są stroje krakowskie, polskie pieśni, wiersze, mali artyści jeżdżą na festiwale do Rumunii i Polski.

Obok kopalni wznosi się neogotycka Bazylika Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, zbudowana na początku XX wieku i wzorowana na świątyni w Bochni. Znajduje się w niej kopia obrazu Matki Bożej Częstochowskiej. Na święto 15 sierpnia przybywają tutaj pielgrzymi, dla których uruchomiono bezpośredni pociąg z Jass. O życie miejscowej społeczności zapytaliśmy proboszcza tutejszej parafii i kustosza sanktuarium w Kaczyce, księdza Daniela Catalina Romilę.

Według niego polskich rodzin w samej Kaczyce jest niewiele, a z każdym rokiem coraz mniej. Co pozostało z ich obyczajów? W Wigilię podaje się czerwony barszcz, na Boże Narodzenie i Wielkanoc pierogi z mięsem i bigos. Są uroczystości dla rodziców i dziadków, spotkania w Domu Polskim, przyjeżdżają goście z Polski. Na tutejszych stołach ludzie z Bochni czy Wieliczki pewnie rozpoznaliby swoje tradycyjne smaki.

Nie wszyscy miejscowi Polacy wywodzą się jednak od górników. W pobliskich wsiach żyją potomkowie górali z okolic Czadcy, leżącej dziś na Słowacji. Ich przodkowie przybywali na Bukowinę od początku XIX wieku, najpierw na północne tereny. W 1834 roku 30 rodzin przeniosło się z Hliboki, dziś Ukraina, właśnie w okolice Kaczyki. Osiedlili się w Nowym Sołońcu, a kolejne grupy także w Pleszy i Pojanie Mikuli.

Mieli własną gwarę, którą przez pokolenia przekazywali dzieciom. Helena Krasowska, badaczka polszczyzny bukowińskiej, pisała, że język mógł mieć zupełnie inne losy w sąsiednich miejscowościach. W Pleszy polski zakonserwował się jak mięso w soli, w wielonarodowej Kaczyce coraz częściej ustępował rumuńskiemu i ukraińskiemu. Dzisiaj jedni mieszkańcy z dumą posługują się gwarą, inni się peszą, kiedy przyjezdni z Polski proszą, żeby powiedzieli coś „tak po swojemu".

Bywały też czasy, gdy zainteresowanie polskością mogło sprowadzić kłopoty. W dokumentach rumuńskiej Securitate historyk Daniel Hrenciuc odnalazł sprawę Franza Stascoveanu z Nowego Sołońca. W latach 70. i 80. utrzymywał on kontakty z polskimi dyplomatami i angażował się w życie miejscowej społeczności. Bezpieka obserwowała go przez lata w ramach sprawy o kryptonimie „STASEK".

Na koniec ksiądz Romila podkreśla coś, co szczególnie nas zainteresowało: „W naszej wspólnocie nie zwraca się uwagi na pochodzenie etniczne ani religię". Do „Kaczykanki" należą także dzieci prawosławne.

Na przełaj przez bukowy las

Trzeba było już wracać do Suczawy, żeby stamtąd pociągiem i mikrobu-

eprasa.pl ce60f33c89

sem dotrzeć na lotnisko w Kiszyniowie. Ale najbliższy pociąg z Kaczyki do Suczawy odjeżdżał o 17.00. Mieliśmy cztery godziny. Postanowiliśmy przejść do Gura Humorului - miejscowości oddalonej o 17 km od Kaczyki - i stamtąd wziąć mikrobus do Suczawy. Kompas w Mapach Google'a wytyczył kierunek i poszliśmy.

Ładne domy. Bukowina ma swój styl, w tradycyjnej zabudowie są wysokie dachy, szerokie okapy i drewniane ganki. Potem wybraliśmy pierwszą ścieżkę na łąkę. Dalej kierdele owiec. Ze wzgórza mogliśmy się rozejrzeć po okolicy. Wokół wieś, Kaczyka, i w zasięgu wzroku kolejna. Między nimi nitka kolei. Niedaleko cerkiew, ale jakby skrzyżowanie tutejszej świątyni z ruską. Smukła jak bukowińskie, a zarazem jakby z kilku zlepiona w jedną, z trzynawową strukturą i cebulastymi kopułami. Na oko nowa, może wzniesiona już po 1990 roku.

Kropiło, telefon pokazywał 13 stopni Celsjusza, a nad wzgórzami unosiły się słupy mgły, jakby las płonął. Więc tam – postanowiliśmy – pójdziemy, choć wcale nie było to w wybranym wcześniej kierunku.

Niewysokie góry, ale wystarczyło odejść kawałek, żeby stracić z oczu zabudowania. Po pół godzinie dotarliśmy do lasu i szliśmy, jak to na Bukowinie, między młodymi bukami. Co nie było zbyt wygodne, bo drzewa rosły blisko siebie, jak krzewy i trzeba było rozgarniać gałęzie.

Później znów wyszliśmy na łąkę i po prawej minęliśmy stado owiec. Przed nami jeszcze wyraźniej mgły jak kominy. Fajnie byłoby zobaczyć, jak to wygląda w środku – i ruszyliśmy na najbliższą mgłę.

Dotarliśmy tam po godzinie, ale z bliska nie wyglądała jakoś wyjątkowo. Po prostu wilgotne powietrze. Wcale nie wchodzi się w watę, którą można by nożem krajać. Za to drzewa starsze, szło się wygodniej, więcej było przestrzeni. Może w takim właśnie lesie wyginęła szlachta za króla Olbrachta?

Minęła godz. 17., pociąg odjechał, a w dolinkach szarzało. Postanowiliśmy, że idziemy do najbliższej wsi,



• **Spowite mgłą malownicze wzgórza Bukowiny o świcie**
FOT. GETTY IMAGES

która na oko była pół godziny drogi od nas, i tam poszukamy albo transportu, albo noclegu.

Ścieżka prowadziła mocno w dół, ale jej finisz, znów przez młode buki, doprowadził nas na przystanek autobusowy. Zaczęliśmy skanować automatycznym tłumaczem karteczki z informacjami: praca, spotkanie w świetlicy, skup skór, transport. Wtedy zza zakrętu wyjechał mikrobusik.

Jak nie dojechaliśmy do Kiszyniowa

Mieliśmy zarezerwowany bilet z Kiszyniowa do Warszawy i rano następnego dnia trzeba było z Suczawy ruszać do Mołdawii. Wyszliśmy z hotelu i wracaliśmy znaną już trasą, obok cerkwi otoczonych blachą falistą i „czerwonego dworca". Stał tam autobus z napisem „Tarsin". Na tablicy kierunkowej „Czerniowce".

„Wodij – zapytaliśmy po ukraińsku kierowcę – ile do Czerniowiec i czy są miejsca?". „60 lejów, a miejsc dużo". „Kolejka na granicy?". „Nie". „Kiedy będziemy?". „Dwie i pół godziny". Nietrudno było podjąć decyzję. Autobus był wygodny, pasażerowie Ukraińcy i jeden profesor z Bukaresztu. Jechał jako wolontariusz do Iwano-Frankiwska.

Rumuński pogranicznik chciał wiedzieć, skąd wracamy, co fotografowaliśmy i o czym pisaliśmy. Ale taki był jego sznyt, bo każdego o coś zagadnął. Zwłaszcza dziewczyny. Pytał, czy mają chłopaków i co sądzą o byciu żoną strażnika granicznego. Dodawał, że chce wiedzieć dla kolegi. Ukrainiec sprawdził paszporty bez zbędnych pytań, ale pojawił się pies. Wąchał autobus, wąchał stojące obok osobówki i ciężarówki.

I wtedy poczuliśmy nieadekwatność naszej decyzji. Trwa wojna. Gdyby coś się nam stało, nasze dzieci straciłyby rodziców. Wracać? Aplikacja ukraińskich kolei pokazywała, że mamy niezłe połączenie przez Iwano-Frankiwsk i Lwów do Przemyśla. Bylibyśmy w domu wcześniej niż samolotem z Kiszyniowa.

Z dworca autobusowego w Czerniowcach trolejbusem pojechaliśmy na dworzec kolejowy. Bilet w komunikacji kupuje się przez przyłożenie karty płatniczej do czytnika w środku. Nie ma wydruku, po prostu „pik, pik". Kosztuje 16 hrywien, czyli jakieś 1,40 zł. Trafiliśmy na kontrolę i tę samą kartę należało przyłożyć do urządzenia kontrolerki. „Pik, pik" i wiadomo, że mamy bilet.

Bukowina surogatka

W tym właśnie trolejbusie zobaczyliśmy reklamę. Uśmiechnięta kobieta w ciąży i napis: „Zostań matką surogatką". Niżej: „Nawet jeśli nie mieszkasz w Czerniowcach". Firma gwarantuje mieszkanie na czas programu, całodobową opiekę koordynatora i zwrot wydatków. Według ogłoszenia wynagrodzenie od 1 130 000 hrywien, czyli mniej więcej 98 tys. zł.

Przed dworcem rozpościerała się zieleń. Gmach, zadziwiająco lekka bryła, przypominał wielki parowiec płynący przez miasto. Trochę jak u Schulza w jego drohobyckiej prozie. Za wejściem na prawo ciemniejszy hol, a dalej pełna ludzi Sala Niezłomności, po ukraińsku *Zał nezłamnosti.* Przy stołach gniazdka i ładowarki, obok kącik dla dzieci, w rogu termos, papierowe kubeczki i herbata w saszetkach. Przy oknach od strony peronów wygrodzono przestrzeń i tam leżały pryzmy drewna, a obok dwa piecyki kozy, jeszcze nierozpalone.

Dalsza podróż była dobra. Bez alarmów i ewakuacji pociągu, których Andrzej doświadczył, kiedy wracał z Odessy. Z Iwano-Frankiwska do Lwowa jechaliśmy lokalnym ekspresem, dość nowym, z dużą ilością miejsca. Pierwsza klasa 265 hrywien, ok. 23 zł. A podróż ze Lwowa do Przemyśla wręcz ekskluzywna. Miejsca w przedziale sypialnym, i to na wyłączność. Za to droższa, bo międzynarodowa: ok. 83 zł.

Polska kontrola graniczna odbywa się w Przemyślu i po odczekaniu w ogonku wyszliśmy na schody. A tam taksówkarze, nie patrząc w oczy, posykują: „Taksi, taksi". Idąca obok Ukrainka pyta, ile na lotnisko. – 200 euro. Rzeszów, Kraków, bez znaczenia – mówi mężczyzna w skórzanej kurtce i czapeczce z daszkiem. ●

Podcast „Poznajmy naszą Europę"

• **SIEDEM ŚWIATÓW RUMUNII, CZYLI NIEZBĘDNIK DOBREJ PODRÓŻY**
• **Alicja Dąbrowska** z „Gazety Wyborczej" rozmawia z **Martyną Dudą,** autorką strony internetowej ProjektRumunia.pl oraz przewodników i materiałów informacyjnych, m.in.: **„Jadę do Rumunii! Niezbędnik dobrej podróży"**, **„Oczywiście, że Rumunia! Marmarosz, Bukowina i okolice"**, **„Barwy Rumunii. Kolorowanka"**, która od lat odkrywa ten kraj, przemierzając go na różne sposoby, często poza utartymi szlakami.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34414014



1 RP

eprasa.pl ce60f33c89

POLECA PUBLICYSTYKA

Nie ma rzeki bez mostu

Opowieść, którą tworzymy o sobie i własnej historii, nabiera głębi i wiarygodności, gdy staje się gościnna dla innych. Dla ich pamięci, cierpienia, racji.



• **Marci Shore i Timothy Snyder podczas gali wręczenia nagrody Człowiek Pogranicza 2026. Uroczystość odbyła się 21 sierpnia br. w Białej Synagodze w Sejnach**

FOT. AGATA WASILEWSKA/FUNDACJA POGRANICZE

Krzysztof Czyżewski*

Tytuł „Człowiek Pogranicza” jest nagrodą przyznawaną przez Fundację Pogranicze i Ośrodek „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów”. Otrzymują go osoby, które swym życiem i twórczością szczególnie przyczyniły się do spopularyzowania etosu pogranicza, a więc postawy tolerancyjnej i otwartej, ze zrozumieniem i szacunkiem odnoszącej się do odmienności innych, przełamującej stereotypy i uprzedzenia, budującej mosty zbliżenia pomiędzy ludźmi różnych narodowości i kultur.

Dotychczasowymi laureatami nagrody Człowiek Pogranicza są: Jerzy Ficowski, Tomas Venclova, Arvo Pärt, Bohdan Osadczuk, Claudio Magris i Irena Veisaitė.

W 2026 roku tytuł „Człowieka Pogranicza” otrzymują Marci Shore i Timothy Snyder. Od wielu lat w życiu i w pracy stanowią wspaniały tandem intelektualistów zaangażowanych, oddanych budowaniu „tkanki łącznej” między ludźmi, dyscyplinami humanistyki oraz kulturami.

Oboje są historykami, ale także pisarzami, filozofami i aktywistami społeczeństwa obywatelskiego. Będąc Amerykanami o korzeniach żydowskich i kwakierskich, życie poświęcili walce z przemocą i zakłamaniem autorytarnych reżimów, z imperialno-kolonialną mentalnością i pisaniem podręczników historii przez zwycięzców.

Wcześnie zainteresował ich świat leżący za „żelazną kurtyną”. Wśród środkowoeuropejskich dysydentów znaleźli ważnych dla siebie nauczycieli, a potem przyjaciół. Wierność etosowi solidarności i siły bezsilnych sprawia, że dzisiaj stali się dysydentami we własnym kraju.

Odkrywając na Wschodzie, że nie ma wolności bez solidarności, swoją zaangażowaną postawą udowadniają, że nie wyspa indywidualnego komfortu, ale most ku innym, zwłaszcza zniewalanym przez współczesną oligarchię polityczną, staje się prawdziwym gwarantem wolności.

Oboje stali się dzisiaj jednymi z najważniejszych w świecie ambasadorów walczącej o życie Ukrainy. Tak jak wcześniej stali się ambasadorami prawdy o losach mieszkańców „skrwawionych ziem”. Osiągnięcia ich życia, wymagające tyleż wiedzy naukowej, co odwagi i wiary w sens tego, że można więcej niż możliwości na to pozwalają, nie byłyby możliwe bez sztuki dialogu, głębokiej empatii i przyjacielskiej wierności.

Jesteśmy szczęśliwi i ogromnie wdzięczni, że do kręgu „ludzi pogranicza” dołączają Marci Shore i Timothy Snyder.

•

1 Ludzie pogranicza zawsze są w drodze. Nie tylko dlatego, że tęsknią za innym i jeszcze nieoswojonym, także dlatego, że idąc, tworzą więzi miłości i solidarności. Są one jak kamienie rzucane na dno rzeki, po których możemy przejść na drugi brzeg. Zatem nie ma przypadku w tym, że Marci i Tim otrzymują tytuł „Człowieka Pogranicza” wspólnie.

2 Mostu nie da się zbudować samemu. Wyruszenie w podróż, by przekroczyć horyzont znanego, zabliźnia nas z innymi istotami. Także z samą drogą, która biegnie w nas, odkrywa nas i wyprzedza. Niebezpieczne jest pretendowanie do posiadania wiedzy i mocy twórczej tylko we własnych rękach. Potrzebna jest miłosna pokora, by - w tym, co najważniejsze - uczynić miejsce dla innych i nauczyć się stopami wyczuwać bieg drogi.

3 Historia to człowiek, realny, z sygnaturą imienia na skórze pamięci. Dlatego powinniśmy cenić nagie fakty, mieć szacunek dla szczegółu i zgłębiać kunszt syntezy. Poszczególne, z prawdą indywidualnego losu, piętnem dramatu i niepowtarzalności, domaga się zaistnienia. Świadkowie chcą być wysłuchani, a nie podsumowani i anonimowi. Nie można opowieści pogranicza pisać ponad ich głowami. Wszyscy, którzy ją tworzą, zaciągają u nich dług. Reszta to praca nad jego spłacaniem.

4 Raz muśnięty szczegół, domaga się prawdy i tęskni za utraconą całością. Jest może najważniejszym opornikiem totalitarnej propagandy. Ideologiczna abstrakcja oślepia, pojedyncze istnienie zawsze patrzy prosto w oczy.

5 Pragnąc wolności, rozejrzyjmy się dookoła siebie, zadbajmy o własne podwórko, wychowanie dzieci i dobre sąsiedztwo. Naiwnością byłoby oczekiwać, że wolność przyjdzie do nas z góry, czy będzie to wielka scena władzy i bogactwa, czy wiara w pozaziemską sprawiedliwość. Zniewala nas prucie i poniewieranie tkaniny codziennej egzystencji. Dlatego tożsama z poszerzaniem pola wolności jest praca organiczna, codzienna, każde rozdarcie zszywająca uwagą skierowaną ku temu, co drobne i słabe, zagrożone bezimiennością i przeoczeniem.

6 Pragnąc prawdy, nauczmy się widzieć siebie i świat dookoła z dystansu. Starajmy się „popatrzeć na siebie,/ Tak jak się patrzy na obce nam rzeczy”. Pamiętajmy, że za tymi słowami Czesława Miłosza kryje się miłość; i że dla Simone Weil prowadzą nas one do piękna. Prawda wymyka się tym, którzy chcą ją posiąść dla siebie. Dlatego jedyne, co nam – wygnańcom z Ogrodu Wiedzy, skazanym na świadomość – pozostaje, to starać się pójść w ślady tych, którzy - jak Václav Havel - żyli w prawdzie.

7 Historii nie można zamknąć w przeszłości. Nawet wydarzenia uznawane przez nas za bezprecedensowe mogą się powtórzyć. Postulat „Nigdy więcej!” nie może stać się magicznym zaklęciem, powinien raczej oprzeć się o grunt poszerzania wiedzy i pracy nad sobą. Wymaga to odwagi, gdyż jest działaniem pod prąd skostniałych form upamiętniania i naszej jakże ludzkiej tendencji do wybielania win czasu minionego.

8 Opowieść, którą tworzymy o sobie i własnych dziejach, nabiera głębi i wiarygodności, gdy staje się gościnna dla innych: ich punktu widzenia, pamięci, cierpienia, racji, lęków, emancypacyjnych ambicji i prawa do współistnienia na równych warunkach.

9 Tajemnicą ludzi pogranicza jest zdolność do łączenia wierności sobie z otwartością na spotkanie, które rozszerza granice świadomości i przynależności. Stając się częścią universum, zdobywamy się na ponadnarodową perspektywę i tolerancję kulturową.

1 RP

eprasa.pl ce60f33c89

10 Człowiek pogranicza nie odcina się od swoich korzeni, jedynie zwiększa pojemność tego, co uznaje za swoje i za co – w związku z tym – czuje się odpowiedzialny.

11 Nic tak nie pogłębia samotności ofiar Historii, jak zawłaszczenie ich dla partykularnych interesów i narracji usłużnych silniejszym. Dom swój powinny znaleźć we wspólnej pamięci, w muzeach i książkach otwierających perspektywę humanizmu. Nie tylko dla świadków Historii to jest ważne, także dla wychowania nowych pokoleń.

12 Niebezpiecznym jest rozdzielanie i przeciwstawianie sobie postaw życiowych i naukowych specjalizacji. Historia i solidarność. Empatia i obiektywizm. Pamięć i prawda.

Mierząc na krótki dystans, korzystnym może wydać się ich odseparowanie. Lecz życie stawia nas w obliczu narracji narzucanych nam siłą państwowej albo oligarchicznej tyranii. Dlatego musimy być świadomi, że w dłuższej perspektywie takie rozdzielenia mogą okazać się krótkowzroczne i samoograniczające.

Empatia uwalnia nas od miłości własnej, a tym samym zbliża do obiektywizmu. Solidarność w imię dobra pogłębia rozumienie rzeczywistości i skuteczność działania. Pamięć jest ogrodem do kultywowania i potrafi pracować nad sobą. Dlatego to, co po ludzku ciepłe i świetliste, może nas zbliżać do istoty rzeczy, współdziałać z trzeźwym i racjonalnym, doskonaląc warsztat historyka, tak jak i budowniczego mostów.

13 Nie bójmy się dążenia w głąb i brania życia na poważnie. Wbrew utartym przez populizm schematom, to właśnie zbliża nas do ludzi i buduje wzajemne zaufanie we wspólnotach lokalnych. Pobłażając i przymilając się popkulturze, przykładamy rękę do rośnięcia w siłę pop-polityki, pop-historii, pop-dziennikarstwa i wielu innych form spłaszczania rzeczywistości. Na takich przęsłach nie utrzyma się żaden most. Co gorsza, na takim podłożu rodzi się zło banalności, któremu – przed czym przestrzegał Havel – łatwo się przemienić w banalność zła.

14 Nie pretendujmy do łatwego i szybkiego rozumienia siebie nawzajem. Jeśli ma być szczere, nie przychodzi łatwo. I może w całej pełni jest nieosiągalne. Zacznijmy od działania pośredniego. Trochę tak, jak w sztuce strzelania z łuku, kiedy mistrz radzi uczniowi, by nie mierzył prosto do celu, tylko trochę obok.

Postarajmy się zrozumieć okoliczności, w jakich znajduje się inny. Zbliży nas do niego już sam fakt uświadomienia sobie, że my też uwikłani jesteśmy w konkretne okoliczności. W ten sposób stwarzamy sobie narzędzia do prowadzenia rozmowy.

Książka Timothy'ego Snydera „Rekonstrukcja narodów" nie doprowadziła do porozumienia między Polakami, Ukraińcami, Litwinami i Białorusinami, ale dała nam bardzo użyteczne instrumenty do rozmowy. Podobnie książka Marci Shore „Kawior i popiół" zbliżyła tych obywateli Polski, którzy uwierzyli w komunizm, z tymi o proweniencji antykomunistycznej, co w oczach sceptyków miało się nigdy nie wydarzyć.

15 Kultura dialogu rodzi się tam, gdzie wzajemne zrozumienie wydaje się niemożliwe. I musi rodzić się nieustannie, jak tkanka łączna. Życie na pograniczu nie zna próżni. W miejsce zaniechania budowania mostu wchodzi destrukcja i strach przed obcym. Tracąc szansę na przejście na drugi brzeg, zaczynamy błądzić, odczuwamy egzystencjalny lęk, jak trzepot ptaka ze złamanym skrzydłem.

Problemem staje się już nie tylko rozumienie innego, ale nas samych. Dlatego dobrze zbudowany most umożliwia przejście w obie strony: na drugi brzeg i ku sobie samemu.

16 Jesteśmy różni. Każde z nas jest rzeką płynącą korytem wyżłobionym przez naszą pamięć, język, narodowość, płeć, wychowanie i kulturę. Wszystkie rzeki są rzeczywiste, a sztuka zgłębia ich tajemnice, dostrzegając i respektując każdą odrębność.

Nie ma mostu bez rzeki. Ale także – co jest o wiele trudniej nam przyjąć – nie ma rzeki bez mostu. Na naszych oczach, z powodu zmian klimatu, wysychają rzeki. Ale sucha rzeka jest też metaforą świata zerwanych mostów. Przechodząc na drugi brzeg, zmierzamy ku temu, co wspólne, odkrywamy, że wszystkie rzeki biorą początek z jednego źródła.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Stanisław Grochowiak*

Tramwaj Wszystkich Świętych

Oto jest tramwaj Wszystkich Świętych
Ciężki od plonu jak stodoła
Sunie żałobny i brzemienny
W ten złoty dzień dla Nieboszczyków

Wieńce szeleszczą pachną płaszcze
Woń świec i duszny zapach kwiatów
A płaszcze pachną naftaliną
A kwiaty pachną katafalkiem

Dla Bródna świeczki dla Powązek
Wiezie poduszki z obrazkami
Twarze umarłych w porcelanie
Bardzo uprzejme i słoneczne

Oto dziewczynka w okularach
Oto chłopaczek krzywonosy
Oto kobieta z podbródkami
Oto łagodny profil starca

Jadą tramwajem Wszystkich Świętych
Z trąbkami płaczu z ubogimi
Wstążkami czerni z tą taniochą
Żywi umarłym w odwiedziny

Tramwajarz dzwoni ludzie płaczą
Pięćdziesiąt groszy od osoby
Umarli leżą sztywno w grobach
Z drzwi od Niebiosów zdjęto łańcuch

Bo jedzie tramwaj Wszystkich Świętych



FOT. PAP/CAF/MARIAN SOKOŁOWSKI

***Stanisław Grochowiak** - poeta, prozaik, dramatopisarz, publicysta. Urodził się w 1934 r. w Lesznie, zmarł w 1976 r. w Warszawie. Pierwodruk wiersza – 1956. Tu za: Grochowiak, **„Wiersze zebrane",** PIW, Warszawa 2026.

Zaczynamy rozumieć, że historia jest jedna, że kultura jest jedna, że człowiek jest jeden. Choćby w kręgach naukowych czy wyznawców kulturowego pluralizmu zakrawało to na herezję, właśnie wokół tego rozumienia jedności tworzymy warsztat krytycznego myślenia o historii i kontrkulturowych praktyk w społecznościach pogranicza.

17 Podróż na Wschód zostawia ślad na mapie terytorialnej i w wyobraźni przestrzennej. Istnieje także w wymiarze wewnętrznym, duchowej przemiany - kenosis. Pracę i obecność w świecie ludzi pogranicza uwiarygadnia ich gotowość do przekraczania samych siebie.

Niebezpieczną iluzją mostu jest takie jego budowanie, by to inni dochodzili do nas, porzucając swój brzeg, a nam, zastygłym na właściwym brzegu, pozostawałaby satysfakcja dobrze urodzonych. Amerykanie Marci i Timothy wyruszyli na Wschód Europy za głosem serca, ciekawości, potrzeby walki o lepszy świat. Nie oczekiwali, że mieszkańcy krajów dawnego obozu socjalistycznego będą od nich uczyli się, jak żyć i myśleć. Wręcz przeciwnie, pobierali nauki, zawiązywali przyjacielskie więzy i cały czas przekraczali siebie.

W ich postawie skrywa się jedna z najważniejszych mądrości pogranicza. W prawdziwy dialog z Innym wchodzi się przekraczając siebie. Poznając i ucząc się od innych, zdobywa się mandat do wspólnego z nimi kształtowania rzeczywistości i w konsekwencji realnego wpływu również na ich wewnętrzną przemianę.

Marci Shore i Timothy Snyder stali się dzisiaj jednymi z najważniejszych w świecie ambasadorów walczącej o życie Ukrainy

18 Przeszłość nas różni. Nasza pamięć jest subiektywną, nasze historie ograniczone do narodowych, rodzinnych czy kulturowych. Spoiwa dla nich powinniśmy szukać w wychyleniu ku przyszłości. Praca nad kształtem świata, który stanie się domem dla nowych pokoleń, pozostawionym przez nas dziedzictwem, zawiązuje wspólnotę ludzi odpowiedzialnych i solidarnych.

Dzięki temu może również zmieniać się nasze podejście do przeszłości, otwierając perspektywę dla zbliżających się do siebie zawartością podręczników historii i zamieszkiwania we wspólnej pamięci. Jakby na to nie spojrzeć, przyszłość należy do ludzi pogranicza.

19 Marci lubi mówić o sobie „bezrodnyj kosmopolit", podkreślając tym samym swoją solidarność z osobami bezwzględnie prześladowanymi przez reżim stalinowski za bycie „wykorzenionymi obywatelami świata". Dla myślenia totalitarnego już samo przyznawanie się do obywatelstwa w ludzkim polis piętnowane było łatką obcości i dysydenctwa.

Tim jest amerykańskim patriotą, niezależnie od tego, w jakim obecnie kraju ma swój dom i profesorską katedrę. Bycie historykiem Europy Środkowowschodniej w żadnym razie go od tego nie oddala. Wręcz przeciwnie, to tradycje opozycji demokratycznej w tej części świata, połączone z wiedzą historyczną, przygotowały go do bycia wpływowym public intellectual w świecie Zachodu.

Oboje, Marci i Tim, doskonale zamieniają się swoimi rolami, potrafiąc pomieścić w sobie jednocześnie patriotyzm i kosmopolityzm. Podążając za ich światopoglądem, moglibyśmy zasadnie zapytać: A cóż to za patriota, który nie chce być obywatelem świata? A także: Czy kosmopolityzm pozbawiony miłości do ojczyzny byłby zdolny do stawienia oporu stalinizmowi, tak jak i każdemu innemu totalitaryzmowi?

20 Pozostaje jeszcze wierność, nie tylko sobie, także przyjaźniom, raz rozpoczętemu dziełu, złożonym sobie i innym obietnicom. Pozostaje ciągłość. Wszak rzeka to nie tylko wyłaniający się zza zakrętu odcinek. Sztuka budowniczych mostów opiera się na długim trwaniu.

Cóż jednak oznacza to w praktyce? Pomyślmy przez chwilę nad obecnością Marci Shore i Timothy'ego Snydera pośród nas tutaj. Są u siebie w Białej Synagodze w Sejnach, w Dworze Miłosza w Krasnogrudzie i pośród mieszkańców tego środkowoeuropejskiego pogranicza. Od ponad 15 lat nieprzerwanie płynie strumień naszej rozmowy i wspólnej pracy. Przybywając z daleka, niepostrzeżenie stali się tutejszymi.

Prawdę mówią ci, którzy postulują dążenie historyków do obiektywności. Słuszność jest po stronie tych, którzy dowodzą, że losem budowniczych mostów staje się brzemię inności. Któż nam jednak odmówi racji w twierdzeniu, że dzisiaj pokłon składamy NASZYM ludziom pogranicza.

Droga Marci, Drogi Timie
– NIECH MOST BĘDZIE Z WAMI! ●



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/ AGENCJA WYBORCZA.PL

*Krzysztof Czyżewski

• Ur. w 1958 r., animator kultury, poeta i eseista, współtwórca ośrodka Pogranicze - Sztuk, Kultur, Narodów w Sejnach.
• Jego tekst to laudacja (tytuł - „Wyborcza") wygłoszona w sierpniu tego roku podczas uroczystości wręczenia Marci Shore i Timothy'emu Snyderowi tytułu „Człowiek Pogranicza". Jest on przyznawany przez Fundację Pogranicze i Ośrodek Pogranicze.
• Tegoroczni laureaci są jednymi z najważniejszych dziś badaczy Europy Środkowowschodniej. Tematy ich prac to m.in. totalitaryzm, imperializm, Zagłada, pamięć historyczna i zagrożenia dla demokracji.

eprasa.pl ce60f33c89

ALE HISTORIA



ŻEBY NIE BYŁO tyranii WIĘKSZOŚCI

Midterms, czyli wybory połówkowe, mogą nie tylko odwrócić układ sił w Kongresie, ale też być zwiastunem nowych trendów politycznych, a także wzbudzać lub gasić wielkie nadzieje społeczne.

Robert Stefanicki

eprasa.pl ce60f33c89

Istnienie tych wyborów wynika z zapisanego w konstytucji z 1787 roku zróżnicowania długości kadencji poszczególnych gałęzi władzy federalnej. Zamiarem Ojców założycieli USA było zminimalizowanie ryzyka „tyranii większości” bądź chaosu wynikającego z impulsywnego zwrotu w nastrojach społecznych. Krótka, dwuletnia kadencja Izby Reprezentantów miała uczynić ją czujnikiem bieżącej woli elektoratu, a sześcioletnia Senatu – stanowić bufor dla emocji.

Ponieważ kadencja parlamentu trwa dwa lata, a prezydenta cztery, co drugie wybory wypadają w połowie kadencji prezydenckiej.

NARODZINY REPUBLIKANÓW

Najbardziej brzemienne w skutki wybory połówkowe odbyły się latach 1854-1855 (przeprowadzano je wtedy etapami, przez wiele miesięcy). Ich rezultatem było zawalenie się drugiego systemu partyjnego, a kraj wszedł na drogę prowadzącą do wybuchu wojny secesyjnej.

Jedność państwa utrzymywała się dotąd dzięki równowadze między dwoma głównymi partiami: Demokratami i Wigami. Były to ugrupowania ogólnokrajowe, z frakcjami północnymi – przeciwnymi niewolnictwu – oraz południowymi – opowiadającymi się za nim. Kompromis zburzyła w maju 1854 roku ustawa o Kansas i Nebrasce forsowana przez demokratycznego senatora Stephena A. Douglasa i podpisana przez prezydenta Franklina Pierce'a. Uchylała obowiązującą od 34 lat zasadę, że na terytoriach położonych na północ od równoleżnika 36 30’ niewolnictwo jest zakazane. Douglas wprowadził zasadę suwerenności ludu: osadnicy na nowych terytoriach Kansas i Nebraski mają w głosowaniu sami zdecydować, czy ich stan będzie wolny czy niewolniczy. Na Północy odczytano to jako ofensywę oligarchów z Południa dążących do ekspansji gospodarki plantatorskiej. Podział szedł w poprzek struktur partyjnych. Wigowie na Południu poparli ustawę, a ci na Północy stanowczo ją odrzucili. Jednocześnie wielu antyniewolniczych Demokratów z Północy wypowiedziało posłuszeństwo prezydentowi Pierce'owi i władzom własnej partii.

Sytuację dodatkowo komplikował napływ katolickich imigrantów, głównie z Irlandii i Niemiec. Na Północy wywołało to falę natywizmu i ksenofobii. Zagospodarowała te emocje nowa organizacja polityczna nosząca nazwę Partii Amerykańskiej, ale powszechnie znana jako Know-Nothing – Nicniewiedzący. Nazwa wzięła się stąd, że gdy członków pytano o cokolwiek związanego z tą partią, odpowiadali: „Nic nie wiem”.

W Louisville w Kentucky w dzień wyborów uzbrojone bojówki Nicniewiedzących opanowały lokale, nie dopuszczając do głosowania katolickich imigrantów. Płonęły całe dzielnice, a członkowie ugrupowania serwowali wyborcom darmowy alkohol w zamian za oddanie głosu na ich listę.

W Izbie Reprezentantów Demokraci ponieśli porażkę. Nowo powstały ruch antyniewolniczy określany mianem Opozycji lub Partii Republikańskiej zdobył około 100 mandatów, stając się najsilniejszą formacją na Północy. Powstała nowa mapa wyborcza: Demokraci z południowych stanów kontra Republikanie z północnych. Nicniewiedzący wprowadzili do Izby Reprezentantów ponad 50 kongresmenów. Nowy Kongres był tak podzielony, że gdy zebrał się w grudniu 1855 roku, przewodniczącego wybrano dopiero po 133 głosowaniach.

Stosowanie zasady suwerenności ludu sprawiło, że do Kansas masowo napływali zwolennicy i przeciwnicy niewolnictwa, którzy między sobą walczyli, co było przygrywką przed wojną domową.

Choć sama Partia Amerykańska znikła równie gwałtownie, jak powstała, to jej krótkotrwały sukces był ważnym czynnikiem prowadzącym do przeformatowania amerykańskiej sceny politycznej. Masowe przechodzenie konserwatywnych, natywistycznych wyborców z Północy i Południa do Know-Nothing sprawiło, że Wigowie przestali istnieć jako siła ogólnokrajowa. Po rozpadzie partii zwolennicy Nicniewiedzących z Północy zasilili Partię Republikańską, dzięki czemu ta zdobyła większość w wyborach prezydenckich w 1860 roku. Wygrał je były kongresmen Wigów z Illinois Abraham Lincoln, który oburzony uchwaleniem ustawy Kansas-Nebraska przystał do Republikanów. Gdy Lincoln został prezydentem bez poparcia choćby jednego stanu na Południu, te uznały, że nowy układ pozbawił je wpływu na władzę federalną – co pchnęło je do secesji i wojny domowej, która wybuchła w 1861 roku i trwała cztery lata.

Artylerzyści armii Unii w 1862 roku w Murfreesboro w stanie Tennessee. Jednym z impulsów, który popchnął kraj do wojny secesyjnej był rezultat wyborów połówkowych przeprowadzonych w latach 1854-55

FOT. GETTY IMAGES

RASIŚCI ODZYSKUJĄ GRUNT

Wybory w 1874 roku zamknęły epokę powojenną, kładąc kres rekonstrukcji – epokowemu projektowi przebudowy amerykańskiego Południa po wojnie secesyjnej, który przyznał prawa obywatelskie Afroamerykanom. Był to skutek kryzysów nękających Amerykę. W 1873 roku upadł jeden z największych banków, Jay Cooke & Company, co zapoczątkowało pierwsze ogólnokrajowe tąpnięcie w gospodarce. Bezrobocie w miastach Północy skoczyło do nienotowanych wcześniej poziomów, rynki rolnicze się załamały, pojawiła się deflacja i , co prowadziło do stagnacji gospodarczej. Wyborcy obwinili za to rządzących Republikanów. Wyczerpało się przyzwolenie Północy na finansowanie wojskowej okupacji stanów byłej Konfederacji. Powszechny stawał się pogląd, że sprawy Południa powinny zostać rozwiązane na lokalnie, bez interwencji armii federalnej.

Republikanom zaszkodziły skandale. Choć prezydent Ulysses Grant był bohaterem o nieskazitelnej reputacji, jego ufność wobec politycznych i wojskowych towarzyszy doprowadziła do korupcji. Fasadowa spółka stworzona przez budowniczych kolei transkontynentalnej wyssała z budżetu 44 mln nadprogramowych dotacji, które trafiły do kieszeni udziałowców-polityków, w tym wiceprezydenta Schuylera Colfaxa.

Kolejny przekręt dotyczył alkoholu. Rząd obłożył go podatkiem akcyzowym, aby spłacić długi wojenne. A destylarnie whisky zawiązały spisek z urzędnikami ministerstwa skarbu, którzy za łapówki nie ściągali podatku. Z zysków finansowano m.in. fundusz wyborczy Republikanów. Wstrząs wywołało odkrycie, że jedną z kluczowych postaci w siatce przestępczej był Orville E. Babcock – osobisty sekretarz prezydenta Granta.

Podczas gdy na Północy kampania ogniskowała się wokół kulejącej gospodarki i afer korupcyjnych, na Południu wybory miały rasistowski charakter. Partia Demokratyczna, sterowana przez dawnych właścicieli niewolników, sformułowała program reakcyjny. Celem było odebranie władzy lokalnym koalicjom republikańskim złożonym z wolnych Afroamerykanów, ubogich białych oraz przybyszów z Północy. Miejsce rozbitego pierwszego Ku Klux Klanu zajęły milicje rasistowskie, takie jak Biała Liga w Luizjanie czy Czerwone Koszule w Karolinie Południowej i Missisipi.

Na dwa miesiące przed wyborami w Nowym Orleanie tysiące uzbrojonych członków Białej Ligi starło się z policją i stanową milicją, obalając na kilka dni republikańskiego gubernatora Luizjany. Porządek przywróciły wojska federalne, ale pokazało to, jak słaba jest kontrola Waszyngtonu nad Południem.

W wielu stanach czarni byli tam terroryzowani, uniemożliwiano im głosowanie, które wygrali Demokraci, przejmując kontrolę nad Izbą Reprezentantów pierwszy raz od wojny secesyjnej. W Senacie Republikanie obronili większość, ale ich przewaga stopniała. Demokraci przejęli też władzę wykonawczą i ustawodawczą w ważnych stanach Północy oraz niemal całkowicie na Południu. Proces ten nazwali odkupieniem.

Demokratyczna Izba Reprezentantów odcięła fundusze na utrzymanie wojsk federalnych na Południu. Kongres przestał uchwalać ustawy chroniące prawa obywatelskie wyzwolonych niewolników.

W 1877 roku obie partie zwarły układ: w zamian za wycofanie armii z Południa Demokraci przestali blokować zaprzysiężenie Rutherforda B. Hayesa na prezydenta. Ów niesławny kompromis pozwolił Demokratom wprowadzać lokalne przepisy – prawa Jima Crowa – utrwalające segregację rasową oraz uniemożliwiające Afroamerykanom głosowanie. W Birmingham w Alabamie zakazano osobom czarnoskórym i białym wspólnej gry w warcaby lub domino. W Karolinie Północnej podręczniki szkolne czarnych nie mogły być używane później przez białych – i odwrotnie. Afroamerykanów chcących zarejestrować się jako wyborcy poddawano testom czytania, pisania i liczenia. Urzędnicy zadawali pytania, na które nie dało się udzielić odpowiedzi, np.: „Ile ziaren fasoli jest w tym słoiku?”.

Wybory połówkowe z 1874 roku urodziły też... słonia. Czasopismo „Harper's Weekly” opublikowało karykaturę przedstawiającą osła, będącego symbolem Demokratów, w skórze lwa, który straszy zwierzęta w zoo. Wśród nich jest przerażony słoń z napisem „The Republican Vote”. Rysunek miał wyśmiać panikę Republikanów przed rzekomym dyktatorem Grantem. Tak bardzo zapadł w pamięć opinii publicznej, że słoń stał się oficjalnym symbolem Partii Republikańskiej.

AMERYKA SIĘ IZOLUJE

W 1918 roku midterms odbyły się kilka dni przed końcem I wojny światowej. Dwa lata wcześniej demokrata Woodrow Wilson wygrał reelekcję pod hasłem „On uchronił nas od wojny”, lecz w kwietniu 1917 roku i tak USA do niej wprowadził. W Europie walczyły ponad 2 miliony amerykańskich żołnierzy.

Polityka zagraniczna w czasie wojny cieszyła się ponadpartyjnym poparciem. Jednak tuż przed wyborami Wilson popełnił błąd: wezwał naród do oddania głosu na Demokratów, argumentując, że tylko wyraźne zwycięstwo jego partii da mu pełen mandat podczas nadchodzącej konferencji pokojowej w Paryżu. Odezwa oburzyła Republikanów i niezależnych wyborców, którzy poczuli, że ich wkład w wysiłek wojenny został zignorowany na rzecz partyjnej kalkulacji. Lider Republikanów w Senacie Henry Cabot Lodge – który po wyborach stanie na czele Komisji Spraw Zagranicznych – uznał to za wypowiedzenie wojny politycznej.

Wyborcy mieli powody do niezadowolenia. Mobilizacja wojenna wymagała głębokiej ingerencji państwa w gospodarkę: kontrolowano ceny produktów rolnych, wprowadzono racjonowanie żywności i paliwa, podatki podniesiono do rekordowych poziomów. Na rolniczym Środkowym Zachodzie narastał gniew z powodu sztywnych cen skupu pszenicy przy braku kontroli cen bawełny na Południu.

Jednocześnie szalała pandemia grypy hiszpanki. Tylko w październiku zmarło niemal 200 tysięcy Amerykanów. W wielu stanach i miastach zakazano wieców politycznych, zamknięto lokale wyborcze, a kampania przeniosła się do prasy i ulotek. Frekwencja wyborcza była najniższa od dziesięcioleci.

Republikanie odbili obie izby parlamentu, a ich przewaga w Senacie odcisnęła piętno na historii świata. Zgodnie z konstytucją to Senat ratyfikuje traktaty międzynarodowe, gdy więc prezydent wrócił z Europy z traktatem wersalskim, w który wplótł projekt Ligi Narodów, Republikanie zablokowali jego ratyfikację. Ich zastrzeżenia budził artykuł 10., który zobowiązywał członków Ligi do obrony integralności terytorialnej każdego zaatakowanego państwa.

Choć Wilson robił, co mógł, Stany Zjednoczone nigdy nie przystąpiły do Ligi Narodów, co poważnie osłabiło powojenny ład bezpieczeństwa w Europie. Wybory w 1918 roku rozpoczęły dwudziestoletnią erę amerykańskiego izolacjonizmu, zakłóconego dopiero wybuchem II wojny światowej.

KONIEC NOWEGO ŁADU

W 1938 mijało pięć lat od końca wielkiego kryzysu, który doprowadził do władzy Franklina Delano Roosevelta. Prezydent skręcił Partię Demokratyczną w stronę progresywizmu społeczno-gospodarczego: pod hasłem Nowego Ładu zaoferował państwowe programy osłonowe, prawa dla związków zawodowych, zasiłki i emerytury. W efekcie Afroamerykanie na Północy po raz pierwszy w historii masowo zagłosowali na Demokratów. Po miażdżącym zwycięstwie w wyborach prezydenckich w 1936 roku Roosevelt i jego partia dysponowali w Kongresie większością odporną na jakąkolwiek opozycję. Jednak między wiosną 1937 a jesienią 1938 roku popełnili kilka błędów.

Przekonany o wyjściu z kryzysu rząd federalny postanowił ograniczyć wydatki budżetowe i podnieść rezerwy obowiązkowe dla banków. W efekcie gospodarka powtórnie się załamała, bezrobocie skoczyło z 14 do niemal 19 procent, produkcja przemysłowa spadła o jedną trzecią. Przeciwnicy rządu twierdzili, że interwencjonistyczny Nowy Ład nie leczy gospodarki, lecz ją dusi.

Drugim błędem była próba pacyfikacji Sądu Najwyższego, który regularnie uchylał kluczowe ustawy Nowego Ładu jako niekonstytucyjne. Roosevelt zaproponował ustawę pozwalającą mu wymieniać sędziów SN, którzy ukończyli 70 lat, co dałoby mu prawo do sześciu nominacji. Odczytano to jako zamach na trójpodział władzy. Nie tylko Republikanie tak to postrzegali, ale przede wszystkim konserwatywni Demokraci z Południa, którzy zaczęli postrzegać Roosevelta jako zagrożenie dla autonomii stanów. Sytuację prezydenta pogorszyła trasa po kraju, podczas której – jak ogłosił – chciał wyeliminować w prawyborach kandydatów konserwatywnych. Niemal wszyscy atakowani przezeń senatorowie obronili swoje nominacje.

W wyborach Demokraci zachowali formalną większość, ale utracili przewagę pozwalającą na swobodne uchwalanie ustaw. Co więcej, zawiązał się sojusz Repu-

eprasa.pl ce60f33c89

blikanów z konserwatywnymi Demokratami z Południa, przeciwny dalszej rozbudowie państwa opiekuńczego, prawom związków zawodowych oraz interwencjonizmowi federalnemu. Ta koalicja dyktowała politykę gospodarczo-społeczną aż do połowy lat 60. Kongres blokował niemal wszystkie prospołeczne inicjatywy Roosevelta: powszechne ubezpieczenie zdrowotne, budownictwo komunalne, dofinansowanie edukacji. Był to koniec Nowego Ładu.

KRES POTĘGI ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

Po śmierci Franklina D. Roosevelta w kwietniu 1945 roku prezydenturę objął wiceprezydent Harry Truman. Choć II wojna światowa zakończyła się zwycięstwem aliantów, przestawienie amerykańskiej gospodarki na tryb cywilny było bolesne. W czasie wojny rząd kontrolował ceny większości dóbr. Gdy zaczęto od tego odchodzić, nastąpił gwałtowny skok inflacji do niemal 18 proc. Na rynku brakowało podstawowych produktów, od mięsa po samochody i materiały budowlane. Spadek płac realnych wywołany inflacją doprowadził do masowych protestów pracowniczych. Truman grał ostro, grożąc np. wcieleniem strajkujących kolejarzy do wojska. Zraził tym do siebie związki zawodowe, tradycyjne zaplecze Demokratów. Poparcie dla Trumana spadło z 87 proc. po objęciu urzędu do zaledwie 32 proc. jesienią 1946 roku.

Przed zaplanowanymi na ten rok wyborami Republikanie przyjęli hasło wyborcze, które trafiało w nastroje Amerykanów: „Czy masz już dość?". Głosowanie zakończyło się druzgocącą klęską Partii Demokratycznej.

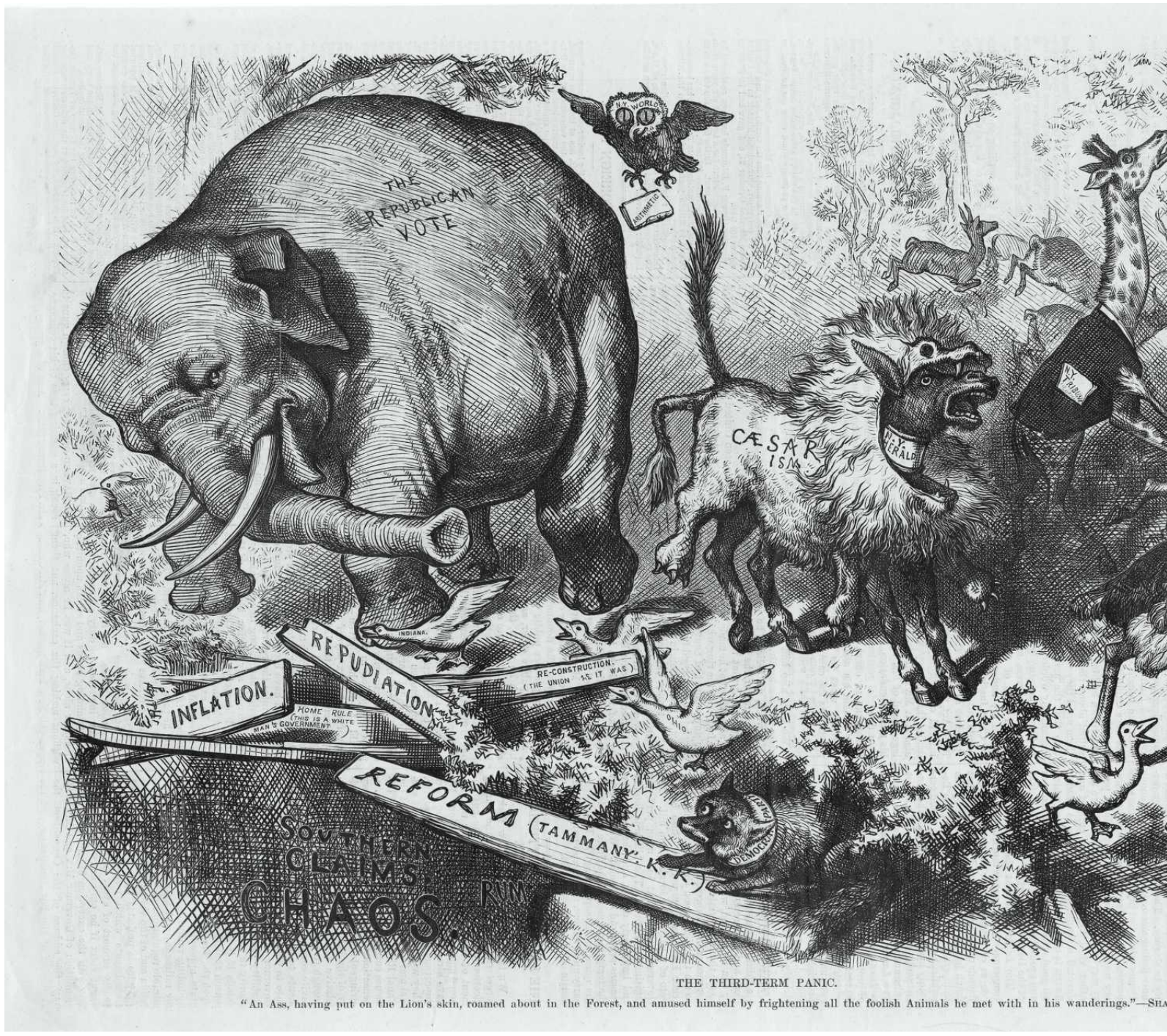
Utrata Kongresu skłoniła Trumana do szukania kompromisu z nową większością na polu polityki zagranicznej. Republikański przewodniczący senackiej komisji spraw zagranicznych Arthur Vandenberg, były izolacjonista, przeszedł na pozycje internacjonalistyczne i przekonał konserwatywnych Republikanów do poparcia polityki Białego Domu. Kongres uchwalił wtedy filary zimnej wojny: doktrynę Trumana, czyli pomoc dla Grecji i Turcji w walce z komunizmem, plan Marshalla – odbudowę Europy Zachodniej, utworzenie CIA, Departamentu Obrony i Narodowej Rady Bezpieczeństwa, oraz wyraził zgodę na powstanie NATO.

Na arenie wewnętrznej Kongres realizował wolę biznesu. Uchwalono ustawę Taft-Hartley, która ograniczyła przywileje związków zawodowych nadane im na mocy ustawy Wagnera z 1935 roku będącej częścią Nowego Ładu. Związki stały się wówczas potęgą polityczną i gospodarczą. Decydowały o tym, kto ma prawo ubiegać się o pracę w danej branży, mogły stosować przymus wobec niezrzeszonych pracowników czy szantażować firmy bez żadnych konsekwencji prawnych. Związkowcy zajmowali fabryki i wstrzymywali produkcję z dnia na dzień, często ignorując zapisy własnych umów zbiorowych. Nie można było ich pozwać do sądu za straty spowodowane nielegalnym strajkiem.

Ustawa Taft-Hartley zakazała m.in. strajków solidarnościowych oraz narzuciła na liderów związkowych obowiązek składania deklaracji antykomunistycznych. Truman ją zawetował, ale Kongres odrzucił weto przy wsparciu konserwatywnych Demokratów z Południa. Uchwalenie ustawy rozpoczęło trwający do dziś proces spadku znaczenia związków zawodowych w USA.

SPRZĄTANIE PO WATERGATE

Wybory połówkowe w 1974 roku były finałem największego kryzysu konstytucyjnego w powojennej historii Stanów Zjednoczonych – afery Watergate. Ujawnienie systemowego podsłuchiwania przeciwników politycznych i próby tuszowania śledztwa przez Biały Dom doprowadziło do wszczęcia procedury



THE THIRD-TERM PANIC.

"An Ass, having put on the Lion's skin, roamed about in the Forest, and amused himself by frightening all the foolish Animals he met with in his wanderings."—SHA

impeachmentu Richarda Nixona. Był to też okres załamania gospodarczego wywołanego embargiem naftowym OPEC z 1973 roku. Po raz pierwszy od II wojny światowej Amerykanie zderzyli się ze stagflacją – równoczesną wysoką inflacją (ponad 11 proc.) oraz rosnącym bezrobociem i recesją.

Nixon 9 sierpnia 1974 roku jako pierwszy prezydent w historii podał się do dymisji. Urząd objął wiceprezydent Gerald Ford, który miesiąc później ułaskawił Nixona. Decyzja wywołała powszechne oburzenie i zarzuty o tajny układ. Poparcie dla Forda spadło z 71 do 49 proc. w ciągu jednego dnia. Republikanie byli pewni klęski. Wielu kandydatów błagało, by Ford nie przyjeżdżał wspierać ich w kampanii. – Gdybym postawił obok siebie zdjęcie z Fordem, moi wyborcy uznaliby to za list gończy, a nie poparcie – powiedział jeden z nich.

Po wyborach Demokraci mieli w Izbie Reprezentantów większość kwalifikowaną potrzebną m.in. do odrzucania prezydenckich wet. W Senacie sytuacja wyglądała podobnie. Mandaty zdobyło wielu młodych idealistów wywodzących się z ruchów praw obywatelskich, antywojennych i konsumenckich. Ci Demokraci, zwani „dziećmi Watergate", wzięli się do burzenia tradycyjnej hierarchii parlamentarnej. Do tej pory władza w Kongresie spoczywała w rękach zasłużonych przewodniczących komisji, głównie konserwatystów z Południa z długim stażem. W styczniu 1975 roku nowa większość wprowadziła tajne głosowania nad wyborem szefów komisji, co nie tylko pozwoliło je odmłodzić i uelastycznić proces legislacyjny, ale też zapoczątkowało erę mniejszej dyscypliny partyjnej.

Wybory połówkowe w 1974 roku przypieczętowały zwycięstwo komunistów w Wietnamie. Większość demokratyczna odcięła finansowanie jakiejkolwiek pomocy wojskowej dla rządu Południowego Wietnamu. Ich stolica Sajgon upadła 30 kwietnia 1975 roku.

Najbardziej brzemienne w skutki wybory połówkowe odbyły się latach 1854–1855. Ich rezultacie kraj wszedł na drogę prowadzącą do wojny secesyjnej

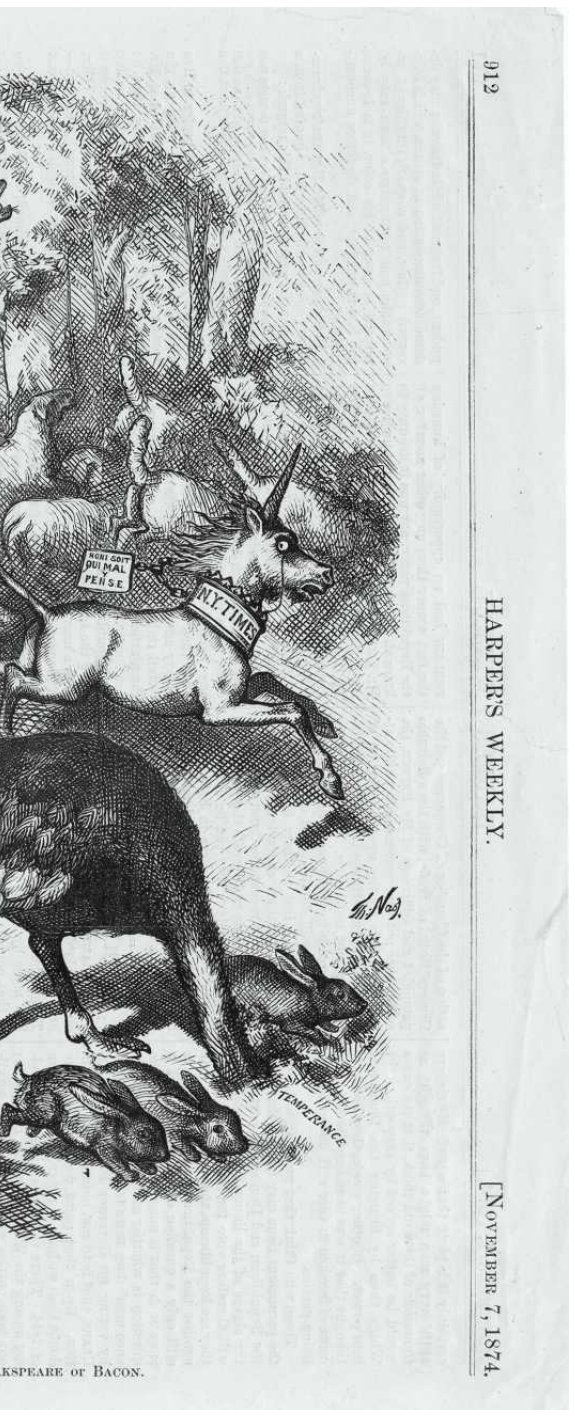
Kongres uchwalił pakiet najgłębszych reform w historii amerykańskiego prawa publicznego. Znowelizowano ustawę o kampaniach wyborczych, która wprowadziła sztywne limity wpłat na kampanie oraz stworzyła Federalną Komisję Wyborczą. Powołano Komisję Churcha, która ujawniła nadużycia CIA, FBI i NSA, w tym zamachy na zagranicznych przywódców i inwigilację obywateli USA. Wreszcie ograniczono prawo Białego Domu do prowadzenia niezaaprobowanych przez parlament operacji wojskowych za granicą.

MÓWCIE O NICH: „ZDRAJCY I ZŁODZIEJE"

Wygrana Billa Clintona w 1992 roku zakończyła 12-letni okres rządów Republikanów w Białym Domu. Demokraci znowu mieli pełnię władzy. Pierwsze dwa lata rządów Clintona doprowadziły jednak do gwałtownej reakcji w konserwatywnym elektoracie.

Demokraci usiłowali wprowadzić powszechne ubezpieczenia zdrowotne, co groziło wyeliminowaniem z rynku wielu prywatnych ubezpieczycieli lub drastycznym ograniczeniem ich zysków. Ci zasponsorowali reklamy telewizyjne przedstawiające fikcyjne małżeństwo z klasy średniej – Harry'ego i Louise, którzy martwili się, że Clintoncare doprowadzi do ograniczenia możliwości wyboru własnego lekarza, stworzy nieefektywną biurokrację rządową, spowoduje wzrost podatków, limitowanie świadczeń medycznych oraz utratę dotychczasowych, dobrze działających polis prywatnych. Pod wpływem tych reklam poparcie społeczne dla reformy zdrowotnej drastycznie spadło. Ostatecznie wycofano ją z Kongresu bez głosowania.

eprasa.pl ce60f33c89





▲ Na wyniki wybory połówkowych w 1974 roku wpłynęła afera Watergate, w wyniku której wszczęto procedurę impeachmentu prezydenta Richarda Nixona (na zdjęciu). Po wyborach Demokraci mieli w parlamencie większość, która pozwalała im odrzucać prezydenckie weta

◀ Słynna karykatura opublikowana w czasie kampanii przed wyborami połówkowymi w 1874 roku przez pismo „Harper's Weekly”. Osioł– symbol Demokratów – w skórze lwa, straszy zwierzęta w zoo. Wśród przerażonych jest słoń z napisem „The Republican Vote”. Dziś słoń jest oficjalnym symbolem Partii Republikańskiej

FOT. ZBIORY NATIONAL MUSEUM OF AMERICAN HISTORY (Z LEWEJ); BE&W (U GÓRY)

Clinton wywołał falę sprzeciwu środowisk konserwatywnych również dwiema innymi decyzjami: wprowadzeniem zasady „Don't Ask, Don't Tell”, czyli milczącej tolerancji dla osób homoseksualnych w siłach zbrojnych, oraz uchwaleniem zakazu sprzedaży wojskowych karabinów samopowtarzalnych. Zmobilizowało to potężne lobby strzeleckie, które po raz pierwszy w historii na masową skalę zaangażowało się w kampanie lokalne przeciwko Demokratom. Swoje dołożyli radiowi kaznodzieje, niezwykle popularni na początku lat 90. Najpopularniejszy, Rush Limbaugh, co tydzień docierał do ponad 20 milionów słuchaczy, bezlitośnie atakując administrację Clintona.

Przed 1994 rokiem wybory do Izby Reprezentantów miały charakter lokalny – decydowały w nich nazwiska, osobiste dotacje i relacje kongresmenów z wyborcami. Młody, bezkompromisowy kongresmen z Georgii Newt Gingrich po raz pierwszy skonsolidował kampanię do Izby wokół jednego, ogólnokrajowego programu. Jego „Kontrakt z Ameryką” podpisany na stopniach Kapitolu przez ponad 300 republikańskich kandydatów dawał wyborcom obietnicę głosowania w pierwszych 100 dniach nad 10 konkretnymi projektami, m.in. poprawką do konstytucji o zrównoważonym budżecie, ograniczeniem kadencyjności parlamentarzystów, cięciami podatkowymi oraz reformą opieki społecznej.

Co ważniejsze, komitet polityczny Gingricha wysłał do republikańskich kandydatów poufne pismo zatytułowane „Język: kluczowy mechanizm kontroli”. Nakazano im, aby nie wymieniali nazwisk swoich przeciwników bez pejoratywnego przymiotnika: „zdrajca”, „skorumpowany” czy „żałosny”, a w opisie Republikanów używali słów takich jak „rodzina”, „odwaga”, „wolność”, „praca”. To podłożyło podwaliny pod erę ostrej polaryzacji. Polityka przestała być sporem programowym, stała się grą o sumie zerowej i bezwzględną wojną kulturową, jaką obserwujemy dzisiaj.

Republikanie przejęli kontrolę nad Izbą Reprezentantów pierwszy raz od 40 lat oraz nad Senatem. I po raz pierwszy od czasów rekonstrukcji zdobyli w stanach południowych większość mandatów parlamentarnych i foteli gubernatorskich. Tym samym wybory w 1994 roku przypieczętowały długi proces historyczny: przejście dawniej demokratycznego Południa na stronę Partii Republikańskiej.

Większość w Kongresie, pod wodzą Gingricha, zaczęła używać w walce politycznej z demokratycznym prezydentem narzędzia szantażu, które stało się plagą amerykańskiej polityki: shutdownów, czyli zawieszeń pracy rządu federalnego, podczas sporów o cięcia wydatków budżetowych.

Przejęcie kontroli nad komisjami parlamentarnymi przez Republikanów dało im uprawnienia śledcze. Rozpoczęto uporczywe dochodzenia w sprawie interesów majątkowych Clintonów. Śledztwa te ostatecznie zboczyły na temat relacji prezydenta z Monicą Lewinsky, co doprowadziło do jego impeachmentu w 1998 roku – pierwszego od czasów Andrew Johnsona w XIX wieku.

POCZĄTEK PRAWICOWEGO POPULIZMU

Dwa lata przed wyborami w 2010 roku Barack Obama wygrał wybory prezydenckie pod hasłem „Nadzieja i zmiana”. Demokraci mieli wyraźną większość w Izbie Reprezentantów i Senacie. Zarazem Ameryka zmagała się ze skutkami największego od dekad kryzysu finansowego i recesji. Mimo uchwalenia pakietu stymulacyjnego o wartości niemal 800 miliardów dolarów gospodarka podnosiła się powoli. Dla milionów Amerykanów kryzys oznaczał utratę domów i miejsc pracy, co wzbudzało niezadowolenie społeczne.

Demokratom zaszkodziło też przepchnięcie ustawy znanej jako Obamacare. Obowiązek zakupu ubezpieczenia zdrowotnego prawica uznała za zamach na wolności obywatelskie. To było do przewidzenia, ale też niezależny centrowy elektorat, który zadecydował o zwycięstwie Obamy, uznał, że Biały Dom zbyt mocno skupia się na wielkich projektach ideologicznych zamiast na tworzeniu miejsc pracy.

Na prawicowej scenie pojawił się oddolny ruch zrodzony z buntu przeciwko bankowym pakietom ratunkowym oraz reformie zdrowotnej: Tea Party. W prawyborach populistyczni aktywiści wypierali z list wyborczych umiarkowanych polityków Partii Republikańskiej. Nie zawsze ze szkodą dla Demokratów – ofensywa ekscentryków kosztowała Republikanów utratę kilku pewnych mandatów. Najsłynniejszym przykładem była Christine O'Donnell w stanie Delaware. Do sieci wyciekło jej stare nagranie z programu telewizyjnego, w którym wyznała, że za młodu zajmowała się czarami i odbyła randkę na ołtarzu satanistycznym. Aby ratować sytuację, jej komitet wypuścił spot wyborczy, w którym O'Donnell, patrząc prosto w kamerę, zaczyna słowami: „Nie jestem czarownicą. Jestem tobą”. Spot stał się hitem internetu i był parodiowany przez satyryków.

O'Donnell wybory z kretesem przegrała, ale do Kongresu weszli poważniejsi radykałowie, tacy jak Rand Paul czy Marco Rubio, odrzucający kulturę ponadpartyjnego kompromisu na rzecz bezwzględnej walki o ograniczenie wydatków budżetowych i roli państwa. Utrata Izby Reprezentantów przez Demokratów zamknęła drogę do uchwalania ustaw reformatorskich. Obama zaczął więc rządzić dekretami, skupił się na polityce klimatycznej oraz dyplomacji międzynarodowej – zawarł m.in. porozumienie nuklearne z Iranem.

Nie mniej poważne reperkusje miał sukces prawicy na szczeblu stanowym. Republikanie odebrali Demokratom sześć foteli gubernatorskich i 600 mandatów w całym kraju. A w roku 2010 odbywał się spis powszechny, po którym stanowe legislatury rysują na nowo granice okręgów wyborczych do Kongresu. Republikanie użyli zaawansowanych algorytmów do przerysowania okręgów, upakowując wyborców Demokratów w wybranych miastach. Skutek: mimo że w kolejnych wyborach Demokraci zdobyli ogółem więcej głosów, to Republikanie utrzymali w Izbie Reprezentantów bezpieczną większość. Efekt ten utrzymywał się przez całą dekadę.

Ruch Tea Party pozornie zaniknął, w rzeczywistości połknął Partię Republikańską i otworzył drogę prawicowemu populizmowi, którego ostateczną emanacją jest prezydentura Donalda Trumpa.

CO WYNIKA Z HISTORII MIDTERMSÓW?

Wyciąganie wniosków z przeszłych wyborów w kontekście nadchodzących jest ryzykowne, niemniej widać kilka ponadczasowych reguł:

• Partia rządząca prawie zawsze (w 90 proc. przypadków) traci w wyborach połówkowych. Po dwóch latach wyborcy w mniejszym lub większym stopniu są rozczarowani swoimi wybrańcami. Tak będzie i tym razem, niewiadomą jest tylko skala porażki Republikanów.

• Narzucanie skrajnych kandydatów w umiarkowanych stanach i okręgach zwiększa szanse opozycji. Trump forsuje często miernych, ale wiernych. U Demokratów widzimy z kolei ofensywę socjalistów, lecz jest ona oddolna, wbrew kierownictwu partii. Historycznie centrowi wyborcy – języczek u wagi – obawiali się radykalizmu i sytuacji, w której jedna partia próbuje zmonopolizować aparat państwa lub cofnąć utrwalone normy społeczne. Nie jest jasne, jak bardzo ten mechanizm został osłabiony przez ostrą polaryzację.

• Decyzje przy urnie są w największym stopniu determinowane stanem własnego portfela; nie mają znaczenia wskaźniki ekonomiczne ani wykresy giełdowe. Dla narodu powszechnie zadłużonego i zmotoryzowanego najbardziej wymowne są raty kredytów i ceny paliw, które wskutek wywołanej przez Trumpa wojny z Iranem są coraz wyższe. Nie da się tych faktów przykryć jazgotliwymi memami kreowanymi przez prezydenta. Republikanie mają więc powody do obaw, a ci z umiarkowanych stanów zaczynają się dystansować od wojny Trumpa, tak jak pół wieku temu dystansowali się od Forda.

• Kiedy prezydent w wyniku wyborów połówkowych tracił kontrolę nad Kongresem, zwykle przesuwał uwagę na politykę zagraniczną, gdzie władza wykonawcza ma większą swobodę działania. Jednak Trump gros swojej aktywności już teraz przeznacza na zagranicę. Zdążył też zmarginalizować Kongres mimo posiadanej większości w obu izbach. Tym bardziej nie ma co oczekiwać, że po przegranych midtermsach jak Bill Clinton będzie szukał kompromisu z nową większością. Raczej przejdzie całkowicie na rozporządzenia wykonawcze. Pozwoli mu to przez pozostałe dwa lata kontynuować dotychczasową strategię, bo mimo oporu Kongresu i sądów będzie mógł wysyłać wojsko na zagraniczne misje, a także stosować presję gospodarczą wobec sojuszników i rywali.

Albo nastąpi zmiana: Trump odstawi jastrzębi w swojej partii na boczny tor i wyciągnie rękę do izolacjonistów, skupiając się na starciu z Demokratami na arenie wewnętrznej. ●

eprasa.pl ce60f33c89



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

10 LITEWSKA

Dom traum, władzy i słowa

Podczas kwerendy do książki zdałam sobie sprawę, że opowieść o lokatorach tej kamienicy to historia Polski w pigułce.

1 RP

eprasa.pl ce60f33c89

Z **BEATĄ CHOMĄTOWSKĄ,**
AUTORKĄ KSIĄŻKI „DOM WARSZAWSKI”,
ROZMAWIA **MARTA GRZYWACZ**

MARTA GRZYWACZ: A więc skarbu przy Litewskiej 10 nie udało się odnaleźć? Mimo że niektórzy mieszkańcy przed wojną byli dobrze sytuowani i, ewakuując się, mogli gdzieś coś ukryć w nadziei, że powrócą.
BEATA CHOMĄTOWSKA: Oprócz poniemieckiej gazety i zwietrzałej butelki wódki, które robotnicy odkryli podczas remontu, niczego nie znaleziono. Ale ja swój skarb znalazłam – bezcenne opowieści o tym, kim byli i jak żyli mieszkańcy domu.

Wiedziałaś, czego się spodziewać?
– Zupełnie nie, choć to miejsce też stało się moim domem. Zaczęło się od rozmowy z sąsiadką, która zaprosiła mnie do swojego mieszkania. Gdy spytałam znajomego o jej nazwisko, powiedział „wdowa po Świerczewskim”. Początkowo nie skojarzyłam, że może chodzić o „tego” Świerczewskiego, generała Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego, który zginął na Podkarpaciu z rąk UPA. Ale to był on. A moja sąsiadka i jedna z bohaterek książki, Wiesława Piechocka, to jego „wojenna żona” i matka jedynego syna. Stopniowo okazało się też, że w tym samym domu mieszkało wiele innych kobiet o intrygujących życiorysach: wdowa po Mieczysławie Moczarze, działaczki komunistyczne – Roma Granas i Edwarda Orłowska, Helena Datner, córka Edwardy, historyczka i socjolożka, potem żona Pawła Śpiewaka, Helena Łuczywo, działaczka KOR-u i współzałożycielka „Gazety Wyborczej”, i wiele innych. Żartowałyśmy wtedy z moją redaktorką z Czarnego Magdą Budzińską, że w tym domu można by zrobić wywiady do książki „One”. No i znacznie później się dowiedziałam – to już było na końcowym etapie prac nad „Domem warszawskim” – że Teresa Torańska bywała w tym domu i rozmawiała m.in. z Romaną Granas i Władą Piechocką. Tych rozmów jednak nie opublikowała. Granas nie pozwoliła się zresztą nagrywać, więc Torańska po wyjściu z klatki siadała na krawężniku i na gorąco robiła notatki. A ja przy okazji dalszej kwerendy zdałam sobie sprawę, że ten dom jest historią Polski w pigułce. I że warto go opisać nie tylko w kontekście kobiet.

Nie opisywałaś jednak wszystkich bohaterów.
– Myślałam o książce trochę w kategoriach filmowych, zresztą zaczyna się rodzajem sequelu, a mianowicie tym, że musi mieć kilkoro pierwszoplanowych bohaterów, których losy będą się jakoś ze sobą łączyć. Jednym z takich zworników okazał się Wadim Niekrasow, przybrany syn przedwojennej współwłaścicielki domu, który po wojnie wrócił na Litewską z wojskiem i zajął dla siebie mieszkanie, a potem, gdy Władysław Gomułka urządzał w domu Ministerstwo Ziem Odzyskanych, przeniósł się z matką i resztą rodziny do dwóch mieszkanek na ostatniej kondygnacji w oficynie, bo od frontu miały być biura. Dokonał niemal niemożliwego, bo rzadko się zdarzało, żeby komuś na to pozwolono. Wadim żył długo, podobnie jak kilkoro innych bohaterów związanych od przedwojnia z ruchem komunistycznym, jak Orłowska, Granas, Julian Finkelsztajn, Chaberowie, Witold Konopka czy Czesław Świderski, którzy wprowadzili się po likwidacji Ministerstwa Ziem Odzyskanych, gdy dom stał się domem Komitetu Centralnego.

A pierwotnie był to dom czynszowy.
– Tak, całkiem spora modernistyczna kamienica z dużą oficyną doświetloną z każdej strony, z 56 mieszkaniami. Powstała w późnych latach 30. ubiegłego wieku. Wybudowali ją bracia Kurnatowscy – Eugeniusz i Leon, w czasach boomu budowlanego. Podobnie jak inne budynki, których inwestorzy korzystali z ulg podatkowych dzięki wprowadzonej wtedy ustawie „lex Wedel”, miała przynosić zysk.

Kogo było stać na mieszkanie w takim miejscu? Litewska była wówczas ulicą, na której ulokowało się kilka pałacyków, to był tak zwany dobry adres.
– Ówczesną klasę średnią, w tym przedstawicieli wolnych zawodów, ziemian. W przedwojennej książce telefonicznej znalazłam na przykład nazwisko Zofii Reicher, okulistki. Pochodziła z bogatej żydowskiej rodziny Reicherów, która stworzyła Sosnowiec, zakładając tam nowoczesne fabryki. Po wojnie Zofia związała się z Grzegorzem Fitelbergiem, dyrygentem i dyrektorem Filharmonii Warszawskiej, orkiestry Teatru Wielkiego w Warszawie i orkiestry Polskiego Radia. Do 1939 roku w kamienicy zdążyli też trochę pomieszkać m.in.: Halina Ałapin, żona malarza, który pracował w warszawskiej filii wytwórni Metro Goldwyn Mayer, Anna Goldman, lekarka, Władysław Bornstein, architekt, inżynierowie Karol Bergman i Wacław Prochnau.

Co się z nimi stało w czasie wojny?
– Wszyscy musieli opuścić swoje mieszkania. Część wyjechała z Warszawy, część trafiła do getta i zginęła. Wojnę przeżyły na pewno Zofia Reicher, która zdążyła wyjechać za granicę, i Halina Ałapin, po mężu Menes. Halina przeszła przez getto w Warszawie i w Sosnowcu, a także przez niemiecki obóz pracy. Po wyzwoleniu podała się za Francuzkę i wyjechała do Francji.

Co z tamtego ich świata przetrwało wojnę na Litewskiej 10?
– Niemal wszystko. Oryginalne gorseciki z manufaktury Helmana, marmury, żelazne poręcze, obramowanie schodów, windy Sowitscha. Kamienica miała szczęście. Nie została zniszczona, bo podczas okupacji znalazła się w obrębie planowanej dzielnicy niemieckiej. Dom był nowoczesny, o wysokim standardzie, więc Litewska 10 stała się przystanią dla funkcjonariuszy Kripo, Gestapo i innych służb, którzy pracowali po sąsiedzku, przy Alei Szucha. Budynek wyposażony był w centralne ogrzewanie, w „zimne szafki” do przechowywania żywności, w nowoczesne łazienki, w garaże. A że wcześniej mieszkali tam m.in. Żydzi, w ogóle hitlerowcom nie przeszkadzało.

Zgodzisz się, że najgorszym lokatorem domu przy Litewskiej 10 był Karl Georg Brandt?
– Zdecydowanie tak. Był specjalistą do spraw żydowskich w warszawskim Gestapo. Przy Żelaznej 103, w tak zwanym Befehlstelle, mieściło się jego biuro – stanowisko dowodzenia i prowizoryczny areszt, w którym przetrzymywano i torturowano Żydów złapanych podczas ucieczki z getta. Brandt odegrał też kluczową rolę w trakcie Wielkiej Akcji, czyli wywózki Żydów do komór gazowych w Treblince. Sam decydował o selekcji, nie zwracał żadnej uwagi na dokumenty. Miewał też napady szału, które były przyczyną śmierci wielu ludzi. Zanim się dowiedziałam, że mieszkał przy Litewskiej, od jednej z powojennych mieszkanek kamienicy, Barbary Stępień, usłyszałam, że w latach 60. ubiegłego wieku, gdy była jeszcze dziewczynką, miała koszmarny, powtarzający się sen. Siedziała zamknięta w toalecie w mieszkaniu, do którego dobijali się Niemcy w mundurach.

Wierzysz w złą energię niektórych miejsc?
– W pracach badaczy odwołujących się do nurtu afektywnego w antropologii jest mowa o tym, że miejsca, które wiążą się z ludobójstwem czy traumatycznymi wydarzeniami, powodują u ludzi wyraźny dyskomfort, nawet jeśli nie mają pojęcia o ich przeszłości. Takie zjawiska często obserwuje się u dzieci. Tak jakby lepiej od dorosłych wyczuwały, że w danym miejscu wydarzyło się coś niedobrego. Literacko, ale na bazie autentycznych wydarzeń, pisała o tym Hanna Krall w opowiadaniu „Obecność”, którego akcja rozgrywa się w mieszkaniu na terenie dawnego getta. Też zetknęłam się z podobnymi opowieściami, poszukując materiałów do debiutanckiej książki o Muranowie. Senny koszmar Barbary i i jej strach przed hitlerowcami na Litewskiej 10 mógł być strachem Haliny Ałapin, która na przełomie września i października 1939 roku usłyszała walenie w drzwi, a potem rozkaz po niemiecku, że ma dwa dni na to, aby się wynieść. Wolno jej było zabrać tylko rzeczy osobiste.

Niektórych mieszkańców tego domu po wojnie dotykała inna przypadłość – amnezja.
– Wilhelm Tewes, komisarz kryminalny i Hauptsturmführer SS, lokator środkowego mieszkania na pierwszym piętrze od frontu, który pracował w policji kryminalnej Kripo, zeznając po wojnie przed różnymi sądami, bez przerwy zasłaniał się brakiem pamięci, albo niewiedzą. Niczego nie pamiętał, nawet twierdził, że nie był w getcie, choć pracował na Pawiaku. Tewes przyjechał do Warszawy w 1941 roku, a tuż za nim żona z kilkumiesięcznym synem. Gdy syn dorósł, nie był zainteresowany wglądem w przeszłość ojca. Dopiero wnuk Wilhelma Tewesa Nick, który w przeciwieństwie do ojca zaciekawił się wojennymi losami dziadka, z którym był mocno związany, zaczął odkrywać przeszłość. Nick

Na pewno ten dom i jego mieszkańcy reprezentują pewien świat, mocno związany ze słowem pisanym, który na naszych oczach się kończy

wybrał się do Warszawy w maju 2025 roku, poszedł na Litewską, stanął przed budynkiem, zadarł głowę do góry, popatrzył na dawny balkon swoich dziadków i miał dużo szczęścia, bo jeden z mieszkańców wpuścił go do budynku. A ówczesna właścicielka mieszkania pozwoliła mu zobaczyć, jak mieszkał kiedyś jego dziadek.

Jak trafiłaś na Nicka?
– Szukanie potomków dawnych niemieckich lokatorów przypominało szukanie igły w stogu siana. Hitlerowcy spalili lub zabrali część dokumentów, resztę wywieźli na śmietnik Rosjanie. Tymczasem igła sama się znalazła – jeden ze szczęśliwych zbiegów okoliczności podczas pracy nad tą książką. Zadzwonił do mnie sąsiad z informacją, że właśnie zaczepił go obcokrajowiec, który twierdzi, że w czasie wojny mieszkali tu jego ojciec i dziadek. Nick był już wówczas po lekturze archiwów, napisał też na rodzinny użytek książkę rekonstruującą życie dziadka. Od razu się umówiliśmy na rozmowę, podzielił się ze mną materiałami, które pomogły zrekonstruować wojenną historię domu. Bardzo chciał zrozumieć postępowanie dziadka i jego motywy, na przykład to, czemu mógł mówić, działając w strukturach nazistowskiej władzy, że nic nie wiedział o zbrodniach SS. O Tewesie można powiedzieć tyle dobrego, że nie uczestniczył w pierwszym rabunkowym szale, kiedy jesienią 1939 roku meble i ozdoby po przedwojennych właścicielach krążyły z mieszkania do mieszkania, ponieważ przyjechał do Warszawy później niż jego koledzy z Kripo, gdy wszystko było już rozkradzione.



FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Beata Chomątowska

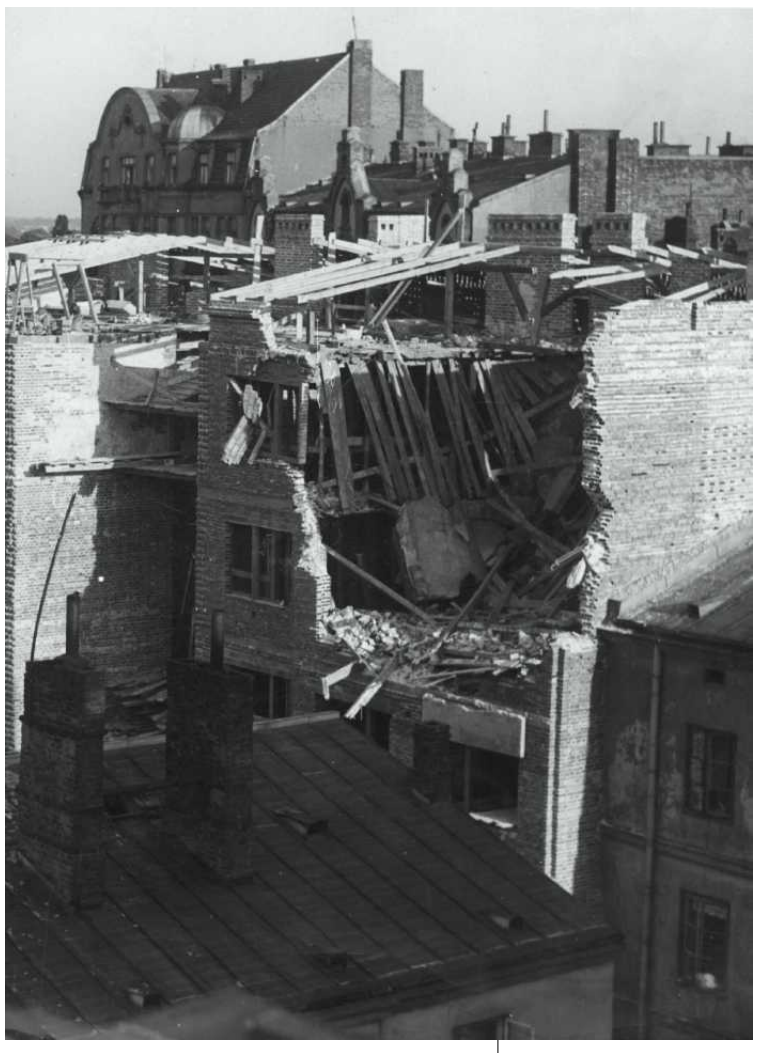
• pisarka, dziennikarka, europeistka i religioznawczyni, autorka książek: „Stacja Muranów”, „Pałac. Biografia intymna”, „Lachert i Szanajca. Architekci awangardy”, „Prawdziwych przyjaciół poznaje się w Bredzie”, „Andreowia”, „Betonia. Dom dla każdego”, „Miasto Dzieci Świata”.

Paradoksem tamtych czasów jest fakt, że Niemcy za lokale, które zajmują, płacą czynsz przedwojennym właścicielom kamienicy.
– Faktycznie, czynsz od nich po śmierci właścicieli przyjmuje Paulina Kurnatowska, wdowa po jednym z braci Kurnatowskich, co wynika z dokumentów. Niemieccy lokatorzy okazują się więc nadzwyczaj solidni. Kłopoty zaczną się dopiero w 1945 roku, gdy w domu zainstalują się radzieccy „wyzwoliciele”, zajmując najlepsze mieszkania po hitlerowcach. Kiedy radzieckich lokatorów udaje się z kamienicy usunąć – nie bez trudu – i w budynku instalują się częściowo biura Ministerstwa Ziem Odzyskanych, już tak dobrze nie jest – resort oddala pretensje dotychczasowych właścicielek, które domagają się płatności. Mieszkania w oficynie dostają wtedy pracownicy ministerstwa, w tym ludzie związani z przedwojennym ruchem narodowym, jak działacze Ojczyzny. Oni także byli przydatni, bo przed wojną tworzyli już plany zagospodarowania ziem zachodnich, więc z tej wiedzy Gomułka chciał korzystać. Później ich sąsiadami od frontu staną się komuniści, którzy w większości przeżyli wojnę w Związku Radzieckim.

Opisujesz zakręty historii, które wpływają na życie mieszkańców kamienicy. Traumatyczne są koleje losu Wandy Podgórskiej, sekretarki Gomułki, która dostaje nawet mieszkanie w oficynie kamienicy, ale kiedy Gomułka popada w niełaskę Bieruta, ona także ponosi konsekwencje.
– Podgórska, adwokatka z zawodu, która podczas wojny działała na rzecz komunistów, na fali śledztw wobec współpracowników Gomułki z początku lat 50., która jest częścią ówczesnej walki o władzę, zostaje posądzona przez SB o zdradę i współpracę z Armią Krajową. Funkcjonariusze przychodzą po nią do domu na Litewskiej w nocy, zostawia małą córeczkę. Załamuje się w więzieniu, trafia do szpitala psychiatrycznego, gdzie spędza dwa lata. Jej stan jest na tyle poważny, że nie poznaje własnej matki, która przyjeżdża w odwiedziny. Nie będzie jedyną lokatorką, z którą komunistyczna władza źle się obejdzie.

Był jeszcze Czesław Świderski, który po usunięciu ze stanowiska przeżył chyba załamanie psychiczne.
– Świderski, zatrudniony w Centralnej Komisja Kontroli Partyjnej, to proletariusz z ubogiej warszawskiej rodziny. Praca w Komitecie Centralnym stanowiła dla niego awans społeczny. Świderski – jak pisał mi jego syn Bolesław mieszkający dziś w Kopenhadze, który przywołuje dom na Litewskiej w nominowanej kiedyś do Nike książce „Asystent śmierci” – był ideowym komunistą. Nie chciał nawet zająć większego mieszkania, choć mu to proponowano, bo uważał, że powinien mieszkać jak robotnik. I kiedy go usuwają ze stanowiska, kompletnie się w sobie zapada. Przestaje wstawać z łóżka. Robi to tylko na posiłki, które je w milczeniu. Od święta dzieli się z żoną, bo z dziećmi już nie, kawiorem, który mu przysyłają z Moskwy. Żona, która czasami kupuje warzywa u prywaciarza, musi je przepakowywać w zatłuszczony, szary papier, żeby Czesław się nie zorientował, że nie pochodzą z państwowego sklepu, bo byłaby

eprasa.pl ce60f33c89



◀ W 1937 roku doszło do katastrofy budowlanej – zawaliło się piętro kamienicy przy Litewskiej 10

▶ Romana Granas (1907-87), mieszkanka kamienicy, komunistka, dziennikarka, na przełomie lat 50. I 60. pracowała m.in. w tygodniku „Polityka", z prawej jej syn Andrzej

▼ Współczesny widok domu zaprojektowanego w latach 30. XX wieku przez braci Eugeniusza i Leona Kurnatowskich

FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO, DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, ARCHIWUM ROMY GRANAS, ZA: T. TORAŃSKA, ONI, WARSZAWA 2004



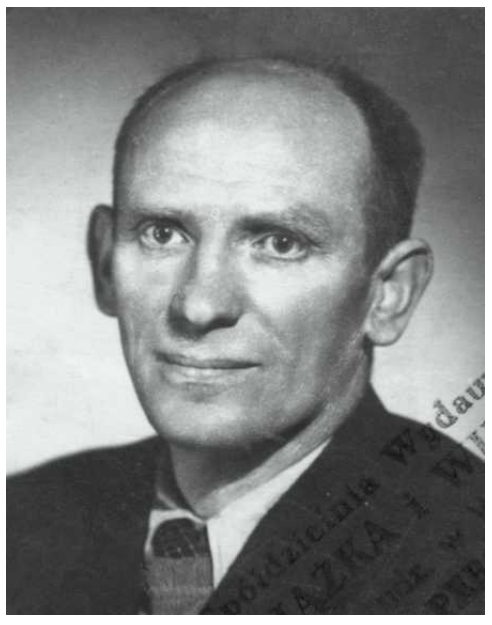


awantura. Czesław z jednej strony kontroluje sytuację, wszystkie pokoje zawsze muszą być otwarte, bo chce wszystko słyszeć, a z drugiej żyje w swoim świecie i dialoguje chyba tylko z Leninem, którego portret powiesił sobie nad łóżkiem. Jego żona Irena, także komunistka, jest Żydówką, co zresztą ukrywa nawet przed dziećmi, którym nie wolno zapraszać do domu kolegów. W ich mieszkaniu nikt nigdy nie bywa, panuje atmosfera milczenia.

Dom traum.
– Tak, bo traumatyczne przeżycia dotykają też innych lokatorów, choć się o nich nie mówi. Edwarda Orłowska w związku z nagonką antysemicką zostaje zdegradowana z funkcji kierowniczki Wydziału Kobiecego KC, bo – jak słyszy od Bieruta – za dużo tych żydowskich towarzyszy. Wydział przestaje istnieć. Mąż Edwardy Szymon Datner, który akurat z ruchem komunistycznym nie miał nic wspólnego, traci posadę i przez pewien czas pracuje fizycznie, układając chodniki na warszawskich ulicach. Ale największym ciosem dla tej grupy mieszkańców domu jest antysemicka nagonka z Marca 1968 roku, kiedy wielu lokatorów traci pracę, znajomych i zaufanie do ruchu, w który wierzyli i który pozwolił im poczuć się nie Żydami, lecz obywatelami świata. Niektórzy, jak rodzina Drukierów, emigrują, ale inni, w tym Orłowska, Chaberowie czy Finkelsztajn, decydują się zostać.

Patrzysz życzliwie na komunistycznych mieszkańców Litewskiej, ludzi, którzy przecież niszczyli samych siebie i kraj.
– Biografia biografii nierówna. Zresztą nie mnie ich oceniać. Przedstawiam życiorysy poszczególnych osób uczciwie, nie cenzurując ich politycznych czy zawodowych wyborów ani postaw, które zresztą zmieniały się w czasie, ale interesuje mnie szersza perspektywa. Patrzę na nich po sąsiedzku, jak na ludzi, z którymi współdzieliłam tę samą przestrzeń i ten sam widok z okien – sąsiad jest kimś więcej niż tylko działaczem. Każdego z bohaterów i bohaterek należy postrzegać z osobna, bo nie ma tu dwóch identycznych życiorysów, choć trafiają się w nich zbieżne punkty. Akurat ta grupa, komunistów jeszcze z KPP, szczególnie mnie fascynuje. Stanowili niezwykłą grupę idealistów – traktowali komunizm niemal jak religię. Angażowali się w ten ruch bardzo wcześnie, często jako nastolatki, swoje młode lata spędzili w więzieniach albo w gułagach, ich towarzysze ginęli w stalinowskich czystkach, a jednak dalej wierzyli, choć już w latach 50. niektórzy zaczynali mieć wątpliwości. Przed wojną zaznali niewiele prawdziwego życia, żyli trochę w swojej, jak to się dziś mówi, bańce, nawet w rozmowach między sobą posługiwali się czasem więziennym slangiem albo pseudonimami. Niektórzy sprawiali wręcz wrażenie odklejonych od rzeczywistości. To byli nie karierowicze, ale ludzie, którzy chcieli naprawdę zmienić świat na lepszy, sprawiedliwszy.

Granas akurat, w przeciwieństwie do wielu innych, po latach przejrzała na oczy.
– Tak, przyznała to w nagraniu przeznaczonym dla syna, które powstało już pod koniec jej życia. Ale chyba nie była jedyna. O tym, że w postawie starych komunistów coś zaczęło się zmieniać, niech świadczy fakt, że kiedy dzieci tych komunistów włączyły się w działanie KOR-u czy „Solidarności" i musiały się ukrywać, ich rodzice i sąsiedzi stawali za nimi murem. Nawet jeśli sami przed sobą nie chcieli się przyznać do porażki systemu, swoim dzieciom ufali. Bo te dzieci robiły to samo co oni kiedyś – walczyły z niesprawiedliwością. Zresztą dzieci przy Litewskiej 10 były w specyficzny sposób wychowywane. Z racji pracy rodziców od małego wiedziały, że poza domem trzeba trzymać język za zębami, przeczuwały istnienie różnych rodzinnych tajemnic. W ich mieszkaniach uczyły się języków i czytały książki, także te zakazane. Bolesław Drukier był kiedyś wychowawcą u Janusza Korczaka. Uważał, po korczakowsku, że młodym ludziom należy ufać, tratować ich jak równorzędnych partnerów. Kilkoro młodych mieszkańców: Helena Chaber (po mężu Łuczywo), Andrzej i Wiktor Drukierowie oraz Bronisław Świderski, angażuje się w działalność Komitetu Obrony Robotników, potem w wydarzenia marcowe. Z czasem z tych komunistycznych domów wyrośnie solidarnościowa opozycja.



• Czesław Świderski (1898-1974), komunista, który po Październiku '56 został wysłany na wcześniejszą emeryturę
FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

Adres Litewska 10 to nie tylko dom traum. To także dom paradoksów, gdy w sąsiadujących mieszkaniach działają dwie wrogie agencje prasowe – TASS i BBC.
– A – już po 1989 roku – wydawnictwo, które dziś już nie istnieje. Dlatego nazywam dom przy Litewskiej domem słowa i władzy. Wydawnictwo nazywało się Drzewo Babel, jego szefową była wspomniana Barbara Stępień, która miała koszmary związane z hitlerowcami. To właśnie ona wprowadziła na polski rynek książki Paulo Coelho.

Na skutek niezwykłego zbiegu okoliczności.
– Basia jeszcze przed stanem wojennym wyjechała do Francji, nie bardzo wiedziała, co chce robić w życiu. Pracowała akurat w księgarni, gdy wpadł jej w ręce „Alchemik" Paulo Coelho. Przeczytała książkę w ciągu nocy, a potem miała sen – śniła jej się dziewczyna z ciemnymi włosami, która spała w jej hotelowym łóżku. Dziewczyna przyjechała z Rio de Janeiro, miała ze sobą notes z adresami czterech francuskich wydawców. We śnie Basia widziała też krajobrazy Rio i kamienisty brzeg rzeki, do której wchodzi. Niedługo potem ktoś zaproponował jej pracę tłumaczki na paryskich Targach Książki. Basia wzięła udział w negocjacji praw autorskich. Francuskie oficyny wydawnicze, z którymi rozmawiała, okazały się firmami z jej snu. Następnego dnia poznała na targach Paulo Coelho, brazylijskiego pisarza urodzonego w Rio de Janeiro, autora bestsellerowego już we Francji „Alchemika". Zaczęli ze sobą rozmawiać. Basia już wcześniej myślała, żeby wrócić do Polski i założyć wydawnictwo, ale spotkanie Coelho przyspieszyło tę decyzję. Coelho był tak urzeczony ich spotkaniem, że dał jej prawa do swoich książek. Osobie, która nawet jeszcze nie założyła wydawnictwa. Odwiedza ją też w domu przy Litewskiej, bo od czasu pierwszego spotkania się zaprzyjaźnili. „Alchemik" i inne jego książki także w Polsce stały się bestsellerami.

Czy masz poczucie, że gdyby nie ty, historie mieszkańców tego niezwykłego domu mogłyby trafić na śmietnik historii?
– Nie wiem, nie mnie oceniać. Na pewno ten dom i jego mieszkańcy reprezentują pewien świat, mocno związany ze słowem pisanym, który na naszych oczach się kończy. Podczas niedawnego remontu z piwnicy w pierwszej klatce wyniesiono stosy książek i gazet, które potem mokły w podwórku. Stare notatki, zeszyty, listy, zapomniane tytuły, dokumenty po polsku i rosyjsku, biuletyny Żydowskiego Instytutu Historycznego, dawne bestsellery Drzewa Babel. Większość trafiła nie tyle na śmietnik historii, ile po prostu na śmietnik. ●



Dom warszawski

Beata Chomątowska
Wydawnictwo Czarne

eprasa.pl ce60f33c89

Okruchy historii

Czytając „Czterdzieści dni Musa Dah”

Relatywizowanie masowych zbrodni na ludności cywilnej tylko zachęca potencjalnych sprawców do kolejnych rzezi.

Motyka



Aby odwrócić uwagę od otaczającego koszmaru, wielu mieszkańców getta warszawskiego uciekało w lekturę powieści. Chętnie sięgano zwłaszcza po „Czterdzieści dni Musa Dah” Franza Werfla. To osnuta wokół autentycznych wydarzeń opowieść o desperackiej obronie ludności ormiańskiej w czasie ludobójstwa prowadzonego przez młodoturków w 1915 roku. Jej główny bohater, pochodzący z uznanego rodu Gabriel Baradian, nakłonił sześć tysięcy rodaków, by, zamiast iść dobrowolnie na śmierć, schronili się w okolicznym masywie Musa Dah. Mimo przewagi oddziałów tureckich Ormianie odparli tam kilka kolejnych szturmów, zdobywając przy tym nawet dwa działa. Turcy, początkowo skonsternowani faktem, że ofiary, zamiast pójść jak barany na rzeź, ośmieliły się stawić opór, w końcu zaczęli spychać obrońców na plaże. Jednak w ostatniej chwili w sukurs Ormianom przybyła francuska flota, która przeprowadziła udaną ewakuację.

Czytając powieść Werfla, nie mogłem wyjść ze zdumienia, że wydano ją w 1933 roku. Współczesne badania nad zbrodniami ludobójstwa najczęściej odwołują się do doświadczeń drugiej wojny światowej, z szokiem wywołanym zbrodniami nazistów wiążąc rozwój tej dyscypliny. Tymczasem w „Czterdziestu dniach Musa Dah” znajdziemy precyzyjny opis ludobójstwa ludności ormiańskiej. Ta „jedna z najstraszliwszych tragedii, jakie kiedykolwiek spadły na żyjący na kuli ziemskiej naród” nie wynikała z najazdu zewnętrznego. Skala zbrodni była tak wielka, podkreśla autor, ponieważ Ormianie „dostali się w łapy wroga stokroć straszniejszego: w szpony własnego państwa”.

Eksterminacja była prowadzona planowo. Najpierw postanowiono „zdradziecki naród ormiański rozbroić”. Powołanym do armii Ormianom odebrano broń i używano „jedynie do prac na tyłach, do budowy dróg i dźwigania ciężarów”. Gdy zabrakło potencjalnych obrońców, zaczęto deportować mieszkańców kolejnych gmin do Deir ez-Zor na Pustyni Mezopotamskiej. Werfel zwraca uwagę na paradoks: „cała warstwa oświecona” popierała „bez zastrzeżeń politykę ormiańską”, jednak „inaczej wyglądało to u szarych ludzi”. Po ogłoszeniu rozkazu o deportacji nierzadko miejscowi Turcy prosili władze o pozostawienie w spokoju ormiańskich sąsiadów, a gdy to nie pomagało, przekazywali im żywność na drogę i nie szczędzili wyrazów współczucia.

Powieść pokazuje też proces demoralizacji sprawców. Skład eskorty kolumn deportowanych stanowili „przeciętnie dobrzy ludzie”, którym nie w smak było nadużywanie przemocy. Ale wysiedleńców trzeba było popędzać, by planowo docierać do kolejnych miejsc postojowych, a to z dnia na dzień skutkowało coraz większą agresją. W rezultacie bicie, kradzieże i gwałty stały się codziennym zjawiskiem. Bezsilność ofiar tylko ośmielała sprawców. Świadomość posiadanej władzy wyzwalała „pożądanie kobiet znienawidzonej rasy”, bo „w wydanych na pastwę kobietach nie tylko gwałci się istotę ludzką, ale też bierze się przez nie w posiadanie nieprzyjacielskiego Boga”.

Los tych, którzy dotarli do miejsca osadzenia, był równie straszny: „Nie są to już ludzie... To upiory... upiory małpoludów. Konają powoli, jedzą trawę, od czasu do czasu dostają kęs chleba. (...) nie mają już siły, by grzebać tysiące trupów. Deir ez-Zor to olbrzymia kloaka śmierci”.

„Głębię prawdy” o prowadzonej zagładzie Ormian przynosi w powieści rozmowa niemieckiego pastora Jana Lepsiusa z Enwerem Paszą, członkiem triumwiratu rządzącego Turcją. Lepsius próbował go przekonać do złagodzenia represji: „Chce pan założyć nowe państwo, ekscelencjo. Ale pod jego fundamentami leżeć będą zwłoki narodu ormiańskiego. Czy to może przynieść błogosławieństwo? Czy nie można by znaleźć jeszcze teraz pokojowego rozwiązania?”. W odpowiedzi usłyszał brutalne słowa: „Między człowiekiem a zarazkiem dżumy nie ma pokoju”.

Porównanie całego prześladowanego narodu do zarazka niepokojąco i zarazem proroczo kojarzy się z nazistowską polityką eksterminacji ludności żydowskiej realizowaną przecież kilka lat po wydaniu książki. Lektura „Czterdzieści dni Musa Dah” przekonuje, że twierdzenie, iż ludobójstwo Ormian otworzyło szeroko drzwi do zagłady Żydów, nie jest bynajmniej przesadzone. Niech będzie dla nas przestrogą fakt, że relatywizowanie masowych zbrodni na ludności cywilnej najczęściej tylko zachęca potencjalnych sprawców do kolejnych rzezi. ●

Prof. Grzegorz Motyka – historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Historia krzepi

Automobilem dookoła świata

Słynna wyprawa Jerzego Jelińskiego zakończyła się powodzeniem dzięki pomocy skautów i amerykańskiej Polonii.

Nałęcz



W zbliżające się Święto Niepodległości znowu z trybun padną pochwały pod adresem polityków zasłużonych dla odrodzenia Polski. A przecież najwybitniejsi z nich niewiele by osiągnęli, gdyby nie stały za nimi miliony obywateli. To nie politycy, ale energia, pomysłowość i determinacja Polaków były odradzającego się państwa najcenniejszym kapitałem.

Widać to w każdej dziedzinie życia, także w przedsięwzięciach na pierwszy rzut oka szaleńczych, jak rozpoczęta przed 100 laty samochodowa wyprawa Jerzego Jelińskiego dookoła świata. Niewiele osób wierzyło w jej sukces, ale Jeliński dopiął swego.

Liczył głównie na siebie, niemniej zadbał o wsparcie najważniejszych osób w państwie. Zyskał je, bo wyruszał z trzema kolegami Fordem T w świat w kilka tygodni po zamachu majowym, kiedy nowa ekipa chętnie ocieplała swój wizerunek. Podróżników przyjęli prezydent Mościcki oraz marszałek Piłsudski, który powiedział: „Podejmujecie wielkie propagandowe dla Polski dzieło. Gdy opaszecie flagą polską kulę ziemską, zameldujcie się u mnie, lecz w przeciwnym razie nie pokazujcie mi się na oczy”.

Jeliński liczył, że protekcja zapewni wsparcie polskich placówek dyplomatycznych. Przezornie zatroszczył się jednak o dodatkowego sprzymierzeńca – bardzo wówczas popularny ruch skautowy. Był harcerzem i nazwał wyprawę Ekspedycją Harcerzy Polskich Fordem Naokoło Świata. Okazało się to strzałem w dziesiątkę, bo skautów spotykał wszędzie i nigdzie nie odmówili pomocy.

Za to nie wszyscy dyplomaci potrafili przełamać stare nawyki ograniczające dyplomację do zacisza gabinetów. Tam, gdzie wyprawę poparli ambasadorowie, przyjmowana była przez najwyższych dostojników. W Czechosłowacji przez prezydenta Tomáša Masaryka, w Austrii przez prezydenta Michaela Hainischa, na Węgrzech przez regenta admirała Miklósa Horthy'ego. Byli też w tym gronie: premier Włoch Benito Mussolini, papież Pius XI, prezydent Stanów Zjednoczonych Calvin Coolidge, premier Francji Gaston Doumergue i król Belgii Albert I.

Jednak na co dzień przydatniejsza była pomoc skautów pozwalająca przezwyciężać mnożące się kłopoty. Dobrych dróg, nawet w Europie, było niewiele, a średnia prędkość obciążonego Forda nie przekraczała 25 km na godzinę. Podróżnicy dotarli do Sycylii, skąd transportem morskim dopłynęli do Tunezji i dalej już lądem przez Algierię do Maroka. Drogi, a właściwie bezdroża tych krajów zniechęciły do dalszej eskapady przez Afrykę. Trudy podróży wyeliminowały dwóch z jej uczestników. Z Casablanki do Nowego Jorku dotarła przez Atlantyk tylko dwójka śmiałków. Tu Jeliński został sam, bo chorego na jaglicę towarzysza zablokowały władze imigracyjne.

Wydawało się, że nic nie uratuje wyprawy. Ford był w rozpaczliwym stanie, a Jeliński nie miał grosza przy duszy. Ocaliły go własna determinacja oraz wsparcie amerykańskiej Polonii, która pomogła zorganizować wykłady poświęcone ekspedycji i wolnej Polsce. Cieszyły się dużą popularnością i zapewniły spory dochód pozwalający kontynuować podróż i kupić nowego Buicka Master Six o osiemdziesięciokonnym silniku.

Tym znacznie sprawniejszym od Forda pojazdem Jeliński przemierzył cały kontynent, aż do Los Angeles i San Francisco. Stąd, zwiedziwszy po drodze Hawaje, dotarł przez Pacyfik do Japonii, gdzie zaopiekował się nim attaché wojskowy ppłk Wacław Jędrzejewicz. Dzięki niemu i japońskim skautom Jeliński trafił na pierwsze strony gazet. Jędrzejewicz odradził mu powrót do kraju przez ZSRR, gdyż może się znaleźć w syberyjskim łagrze. Nic też nie wyszło z podróży przez ogarnięte wojną domową Chiny.

Ostatni etap wyprawy wiódł drogą morską przez: Hongkong, Singapur, Cejlon, Morze Czerwone, Kanał Sueski, Morze Śródziemne do Marsylii. Stąd przez Francję, Belgię i Niemcy Jeliński dotarł do Polski, gdzie w kolejnych miastach witany był jak bohater.

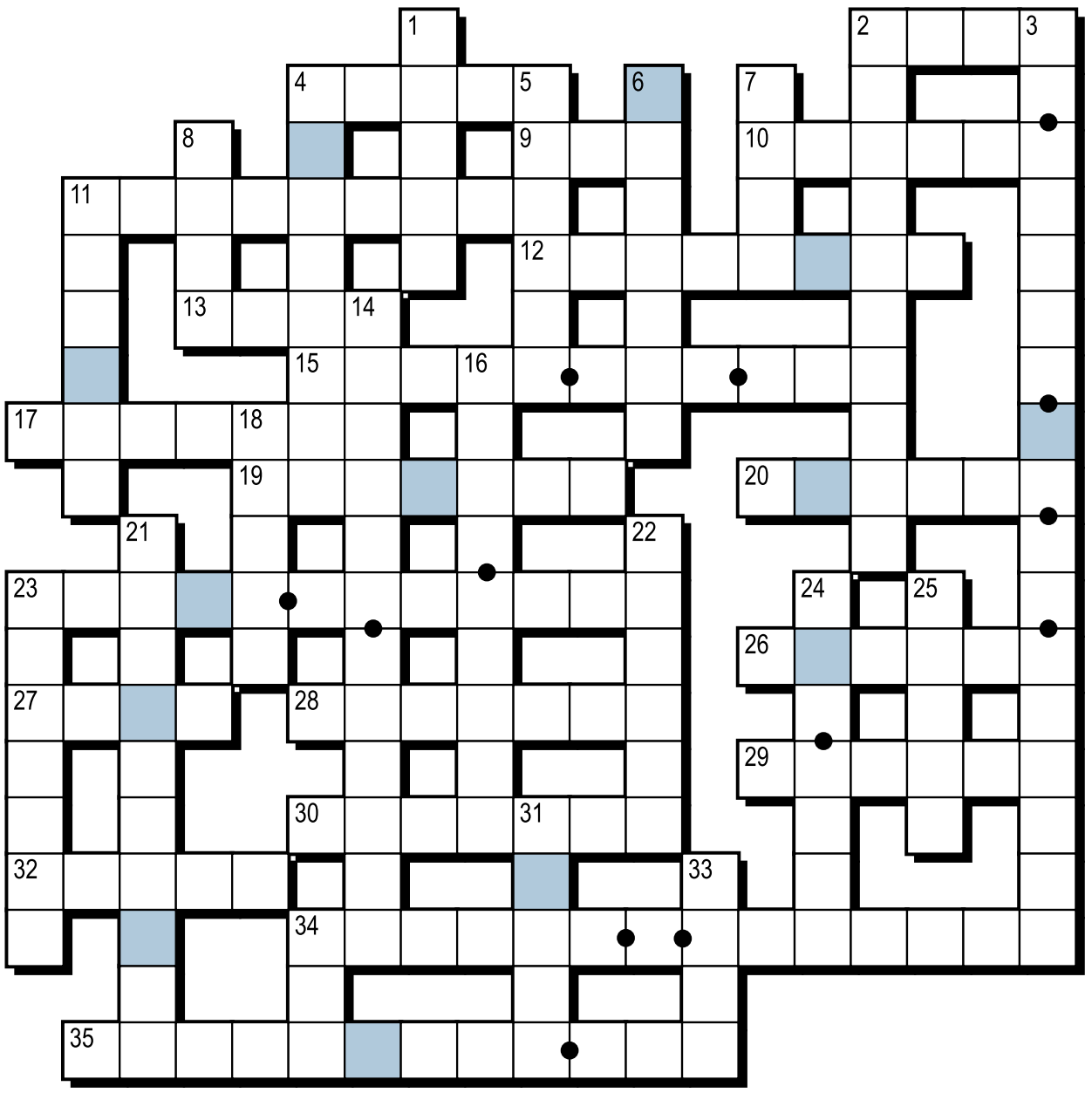
Przez ponad 2 lata przejechał 78 tysięcy kilometrów, nie licząc podróży morskiej przez trzy oceany. Informacje o ekspedycji znalazły się na łamach ponad 2 tysięcy gazet na całym świecie, a Jeleński odbył setki spotkań i wykładów popularyzujących Polskę.

Kiedy w październiku 1928 roku wrócił do Warszawy, trwały obchody dziesięciolecia państwa. Z dumą prezentowano jego osiągnięcia, wśród których znalazła się też pierwsza polska samochodowa podróż dookoła świata. ●

Tomasz Nałęcz – historyk i polityk, emerytowany profesor UW, w latach 2001-05 wicemarszałek Sejmu, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego ds. historii i dziedzictwa narodowego

eprasa.pl ce60f33c89

weekendówka nr 228



STRACHY NA LACHY

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) w starym diabeł pali, jeśli wierzyć przysłowiu
4) uch, ależ piekielny ...! (skwar)
9) Polifem miał jedno
10) piekielnie mocna kawa
11) w dawnych wierzeniach: demony ukazujące się na polach w upalne dni
12) imię aktora, który zagrał główną rolę w filmie „Zjawa”
13) halucynacja, omam
15) powiedzenie mówiące o tym, że w każdej chwili grozi nam coś złego
17) tytułowy bohater mrocznej powieści Brama Stokera
19) Neo-Nówka znana ze skeczu „Niebo” (Lucek dzwoni!)
20) Inferno w dziele Dantego
23) sędziwa czarownica
26) mistrz czarnej magii z powieści „Mistrz i Małgorzata”
27) Twardowski zawarł go z diabłem
28) „Rzym” w balladzie z Mefistofelesem
29) diabla w tytule utworu George Sand
30) coś przerażającego, budzącego grozę; okropność
32) rogate ssaki kojarzące się z diabłem
34) tak nazywano Andrzeja Szarmacha w czasach gry we francuskim klubie
35) mara (dobrze się z niego obudzić)

Pionowo:
1) psocący gagatek; diablątko
2) łatwo go pomylić z 6 pionowo
3) przysłowie mówiące o tym, że nie warto się spieszyć
4) wielki jaszczur z japońskich filmów katastroficznych
5) nazwisko autora powieści „Demon i panna Prym”
6) ... szatański, trujący grzyb
7) czarna ... (skojarz z satanizmem)
8) ... narzutowy, np. Czarci Kamień – pomnik przyrody koło Kożuchowa (woj. lubuskie)
11) szpony bestii
14) potocznie o kimś lub o czymś niepożądanym, niepotrzebnym
16) odporność na przeciwności losu
18) umowa taka jak 27 poziomo
21) coś brzydkiego, budzącego odrazę; obrzydlistwo
22) frajda, swawola, np. na diabelskim młynie w lunaparku
23) ile diabłów zmieści się na jej główce, rozważano w średniowieczu
24) autor kryminałów „Piekło jest we mnie”, „Jesteś tylko diabłem”
25) przestarzale: diabeł, czart
31) „diabelska” powieść Dostojewskiego
33) bożek leśny wyobrażany w postaci brodacza z rogami i kopytami
34) nie każdy nawiedzony

Leszek Rydz

Rozwiązanie weekendówki nr 227 z 24 października (krzyżówka osobowa)

POZIOMO:
6) przewodnik 10) Leo Messi 11) dyrektorka 12) Houston 13) wiceprezes 15) Gruzini 16) grzbiecista 17) Jerozolimczyk 21) mnisi 22) mężczyzna 25) odmieniec 27) globtroter 28) Kora 30) beksa 32) Spielberg 33) Normandczyk 34) Izraelici 35) sztygar

PIONOWO:
1) grzybiarze 2) Perepeczko 3) posterunkowy 4) intruzi 5) Olsztynianin 7) klapser 8) pochlebcy 9) retuszer 14) krawiec 16) gimnastyczka 17) James Bond 18) różdżkarz 19) Zborowski 20) kamieniarz 23) zagajacz 24) zoolodzy 26) Irokezi 29) Anglik 31) Allen

HASŁO: Wierni kibice

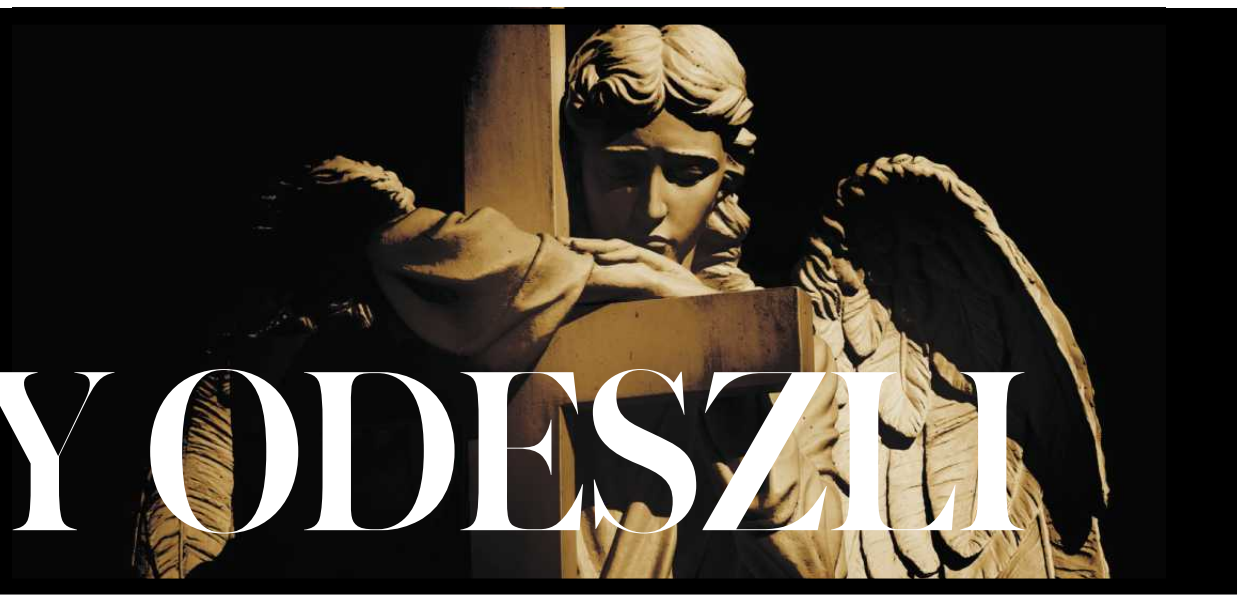
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34454980



1 RP

eprasa.pl ce60f33c89

Umarłych wieczność
dotąd trwa,
dokąd pamięcią się im płaci
Wisława Szymborska



KTÓRZY ODESZLI

Redaktorka prowadząca: ANNA KWIATKOWSKA, teksty: DZIENNIKARZE „GAZETY WYBORCZEJ”

Sobota-czwartek, 31 października – 5 listopada 2026

ANDRZEJ WIELOWIEYSKI

16 grudnia 1927 – 29 sierpnia 2026

Żołnierz AK, prawnik, historyk, autor wielu publikacji historycznych, działacz katolicki, wieloletni sekretarz Klubu Inteligencji Katolickiej, członek redakcji „Więzi”, działacz opozycji demokratycznej w PRL. Negocjator Porozumień Gdańskich w 1980 roku, szef ekspertów „Solidarności”, współorganizator Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, uczestnik Okrągłego Stołu i jeden z organizatorów sztabu „Solidarności” w przełomowych wyborach 4 czerwca 1989 roku, w III RP wicemarszałek Senatu RP, poseł, senator i europoseł. Miał siedmioro dzieci, 25 wnucząt oraz 31 prawnucząt.

Tak wspominał zmarłego Adam Michnik, naczelny „Gazety Wyborczej”:

„Andrzej Wielowieyski należał do najwybitniejszych postaci obozu demokratycznej Polski. Służył jako żołnierz AK, był katolickim działaczem, redaktorem miesięcznika »Więź« i jednym z liderów Klubu Inteligencji Katolickiej. Był też aktywnym działaczem Solidarności, blisko współpracował z premierem Tadeuszem Mazowieckim.

Andrzej Wielowieyski był człowiekiem, dla którego zawsze na pierwszym miejscu było dobro Polski. Przyświecała mu troska o prawa człowieka i ład demokratyczny. Przez całe życie kierował się chrześcijańskimi wartościami.

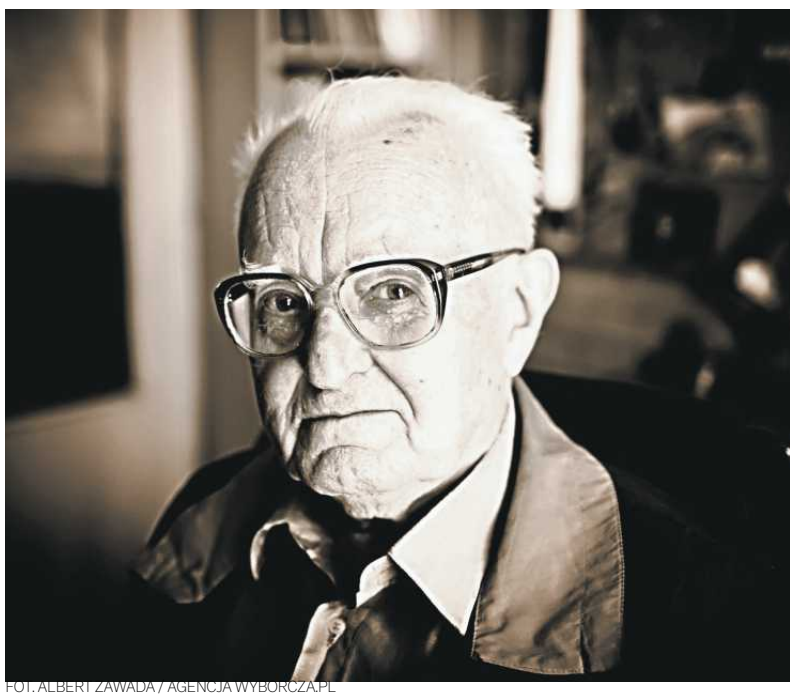
Andrzej Wielowieyski był bowiem dobrym chrześcijaninem Kościoła posoborowego. Miał przekonanie, że Kościół, którego był wyznawcą i którego pragnął, jest otwarty na dialog, odrzuca praktyki totalitarne, sprzeciwia się nacjonalizmom. Opowiadał się jednoznacznie przeciwko kultywowaniu tradycji ksenofobicznych, antysemickich, antyukraińskich. Andrzej Wielowieyski wierzył w Kościół miłosierdzia i odrzucał to wszystko, co było fanatyzmem i nietolerancją.

Był dzieckiem Ewangelii stosowanej.

Zapamiętam go jako intelektualistę odważnego i rozumnego. Człowieka, który jest odpowiedzialny i szlachetny. Jako postać ze świata ludzi niepokornych i tolerancyjnych.

Śmierć Andrzeja Wielowieyskiego to wielka strata dla Polski i dla polskiej demokracji”.

„Wielowieyski z żoną Zofią (z domu Tyszkiewicz) zwaną »Zulą«, zawołaną taterniczką i miłośniczką żagli, zaangażowaną w działalność KIK, zdołali wychować siedmioro dzieci” – pisał w Magazynie „Wyborczej” historyk Andrzej Brzeziecki. „Poznali się w Tatrach w roku 1950. Zofia po latach opowiadała Elżbiecie Turlej z »Newsweeka«: »Początkowo mnie wkurzał, bo cały czas się do mnie przychrzaniał. Potem jednak zauważyłam, że ma parę zalet«”.



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

WIESŁAW MYŚLIWSKI

25 marca 1932 – 29 marca 2026

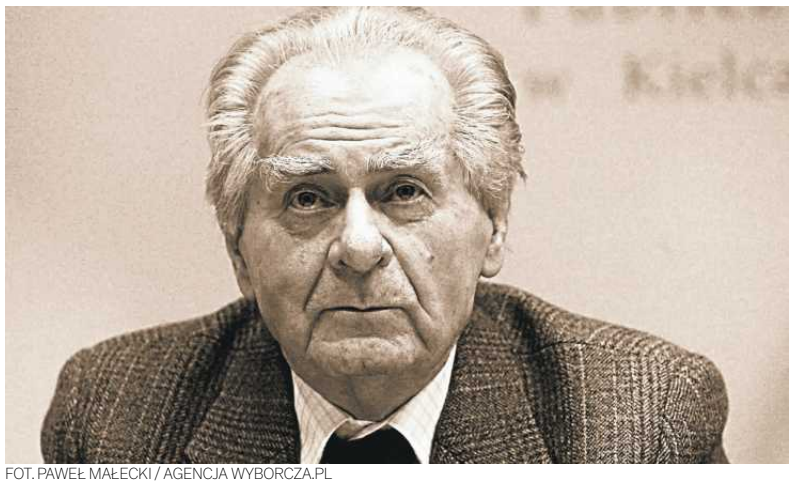
Wybitny pisarz, dwykrotny laureat Nagrody Literackiej „Nike”, redaktor.

Wiesław Myśliwski urodził się w Dwikozach koło Sandomierza. Po ukończeniu studiów polonistycznych na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim pracował w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Myśliwski zadebiutował na łamach prasy w 1955 roku recenzją powieści Étienne de Greeff „Noc jest moim światłem”, opublikowaną w „Tygodniku Powszechnym”. Recenzje publikował między innymi w miesięczniku „Twórczość”.

Miał 35 lat, gdy zadebiutował jako prozaik. Był to późny debiut, bo jak przyznawał w wywiadach, jako młody człowiek „nie miał ciągot pisarskich”. „Sądziłem, że odnalazłem to, co chciałbym w życiu robić” – mówił.

Debiutancki „Nagi sad” pisał w latach 1963-66. Trzy lata po pierwszej książce opublikował powieść „Pałac”, potem dramat „Klucznik”. W 1984 roku ukazała się obszerna epopeja chłopskiego losu „Kamień na kamieniu” jego autorstwa. Kolejną książkę Myśliwskiego – „Widnokrąg” z 1996 roku – uhonorowano dwa lata później Literacką Nagrodą „Nike”.



FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Drugie wyróżnienie pisarz otrzymał za wydany w 2006 roku „Traktat o łuskaniu fasoli”.

Pisarz publikował przez niemal pół wieku, jednak pracował powoli i wydawał książki średnio co 10 lat.

„Urodziłem się na wsi i do czasu pójścia do szkoły średniej zdążyłem nasycić się chłopskim światem, który wówczas jeszcze istniał. Tego świata w zasadzie nigdy nie porzuciłem” – mówił Wiesław Myśliwski w wykładzie „Pisarz do wynajęcia”.

„Dzieło Wiesława Myśliwskiego stanowi dziś »centrum polszczyzny«. Jest »przetrwalnikiem« tradycji polskiego słowa, które mierzy się dziś z mgławicą znaczeń płynących z mediów elektronicznych” – pisał o twórczości autora „Widnokręgu” profesor Roch Sulima, przyjaciel i wieloletni współpracownik pisarza.

Żonę Wacławę poznał, gdy miała 17 lat. Ślub wzięli w 1956 roku. Przeżyli razem siedem dekad.

DOLLY PARTON

19 stycznia 1946 – 25 sierpnia 2026

Amerykańska piosenkarka country, autorka tekstów i aktorka.

Była autorką takich przebojów jak „Jolene”, „9 to 5”, „Coat of Many Colors” czy „Islands in the Stream”. Przez ponad 60 lat wydała 49 albumów i zdobyła 11 nagród Grammy, w tym za całokształt twórczości. Była też dwukrotnie nominowana do Oscara za muzykę do filmów „9 to 5” i „Transamerica”. W pierwszym z nich zagrała u boku Jane Fondy i Lily Tomlin, wystąpiła też w filmach „The Best Little Whorehouse in Texas”, „Stalowe Magnolie” i „Joyful Noise”.

„Dolly otworzyła drzwi pokoleniom wykonawców, twórców piosenek, muzyków i marzycieli ze wszystkich środowisk, na każdym kontynencie. Za jej przykładem wierzyliśmy, że wszystko jest możliwe. Nie było drzwi, których nie potrafiła otworzyć, a te, które otworzyła – tworzyły i zmieniały historię” – mówił o niej siostrzeniec Bryan Seaver.

Parton, która sama pochodziła z ubogiej rodziny, bardzo angażowała się w działalność społeczną. W 1995 roku założyła organizację Dolly Parton's Imagination Library, która przez 30 lat rozesłała ok. 300 mln darmowych książek do dzieci w USA,



FOT. JACK FORDYCE

a później także w Kanadzie, Wielkiej Brytanii i Irlandii. Parton zależało na promowaniu czytelnictwa, bo jej ojciec nie potrafił czytać ani pisać. – Tatuś uwielbiał, kiedy małe dzieci mówiły o mnie „Pani od książek”. To znaczyło dla niego więcej niż to, że jestem gwiazdą – mówiła.

W kwietniu 2020 roku przekazała milion dolarów Vanderbilt University Medical Center w jej rodzinnym Tennessee, by pomóc w opracowaniu szczepionki na COVID-19.

eprasa.pl ce60f33c89

ŁUKASZ LITEWKA

9 maja 1989 – 23 kwietnia 2026

Poseł Nowej Lewicy z Sosnowca, społecznik, działacz samorządowy. Zginął w wypadku. Jechał na rowerze, gdy potrącił go samochód.

„Był osobą szczególnie wrażliwą na potrzeby innych. Zaangażowaną w pomoc osobom wymagającym wsparcia oraz w działania na rzecz ochrony i dobrostanu zwierząt. Jego działalność publiczna była przykładem autentycznej troski o słabszych" – tak wspominał go Marcin Bazylak, prezydent Dąbrowy Górniczej.

Pochodził z Zagórza, największego blokowiska w Sosnowcu, przetykanego enklawami domków jednorodzinnych. Wychował się w jednym z nich.

Znajomi pamiętają, że rodzice Łukasza byli zaskoczeni, gdy w 2014 roku został radnym miejskim Sosnowca, bo to nie jest politykująca rodzina. Chciał zmienić wizerunek polityka. Gdy zaczynał, był najmłodszym radnym w Sosnowcu.

Jako radny Litewka ślęczał raczej nad Facebookiem – wrzucał zdjęcia nowych klombów czy wiat przystankowych. Z kilku polubień nagle zrobiło się więcej, bo zaczął pytać ludzi, co im doskwiera, czego im trzeba. Ktoś mówił o braku poczucia bezpieczeństwa, a za jakiś czas Litewka odpowiadał, że po jego prośbach pojawił się patrol. I zamieszczał zdjęcie policjantów.

W 2023 roku w wyborach parlamentarnych wystartował z ostatniego miejsca i zdeklasował wszystkich na swojej liście, w tym jedynkę – Włodzimierza Czarzastego, który też startował w Sosnowcu i zebrał 22 332 głosy. Litewka – 40 579.



FOT. ANNA LEWAŃSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na przedwyborczych banerach Litewki pojawiły się zwierzęta. „Adoptuj mnie" – prosiły psy, każdy miał imię oraz numer telefonu. Obok twarz Litewki z hasłem „Ostatni na liście, pierwszy w działaniu". Kandydat na posła zaprosił do współpracy sosnowieckie schronisko dla zwierząt.

Łukasz Litewka zbudował ogromną, zjednoczoną społeczność internetową liczącą blisko milion osób, która angażowała się w akcje pomocowe w całej Polsce, przede wszystkim zbiórki pieniędzy na leczenie chorych dzieci i wsparcie dla hospicjów.

Był też twórcą pierwszej w Polsce orkiestry dla zwierząt. Podczas I edycji, 18 maja 2025 roku w Sosnowcu, zebrał blisko 2 mln zł — w całości przeznaczone na poprawę dobrostanu zwierząt i walkę z ich bezdomnością.

„Człowiek, który potrafił zjednoczyć ludzi wokół prostych, dobrych spraw – ponad podziałami" – tak wspominają go bliscy na stronie Fundacji im. Łukasza Litewki. ●

MIROSŁAW RÓŻAŃSKI

1 grudnia 1962 – 24 sierpnia 2026

Generał broni Wojska Polskiego, doktor nauk o obronności, były dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, a od 2023 roku senator.

„Przez kilka ostatnich lat kibicowaliśmy mu bardzo, gdy podjął najtrudniejszą walkę – z podstępną chorobą [generał chorował na szpiczaka – przyp. red.]. Nad życie kochał swoją Żonę (zawsze precyzyjnie wyliczając, na co »Różańska pozwoli«), był wzruszająco – jak na takiego twardziela – dumny z osiągnięć swojej Córki" – wspominał generała Szymon Hołownia.

„Mirek był twardym dowódcą, ale nikomu nie zamykał ust. Zawsze zależało mu na armii opartej na odpowiedzialności, a nie na ślepym kulcie" – mówił o nim były szef GROM-u generał Roman Polko. „Odszedł oficer stawiający na bezkompromisową obronę żołnierskiego honoru".

Mirosław Różański w latach 80. ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Zmechanizowanych. W 2005 roku otrzymał nominację na stopień generała brygady.

„Był inicjatorem wielu zmian systemowych w zakresie pełnienia służb i systemu szkolenia. (...) Wdrażał do sił zbrojnych KTO Rosomak, formował pierwszy w pełni zawodowy batalion zmotoryzowany, który wziął udział w pierwszej i drugiej zmianie PKW w Afganistanie" – napisano na stronie Fundacji Stratpoints, z którą związany był Mirosław Różański.



FOT. WŁADYSŁAW CZULAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

W 2007 roku jako dowódca Brygadowej Grupy Bojowej wraz z żołnierzami 17 WBZ uczestniczył w misji w Iraku.

W latach 2012-2013 był szefem Departamentu Strategii i Planowania Obronnego MON, a także pełnomocnikiem ds. reformy systemu zarządzania, kierowania i dowodzenia Siłami Zbrojnymi. W latach 2015-2017 był dowódcą generalnym rodzajów sił zbrojnych. Rezygnację z tej funkcji złożył pod koniec 2016 roku w proteście przeciwko polityce ówczesnego szefa MON Antoniego Macierewicza.

W 2023 roku uzyskał mandat senatora z ramienia Trzeciej Drogi, jako przedstawiciel Polski 2050. W tym roku współtworzył Klub Senacki Nowa Polska – Centrum. ●

ANDRZEJ OLECHOWSKI

9 września 1947 – 25 kwietnia 2026

Polityk, minister finansów w rządzie Jana Olszewskiego oraz spraw zagranicznych w rządzie Waldemara Pawlaka. Jeden z założycieli Platformy Obywatelskiej. Dwukrotnie kandydował na urząd prezydenta.

Olechowski w 1973 roku ukończył Szkołę Główną Planowania i Statystyki w Warszawie (obecnie SGH); w 1979 roku uzyskał stopień doktora nauk ekonomicznych.

W 1985 roku podjął pracę w Banku Światowym w Waszyngtonie. Po powrocie do Polski w 1987 roku był doradcą prezesa NBP oraz dyrektorem Biura ds. Współpracy z Bankiem Światowym.

Był głównym negocjatorem pierwszej umowy handlowej pomiędzy Polską a Europejską Wspólnotą Gospodarczą. Uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu po stronie rządowej w zespole ds. gospodarki i polityki społecznej.

W lutym 1992 roku Olechowski objął funkcję ministra finansów w rządzie Jana Olszewskiego. Podał się do dymisji w maju, gdy Sejm nie odrzucił orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego o waloryzacji płac dla sfery budżetowej. Odwołany został ze stanowiska wraz z rządem Olszewskiego, w czerwcu 1992 roku.



FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK / AGENCJA WYBORCZA.PL

4 czerwca 1992 roku, gdy minister spraw wewnętrznych Antoni Macierewicz przedstawił swoją listę osób, które w „zasobach archiwalnych" MSW figurują jako współpracownicy SB, znalazło się na niej nazwisko urzędującego jeszcze wtedy ministra finansów. Olechowski figurował tam jako współpracownik wywiadu PRL o pseudonimie „Must". Olechowski przyznał się do związków z PRL-owskim wywiadem. Twierdził, że chodziło wyłącznie o wywiad gospodarczy, że był „konsultantem" tej służby w okresie, gdy przebywał za granicą.

Od sierpnia 1992 roku Olechowski był doradcą prezydenta Lecha Wałęsy ds. gospodarczych oraz członkiem Rady ds. Rozwoju Gospodarczego przy Prezydencie RP. W październiku 1993 roku został ministrem spraw zagranicznych w rządzie Waldemara Pawlaka.

Wystartował w wyborach prezydenckich w 2000 roku jako kandydat obywatelski – nie popierała go żadna partia, zrobili to natomiast m.in. Czesław Miłosz, prof. Zbigniew Religa i Jan Nowak-Jeziorański. Zdobył drugie miejsce po Aleksandrze Kwaśniewskim, który zwyciężył w pierwszej turze. Uzyskał wówczas 17,3 proc. głosów.

W styczniu 2001 roku wspólnie z Maciejem Płażyńskim i Donaldem Tuskiem powołał do życia Platformę Obywatelską.

W 2010 roku ponownie wystartował w wyborach prezydenckich jako kandydat niezależny. Poparło go 1,44 proc. Polaków.

Został wyróżniony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2000 roku został laureatem Nagrody Kisiela. W tym samym roku otrzymał też tytuł „Człowieka Roku" przyznawany przez tygodnik „Wprost". ●

KRZYSZTOF PIESIEWICZ

25 października 1945 – 14 maja 2026

Prawnik, scenarzysta filmowy i polityk. W 1970 roku ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, a trzy lata później rozpoczął praktykę adwokacką. W okresie stanu wojennego był obrońcą w procesach politycznych, m.in. „Solidarności" Huty Warszawy i Ursusa czy Radia „Solidarność". Był także oskarżycielem posiłkowym w procesie o uprowadzenie i zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki.

Współtworzył scenariusze do 17 filmów Krzysztofa Kieślowskiego, wśród nich są „Bez końca" (1984),



FOT. MARZENA HMIELEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

„Dekalog" (1988), „Podwójne życie Weroniki" (1991) oraz „Trzy kolory: Niebieski" (1993), „Trzy kolory: Biały" (1993) i „Trzy kolory: Czerwony" (1994). Za scenariusz filmu „Trzy kolory. Czerwony" otrzymał nominację do Oscara. ●

ALAKSANDR MILINKIEWICZ

25 lipca 1947 – 11 sierpnia 2026

Działacz białoruskiej opozycji demokratycznej. Był wspólnym kandydatem sił demokratycznych w wyborach prezydenckich na Białorusi w 2006 roku, w których zmierzył się z Alaksandrem Łukaszenką. Po wyborach, które opozycja uznała za sfałszowane, uczestniczył w protestach w Mińsku, brutalnie rozpędzonych przez służby.

W latach 2007-2016 kierował opozycyjnym ruchem społecznym „O Wolność", działając na rzecz demokratyzacji Białorusi i rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. Po fali represji, która nastąpiła po wyborach prezydenckich w 2020 roku, wyjechał z kraju. ●



FOT. AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl ce60f33c89

ZBIGNIEW WIESŁAW RYLSKI

23 stycznia 1923 – 7 listopada 2025



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ps. „Andrzej", „Brzoza". Był ostatnim żyjącym obrońcą słynnego dzięki powstańczej piosence Pałacyku Michla. W 1945 roku został skazany na śmierć za przynależność do podziemnej organizacji zamierzającej obalić ustrój powojennej Polski. Na mocy amnestii wyszedł na wolność w 1947 roku. Pośmiertnie awansowany został na stopień pułkownika.

MARIA KOWALSKA

28 września 1925 – 5 sierpnia 2026



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ps. „Myszka". W powstaniu warszawskim służyła w Pułku „Baszta" walczącym na Mokotowie. Była sanitariuszką. W lutym 1945 roku podczas ewakuacji obozu Stutthof, nazywanej Marszem Śmierci, zdołała uciec. Przez blisko dwa miesiące ukrywała się dzięki pomocy kaszubskich rodzin.

WANDA TRACZYK-STAWSKA

7 kwietnia 1927 – 18 sierpnia 2026



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Psedonim „Pączek", „Atma". Uczestniczka powstania warszawskiego, żołnierz AK, działaczka społeczna i kombatancka.

„Odeszła Pani Wanda. Trudno w to uwierzyć. Warszawa straciła kogoś wyjątkowego – Bohaterkę, żołnierkę Powstania Warszawskiego, Honorową Obywatelkę Miasta. Ale przede wszystkim nauczycielkę, która przez całe życie uczyła nas tego, co najważniejsze: odwagi, godności i odpowiedzialności za drugiego człowieka. Każda rozmowa z Panią Wandą była lekcją o tym, co naprawdę ważne" – tak Wandę Traczyk-Stawską pożegnał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

W chwili wybuchu wojny mieszkała z rodziną na warszawskim Mokotowie. Podczas oblężenia miasta przez Niemców we wrześniu 1939 roku zobaczyła obok swojego domu wstrząsającą scenę. W budynek po drugiej stronie ulicy uderza bomba, z jego bramy wybiega kobieta z owiniętym w poduszkę niemowlęciem na rękach. Znajdujący się w pobliżu niemieccy żołnierze strzelili w becik z CKM-u. 12-letnia wtedy Wanda postanowiła działać przeciw okupantom. Do struktur tajnego harcerstwa – Szarych Szeregów – została przyjęta w 1942 roku.

Jako harcerka 22. Warszawskiej Drużyny Harcerzy im. ks. Ignacego Skorupki na Grochowie, potem drużyny zwanej „Czarną Czternastką" w Hufcu Grzybów, uczestniczyła w małym sabotażu i Akcji „N", której celem było zastraszanie Niemców.

Gdy wybija Godzina „W", wkłada beret z orzełkiem i biało-czerwoną opaskę. Bierze udział m.in. w walkach o utrzymanie elektrowni na Powiślu i zdobyciu Komendy Policji przy Krakowskim Przedmieściu.

Po kapitulacji trafia do niewoli. Jest przetrzymywana w czterech obozach jenieckich: Lamsdorf, Zeinthein, Altenburg i Oberlangen. Z ostatniego uwalniają ją pancerniacy gen. Stanisława Maczka. „Pączek" jedzie do Włoch, gdzie stacjonuje 2. Korpus Polski gen. Władysław Andersa. Stamtąd wysyłają ją do Palestyny, do Szkoły Młodszych Ochotniczek w Nazarecie.

Do Polski wraca w 1947 roku. Kończy Wydział Psychologii i Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego. W tym czasie wychodzi za mąż za byłego więźnia hitlerowskiego obozu koncentracyjnego na terenie Norwegii. Rodzi córkę i syna, którzy w przyszłości zostaną muzykami. Przez 30 lat pracuje w szkole dla dzieci specjalnej troski na Pradze.

Przez lata walczy o upamiętnienie poległych powstańców. Staje na czele powołanego jeszcze w 1982 roku społecznego Komitetu ds. Cmentarza Powstańców Warszawy. Jego celem jest przywrócenie tej nekropolii należnej jej rangi. Z inicjatywy komitetu w 2012 roku na zaniedbanym cmentarzu rozpoczynają się wreszcie prace remontowe. Kolejnym etapem jest wybudowanie obok niego wystawienniczo-edukacyjnego pawilonu Izby Pamięci i Muru Pamięci z nazwiskami cywilnych ofiar powstania warszawskiego.

Po dojściu do władzy PiS występuje w mediach, na publicznych spotkaniach i antyrządowych wiecach. Solidaryzuje się z kobietami demonstrującymi przeciw zaostrzeniu prawa aborcyjnego oraz prawnikami, których za obronę praworządności w Polsce spotykają szykany. Stanowczo reaguje na homofobiczne ataki prawicowych polityków na osoby LGBT.

HENRYKA ŁUCJA KOSSAKOWSKA

1 stycznia 1928 – 10 lutego 2026



FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

Ps. „Iga". W powstaniu organizowała pocztę polową, po wojnie została jedną z najwybitniejszych polskich scenografek. Pełniła służbę łączniczki i kolporterki podziemnej prasy. Po upadku powstania uciekła z transportu kolejowego i wznowiła działalność konspiracyjną.

JERZY KASPRZAK

13 października 1929 – 25 grudnia 2025



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ps. „Albatros". Trzeciego dnia powstania został schwytany przez Niemców. Uniknął rozstrzelania, bo przebrał się za dziewczynę. Dużą popularność zdobyły napisane przez niego książki: „Tropami powstańczej przesyłki", „My z Zawiszy" oraz „Albatros z Sieleckiej ferajny".

OSTATNIA ZMIANA WARTY

Listopad 2025
- 7.11 – **Zbigniew Wiesław Rylski ps. „Andrzej", „Brzoza"** (1923-2025);
- 10.11 – **Jerzy Garlicki ps. „Sieradzki"** (1926-2025);
- 15.11 – **Pogdan Dobrzański ps. „Lis"** (1932-2025);
- 24.11 – **Stefan Roch Wasiak ps. „Bohun"** (1928-2025);
- 28.11 – **Jerzy Remion ps. „Giorgio"** (1930-2025).

Grudzień 2025
- 7.12 – **Witold Bartnikowski ps. „Hobo"** (1925-2025);
- 18.12 – **Piotr Badmajew ps. „Wicher"** (1929-2025);
- 19.12 – **Henryk Jan Gozdek ps. „Nipel"** (1925-2025);
- 22.12 – **Zdzisław Zaborski ps. „Błyskawica"** (1925-2025);
- 25.12 – **Jerzy Kasprzak ps. „Albatros"** (1929-2025);
- 26.12 – **Roman Glice ps. „Roman"** (1927-2025);
- 26.12 – **Andrzej Łysakowski ps. „Kozak"** (1931-2025);
- 31.12 – **Janina Burza ps. „Janka"** (1927-2025);
- 31.12 – **Maria Wanda Dębska ps. „Srebrny", „Jerzy"** (1925-2025).

Styczeń 2026
- 1.01 – **Roman Lipiec ps. „Adam"** (1925-2026);
- 1.01 – **Anna Helena Kurek ps. „Anka"** (1929-2026);
- 8.01 – **Irena Wysocka ps. „Strzała", „Rena"** (1929-2026);
- 11.01 – **Wiesław Lechowicz ps. „Kotwica", „Mały"** (1925--2026);
- 12.01 – **Irena Iwanowska ps. „Miki"** (1926-2026);
- 24.01 – **Halina Mikuła ps. „Klara"** (1925-2026);
- 26.01 – **Krystyna Sierpińska ps. „Marzenka"** (1929-2026);
- 28.01 – **Tadeusz Owczarski ps. „Ygrek"** (1927-2026).

Luty 2026
- 5.02 – **Michał Andrzej Jasiński ps. „Michaś"** (1928-2026);
- 10.02 – **Henryka Łucja Kossakowska ps. „Iga"** (1928-2026);
- 11.02 – **Janina Rożecka ps. „Dora"** (1922-2026);
- 23.02 – **Maria Znojewska ps. „Alina", „Wróbel"** (1922-2026);
- 28.02 – **Maria Pirim-Goetzen ps. „Maja"** (1926-2026);
- 28.02 – **Danuta Francki ps. „Sójka"** (1928-2026).

Marzec 2026
- 11.03 – **Krystyna Mikołajczyk ps. „Kali"** (1927-2026);
- 23.03 – **Jerzy Malewicz ps. „Jan Kowalski"** (1928-2026);
- 30.03 – **Edward Piłatowicz ps. „Edek"** (1928-2026);
- 30.03 – **Stefan Medwadowski ps. „Poraj"** (1924-2026).

Kwiecień 2026
- 5.04 – **Barbara Cesarska ps. „Paproć"** (1929-2026);
- 6.04 – **Krystyna Ossowska--Cypryk** (1925-2026);
- 13.04 – **Andrzej Pląskowski ps. „Andrzej"** (1927-2026);
- 13.04 – **Maria Turowska ps. „Myszka"** (1929-1926).

Maj 2026
- 1.05 – **Maria Downarowicz ps. „Myszka"** (1927-2026);
- 7.05 – **Tadeusz Bernfeld ps. „Berta"** (1931-2026);
- 31.05 – **Jerzy Substyk ps. „Jurny"** (1927-2026).

Czerwiec 2026
- 1.06 – **Jerzy Sułowski ps. „Konduktorka"** (1928-2026);
- 3.06 – **Teresa Głuchowska ps. „Bibi"** (1923-2026);
- 5.06 – **Barbara Kobendza-Abramowicz ps. „Basia"** (1927-2026);
- 25.06 – **Halina Karmańska ps. „Hala", „Smętek"** (1926-2026);
- 30.06 – **Irena Lewandowska--Wójcik ps. „Zosia"** (1926-2026);
- 30.06 – **Irena Paśnik ps. „Irka"** (1925-2026).

Lipiec 2026
- 4.07 – **Urszula Tauer ps. „Ala"** (1921-2026);
- 6.07 – **Adam Wiktor Borowski ps. „Nikita"** (1926-2026);
- 7.07 – **Władysław Guzowski ps. „Smukły"** (1929-2026);
- 15.07 – **Anna Barbara Ziomecka ps. „Ania"** (1926-2026);
- 26.07 – **Józefa Marciniak ps. „Kropka"** (1921-2026);
- 29.07 – **Alina Stanisława Bergtold ps. „Lusia"** (1925-2026).

Sierpień 2026
- 5.08 – **Maria Kowalska ps. „Myszka"** (1925-1926);
- 18.08 – **Wanda Traczyk-Stawska ps. „Pączek", „Atma"** (1927-2026);
- 18.08 – **Danuta Szlajmer ps. „Siódemka"** (1927-2026), Batalion „Kiliński";
- 21.08 – **Krystyna Kodymowska ps. „Stokrotka"** (1928-2026);
- 30.08 – **Jerzy Łakomski ps. „Kajtek"** (1932-2026).

Wrzesień 2026
- 5.09 – **Zofia Cykalewicz ps. „Jagódka"** (1932-2026);
- 9.09 – **Barbara Tokarska ps. „Jola"** (1924-2026);
- 20.09 – **Jerzy Baranowski ps. „Nurt"** (1929-2026);
- 20.09 – **Krystyna Pierzchlewska ps. „Koniczyna"** (1926-2026);
- 24.09 – **Andrzej Drwęski ps. „Pacan"** (1923-2026);
- 27.09 – **Ryszard Kniaź ps. „Janusz II"** (1927-2026).

Październik 2026
- 7.10 – **Jan Białecki ps. „Krótki"** (1926-2026);
- 26.10. - **Jerzy Henryk Czerski ps. „Szczupak"** (1928-2026).

URSZULA TAUER

24 kwietnia 1921 – 4 lipca 2026

Ps. „Ala". W powstaniu warszawskim pełniła funkcję łączniczki Komendy Głównej AK. Dwukrotnie odniosła rany. Po kapitulacji znalazła się w obozie przejściowym w Pruszkowie. Uciekła z pociągu wiozącego więźniów do KL Auschwitz i przyłączyła do oddziału partyzanckiego. Została odznaczona m.in. Krzyżem Walecznych oraz Krzyżem Kawalerskim i Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Z okazji 105. urodzin otrzymała awans na stopień pułkownika.

JERZY ŁAKOMSKI

31 marca 1932 – 30 sierpnia 2026

Ps. „Kajtek". Gdy wybuchło powstanie miał 12 lat. Do pomocy powstańcom zachęcili go rodzice. W powstaniu pełnił służbę pomocniczą w Pułku „Baszta". Oprócz dostarczania na miejsce akcji „sidolówek" i butelek zapalających, zaopatrywał powstańców w żywność. W trakcie natarcia na niemiecki wóz opancerzony przy ul. Belwederskiej został zraniony w głowę, ale już po dwóch dniach wrócił do służby. Po powstaniu przeszedł przez obóz w Pruszkowie, z którego wywieziono go do Krakowa.

Listę zmarłych powstańców przygotowaliśmy przy pomocy Muzeum Powstania Warszawskiego

eprasa.pl ce60f33c89

PIOTR WIERZBICKI

5 listopada 1935 – 28 listopada 2025



FOT. RAFAŁ MALKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

Publicysta, krytyk muzyczny i działacz opozycji. Założyciel „Gazety Polskiej". Pod koniec lat 50. zaczął publikować felietony i eseje we „Współczesności". Później pisał m.in. dla „Tygodnika Powszechnego" i „Literatury". Z tego drugiego pisma został zwolniony za podpisanie listu w obronie aresztowanych członków Komitetu Obrony Robotników. W czasie stanu wojennego był internowany. W 2007 roku został odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski za „wybitne zasługi dla niepodległości Rzeczypospolitej, działalność demokratyczną i pracę społeczną".

Z założej przez niego w 1993 roku „Gazety Polskiej odszedł w 2005 roku. W latach 2004-2009 publikował felietony poświęcone muzyce poważnej w „Gazecie Wyborczej".

TED TURNER

19 listopada 1938 – 6 maja 2026



FOT. PAP/EPA/NINA PROMMER

Magnat medialny, założyciel CNN. Zbudował imperium medialne, w którego skład weszła pierwsza całodobowa stacja telewizyjna oraz popularne kanały z filmami i kreskówkami, a także profesjonalne drużyny sportowe.

Turner był również znanym żeglarzem i filantropem. Jako aktywista dążył do eliminacji broni jądrowej. Przekazał miliard dolarów Organizacji Narodów Zjednoczonych, znienawidzonej przez amerykańskich konserwatystów. Angażował się też w ochronę przyrody. Odegrał kluczową rolę w reintrodukcji bizonów na amerykańskim Zachodzie. Kupił też ponad milion akrów terenów dzikiej przyrody i przeznaczył je na rezerwaty przyrody.

ANDRZEJ JANUSZAJTIS

18 sierpnia 1928 – 22 stycznia 2026

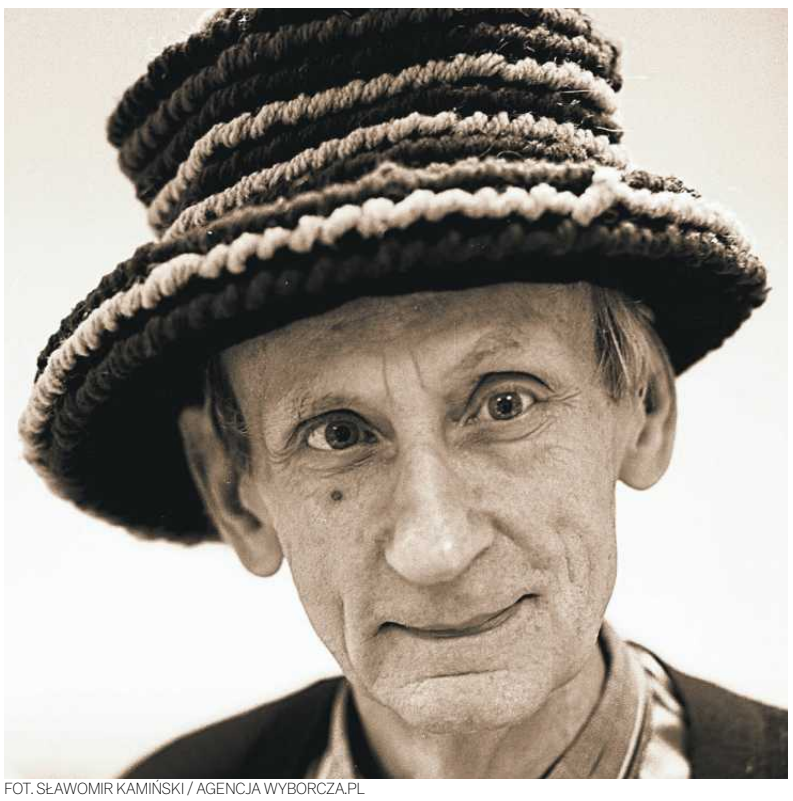


FOT. RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Fizyk, nauczyciel akademicki, znawca i propagator historii Gdańska. Prof. Januszajtis był honorowym obywatelem Gdańska, przewodniczącym Rady Miasta Gdańska I kadencji. Od 2005 roku był felietonistą trójmiejskiej „Wyborczej". Odkrywał przed czytelnikami nieznaną historię Gdańska. Jego ostatni tekst ukazał się 14 grudnia 2025 roku. Niedługo potem dostaliśmy informację o chorobie profesora. ●

JAN TURNAU

23 lutego 1933 – 31 października 2025



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wieloletni redaktor „Wyborczej", twórca legendarnej rubryki „Arka Noego".

Pisał teksty poświęcone m.in. sprawom religii i wiary, miejscu Kościoła w życiu publicznym, dialogowi między religiami, pontyfikatom Jana Pawła II i Benedykta XVI.

W „Wyborczej" pracował od 1990 roku. Przez wiele lat był redaktorem i autorem „Arki Noego", rubryki poświęconej Kościołowi i religii. Do legendy przejdą jego lapidarne, niezwykle celne i nierzadko dowcipne komentarze, które podpisywał pseudonimem „Jonasz".

Urodził się w 1933 roku we Wlonicach w ziemi świętokrzyskiej w rodzinie ziemiańskiej. W 1955 roku skończył polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim. Zaraz potem został redaktorem w wydawanym przez PAX prorežimowym „Słowie Powszechnym".

„Postanowiłem, że pozostanę katolikiem, ale będę społecznie postępowy – wspominał po latach. – Zajmowałem się więc religią, bo mnie pasjonowała, ale wstąpiłem też do ZMP i zupełnie mi nie przeszkadzało to, że ta organizacja jest przybudówką partii. To jest dziś niepojęte, ale taki byłem naiwny". Później całkowicie się z tą naiwnością pożegnał.

Od 1959 do 1990 roku był redaktorem i autorem w katolickim miesięczniku „Więź", którego naczelnym był Tadeusz Mazowiecki.

W czasie strajków w sierpniu 1980 roku podpisał skierowany do władz PRL-u apel 64 naukowców, literatów i publicystów o podjęcie dialogu z protestującymi robotnikami.

W 1990 roku dołączył do redakcji „Gazety Wyborczej", pracował z nami prawie do końca swego życia.

Publikował swoje teksty także w „Gościu Niedzielnym", „Tygodniku Powszechnym" czy „Myśli Protestanckiej". Członek Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Jeden z uczestników Ekumenicznego Przekładu Przyjaciół – międzywyznaniowego tłumaczenia wybranych ksiąg Biblii.

W 2006 roku odznaczony przez Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, w 2012 roku przez Bronisława Komorowskiego – Krzyżem Komandorskim OOP. Kawaler honorowego Medalu „Powstanie w Getcie Warszawskim".

Wydał m.in. książki: „Zdaniem laika" (1978), „Dziesięciu sprawiedliwych. Wspomnienia okupacyjne" (1986), „Bracia zza Buga. Wspomnienia z czasu wojny" (1999) i „Karol Wojtyła – Jan Paweł II. Kalendarium oraz Testament Jana Pawła II" (2005).

Tak pożegnał go naczelny „Wyborczej" Adam Michnik:

„Janek był wspaniałym felietonistą i dobrym chrześcijaninem. W swoich felietonach opowiadał nam o wartościach Ewangelii i potrafił przetłumaczyć to na język naszych codziennych zachowań i rozmów. Był wspaniałą twarzą Kościoła otwartego, który chciał rozmawiać, a nie karać, który chciał, by Kościół był znakiem sprzeciwu, ale nigdy nie był znakiem przymusu". ●

ANDRZEJ MOROZOWSKI

13 czerwca 1957 – 4 sierpnia 2026



FOT. ALINA GAJDAMOWICZ / AG

Dziennikarz radiowy i telewizyjny, od 25 lat związany z TVN-em.

Andrzej Morozowski studiował na wydziale Wiedzy o Teatrze warszawskiej Akademii Teatralnej. Jego droga do dziennikarstwa wiodła przez politykę – w 1989 roku był mężem zaufania strony solidarnościowej podczas wyborów czerwcowych, później pracował w Obywatelskim Klubie Parlamentarnym.

W latach 1990-2000 związany był z Radiem Zet, równolegle współpracując z TVP jako reporter sejmowy „Teleexpressu". Przełomowy okazał się 2001 rok, gdy dołączył do TVN24. Prowadził m.in. „Skaner polityczny", „Studio 24", „Rozmowę bardzo polityczną", „Kuluary" oraz „Tak jest".

Najbardziej znany był jednak z autorskiego programu „Teraz my!", który w latach 2005-2010 prowadził wspólnie z Tomaszem Sekielskim w TVN. To właśnie w tym programie doszło do wydarzenia, które przeszło do historii polskich mediów – w odcinku z 26 września 2006 roku, przy współpracy z posłanką Samoobrony Renatą Beger, dziennikarze nagrali ukrytą kamerą jej rozmowy z politykami PiS. Materiał zapoczątkował tzw. aferę taśmową, jedną z głośniejszych spraw w polskiej polityce tamtego okresu.

Za swoją pracę Morozowski otrzymał nagrodę Wiktora (2005) oraz dwie Telekamery (2007, 2008). W 2006 roku został Dziennikarzem Roku w konkursie organizowanym przez magazyn „Press".

Jest też współautorem kilku książek, w tym wywiadu rzeki z Michałem Kamińskim „Koniec PiS-u".

Przez ostatnie dwa lata zmagał się z rakiem i bólem. O swojej chorobie nowotworowej powiedział na antenie i dziękował za wsparcie, które otrzymywał od widzów i przyjaciół. Pracował, póki starczyło mu sił. Z kolegami z TVN24, którzy mocno go wspierali w czasie choroby, ustalał grafik tak, by prowadzić program w przerwach między chemioterapią.

„Andrzej nie obrażał się, nie obrażał innych. Miał dużo radości życia, kochał ludzi, o nic nie miał żalu, do wielu spraw podchodził z dystansem spokojem. I uśmiechem. Nie skarżył się, nie pomstował na życie. Był radosnym kompanem, fascynującym rozmówcą, ciekawym świata i połykał książki taśmowo" – tak wspominała go Dominika Wielowieyska, dziennikarka „Wyborczej". ●

JACEK MAGIERA

1 stycznia 1977 – 10 kwietnia 2026



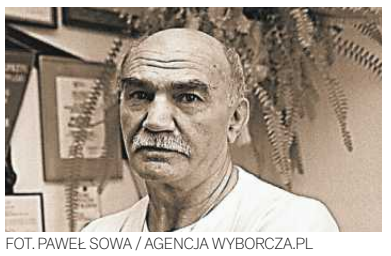
FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Piłkarz, trener. Karierę piłkarską zaczynał w Rakowie, a w latach 1997--2006 grał w Legii Warszawa, dla której rozegrał 176 spotkań. W Ekstraklasie wystąpił łącznie 233 razy, zdobywając 25 bramek. Był także zawodnikiem Widzewa Łódź i Cracovii.

Po zakończeniu kariery piłkarskiej Magiera został trenerem. Pracował w Legii Warszawa i Śląsku Wrocław, z którym wywalczył wicemistrzostwo Polski. W lipcu 2025 roku dołączył do sztabu reprezentacji Polski jako asystent Jana Urbana. Po raz ostatni zasiadł na ławce trenerskiej 31 marca. Zmarł nagle, zasłabł podczas treningu biegowego.

MARIAN KASPRZYK

22 września 1939 – 2 lutego 2026



FOT. PAWEŁ SOWA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bokser, mistrz olimpijski trener. Stoczył 270 walk – 232 wygrał, 10 zremisował i 28 przegrał. Podczas igrzysk olimpijskich w Rzymie 1960 zdobył brązowy medal w wadze lekkopółśredniej. Rok później – w Belgradzie 1961 sięgnął po brąz mistrzostw Europy w tej samej kategorii wagowej oraz w tym samym roku zdobył brązowy medal mistrzostw Polski. Na igrzyskach olimpijskich w Tokio 1964 sięgnął po złoto.

DANIEL CASTELLANI

21 marca 1961 – 25 czerwca 2026



FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Argentyński siatkarz i trener. Jako zawodnik wywalczył z reprezentacją Argenty brązowy medal olimpijski w 1988 roku i brąz mistrzostw świata w 1982 roku.

Przez lata był związany z polską siatkówką – jako trener klubowy i reprezentacyjny. W latach 2006-2009 prowadził Skrę Bełchatów, z którą trzy razy sięgnął po mistrzostwo Polski, dwa Puchary Polski i brązowy medal Ligi Mistrzów. W 2009 roku został selekcjonerem reprezentacji Polski. Już w pierwszym roku jego pracy Polacy wywalczyli po raz pierwszy w historii złoto mistrzostw Europy. W październiku 2010 roku podał się do dymisji po porażce z Bułgarią w drugiej rundzie mistrzostw świata. Do Polski na jeden sezon wrócił w 2012 roku. Z Zaksą Kędzierzyn-Koźle zdobył Puchar Polski oraz został wicemistrzem Polski. ●

eprasa.pl ce60f33c89

ANDRZEJ KUŁAKOWSKI

10 sierpnia 1929 – 13 października 2026



FOT. JAROSŁAW KUBALSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Chirurg onkolog, profesor nauk medycznych.

W 1953 roku rozpoczął pracę w Instytucie Onkologii i z tym miejscem związał całe swoje zawodowe życie. Od 1972 roku kierował Kliniką Chirurgii Onkologicznej, pełnił funkcję dyrektora ds. klinicznych, a w latach 1991-1998 był dyrektorem Centrum Onkologii – Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie, dziś Narodowego Instytutu Onkologii.

Prof. Kułakowski współtworzył też polską chirurgię rekonstrukcyjną, rozwijał nowoczesne metody leczenia nowotworów piersi, głowy i szyi oraz jamy brzusznej. Był założycielem Sekcji Chirurgii Onkologicznej, która dała początek Polskiemu Towarzystwu Chirurgii Onkologicznej. Tworzył Polską Fundację Europejskiej Szkoły Onkologii oraz Polską Szkołę Onkologii, organizujące szkolenia dla lekarzy z kraju i zagranicy. Rozumiał, że skuteczne leczenie to nie tylko operacja i pokonanie choroby, ale również troska o jakość życia, sprawność i godność człowieka. Był także wielkim przyjacielem ruchu Amazonek, od którego otrzymał honorową legitymację członkowską numer 1.

Za swoje dokonania został uhonorowany najwyższym odznaczeniem RP – Orderem Orła Białego.

„Polska onkologia straciła jednego ze swoich najwybitniejszych przedstawicieli" – tak profesora pożegnała dyrekcja Narodowego Instytutu Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie na Ursynowie.

ANDRZEJ PACZKOWSKI

1 października 1938 – 3 stycznia 2026



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Historyk, naukowiec, wykładowca akademicki, profesor nauk humanistycznych. Alpinista.

Był wybitnym badaczem historii, ale też jej współtwórcą. We wrześniu 1980 roku włączył się w tworzenie Solidarności, po wprowadzeniu stanu wojennego publikował w drugim obiegu, a w 1989 roku wspierał stronę solidarnościową podczas wyborów czerwcowych.

Pracował w Bibliotece Narodowej, Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, Instytucie Historii PAN i Instytucie Studiów Politycznych PAN. Był członkiem Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej (1999-2011), członkiem i przewodniczącym Rady IPN (2011--2016). Zajmował się dziejami politycznymi i społecznymi Polski w XX wieku.

Dorobek prof. Paczkowskiego jest przebogaty, napisał setki artykułów i mnóstwo książek, m.in. „Stanisław Mikołajczyk, czyli klęska realisty" (1991), „Trzy twarze Józefa Światły" (2009) oraz wielokrotnie wznawianej „Wojny polsko-jaruzelskiej" (2006), napisał też m.in. „Pół wieku dziejów Polski 1939-1989" (1998) (Nagroda KLIO), „Strajki, bunty, manifestacje jako »polska droga« przez socjalizm" (2003); „Droga do »mniejszego zła«. Strategia i taktyka obozu władzy, lipiec 1980 – styczeń 1982" (2001). Ostatnią książkę, napisaną wspólnie z prof. Pawłem Machcewiczem, „Wina, kara, polityka. Rozliczenia ze zbrodniami II wojny światowej", wydał w 2021 roku.

Jest też współautorem „Czarnej księgi komunizmu" (1997), która została przełożona na wiele języków i stała się światowym bestsellerem.

W 1980 roku, po podpisaniu Porozumień Sierpniowych, jako pracownik Biblioteki Narodowej włączył się w budowę niezależnego związku zawodowego.

Po wprowadzeniu stanu wojennego prowadził codzienne zapiski, które w formie książkowej wydał w 2019 roku. „Fakty, pogłoski, nastroje. Dziennik czasu wojennego" to unikatowy zapis wydarzeń, emocji społecznych oraz notowanych na bieżąco odczuć autora.

W latach 90. był m.in. ekspertem komisji sejmowych badających legalność stanu wojennego i kwestię postawienia przed Trybunałem Stanu osób odpowiedzialnych za jego wprowadzenie.

RYSZARD ZEMBACZYŃSKI

28 czerwca 1948 – 7 maja 2026



FOT. NIKODEM T. JACUK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wojewoda opolski i prezydent Opola przez trzy kadencje.

W 1985 roku objął funkcję wicewojewody opolskiego, a po zmianach ustrojowych został wojewodą. Urząd ten pełnił w latach 1990-1998.

Po powodzi z 1997 roku nadzorował odbudowę infrastruktury i działania pomocowe w regionie. Rok później, gdy rządowy projekt reformy administracyjnej przewidywał likwidację województwa opolskiego, Zembaczyński był jedną z osób koordynujących sprzeciw samorządów i organizacji społecznych wobec tych planów. W 2001 roku wstąpił do Platformy Obywatelskiej, a rok później został prezydentem Opola. Rządził miastem przez trzy kadencje – do 2014 roku.

W 2014 roku został radnym sejmiku województwa, jednak nie ubiegał się o kolejną kadencję.

W 2013 roku poinformował publicznie, że choruje na chorobę Parkinsona. Miał dwoje dzieci, w tym posła Witolda Zembaczyńskiego.

STEFAN SKĄPSKI

10 sierpnia 1936 – 5 maja 2026



FOT. / TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW WROCŁAWIA

Prezydent Wrocławia w latach 1986-1990.

Po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Wrocławskim rozpoczął pracę w ówczesnym Prezydium Rady Narodowej Wrocławia. Od 1961 roku pełnił funkcję kierownika we Wrocławskich Zakładach Elektronicznych ELWRO, które w tamtym czasie rozwijały pierwsze polskie komputery.

W 1986 roku Miejska Rada Narodowa wybrała go na prezydenta miasta. Urząd sprawował do 4 czerwca 1990 roku, kończąc go wraz z początkiem nowej kadencji samorządu po pierwszych wolnych wyborach.

Skąpski był również autorem książek dla dzieci – opublikował ponad 200 wierszy i opowieści, które znalazły się m.in. w książkach „Niezwykłe przygody ze świata przyrody" oraz „Król niedźwiedzi i inne zwierzęta".

Współpracował z Towarzystwem Miłośników Wrocławia, które w 2022 roku przyznało mu wyróżnienie „Diament Wrocławia".

HARALD V

21 lutego 1937 – 28 sierpnia 2026



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Król Norwegii. Objął tron w 1991 roku. W chwili śmierci był najstarszym panującym monarchą w Europie. Za jego panowania Norwegia przeżywała zarówno euforię igrzysk olimpijskich w Lillehammer w 1994 roku, jak i żałobę po największej tragedii w historii kraju – zamachach z 22 lipca 2011 roku w Oslo i na wyspie Utoya.

Harald V był pierwszym od 567 lat księciem urodzonym w Norwegii. W 1968 roku Harald poślubił Sonję Haraldsen, z którą miał dwoje dzieci: księżniczkę Märthę Louise i księcia Haakona.

W młodości uprawiał żeglarstwo i trzykrotnie reprezentował kraj na igrzyskach olimpijskich. W 1987 roku, wraz z załogą jachtu Fram X, zdobył mistrzostwo świata.

W ostatnich latach miał poważne problemy zdrowotne. Przeszedł leczenie choroby nowotworowej pęcherza, operację zastawki serca, a w 2024 roku po infekcji podczas pobytu w Malezji wszczepiono mu rozrusznik serca.

Dwa dni po pogrzebie Haralda V zmarła jego starsza siostra, księżniczka Astrid. Miała 94 lata.

STANISŁAW MAŁKOWSKI

29 lipca 1944 – 7 września 2026

Ksiądz, działacz opozycji demokratycznej w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i kapelan „Solidarności".

W PRL-u był na liście „najbardziej niewygodnych księży". W latach 80. odprawiał z ks. Popiełuszką słynne msze za ojczyznę.

Po katastrofie smoleńskiej brał czynny udział w zgromadzeniach przed Pałacem Prezydenckim, gdzie przewodniczył modlitwom i osobiście poświęcił drewniany krzyż postawiony przez harcerzy.

W 2021 roku prezydent Andrzej Duda nadał mu najwyższe odznaczenie państwowe – Order Orła Białego.

JÓZEF MICHALIK

20 kwietnia 1941 – 3 maja 2026

Biskup diecezjalny zielonogórsko-gorzowski w latach 1986-1993, arcybiskup metropolita przemyski w latach 1993-2016, wiceprzewodniczący Konferencji Episkopatu Polski w latach 1999-2004, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski w latach 2004-2014, wiceprzewodniczący Rady Konferencji Episkopatów Europy w latach 2011-2014.

W 2019 roku został opisany w raporcie fundacji „Nie lękajcie się". Według fundacji jako wieloletni metropolita przemyski nie tylko wspierał księży pedofilów, ale odpowiedzialnością obarczył ofiary.

eprasa.pl ce60f33c89

GLORIA STEINEM

25 marca 1934 – 2 września 2026



FOT. DENNIS VAN TINE/PHOTOSHOT/PAP

Ikona feminizmu, dziennikarka, aktywistka, założycielka magazynu „Ms.”.

„Prawie 100 lat życia Glorii było czasem dobrze przeżytym. Do samego końca nie przestawała działać na rzecz równości. Jej największym darem była umiejętność słuchania innych i sprawiania, że czuli się dostrzeżeni i wysłuchani. Jej słowa, czyny i przykład dawały ludziom przyzwolenie na to, by byli w pełni sobą. Gloria żyła w zgodzie ze swoim niepokornym duchem, zawsze z ciekawością świata i ogromnym poczuciem humoru” – napisano w oficjalnym komunikacie o jej śmierci.

Przez lata jej nazwisko stało się synonimem wyrazu „feminizm”. Od początku lat 60. była związana z dziennikarstwem, publikowała m.in. w „New York Magazine”, ale jednocześnie angażowała się w tworzenie ruchu feministycznego. Rozgłos przyniósł jej tekst o pracy tzw. króliczków „Playboya” i artykuł „After Black Power, Women's Liberation”.

Jest współzałożycielką kilku fundacji i organizacji wspierających działania na rzecz kobiet. W 1970 roku, razem z Betty Friedan i Bellą Abzug, poprowadziła w Nowym Jorku ogólnokrajowy marsz kobiet na rzecz równości. W 2016 roku wydała autobiografię „Moje życie w drodze” (w Polsce wydana w tłumaczeniu Anny Dzierzgowskiej przez Poradnię K).

W 1971 roku założyła magazyn „Ms.”, który poruszał kwestie aborcji, seksizmu, wyrównania płac czy przemocy domowej.

Steinem była także współzałożycielką m.in. grup Women's Action Alliance i National Women's Political Caucus, a także Coalition of Labor Union Women, the Women's Media Center, Voters for Choice, i Ms. Foundation for Women. W 2013 roku otrzymała Prezydencki Medal Wolności, czyli najwyższe cywilne odznaczenie w Stanach Zjednoczonych. ●

JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY

17 maja 1933 – 9 sierpnia 2026



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pisarz, dramaturg, współtwórca STS i autor melodii do jednej z najsłynniejszych piosenek Agnieszki Osieckiej.

Urodził się w inteligenckiej rodzinie: ojciec, Igor Newerly, był pisarzem, matka, Barbara Abramow-Newerly, aktorką i reżyserką związaną z Teatrem Baj. A także wychowanką Domu Sierot, prowadzonego przez Janusza Korczaka i Stefanię Wilczyńską.

Po utworzeniu getta warszawskiego rodzina pozostała w swoim mieszkaniu na Żoliborzu. Ojciec załatwił im aryjskie papiery.

W 1951 roku rozpoczął studia na filologii polskiej. Zaczął występować w Studenckim Teatrze Satyryków, który szybko stał się fenomenem i symbolem odwilży po okresie stalinizmu. To w STS jako tekściarka zaczynała poetka Agnieszka Osiecka, z którą Jarosław Abramow-Newerly się zaprzyjaźnił. W 1963 roku skomponował muzykę do „Piosenki o okularnikach”, jednego z najsłynniejszych tekstów Osieckiej i nieformalnego hymnu PRL-owskiej inteligencji.

W latach 60. zaczęły ukazywać się pierwsze dramaty Abramowa-Newerlego. Debiutancka sztuka z 1965 roku „Anioł na dworcu” została wyróżniona Nagrodą im. Stanisława Piętaka i Nagrodą Kościelskich. Później przyszły „Derby w pałacu”, „Klik-klak”, „Darz Bór” czy „Maestro”, wystawione przez Kazimierza Dejmka w Teatrze Polskim w 1984 roku.

Rok później Abramow-Newerly wyjechał do Kanady. Jak wspominał, planował zostać tam rok – jego żona, lekarka, dostała tam pracę. Został na zawsze.

W Kanadzie publikował w prasie polonijnej. Zbiór jego felietonów „Pan Zdzich w Kanadzie” ukazał się tam w 1991 roku. Rok wcześniej, w Polsce, premierę miała książka „Alianci”, powieść o amerykańskich lotnikach, którzy w 1945 roku lądują awaryjnie na terytorium ZSRR.

Publikował też książki non-fiction, opisujące losy swojej rodziny i środowiska: poza wspomnianymi „Lwami z mojego podwórka” to „Lwy wyzwolone”, „Lwy z STS-u”, „Piórem i pazurem”.

Jako dramaturg został przyjęty chłodniej. „Liczyłem po cichu, że wystawię w Kanadzie »Maestra« po angielsku. Pojechałem do Nowego Jorku i pokazałem Eli Czyżewskiej przekład, który zrobił znajomy rusycysta. Uznała, że to sztywny język, nikt tak nie mówi. Rozmawiałem też z Januszem Głowackim, który akurat odniósł sukces na Broadwayu, spytał mnie, ile postaci występuje u mnie na scenie. »Dwanaście? To zapomnij! Do pięciu osób może ci wystawią, ale dwunastu aktorów żaden teatr nie udźwignie«” – opowiadał Annie Żebrowskiej.

W tym samym wywiadzie przyznawał, że od lat prowadzi życie równoległe: ma mieszkania w Warszawie i w Toronto: „Strasznie się boję przeprowadzki, powiem pani. Mam tam pianino, mnóstwo książek, całe mieszkanie. Podobnie jak w Warszawie. Co z tym wszystkim robić?”. ●

JEFFREY ARCHER

15 kwietnia 1940 – 5 października 2026

Brytyjski polityk i pisarz.

Archer sprzedał ponad 300 milionów egzemplarzy książek – należą do nich te z cyklu „Kroniki Cliftonów” oraz jedna z najlepiej sprzedających się powieści wszech czasów – „Kain i Abel”, a także autobiograficzne „Dzienniki więzienne”. Zmarł niespełna 24 godziny po spotkaniu z czytelnikami w Londynie. I na dzień przed premierą jego najnowszej powieści „Adam & Eve”.

Archer dorastał w Weston-super-Mare w hrabstwie Somerset, gdzie później często osadzał akcję swoich powieści. W 1969 roku w wieku 29 lat został wybrany na posła z okręgu Louth w hrabstwie Lincolnshire i przez pięć lat był posłem, zanim objął stanowisko wiceprzewodniczącego Partii Konserwatywnej. Niektórzy typowali go nawet na przyszłego premiera Wielkiej Brytanii, ale gdy w 1999 roku kandydował na burmistrza Londynu, wybuchł skandal.

Wyszło na jaw, że ponad dekadę wcześniej skłamał w procesie o zniesławienie, który wytoczył „Daily Star” w 1987 roku i w którym zasądzono na jego rzecz 500 tysięcy funtów odszkodowania.



FOT. CLIVE GEE

Archer został skazany za krzywoprzysięstwo oraz utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości i trafił do więzienia na cztery lata.

Zmonetyzował każdy dzień za kratkami. Pierwszy z trzech tomów („Piekło”) ”Dzienników więziennych” wyszedł już w 2002 roku. Kolejne – „Czyściec” i „Niebo” – w 2003 i 2004 roku.

Gdy wyszedł na wolność w 2003 roku, po odsiedzeniu połowy zasądzonego czasu, powrócił do Izby Lordów, w której zasiadał aż do przejścia na emeryturę w 2024 roku. Nie odgrywał już jednak znaczącej roli w tej izbie parlamentu. ●

FRANK GEHRY

28 lutego 1929 – 5 grudnia 2025

Kanadyjsko-amerykański architekt. Zaprojektował Muzeum Guggenheima w Bilbao, Tańczący Dom w Pradze czy Walt Disney Concert Hall w Los Angeles.

Jego rodzina od strony matki wywodziła się z Łodzi. W 1947 roku przeniósł się wraz z rodziną do Kalifornii.

Jego architektura była kojarzona z niekonwencjonalnymi zestawieniami barw oraz bryłami o nietypowym kształcie i powierzchni. Charakterystyczne dla Gehry'ego były też przechylone ściany czy pofalowane płaszczyzny, często kontrastujące z tradycyjną przestrzenią miejską.



FOT. RADOSLAW JÓZWIAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

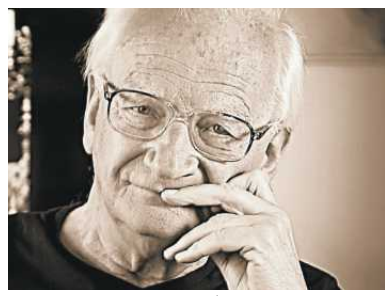
W 1989 roku Frank Gehry otrzymał Nagrodę Pritzkera, prestiżową amerykańską nagrodę przyznawaną architektom, którzy poprzez swój talent mieli znaczący wkład w rozwój otoczenia człowieka. ●

STANISŁAW JANICKI

11 listopada 1933 – 25 maja 2026

Pisarz, dziennikarz i scenarzysta, krytyk filmowy i historyk kina. W latach 1959-1970 pracował jako redaktor miesięcznika „Film”, w latach 1970-1974 – miesięcznika „Kino”. Zasiadał w jury festiwali filmowych, wykładał m.in. na Uniwersytecie Śląskim.

Polacy najbardziej kojarzą go jednak z programem „W starym kinie”, emitowanym w Telewizji Polskiej od maja 1965 do maja 2000 roku. Był autorem jedenastu książek poświęconych kinematografii polskiej i japońskiej, reżyserem niemal 40 dokumentów. Został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. ●



FOT. GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.

DAN SIMMONS

4 kwietnia 1948 – 21 lutego 2026

Dla wielu czytelników był jednym z najlepszych współczesnych autorów literatury grozy i science fiction. Autor prawie 30 powieści, m.in. nagradzanego cyklu fantastycznonaukowego „Hyperion”, inspirowanej mitologią rzymską serii „Ilion/Olimp”, zekranizowanego jako serial „Terroru” – opowiadającego o prawdziwych i prawdziwie tajemniczych losach wyprawy badawczej z maja 1845 roku, kiedy to dwa statki HMS Erebus i HMS Terror utknęły w lodzie na Arktyce. ●

TOM STOPPARD

3 lipca 1937 – 29 listopada 2025

Napisał ponad 30 sztuk teatralnych. Do jego najbardziej znanych utworów należy dramat „Rosencrantz i Guildenstern nie żyją” (1966), w którym Stoppard tytułowymi bohaterami uczynił dawnych przyjaciół Hamleta, postaci drugoplanowe w dramacie Szekspira.

Stoppard był również cenionym scenarzystą filmowym. Otrzymał Oscara za scenariusz do filmu „Zakochany Szekspir” (1998), którego był współautorem. Był również nominowany do Oscara za scenariusz filmu „Brazil”. ●

eprasa.pl ce60f33c89

IGNACY KARPOWICZ

26 lipca 1976 – 22 sierpnia 2026

Pisarz, tłumacz literacki. Pięciokrotny finalista Nagrody Literackiej „Nike".

– Miałem jakieś dziwaczne przeczucie, że bez względu na koszty pisanie jest właśnie tym, czym chcę się zajmować. Miało to rozmaite konsekwencje w moim życiu, nie zawsze fajne. Po półmetku życia można sobie zadać pytanie, czy decyzje, które podjąłem, były słuszne. Wciąż tego nie wiem. Czas może jeszcze pokaże. Albo nie – mówił w 2025 roku przy okazji nominacji do Nagrody Literackiej „Nike". Jego książka „Ludzie z nieba" znalazła się wówczas w jej finale.

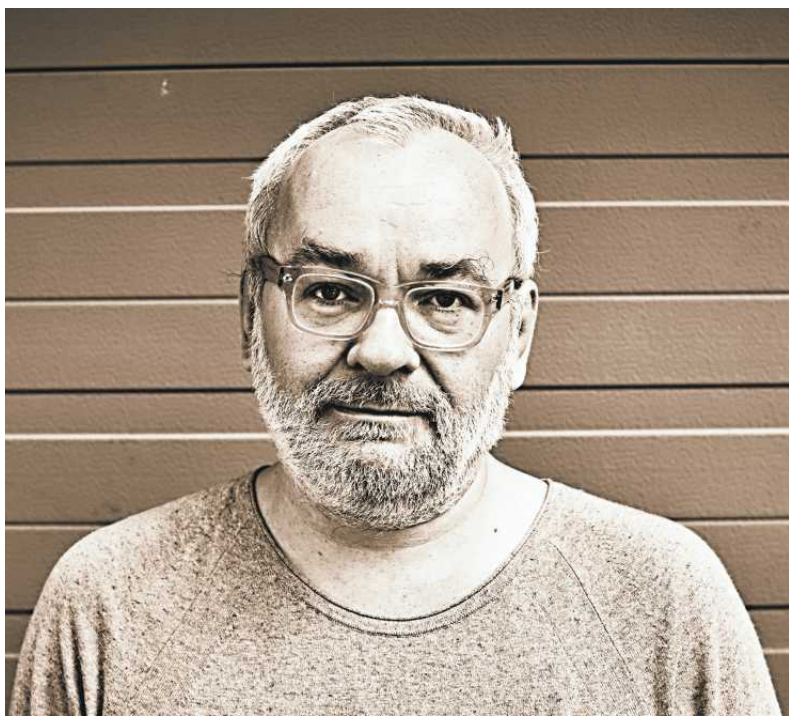
Karpowicz za powieść „Balladyny i romanse" z 2010 roku został laureatem Paszportu „Polityki". Do Nagrody Literackiej „Nike" nominowany był za powieści: „Gesty", „Balladyny i romanse", „Ości" i „Sońka" oraz „Ludzie z nieba". O tej ostatniej książce i samym Karpowiczu tak pisał Przemysław Czapliński:

„Od początków kariery pisarskiej Karpowicz jawi się jako anomalista, spec od wyjątków. Wprowadza do zwykłego świata przypadek nadzwyczajny i sprawdza, co będzie dalej. Na przykład co się stanie, jeśli pomniki ustawione w naszych miastach zaczną do nas gadać (»Niehalo«, 2006). Albo gdy ciało zmarłego zachowa po śmierci temperaturę żywego organizmu (»Cud«, 2007). Albo jeśli w sklepach zabraknie żelazek i kawy, a na ziemię, wprost do Polski, zejdą bogowie z Olimpu (»Balladyny i romanse«, 2011). Eksperymenty fabularne służą zakłóceniu społecznego porządku i stworzeniu warunków dla zmiany. W »Ludziach z nieba« pisarz zachował postawę samozwańczego badacza, który wprowadza do znanego układu społecznego nowy element, a potem wymyśla językowe i fabularne następstwa".

Powieści Karpowicza zostały przetłumaczone na kilkanaście języków, w tym angielski, hiszpański, francuski i niemiecki.

Dzieciństwo i młodość spędził na Podlasiu. Sam pisał o sobie na łamach „Wyborczej": „Pierwsze lata życia spędziłem na wsi. Mama czytała mi po pracy bajki. Dobre zakończenia nie robiły wrażenia. Zlały się w niewyraźną tacę z odświętnymi słodyczami. Prawdopodobnie zmęczenie matki po ciężkim dniu kładło się na happy endy. Z drożdżówki powstawał naleśnik. Szczęśliwe zakończenia to coś, co zdarzało się przed snem, jak mycie zębów".

Studiował na Uniwersytecie Warszawskim. W 2006 roku Wydawnictwo Czarne wydało jego debiutancką powieść „Niehalo", za którą nominowany był do Paszportu „Polityki". Tak pisał o niej na naszych łamach Dariusz Nowacki: „Autor »Niehalo« to bardzo inteligentny szyderca. To, co zrobił, przekracza sztubacki gest domalowania wąsów bohaterom narodowym. Nawet znienawidzoną formację »katopolo« (tak konsekwentnie jest nazywana w powieści) skompromitował w sposób dość wyszukany, daleki od prostactwa".


FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rok później wydana została jego druga powieść: „Cud". „Jest w prozie Karpowicza i powaga, i humor, jest zwyczajna rzeczywistość i niezwyczajna wyobraźnia. I jest jeszcze coś, co pozwala sądzić, że autor „Cudu" na dobre zadomowi się w naszej literaturze i nieraz sprawi czytelnikom wiele przyjemności – wyrazisty, niebanalny, dobrze ustawiony styl" – pisał o drugiej książce Karpowicza Robert Ostaszewski.

W rozmowie z Wojciechem Szotem w 2025 roku mówił o tym, dlaczego tożsamość wielu z jego bohaterów jest taka nieoczywista.

– To z pewnością rodzaj powidoku osobistego życiorysu. Urodziłem się jako gej. Jednak to nie jest takie proste, bo ja i świat to są zupełnie różne przestrzenie. Pisanie o osobach mających płynne tożsamości nie wynika z potrzeby ukazania tego rozbicia, ale wręcz przeciwnie – z chęci lub próby scalenia. Działam w drugą stronę, czyli próbuję dokonać integracji bohaterki czy bohatera ze światem. Przecież nie chodzi nam o to w życiu, żeby skończyć jak Carrie z „Homelandu" bez leków. Przekornie wydaje mi się, że te wszelkie płynności, transgresje itd. w niektórych sytuacjach mogą ułatwiać życie, lub wręcz je w ogóle umożliwiać.

W czerwcu na łamach miesięcznika „Więź" polemizował z Czesławem Miłoszem i jego „Traktatem teologicznym". „Przyznam od razu, że to nie jest mój świat. Mój świat jest znacznie skromniejszy, mniej ambitny, mimo to wcale nie jest światem łatwiejszym czy mniej złożonym. W moim świecie nie ma Absolutu, ponieważ w moim świecie istnieje tylko to, co konieczne. Absolut nie jest konieczny do życia. Stwierdzając powyższe, odczuwam przykrość. Wolałbym świat wyposażony w Absolut, ale trudno, po prostu dostała mi się wersja rzeczywistości bez ekstra dodatków" – pisał. ●

PIOTR OCZKO

10 maja 1973 – 15 lipca 2026

Anglista, polonista, niderlandysta, kulturoznawca, historyk sztuki i tłumacz, profesor nauk humanistycznych zatrudniony na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Oczko był absolwentem filologii polskiej i angielskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie.

W 2002 roku obronił doktorat poświęcony dramatowi „Lucyfer" XVII-wiecznego niderlandzkiego pisarza Joosta van den Vondela. Dwanaście lat później uzyskał habilitację na podstawie rozprawy „Miotła i krzyż. Kultura sprzątania w dawnej Holandii, albo historia pewnej obsesji", która została opublikowana w 2013 roku nakładem Collegium Columbinum.

Jednym z największych osiągnięć naukowych Oczki jest również napisana z Piotrem Nastulczykiem książka „Homoseksualność staropolska", w której badacze przyglądali się queerowym wątkom w dawnej polskiej literaturze.

Czytelnicy spoza świata nauki poznali Oczkę bliżej w 2021 roku dzięki „Pocztówce z Mokum". Zbiór opowiadań, jak mówił autor, „nie jest bynajmniej zbiorem pocztówek, tylko listem miłosnym, a do tego podwójnym. Nieaktualnym już listem miłosnym do mężczyzny, pewnego Aszkenazyjczyka, inteligenta z tzw. dobrej krakowskiej rodziny, znającego języki obce, mającego bibliotekę i utytułowanego tatusia. Oraz listem do Holandii".


FOT. JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS

Za tę książkę był nominowany m.in. do Nagrody Literackiej m.st. Warszawy oraz do Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus".

W 2024 roku ukazała się książka „Suknia i sztalugi. Historie dawnych malarek". Tym razem Oczko przyglądał się biografiom i dziełom wybitnych twórczyń, które często były pomijane w klasycznej historii sztuki.

Był również tłumaczem. W jego przekładach ukazał się m.in. „Ararat" Franka Westermana (przełożony wspólnie ze Sławomirem Paszkietem) i „Kultura XVII-wiecznej Holandii" wybitnego holenderskiego historyka Johana Huizingi.

Wydał ponad 20 książek, w tym 10 interdyscyplinarnych monografii, publikował w magazynach naukowych, jak i w miesięczniku „Znak". ●

PÉTER NÁDAS

14 października 1942 – 26 sierpnia 2026

Węgierski pisarz, eseista, dramaturg i fotograf.

W latach 60. studiował dziennikarstwo i fotografię, a następnie służył w armii Węgierskiej Republiki Ludowej. Do 1969 roku pracował jako dziennikarz w budapesztańskim magazynie „Pest Megyei Hírlap)". Pisał też dramaty i pracował jako fotograf.

Jego debiutem literackim był wydany w 1967 roku zbiór opowiadań „Biblia".

Był jednym z najwybitniejszych węgierskich pisarzy. W swoich utworach nawiązywał do węgierskiej historii najnowszej, rozliczając się z narodowymi traumami, mrokami stalinizmu czy dramatem powstania z 1956 roku. Wydał kilka powieści, za które otrzymał wiele prestiżowych wyróżnień, w tym: Nagrodę Milána Füsta, Mikes Kelemen Kör Prize, Nagrodę Attili Józsefa, Prix du Meilleur Livre Étranger czy Nagrodę Franza Kafki. Pisarz był też wymieniany jako kandydat do Literackiej Nagrody Nobla.


FOT. JAN HAAS/DPA/PAP

Wśród jego najważniejszych dzieł wymienia się „Koniec pewnej sagi rodzinnej", „Księgę wspomnień" czy „Pamięć". Nádas w swoim dorobku miał także m.in. scenariusz do filmu „Vonulás" („Przejście", 1995 rok) oraz eseje o treści filozoficznej i teatralnej. Jego utwory zostały przetłumaczone na większość języków europejskich. ●

MARJANE SATRAPI

22 listopada 1969 – 4 czerwca 2026

Francusko-irańska autorka komiksów i filmów animowanych. Zyskała popularność dzięki autobiograficznej serii komiksowej „Persepolis", opisującej jej dzieciństwo i młodość w Iranie, a także życie na emigracji w Austrii. Seria ukazała się w latach 2000-2003. Na jej podstawie powstał film animowany dla dorosłych o tym samym tytule, którego Satrapi była scenarzystką i reżyserką. W 2007 roku został nagrodzony na festiwalu w Cannes.

Marjane Satrapi była również autorką innych komiksów, m.in. „Kurczak ze śliwkami". Na jego podstawie także powstał film, w którym główną rolę zagrała Isabella Rossellini.

Na stronie internetowej Marjane Satrapi podkreślono, że „nie wróciła do Iranu od czasu wydania swojej pierwszej książki w 2000 roku, twierdząc, że uważa, że nie byłoby to dla niej bezpieczne po jej krytyce reżimu". ●


FOT. GRAŻYNA JAWORSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

eprasa.pl ce60f33c89

IGA CEMBRZYŃSKA

2 lipca 1939 – 30 lipca 2026



FOT. ALBERT ZAWADA / PAP

Grała u Hasa, Konwickiego, Kondratiuka, śpiewała Osiecką. Była jedną z twarzy polskiego kina lat 60. i 70.

„Odeszła. Do swojego Andrzeja, i do jego brata Janusza. Dziś zmarła IGA CEMBRZYŃSKA, wspaniała aktorka, piosenkarka. Osobowość. Żegnaj kochana Igo!!! Żal ogromny" – napisał na Facebooku Andrzej Luter, ksiądz związany z polskim środowiskiem filmowców i aktorów.

Do wpisu dołączył czołówkę „Hydrozagadki", szalonej komedii męża Cembrzyńskiej Andrzeja Kondratiuka z 1971 roku. Aktorka zagrała w niej podwójną rolę: prezenterki telewizyjnej i kelnerki.

To właśnie z ról u Kondratiuka kojarzona jest dziś najbardziej. Z reżyserem poznała się na początku lat 70., została jego partnerką i muzą. Byli razem do śmierci Kondratiuka w 2016 roku.

– Każdy marzy o spotkaniu w życiu swojej drugiej połówki. Ja ją znalazłam. Dane mi było przeżyć bajkę, tak pamiętam wybuch mojej wielkiej miłości – mówiła Elżbiecie Pawełek z portalu Weranda.

Dwa lata później premierę miał film „Jak pies z kotem", reżyserowany przez brata Andrzeja, Janusza Kondratiuka, i opowiadający o ich relacji.

Śpiewała nie tylko u Kondratiuka. Iga Cembrzyńska jeszcze jako dziecko zaczęła uczyć się gry na fortepianie, później uczęszczała do szkoły muzycznej. W rozmowie z Elżbietą Pawełek wspominała, że do zajęcia się muzyką zachęcał ją ojciec. – Był bardzo zbulwersowany faktem, że poszłam do szkoły aktorskiej. Ten zawód wydawał mu się frywolny. Co innego pianistka – opowiadała.

Podczas studiów w PWST w Warszawie Cembrzyńska występowała z orkiestrą jazzową Eskulap – pod pseudonimem Maria Skalska, by nie narazić się rektorowi, który nie pochwalał pracy studentów.

Studia aktorskie ukończyła w 1962 roku. Dwa lata później wykonała na festiwalu w Opolu piosenkę „Intymny świat" z tekstem Agnieszki Osieckiej i zdobyła III miejsce w kategorii „Piosenka kabaretowo-rozrywkowa".

W 1965 roku wróciła do Opola z Bohdanem Łazuką, z którym wykonywała przebój „W siną dal".

W tym samym czasie zagrała w dwóch klasycznych dziś polskich filmach: w 1964 roku wcieliła się w księżniczkę Eminę w „Rękopisie znalezionym w Saragossie" Wojciecha Jerzego Hasa. Rok później w żonę Kowalskiego, głównego bohatera „Salta" Tadeusza Konwickiego.

W latach 60. i 70. Igę Cembrzyńską można było zobaczyć również na deskach warszawskich teatrów.

BOŻENA DYKIEL

26 sierpnia 1948 – 12 lutego 2026



FOT. DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wybitna aktorka, grała u Andrzeja Wajdy i Stanisława Barei. Przez ponad dwie dekady występowała w serialu „Na wspólnej".

Bożena Dykiel wychowywała się w Warszawie. Do zdawania do szkoły teatralnej namówiła ją polonistka Teresa Wiśniewska. Studia ukończyła w 1971 roku. W latach 1970-1972 występowała w Studenckim Teatrze Satyryków, a w latach 1972-1985 związana była z Teatrem Narodowym w Warszawie.

Swoje najważniejsze role teatralne zagrała w Teatrze Narodowym za dyrekcji Adama Hanuszkiewicza. Była Muzą w „Beniowskim", Julią w „Trzy po trzy", Panną Młodą w „Weselu" czy romantyczną Heleną w „Wacława dziejach" Garczyńskiego. I Goplaną w słynnej inscenizacji „Balladyny" – na scenę wjeżdżała na motocyklu Honda. Ta scena przeszła do historii teatru.

Bożena Dykiel uznawała Hanuszkiewicza za swojego mentora. Dlatego, gdy w czasie stanu wojennego Hanuszkiewicz opuścił Teatr Narodowy, odeszła razem z nim. Po wielu latach, w 1991 roku, spotkała się z nim ponownie. W spektaklu „Ubu Król, czyli Polacy. Improwizacje" na podstawie sztuki Alfreda Jarry'ego zagrała Ubicę.

Współpracowała także z teatrami warszawskimi: Scena Prezentacje, Nowym, Syrena, Komedia. Występowała w spektaklach wybitnych twórców: Aleksandra Bardiniego, Helmuta Kajzara czy Konrada Swinarskiego.

W 1971 roku zadebiutowała przed kamerami rolą autostopowiczki w filmie „Uciec jak najbliżej". Współpracowała z najwybitniejszymi polskimi twórcami. W 1972 roku zagrała Kasię w „Weselu" Andrzeja Wajdy z Olbrychskim i Łapickim u boku. – Wszystkie moje pomysły, jak kiełbasa, ogórek, chleb i wódka, trafiły do filmu, a nawet stały się jego wizytówką – podkreślała.

Współpracę z Andrzejem Wajdą nazwała najlepszą szkołą. To u tego reżysera stworzyła swoją być może najważniejszą rolę. W „Ziemi obiecanej" zagrała córkę niemieckiego fabrykanta, temperamentną, choć naiwną Madę Müller, która podkochuje się w Karolu Borowieckim. – To, że dziś umiem dużo, zawdzięczam wybitnym twórcom, z którymi miałam szczęście pracować. Przecież teatru uczył mnie Hanuszkiewicz, filmu Wajda! Najwyższa półka. A oni nie skąpili mi rad. Kiedyś chciałam zejść z planu „Wesela". Wajda na to: „Niech pani nie znika, proszę patrzeć, jak koledzy grają". I uczył: „Praca w filmie polega na wyobraźni" – wspominała.

Dykiel zasłynęła rolami przebojowych, energicznych dziewczyn. Grała m.in. u Janusza Zaorskiego („Awans"), Ryszarda Bugajskiego („Przesłuchanie"), Janusza Morgensterna („Trzeba zabić tę miłość"), Jerzego Hoffmana („Znachor"), Marka Koterskiego („Dzień świra") czy w serialu „Dom" w reżyserii Jana Łomnickiego.

Wielką popularność przyniosły jej role w komediach Stanisława Barei – „Alternatywy 4" i „Brunet wieczorową porą".

„Zdecydowana większość ról filmowych Bożeny Dykiel ma charakter komediowy. Jej bohaterki są zazwyczaj silne psychicznie, pyskate, krnąbrne, nawet wulgarne, ale mające jakże prawdziwy związek z polską rzeczywistością wymuszonych przesiedleń, środowiskowych przeszczepów kultury. Nawet w aktorskiej szarży wyśmienite epizody aktorki pozostaną w przyszłości socjologicznym znakiem dziwnych czasów" – pisał Jan Słodowski w eseju pt. „Zadziorny temperament".

W rozmowie z Elżbietą Dolińską z „Filmu" Dykiel narzekała: „Ona może chodzić z warkoczem, z dwoma warkoczami – myślą o mnie reżyserzy. I proponują mi role dziewczyn wiejskich. Mało który reżyser zdecyduje się na obsadzenie aktora wbrew jego typowi, wbrew temu, z czym jego obraz kojarzy się tak zwanemu statystycznemu widzowi. A przecież właśnie ryzyko mogłoby dać bardzo ciekawe rezultaty".

Blisko rok temu Bożena Dykiel przestała pojawiać się na planie popularnego serialu TVN „Na Wspólnej". W rolę Marii Zięby wcielała się tam przez 22 lata.

EDWARD LINDE-LUBASZENKO

23 sierpnia 1939 – 8 lutego 2026

Kapitan Stopczyk z „Psów", Krzysztof Jarzyna ze Szczecina z „Poranka Kojota", doktor Bognar z „Układu krążenia".

Studiował medycynę, ale dzięki występom w teatrze studenckim wciągnęło go aktorstwo. Zdał aktorski egzamin eksternistyczny, w Krakowie skończył reżyserię.

Zagrał w ponad 70 filmach, ponad 110 przedstawieniach teatralnych i ponad 80 spektaklach Teatru Telewizji.

Na ekranie debiutował u Kazimierza Kutza w „Ktokolwiek wie...", ale popularność zyskał dzięki roli doktora Romana Bognara w serialu Andrzeja Titkowa „Układ krążenia". Wystąpił w „Psach", „Krollu", „Liście Schindlera" oraz kolejnych wyreżyserowanych przez jego syna Olafa, m.in. w „Sztosie", „Chłopaki nie płaczą", „Poranku kojota".

Przez większość życia występował pod nazwiskiem Lubaszenko. Dopiero w 1991 roku dodał do niego pierwszą część Linde; było to nazwisko po jego prawdziwym ojcu – Niemcu o korzeniach skandynawsko-czeskich, który w 1930 roku przyjechał do Białegostoku i w 1934 roku wziął ślub z Polką.

W opublikowanym w „Wyborczej" w 2012 roku wywiadzie Edward Linde-Lubaszenko opowiadał Katarzynie Surmiak Domańskiej: – Wybuchła wojna, do miasta najpierw weszli Niemcy, którzy po dwóch tygodniach wyszli, a na ich miejsce pojawili się Rosjanie. Ojciec, niepewny o swoją przyszłość, przestraszony tej – jak to nazwała mama – azjatyckiej dziczy, postanowił uciekać do swoich. Błagał mamę, żeby jechała z nim, ale ona, polska patriotka, za nic nie chciała do Niemiec. Tak więc się rozdzielili. On wrócił do Olsztyna, a mama została ze mną sama. A potem w jej domu zakwaterowano młodego radzieckiego oficera.



FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

To był Mikołaj Lubaszenko, oficer Armii Czerwonej. Usynowił Edwarda.

– Dzięki usilnym staraniom mojej mamy został przeniesiony do Wojska Polskiego. Przyjął polskie obywatelstwo, a tym samym zrzekł się świadczeń za radzieckie odznaczenia wojenne – opowiadał aktor.

HALINA KOWALSKA

27 lipca 1941 – 18 marca 2026

W serialu „Alternatywy 4" zagrała śpiewaczkę, w „Nie lubię poniedziałku" wcieliła się w marzącą o miłości sprzedawczynię, a w filmach „Nie ma róży bez ognia" i „Sanatorium pod klepsydrą" stworzyła role Wandy i Adeli.

Była jedną z bohaterek książki Krzysztofa Tomasika „Demony seksu", choć nie przyznawała się do bycia seksbombą PRL-u. – Jestem szarą myszą, mam tego samego męża i pracę na etat w teatrze – mówiła.

Na ekranie zadebiutowała w roli sekretarki w 1963 roku w filmie „Kryptonim Nektar". W latach 90. wystąpiła jako Wanda w serialu „Czterdziestolatek. 20 lat później". W latach 2002-2010 grała w polsatowskim serialu „Samo życie".

eprasa.pl ce60f33c89

STANISŁAWA CELIŃSKA

29 kwietnia 1947 – 12 maja 2026


FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Aktorka teatralna i filmowa, wokalistka i artystka kabaretowa.

Stanisława Celińska w 1968 roku zadebiutowała na scenie teatralnej, rok później ukończyła PWST w Warszawie. Filmowy debiut zawdzięcza Andrzejowi Wajdzie – zagrała rolę Niny w „Krajobrazie po bitwie" (1970) u boku Daniela Olbrychskiego. Rola ta otworzyła jej drzwi do wielkiej kariery.

„Stasia Celińska była artystką niepowtarzalną, jedyną w swoim rodzaju, wszechstronną, niepodrabialną i wybitną pod każdym względem" – tak wspominał artystkę aktor i reżyser Artur Barciś w rozmowie z Polską Agencją Prasową. Jak dodał, miał „zaszczyt i przyjemność" pracować z Celińską przy spektaklu „Nie jesteś sama". „To spotkanie, granie w tym spektaklu i praca z nią były czymś nadzwyczajnym, czymś wspaniałym" – mówił.

W kolejnych latach współpracowała z Krzysztofem Zanussim, Stanisławem Bareją, Jerzym Antczakiem, Januszem Majewskim i Kazimierzem Kutzem. Zagrała w ponad 70 filmach i 23 serialach, a za role ekranowe zdobyła dwie nagrody Orzeł – polskiego odpowiednika Oscara. Rozpoznawalność zyskała m.in. dzięki roli Bożeny Lewickiej w „Alternatywy 4" i Haliny Czajki w „Mamuśkach".

Przez dekady była związana z czołowymi teatrami warszawskimi: Współczesnym, Nowym, Dramatycznym i Studio. Tworzyła też programy muzyczne i spektakle dla legendarnego Studenckiego Teatru Satyryków (STS) – była autorką tekstów, scenografii i oprawy muzycznej.

Równolegle z aktorstwem rozwijała karierę wokalną. Nagrała kilka płyt, m.in. „Nową Warszawę", „Atramentową", „Malinową", „Jesienną" i „Świątecznie".

– Film i teatr działały na mnie terapeutycznie, ale już tej kuracji nie potrzebuję. Miałam smutne i trudne powojenne dzieciństwo – mówiła Stanisława Celińska w rozmowie z „Wyborczą" w 2018 roku. – Chciałam być kimś innym – żyć w kolorowym świecie, jak królowa albo wróżka; z dala od ciemnego podwórka, ponurej Pragi, zburzonej Warszawy. W przerwach od grania spektakli dawałam recitale z pianistą i rzeczywiście łapałam drugi oddech. Pływam sobie do dziś w tej muzyce jak w czystym jeziorze. Kiedy miałam 12 lat, uczęszczałam do kółka teatralnego. I raz lałam wosk na andrzejki. Wyszły mi dwie maski zwrócone do siebie tyłem głowy. Długo się zastanawiałam, co to za wróżba. Po latach znalazłam odpowiedź – przepowiedziałam sobie w ten sposób śpiewanie piosenek. A teraz nagrywam płyty, daję koncerty, gram w serialu, trochę w teatrze, i to wystarczy. ●

JAN FRYCZ

15 maja 1954 – 15 sierpnia 2026


FOT. GRAŻYNA JAWORSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wybitny aktor teatralny, filmowy i telewizyjny.

W ostatnich latach status kultowej zyskała jego rola gangstera o ksywie Dario z serialowej adaptacji „Ślepnąc od świateł" Jakuba Żulczyka. Łysy, zwalisty, z bliznami, klnący nie tylko soczyście, ale i wyjątkowo kwieciście, był Frycz wcieleniem brutalności, ale niepozbawionym ironii i zaskakującej momentami inteligencji.

Talent i charyzma aktora sprawiły, że Dario wybił się poza serialowy świat, trafił do memów, a wraz z nimi do zbiorowej pamięci pokolenia, które mogło wcześniej Frycza nie oglądać.

Urodzony w Krakowie Frycz ukończył tamtejszą Państwową Wyższą Szkołę Teatralną im. Ludwika Solskiego. Na scenie zadebiutował w 1978 roku w „Damach i huzarach" w Teatrze Słowackiego.

Występował w spektaklach Krystiana Lupy, którego poznał jeszcze w szkole teatralnej, m.in. w „Lunatykach", „Braciach Karamazow", „Mistrzu i Małgorzacie" czy „Wycince", która święciła triumfy na świecie, a także u Jerzego Jarockiego w „Tangu", Andrzeja Wajdy w „Klątwie" oraz Jana Englerta w telewizyjnych „Dziadach". Później grał u Grzegorza Jarzyny, między innymi głównego bohatera „Doktora Faustusa" według Tomasza Manna w Teatrze Polskim we Wrocławiu.

Niezwykle popularne były dwa spektakle z jego udziałem reżyserowane przez Mikołaja Grabowskiego: „Kwartet dla czterech aktorów" i „Opis obyczajów...".

Frycz do ostatnich chwil był aktywny zawodowo. Na kilka dni przed śmiercią rozpoczął próby do „Orestei" w reżyserii Luka Percevala w Teatrze Narodowym w Warszawie, którego aktorem był przez ostatnich 20 lat.

Za swoją ostatnią rolę na tej scenie, Króla w przedstawieniu „Termopile polskie" w reżyserii Jana Klaty, otrzymał w maju Nagrodę Aktorską na 66. Kaliskich Spotkaniach Teatralnych – Festiwalu Sztuki Aktorskiej.

W minionym sezonie można go było oglądać także w „Królu Learze" i „Jak być kochaną" oraz w telewizyjnej realizacji legendarnej „Wycinki", gdzie zresztą wcielił się w postać Aktora Teatru Narodowego. A wcześniej choćby w szekspirowskiej „Burzy", którą w 2018 roku nasz recenzent Witold Mrozek uznał za jeden z najlepszych spektakli w repertuarze Teatru Narodowego.

Frycz zagrał prawie 200 ról teatralnych, w tym w Teatrze Telewizji i Polskiego Radia. Podobnie bogata jest jego filmografia, choć na ekranie grał głównie role drugoplanowe, za to takie, które zapadały w pamięć.

Występował zarówno w kinie artystycznym i autorskim, takim jak „Egoiści" Mariusza Trelińskiego czy „Pornografia" Jana Jakuba Kolskiego, jak i w popularnym, choćby w „Nigdy w życiu!" na podstawie powieści Katarzyny Grocholi czy „Psach 3. W imię zasad" Władysława Pasikowskiego.

Był trzykrotnym laureatem Polskich Nagród Filmowych Orły – za role w filmach „Pornografia", „Pręgi" oraz „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy".

Ostatnio na ekranie można go było zobaczyć w roli Prezesa, przedsiębiorcy-kombinatora w serialu „Edukacja XD". Stworzył tam postać podobną do tych, jakie pojawiały się w „Alternatywach 4" Stanisława Barei – przerysowaną, a jednak aż zbyt dobrze znaną z prawdziwego życia.

Jedną z najbardziej nietypowych ról Frycza było użyczenie głosu Thanosowi, supezłoczyńcy z filmów Marvela o Avengersach. ●

JANUSZ MICHAŁOWSKI

1 stycznia 1937 – 11 czerwca 2026


FOT. AFA PIXX/KRZYSZTOF WELLMAN/PAP

Aktor teatralny i filmowy.Występował m.in. w teatrach w Koszalinie i Toruniu, a także w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu oraz w Poznaniu. Był też związany z warszawskimi scenami, w tym z Teatrem Ateneum i Teatrem Współczesnym.

W Teatrze Telewizji zagrał m.in. Korowiowa w „Mistrzu i Małgorzacie", Baszmaczkina w „Płaszczu", Zielonookiego w „Ścisłym nadzorze", Munchhausena w „Prawdomównym kłamcy", Torquemadę w „Ciemności kryją ziemię" i Assolanta w „Ścieżkach chwały".

W filmografii aktora znalazły się występy w takich produkcjach jak „Erratum", „Kochankowie z Marony", „Darmozjad polski", „Faustyna" czy „Kebab i Horoskop". Został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. ●

MAGDA UMER

9 października 1949 – 12 grudnia 2025


FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Piosenkarka, reżyserka, scenarzystka, aktorka.

Debiutowała pod koniec lat 60. w kabaretach studenckich, a w 1969 roku na debiutach w Opolu.

Śpiewając „Koncert jesienny na dwa świerszcze i wiatr w kominie...", wygrała na Festiwalu Artystycznym Młodzieży Akademickiej FAMA, a rok później z tą piosenką zdobyła nagrodę w Opolu.

Pisała scenariusze koncertów, reżyserowała. I śpiewała. Była artystką i postacią ważną w artystycznym świecie. Przyjaciółką Agnieszki Osieckiej, Krystyny Jandy.

Jeremi Przybora powierzył jej swoją korespondencję z Agnieszką Osiecką, którą Umer wydała we wznawianej książce „Agnieszki Osieckiej i Jeremiego Przybory listy na wyczerpanym papierze". Jak do tego doszło? – Współpracowaliśmy blisko od 1979 roku, przygotowywałam z nim pierwszy program zatytułowany „Zwierzenia przy fortepianie" w Studio 2 w telewizji publicznej. Początek był tak obiecujący, że Jeremi zaproponował, byśmy zrobili cały cykl. Było to dla mnie niebywałe wyróżnienie – opowiadała w rozmowie Michałowi Nogasiowi.

Słynny był jej nagrany dla telewizji cykl rozmów z Agnieszką Osiecką niedługo przed śmiercią poetki. – Zdarzało jej się na chwilę przerywać nagranie, wstawała z krzesła, wymiotowała na boku po kolejnej chemii, wracała i kontynuowaliśmy rozmowę. Dziś myślę, że fakt, iż te nasze telewizyjne rozmowy powstały, był jakimś cudem – opowiadała Nogasiowi.

Rok później, już po śmierci Osieckiej, wyreżyserowała w Opolu poświęcony jej koncert „Zielono mi". Widać było w nim artystyczny kunszt Magdy Umer – na scenie wielkie gwiazdy popijające kruszon i śpiewające wielkie teksty Osieckiej. Dowcip i wzruszenie.

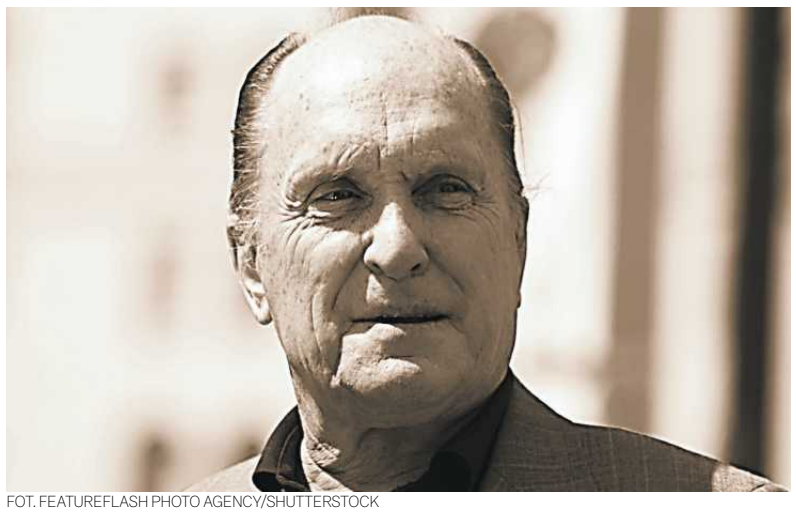
Opowiadając Michałowi Nogasiowi w 2021 roku o kolejnym wydaniu „Listów na wyczerpanym papierze", mówiła: – Złapałam się ostatnio na tym, że wciąż żyję z ludźmi, których już nie ma. Z Agnieszką, Jeremim, Zuzią Łapicką, Wojtkiem Młynarskim, Jonaszem Kofta. Nie ma już połowy mojego świata.

Magda Umer była reżyserką znakomitych spektakli, teatralnych hitów, entuzjastycznie przyjmowanych przez publiczność, jak „Zimy żal" z 1989 roku z piosenkami z Kabaretu Starszych Panów w warszawskim Teatrze Rampa. To ona reżyserowała trzy głośne monodramy Krystyny Jandy: „Kobietę zawiedzioną" (z 1994 roku) z warszawskiego Teatru Powszechnego, wybitne „Zapiski z wygnania" (2018 rok) według książki Sabiny Baral o Marcu' 68 w Teatrze Polonia i „Białą bluzkę" o czasach stanu wojennego według tekstu Agnieszki Osieckiej. ●

eprasa.pl ce60f33c89

ROBERT DUVALL

5 stycznia 1931 – 15 lutego 2026



FOT. FEATUREFLASH PHOTO AGENCY/SHUTTERSTOCK

Amerykański aktor, reżyser, scenarzysta i producent filmowy.

Aktor był sześciokrotnie nominowany do Oscara, którego otrzymał tylko raz: za pierwszoplanową rolę w filmie „Pod czułą kontrolą".

Zagrał w blisko 150 filmach i produkcjach telewizyjnych, ale dla wielu widzów na zawsze pozostanie Tomem Hagenem, doradcą mafijnej rodziny Corleone z dwóch części „Ojca chrzestnego" (w trzeciej nie wystąpił i uważał, że nigdy nie powinna powstać) Francisa Coppoli.

Hagena, „zawsze spokojnego prawnika mafii, katolika o niemiecko-irlandzkich korzeniach", Coppola zobaczył w Duvallu od razu, dzięki roli enigmatycznego Boo Radleya w „Zabić drozda".

W historii kina zapisał się także genialnym występem, również u Coppoli, w „Czasie apokalipsy", delirycznym, inspirowanym „Jądrem ciemności" Josepha Conrada filmie o wojnie w Wietnamie. Był w nim uosobieniem szaleństwa wojennego, pułkownikiem Billem Kilgorem, który mówi ikoniczną kwestię: „Uwielbiam zapach napalmu o poranku".

Oscara dostał za rolę w filmie „Pod czułą kontrolą", w którym wcielił się w starzejącego się gwiazdora country układającego sobie życie osobiste. Doskonały był też w westernowym miniserialu „Na południe od Brazos" na podstawie prozy Larry'ego McMurtry'ego. W wywiadach mówił, że po tym występie mógłby równie dobrze iść na emeryturę, bo dał z siebie wszystko.

Ostatnią jego rolą była ta w inspirowanym twórczością Edgara Allana Poego kryminale „Bielmo" z Christianem Bale'em.

Wyreżyserował też pięć filmów, w tym „Apostoła", który przyniósł mu kolejną nominację dla najlepszego aktora pierwszoplanowego. Zagrał w nim teksańskiego kaznodzieję, którego życie wymyka się spod kontroli i który odkrywa nowe medium: radio. Po seansie Marlon Brando pogratulował mu stworzenia tak poruszającego dzieła. ●

CHUCK NORRIS

10 marca 1940 – 19 marca 2026



FOT. TAMAS KOVACS/PAP/EPA

Gwiazdor kina akcji, mistrz sztuk walki i internetowy fenomen.

Norris był nie tylko aktorem znanym z kina akcji – i to raczej tego określanego jako klasy B – ale w latach 80. oraz 90. XX wieku także ideałem amerykańskiej męskości i witalności. Człowiekiem instytucją, twarzą amerykańskiej popkultury.

Jeszcze tydzień przed śmiercią chwalił się w serwisach społecznościowych nagraniami z treningu. Pisał: „Od dziś mam 86 lat! Nic tak nie pomaga czuć się młodym jak odrobina udawanego mordobicia. Jestem wdzięczny za kolejny rok, dobre zdrowie i okazję, bym nadal robił to, co chcę robić".

Na koncie miał prawie 50 produkcji filmowych i telewizyjnych, z których znakomita większość była hitami wypożyczalni wideo. Norris wielokrotnie ratował na ekranie przynajmniej Stany Zjednoczone, a zdarzało się, że i cały świat. Gigantyczną popularność przyniosła mu seria „Zaginiony w akcji", a także filmy „Mocne ciemności", „Samotny wilk McQuade", „Płatny morderca", „Bohater i strach" oraz „Kumple".

W latach 90. zagrał jednak rolę, dzięki której został zapamiętany na zawsze. Jako Cordell Walker, wyluzowany stróż prawa w kowbojskim kapeluszu i płaszczu godnym rewolwerowca, sprawił, że moralizatorski serial „Strażnik Teksasu" stał się popkulturowym fenomenem. Walker to bohater nieustraszony – zabijaków i przestępców unieszkodliwiał ikonicznym ruchem Norrisa: kopnięciem z półobrotu, często filmowanym w zwolnionym tempie. Pewna szlachetna prząśność tej postaci (do przemocy Walker uciekał się jedynie, gdy nie było innego wyjścia) sprawiła, że pokochali ją widzowie. Walker zaczął żyć poza serialem.

I tak Norris stał się bohaterem internetowych żartów – kilkanaście lat temu niemal wszyscy na świecie prześcigali się w wymyślaniu kolejnych („Kiedy Chuck Norris spogląda w niebo, chmury pocą się ze strachu", „Chuck Norris urodził się w chatce z bali, którą zbudował gołymi rękami" i tak dalej).

W przeciwieństwie do wielu gwiazdorów kina akcji Norris wcale nie wyolbrzymiał swoich umiejętności. Miał czarne pasy w karate, taekwondo i Tang Soo Do, trenował z Bruce'em Lee, z którym wystąpił zresztą w „Drodze smoka". Zachęcony przez Steve'a McQueena postanowił zostać aktorem.

Jego ojciec był mechanikiem i kierowcą ciężarówki, matka pracowała dorywczo. Ojciec Chucka Norrisa zmagał się z problemem alkoholowym, rodzina często się przeprowadzała. Mały Chuck swoich bohaterów szukał na ekranie i jednego z nich znalazł w ikonie westernów, Johnie Waynie, którym inspirował się już jako aktor. „Chciałem być taki jak on, kiedy dorosnę" – pisał w autobiografii. „Posługiwali się kodem Dzikiego Zachodu. Nie byli samolubni i robili to, co trzeba, nawet jeśli podejmowali ryzyko".

Na początku lat 50. Norris zaciągnął się do U.S. Air Force i wtedy zaczął trenować sztuki walki. Stacjonował w Korei Południowej i korzystał z nauk południowokoreańskich mistrzów. W 1962 roku zakończył służbę wojskową, planował dołączyć w szeregi policji, ostatecznie jednak otworzył własną szkołę karate. Sześciokrotnie zdobył też w tej dyscyplinie mistrzostwo świata.

Chuck Norris był głęboko wierzący, o swojej wierze napisał kilka książek. Był dwukrotnie żonaty, ma pięcioro dzieci i 13 wnuków. Jeden z jego synów, Mike Norris, także jest aktorem. ●

DIANE LADD

29 listopada 1935 – 3 listopada 2025



FOT. DFREE/SHUTTERSTOCK

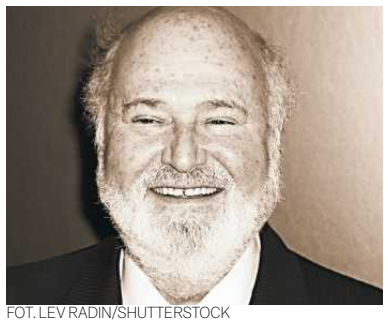
„Była najlepszą córką, matką, babcią, aktorką, artystką i empatycznym duchem, o jakim można tylko marzyć. Byliśmy szczęściarzami, że ją mieliśmy. Teraz lata z aniołami" – napisała w oświadczeniu Laura Dern, córka aktorki.

Dern była z Ladd związana również na ekranie. W 1990 roku wcieliły się w córkę i matkę w nagrodzonej Złotą Palmą w Cannes „Dzikości serca" Davida Lyncha. Laura Dern zagrała jedną z głównych ról – Lulę Fortunę, ukochaną Sailora. Diane Ladd wcieliła się w Mariettę Fortunę, jej bezwzględną i wiedźmowatą matkę.

Występ w „Dzikości serca" przyniósł Diane Ladd drugą nominację do Oscara. Pierwszą dostała za film „Alicja już tu nie mieszka" (1974), trzecią za „Historię Rose (1991)". ●

ROB REINER

6 marca 1947 – 14 grudnia 2025



FOT. LEV RADIN/SHUTTERSTOCK

Reiner karierę w show-biznesie rozpoczął w latach 60. XX wieku jako scenarzysta komediowy, współpracował m.in. ze Stevem Martinem przy programie „Smothers Brothers Comedy Hour" w latach 1968-1969. W latach 70. Rob wcielał się w postać Michaela „Meatheada" Stivica w popularnym sitcomie „Wszystko w rodzinie".

Jego największe sukcesy jako reżysera to „Misery" oparta na powieści Stephena Kinga i komedia romantyczna „Kiedy Harry poznał Sally" z Meg Ryan i Billym Crystalem.

Nominację do Oscara przyniósł mu sądowy dramat „Ludzie honoru" z Tomem Cruisem i Jackiem Nicholsonem.

Reiner i jego żona Michelle zostali zamordowani. Oskarżony o to został ich syn Nick. ●

CATHERINE O'HARA

4 marca 1954 – 30 stycznia 2026

Kanadyjsko-amerykańska aktorka filmowa i telewizyjna.

Kariera O'Hary w Hollywood trwała blisko pięć dekad. Jej najsłynniejsze filmy to „Po godzinach", „Sok z żuka" oraz dwie pierwsze części komedii „Kevin sam w domu", w których wcieliła się w rolę matki tytułowego bohatera granego przez Macaulaya Culkina.

Jej debiutem kinowym był film „Double Negative" z Johnem Candym. Zagrała też w czarnej komedii Martina Scorsese z 1985 roku „Po godzinach" oraz w „Heartburn" z 1986 roku. W 1988 roku była członkiem obsady w filmie „Sok z żuka". Powtórzyła tę rolę w sequelu w 2024 roku.

W 1990 roku zagrała w filmie „Kevin sam w domu" rolę zapracowanej matki Kevina. „Nie zależy mi na świetnej roli w złym projekcie. Chcesz być częścią czegoś dobrego i tak się to robi" – mówiła o filmie. Powtórzyła tę rolę w filmie „Kevin sam w Nowym Jorku" w 1992 roku.

Inne ważne role O'Hary w latach 90. to m.in. „The Nightmare Before Christmas" z 1993 roku i „Wyatt Earp"



FOT. FRED DUVAL/SHUTTERSTOCK

z 1994 roku. W 2020 roku zdobyła nagrodę Emmy za „Schitt's Creek" dla najlepszej aktorki pierwszoplanowej w serialu komediowym.

Gościnnie wystąpiła też w serialach „Sześć stóp pod ziemią", „Pohamuj entuzjazm", „Temple Grandin". Użyczyła głosu postaciom w filmach animowanych „Frankenweenie", „Rodzina Addamsów", „The Simpsons", „Mój brat niedźwiedź" czy „Elemental". ●

HAYDEN PANETTIERE

21 sierpnia 1989 – 16 sierpnia 2026



FOT. S_BUKLEY/SHUTTERSTOCK

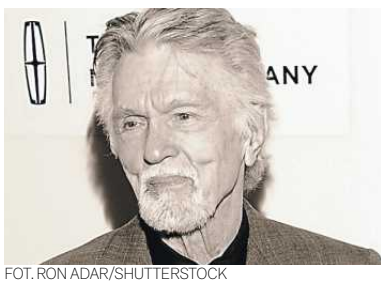
Sławę przyniosła jej rola cheerleaderki Claire Bennet w serialu „Herosi", którego hasło przewodnie brzmiało: „Ocal cheerleaderkę, a ocalisz świat". Gdy zaczynała grać tę postać, miała 16 lat. Serial doczekał się czterech sezonów emitowanych w latach 2006-2010.

Później występowała m.in. w trzech horrorach z serii „Krzyk" i serialu „Nashville", w którym przez sześć sezonów wcielała się w młodą gwiazdę muzyki country marzącą o dotarciu na szczyt. Jedenaście piosenek, które nagrała do serialu, trafiło na listę przebojów country magazynu „Billboard". Panettiere otrzymała też dwie nominacje do Złotego Globu. ●

eprasa.pl ce60f33c89

TOM SKERRITT

25 sierpnia 1933 – 21 października 2026



FOT. RON ADAR/SHUTTERSTOCK

Przełomem w karierze Skerritta okazała się rola chirurga armii amerykańskiej Duke'a Forresta w komedii wojennej „Mash" Roberta Altmana z 1970 roku.

Zagrał także u boku Sigourney Weaver w filmie science fiction „Obcy" z 1979 roku, który zdobył dwie nominacje do Oscara. Wcielił się w Arthura Dallasa, kapitana statku. W 1986 roku zagrał w kolejnym hicie: „Top Gun" Tony'ego Scotta. Zagrał komandora Mike'a „Vipera" Metcalfa, głównego instruktora w szkole pilotów, do której trafia bohater Toma Cruise'a. ●

SALLY KIRKLAND

31 października 1941 – 11 listopada 2025



FOT. GA FULLNER/SHUTTERSTOCK

Sally Kirkland miała na koncie blisko 300 ról filmowych i telewizyjnych. W 1988 roku zdobyła Złoty Glob i nominację do Oscara za swoją wybitną kreację w amerykańskim niezależnym filmie „Anna", wyreżyserowanym przez Jerzego Bogajewicza według scenariusza, który napisał wspólnie z Agnieszką Holland.

Inspiracją dla niego było legendarne spotkanie dwóch polskich aktorek na emigracji w USA: Elżbiety Czyżewskiej i Joanny Pacuły. ●

TIM CURRY

19 kwietnia 1946 – 25 sierpnia 2026



FOT. FEATUREFLASH PHOTO AGENCY/SHUTTERSTOCK

Do historii kina przejdzie jako seksowny i rozśpiewany doktor Frank-N-Furter z kultowego musicalu „The Rocky Horror Show", ale legendarnych ról miał na koncie znacznie więcej. Na początku lat 90. wcielił się w przerażającego klauna Pennywise'a w telewizyjnej adaptacji monumentalnego „To" Stephena Kinga.

Uświetniał swoją obecnością każdy film, w którym wystąpił. To dzięki niemu disneyowscy „Trzej muszkieterowie" z 1993 roku w ogóle dają się oglądać. Jako kardynał Richelieu zachował godność w imieniu całej ekipy filmowej, a przy okazji Curry nadał tej postaci nieco człowieczeństwa. ●

BRIGITTE BARDOT

28 września 1934 – 28 grudnia 2025

Legenda kina i obrończyni praw zwierząt. Mówiło się o niej, że jest jedną z ostatnich żyjących ikon kina w dawnym znaczeniu. A także ikoną stylu, popkultury i kobiecości XX wieku.

Zawdzięczamy jej noszenie baleriinek nie tylko w tanecznych salach, biustonosza o płytkich miseczkach, makijaż à la Bardot – czarne jaskółki i mocno podkreślone oczy.

Większość swego życia Bardot poświęciła jednak nie kinu, lecz zwierzętom. Mówiła: – Oddałam moje piękno i młodość mężczyznom, mądrość i doświadczenie oddam zwierzętom.

Pozowała już jako piętnastolatka dla magazynu, w którym pracowała przyjaciółka rodziny. Chwilę później trafiła do jednego z wydań kultowego „Elle". To właśnie tam zauważył ją jej przyszły mąż – reżyser, scenarzysta i playboy swoich czasów, Roger Vadim. Wakacje 1950 roku spędzili wspólnie na Francuskiej Riwierze. On miał 22 lata, ona 16. Ze ślubem musieli czekać, aż Brigitte osiągnie pełnoletność. Małżeństwem byli przez pięć lat. Wprowadził ją do świata kina, zachęcał do castingów, przy nim utleniła włosy z ciemnego blondu na kultowy ciepły, jasny odcień i zmieniła styl ubierania się.

Najważniejszym punktem w karierze Bardot – który dał jej status ogólnoświatowej gwiazdy i ikony – był film „I Bóg stworzył kobietę" z 1956 roku, napisany i zrealizowany przez Vadima.

W 1963 roku zagrała u mistrza Nowej Fali, Jeana-Luca Godarda, w „Pogardzie" – ekranizacji powieści psychologicznej Alberta Moravii – i zebrała mnóstwo pochwał za najpoważniejszą, najbardziej dramatyczną z jej ról.



FOT. MPTVA/LFI/PAP

W wieku 39 lat Bardot zrezygnowała z aktorstwa. Jej ostatnim filmem była kostiumowa „Bardzo ładna i bardzo wesoła historia Colinota Trousse-Chemise".

Niedługo przed śmiercią udzieliła jednego ze swoich ostatnich wywiadów, który odbił się szerokim echem we francuskich mediach.

Tuż przed rozpoczęciem 78. edycji Festiwalu Filmowego w Cannes – jednej z najbardziej prestiżowych imprez filmowych na świecie – ikona europejskiego kina nazwała go „koszmarem".

Bardot dodała, że kino jej zdaniem „nie produkuje już żadnych dobrych filmów, a jedynie bzdety".

Bardot udzieliła wywiadu na swojej farmie w Saint-Tropez, gdzie żyła spokojnie „jak farmerka, ze swoimi owcami, świniami, psami i kotami". Jak podkreślał wówczas dziennik, Bardot nie tylko nie żałowała decyzji o przejściu na aktorską emeryturę – wciąż, po ponad pięciu dekadach, była z niej zadowolona.

„To był mój wybór. Byłam więźniarką samej siebie. Przez całe moje życie nie mogłam nawet wyjść do restauracji, pogrzać się na tarasie, ludzie od razu mnie rozpoznawali. Bycie więźniem jest straszne, nie można uciec od siebie samej" – mówiła.

Jej biografka Agnes C. Poirier tak pisze o Bardot: „Opuszczała swe schronienie po to tylko, by walczyć o prawa zwierząt lub wygłaszać niemiłe i niezbyt przemyślane uwagi o imigrantach. Niekiedy kojarzono ją z Frontem Narodowym Jeana-Marie Le Pena, jednak nigdy nie była członkinią ani nawet sympatykiem jego partii. W rzeczywistości nigdy nie przestała być sobą – żyła, jak chciała: otwarta, naturalna".

Brigitte Bardot czterokrotnie wychodziła za mąż: za Rogera Vadima, aktora Jacquesa Charriera, niemiecko-szwajcarskiego potentata Guntera Sachsa i Bernarda d'Ormale. ●

SAM NEILL

14 września 1947 – 13 lipca 2026

Nowozelandzki aktor znany m.in. z ról w serii filmów „Park Jurajski", serialu fantasy „Merlin" czy kultowym dziś horrorze „W paszczy szaleństwa".

Neill od kilku lat chorował na nowotwór krwi. Na początku roku ogłosił, że udało mu się go pokonać.

Sir Nigel John Dermot „Sam" Neill – uzyskał tytuł szlachecki Imperium Brytyjskiego – urodził się w Irlandii Północnej, a jako dziecko przeprowadził się z rodzicami do Nowej Zelandii.

Studiował literaturę angielską i na uniwersytecie po raz pierwszy zetknął się z aktorstwem. Jako aktor filmowy zadebiutował w Nowej Zelandii na początku lat 70., a przełomem w jego karierze była rola w thrillerze „Śpiące psy".

Po sukcesie filmu wyjechał do Australii, gdzie występował przez kilka lat. Jego międzynarodowa popularność zaczęła rosnąć w 1981 roku, kiedy wystąpił w horrorze „Omen III" jako dorosły Damien, syn szatana.

W tym samym roku zagrał w kultowym dziś „Opętaniu" Andrzeja Żuławskiego, a w latach 80. można go było oglądać także m.in. w filmach „Krzyk w ciemności" i „Martwa cisza".



FOT. LUIS JAVIER VILLALBA/SHUTTERSTOCK

Lata 90. przyniosły mu największą rozpoznawalność. Jego twarz zna dziś każdy, kto miał w tamtej dekadzie telewizor.

W pierwszej połowie dekady wystąpił we wspomnianym już, często emitowanym na małym ekranie na każdej szerokości geograficznej „Parku Jurajskim" Stevena Spielberga – filmie, który w kinach stał się jednym z największych hitów w historii kina, zarabiając przy budżecie 63 mln dol. ponad miliard dolarów.

Mniej więcej w tym samym czasie na ekrany wszedł nowozelandzki „Fortepian" Jane Campion – nagrodzony trzema Oscarami film, w którym Neill wcielił się w niekochanego męża niemej pianistki.

Rok później, w 1994 roku, zagrał u Johna Carpentera, reżysera m.in. „Ucieczki z Nowego Jorku" i „Coś". W jego filmie „W paszczy szaleństwa" wcielił się w detektywa ubezpieczeniowego, który tropi ekscentrycznego pisarza, by ostatecznie trafić do piekła rodem z prozy H.P. Lovecrafta.

W 1997 roku Neill zagrał w mrocznej „Śnieżce dla dorosłych" – ponurej i krwawej wersji baśni o Królewnie Śnieżce, w której złą macochę zagrała Sigourney Weaver. Rok później wystąpił jako tytułowy Merlin w przełomowym dla telewizji, doskonale obsadzonym serialu fantasy czerpiącym z legend arturiańskich. Dwukrotnie wrócił też do roli Alana Granta w „Parku Jurajskim".

XXI wiek przyniósł mu liczne role na dużym ekranie i w telewizji, m.in. w serialowym „Doktorze Żywago", popularnym serialu kostiumowym „Dynastia Tudorów" oraz serialu „Peaky Blinders". ●

DAVID BURKE

25 maja 1934 – 10 maja 2026



FOT. EXPRESS

W 13 odcinkach serialu „Przygody Sherlocka Holmesa", u boku legendarnego Jeremy'ego Bretta, wcielił się w doktora Watsona. Oprócz tej roli aktor ma na koncie blisko 100 ról filmowych i telewizyjnych. M.in. w filmie „Mesmer" z Alanem Rickmanem, w jednym z odcinków serialu „Poirot" z Davidem Suchetem, w ostatnich latach można go było oglądać np. w bombastycznych serialowych „Muszkieterach" oraz kryminalnych „Morderstwach w Midsomer". ●

TCHÉKY KARYO

4 października 1953 – 31 października 2025



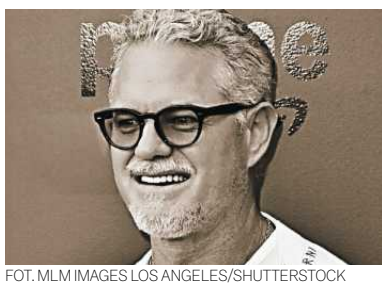
FOT. FEATUREFLASH PHOTO AGENCY/SHUTTERSTOCK

W latach 90. jego kariera była w szczytowym momencie. W filmie „1492: Wyprawa do raju" Ridleya Scotta zagrał Pinzóna, nawigatora Krzysztofa Kolumba, w międzynarodowej superprodukcji „Nostradamus" wcielił się w tytułowego astrologa i jasnowidza, w bondowskim „GoldenEye" był rosyjskim ministrem obrony – kombinatorem.

Łącznie miał na koncie ponad 140 występów w kinie i telewizji, grał w produkcjach europejskich, hollywoodzkich, uwielbiał improwizować, co stale podkreślał w wywiadach. ●

ERIC DANE

9 listopada 1972 – 19 lutego 2026



FOT. MLM IMAGES LOS ANGELES/SHUTTERSTOCK

Wystąpił w prawie 50 produkcjach filmowych i telewizyjnych, ale największą popularność przyniosła mu rola przystojnego doktora Marka Sloana w serialu „Chirurdzy". Początkowo jego Mark Sloan miał wystąpić tylko w jednym odcinku serialu, postać Dane'a została jednak przyjęta tak entuzjastycznie, że dołączył do obsady na stałe. Jego Sloan okazał się jedną z najlepiej napisanych postaci serialu, bohaterem, w których zachodzi przemiana i który w każdym sezonie ewoluuje. Dane w „Chirurgach" występował w latach 2006-2021.

Aktor cierpiał na stwardnienie zanikowe boczne. Ogłosił diagnozę w kwietniu, niespełna rok przed śmiercią. ●

eprasa.pl ce60f33c89

MICHAŁ URBANIAK

22 stycznia 1943 – 20 grudnia 2025

Wybitny jazzman, kompozytor i aranżer, grający głównie na skrzypcach i saksofonie.

Na pytanie, co jest najważniejsze w życiu, na łamach „Gazety Wyborczej" odpowiedział: – Pasja, miłość i rozmowa z drugim człowiekiem. To baza, bez której nie wyobrażam sobie funkcjonowania. To też moja inspiracja. To, co jest ze mną na co dzień, co usłyszę w radiu, o czym porozmawiam ze znajomymi. Wszystko ma wpływ na to, co i jak gram. Dlatego nigdy nie powiem o sobie, że jestem spełnionym muzykiem. Nie chcę się spełnić, bo to oznaczałoby mój koniec jako artysty. Życie i jazz to rytm, którego nie da się zatrzymać.


FOT. MARCIN STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Michał Urbaniak urodził się w Warszawie, dorastał w Łodzi – tu od szóstego roku życia uczył się gry na skrzypcach, później chodził do liceum muzycznego. Samodzielnie nauczył się grać na saksofonie, pierwsze koncerty zagrał w klubie „Pod Siódemkami", a w pierwszej połowie lat 70. wyjechał do Nowego Jorku.

– Chciałem być w kolebce jazzu, być jak najbliżej jego korzeni oraz stać się obywatelem ukochanego Nowego Jorku. Choć nie nazwałbym wyjazdu emigracją, bo skoro byłem jazzmanem, miałem prawo uważać również Amerykę za swoją ojczyznę. Mówię o tym w książce, że nie urodziłem się powstańcem styczniowym ani bohaterem, żebym się musiał zachłystywać swoją polskością. Nie chciałem zostać narodowościowym jazzmanem, który napcha do jazzu motywów polskich, góralskich czy śląskich, tylko chciałem grać prawdziwy amerykański jazz. Dzisiaj jednak inaczej na to patrzę i jestem otwarty na różne rodzaje muzyki, ale wierne korzeniom jazzu.

Występował na najważniejszych jazzowych festiwalach na świecie. Był jednym z najbardziej utytułowanych polskich muzyków jazzowych. Multiinstrumentalista, wirtuoz skrzypiec elektrycznych i saksofonu.

Wydał ponad 60 autorskich płyt, łącznie brał udział w nagraniu – także jako gość – ponad 120 albumów, był również autorem ponad 500 kompozycji. – Nie wahałem się łączyć z dobrym, niebanalnym jazzem rytmów rockowych i funkowych, tak by widownia zaczęła się ruszać, mimo że w Polsce nikt wtedy tak nie grał. Wciągnąć do jazzu elektronikę ani połączyć go z rapem i hip-hopem, z czego wyszedł cykl płyt „Urbanator". Zaprosiłem do recytacji poezji Karola Wojtyły amerykańskiego rapera, muzułmanina zresztą. Nie jestem purystą muzycznym, bo puryści są wrogami postępu. Każda sztuka, która stoi w miejscu, musi umrzeć. Trzeba przeć do przodu – mówił.

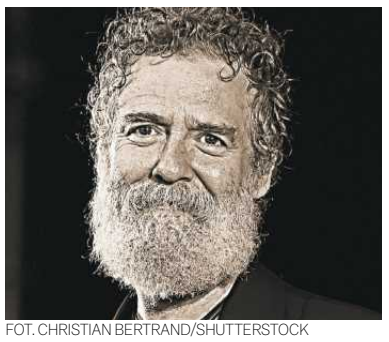
Na scenie i w studio spotkał się z takimi gwiazdami, jak m.in. Freddie Hubbard, Elvin Jones, Herbie Hancock, Chick Corea, Miles Davis, George Benson, Billy Cobham, Wayne Shorter, Marcus Miller, Joe Zawinul, Ron Carter, Kenny Barron, Buster Williams czy Quincy Jones. Komponował muzykę filmową, a za ścieżkę dźwiękową z filmu „Dług" został nagrodzony Orłem i laurem na Festiwalu Filmowym w Gdyni. Był pierwszym na świecie skrzypkiem wynalazcą – zagrał na pięciostrunowych skrzypcach, zbudowanych według własnego pomysłu.

Jego ostatnim płytowym projektem był album „Miles of Blue" z 2010 roku, zadedykowany Milesowi Davisowi. Krążek pokrył się platyną. Dwa lata później muzyk wystąpił w jednej z głównych ról w filmie Piotra Trzaskalskiego „Mój rower", a jego występ został dostrzeżony i doceniony Orłem dla Odkrycia Roku.

Był żonaty czterokrotnie: z piosenkarką jazzową Urszulą Dudziak, aktorką Lilianą Głąbczyńską, lekarką Barbarą Trelą i dziennikarką Dorotą Palmowską. ●

GLEN HANSARD

21 kwietnia 1970 – 29 lipca 2026


FOT. CHRISTIAN BERTRAND/SHUTTERSTOCK

Wokalista i lider zespołu The Frames. Laureat Oscara za najlepszą piosenkę skomponowaną do filmu „Once", w którym grał główną rolę.

Hansard w wieku 13 lat opuścił szkołę, by grać na ulicy. Od 1990 roku był frontmanem zespołu rockowego The Frames, z którym zdobył umiarkowaną popularność, opartą na niewielkiej, ale wiernej grupie fanów. Całe życie, artystyczne i uczuciowe, wywróciło mu się jednak podczas wycieczki do Czech. Tam poznał Markétę Irglovą – klasycznie wykształconą pianistkę, wokalistkę, kompozytorkę i aktorkę. Zakochali się i założyli zespół The Swell Season. Razem wystąpili w niskobudżetowym irlandzkim filmie „Once" w reżyserii Johna Carneya. To historia miłości między irlandzkim grajkiem i czeską pianistką. W 2008 roku Hansard i Irglová odebrali Oscara za pochodzącą z „Once" najlepszą piosenkę – „Falling Slowly".

Hansard zginął w wypadku motocyklowym. ●

ELŻBIETA PENDERECKA

19 listopada 1947 – 31 października 2025


FOT. PAWEŁ KOZIOŁ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Prezeska Stowarzyszenia imienia Ludwiga van Beethovena, mecenaska kultury.

„W przypadku życia z artystą, druga połowa powinna nauczyć się sztuki kompromisu. Udało nam się wzajemnie uzupełnić i jego twórczość stała się częścią mojego życia – mówiła Elżbieta Penderecka o swoim mężu, wybitnym kompozytorze Krzysztofie Pendereckim

Penderecka przyczyniła się do powstania orkiestry kameralnej Sinfonietta Cracovia, oficjalnej orkiestry Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. W 2002 roku decyzją KulturForum Europa (Europejskie Forum Kultury) została laureatką jubileuszowej Europejskiej Nagrody Kultury 2002 za swoje osiągnięcia jako „ambasador Polski w otwieraniu Unii Europejskiej na Wschód".

Stworzyła wspólnie z mężem Europejskie Centrum Muzyki w Lusławicach w Małopolsce, unikatowy ośrodek rozwijania młodych talentów i inspirowania ich do doskonalenia umiejętności. W tamtejszym dworze Pendereccy mieszkali przez 40 lat. Rok po śmierci kompozytora, w 2021 roku, posiadłość została kupiona przez Skarb Państwa. Zespół dworsko-parkowy w Lusławicach podlega teraz Europejskiemu Centrum Muzyki Krzysztofa Pendereckiego. ●

CASSANDRA WILSON

4 grudnia 1955 – 1 września 2026

Amerykańska piosenkarka jazzowa i zdobywczyni nagrody Grammy.

Jej charakterystyczny, gardłowy głos przyniósł jej cztery nominacje do nagrody Grammy oraz dwie statuetki w kategorii najlepszego jazzowego albumu wokalnego. W 2001 roku magazyn „Time" określił ją mianem „najlepszej wokalistki Ameryki".

Jej ojciec był nauczycielem muzyki, a Cassandra Wilson już w wieku sześciu lat zaczęła grać na pianinie, a w wieku 12 lat – na gitarze. Grała również na klarnecie w szkolnej orkiestrze koncertowej i marszowej.

W połowie lat 70. ubiegłego wieku zaczęła występować jako wokalistka. Po przeprowadzce do Nowego Jorku na początku lat 80. Cassandra poznała saksofonistę Steve'a Colemana i została jedną z założycielek kolektywu M-Base.

Po zakończeniu tej współpracy Wilson zaczęła poszukiwać bardziej akustycznego kontekstu dla swojej twórczości wokalnej.

W 1992 roku podpisała kontrakt z kultową wytwórnią Blue Note Records i wydała przełomowy album „Blue Light 'Til Dawn". Jak można przeczytać w jej biografii na autorskiej stronie internetowej, była to płyta, która utorowała drogę nowemu pokoleniu jazzowych wokalistek poszukujących stylu i repertuaru wykraczających poza dominujący amerykański kanon standardów (tzw. Great American Songbook). Co więcej, album odniósł również sukces komercyjny, przynosząc Wilson popularność wykraczającą poza jazzową bańkę.


FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wokalistka była znana zarówno z autorskich utworów, jak i interpretacji twórczości innych artystów. Nagrodzony Grammy album „New Moon Daughter" łączył utwory Neila Younga i U2 z kompozycjami Hanka Williamsa i Sona House'a. Można na nim znaleźć także „Last Train to Clarksville" – przebój grupy The Monkees z 1966 roku – w autorskim ujęciu Wilson.

Wystąpiła również w jednej z głównych ról w oratorium Wyntona Marsalisa „Blood on the Fields" – pierwszej kompozycji jazzowej uhonorowanej Nagrodą Pulitzera. ●

BONNIE TYLER

8 czerwca 1951 – 8 lipca 2026


FOT. S. KUELCUE/SHUTTERSTOCK

Walijska piosenkarka z charakterystym zachrypniętym głosem. Jej pierwszym wielkim hitem była piosenka „It's a Heartache", wydana w 1977 roku. Jej inne hity to „Holding Out For A Hero" z filmu „Footloose" z Kevinem Baconem (a później także ze „Shreka") czy „If You Were A Woman (And I Was A Man)". Piosenka, która uczyniła ją nieśmiertelną, to jednak „Total Eclipse of the Heart".

Piosenkę napisał Jim Steinman do musicalu na podstawie „Nosferatu", który jednak nigdy nie powstał. Sam utwór, pompatyczny i dramatyczny z oryginalnym głosem Tyler, został nagrany w 1982 roku i wydany rok później na jej piątym albumie. Singiel sprzedał się w 6 mln egzemplarzy i trafił na pierwsze miejsca list przebojów w Wielkiej Brytanii i USA.

Później Steinman wplótł kompozycję do musicalu „Taniec wampirów" na motywach filmu Romana Polańskiego „Nieustraszeni zabójcy wampirów". Śpiewała ją także obsada serialu „Glee" czy recytowała Cate Blanchett w filmie „Włamanie na śniadanie". Wykonywały ją również na karaoke bohaterki francuskiego filmu „Pięć diabłów" grane przez Adèle Exarchopoulos i Sally Dramé. ●

eprasa.pl ce60f33c89

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

04 / Portrety kobiet
Halina Oster: Uczę ludzi, jak marzyć

14 / Wywiad
Co guru uwodzenia robi w Warszawie



SYLWIA GRUCHAŁA

Teraz wszystko ma sens

– rozmowa Joanny Wiśniowskiej

wyborcza

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 43 (1414) SOBOTA – CZWARTEK, 31 PAŹDZIERNIKA – 5 LISTOPADA 2026

eprasa.pl ce60f33c89

Zadanie domowe



KATARZYNA PAWŁOWSKA

Między Złotymi Tarasami a Dworcem Centralnym trwają zajęcia praktyczne. Mężczyzna zaczepia obcą kobietę, prosi o numer, łapie za rękę i prowadzi kilka metrów w przeciwną stronę. Kolega nagrywa, bo z „zadania domowego" trzeba rozliczyć się przed instruktorem. Tak, według reżyserki Magdy Szpecht, wyglądają kursy, które od 2022 roku prowadzi w Warszawie rosyjskojęzyczny „guru podrywu". Jej znajomy aktor zapisał się na nie pod zmienionym nazwiskiem, a z tej relacji powstał spektakl „Szkoła uwodzenia", który można obejrzeć w Komunie Warszawa.

W trakcie kursu uczestnicy dowiadują się o obiektach „podrywu" wielu nieoczywistych rzeczy. Na przykad według guru kobieta z natury jest głupia i histeryczna (zadziwiająca zbieżność z myślą austriackiego filozofa Otto Weiningera z przełomu XIX i XX wieku, autora książki „Płeć i charakter"). Tłumaczy też swoim kursantom mowę ciała: podobno zakręcenie loka na palcu oznacza gotowość do seksu, a opór ostatniej minuty trzeba przełamać, bo potem jej się spodoba.

Niestety, guru nie uczy, że w naszym kraju doprowadzenie do obcowania płciowego mimo braku zgody to gwałt. Kurs uczący ignorowania sprzeciwu nie jest więc szkołą flirtu, tylko instruktażem zachowań, za które grozi do 15 lat więzienia. Klepanie obcych kobiet po pośladkach, zalecane jako trening odporności na odrzucenie, to z kolei nie ćwiczenie z odwagi, lecz naruszenie cudzej nietykalności.

Kursanci to nie nastolatki, lecz mężczyźni między 25. a 40. rokiem życia. Część chce kogoś poznać, część poczuć się częścią grupy. Płacą głównie za zyskanie pewności siebie w kontaktach z płcią przeciwną, która według Magdy Szpecht ulatnia się po dwóch tygodniach. Pozostaje w nich przekonanie, że kobieta jest istotą bez podmiotowości, którą można potraktować po prostu jak obiekt albo przeszkodę do pokonania.

Otto Weininger, oprócz deprecjonowania kobiet, poszedł dalej. Jego zdaniem podział podobny do tego między płcią męską i żeńską istnieje też między religią chrześcijańską i żydowską. Tych pierwszych, racjonalnych, opanowanych, mądrych, porównuje do mężczyzn. Jego radykalna mizoginia i antysemityzm miały wielki wpływ na europejską kulturę i na intelektualistów z początku XX wieku. Fascynował się nim też Benito Mussolini, który wprost przyznał: „Weininger wyjaśnił mi wiele rzeczy". Książka „Płeć i charakter" stała się dla niego ideologiczną podbudową do faszystowskiego etosu, opartego na hipermęskości, sile, dyscyplinie i dominacji, oraz utwierdziła w przekonaniu, że masy mają „żeńską", uległą naturę, która potrzebuje twardej, „męskiej" ręki wodza.

Podział na mądrych, silnych, opanowanych, racjonalnych, światłych i ciemnych, emocjonalnych, głupich, histerycznych nie jest nowy, bo powstał już w starożytności. Jego prostota uwodzi, przynajmniej tych, którzy umieszczają siebie w pierwszej grupie. Ale krzywdzi wszystkich – oprócz tego, że uniemożliwia tworzenie relacji międzyludzkich, to destrukcyjnie wpływa na życie społeczne.

Co z tym zrobić? Może zacząć od takich guru jak nasz bohater, których w sieci są tysiące. Wystarczy egzekwować prawo – w końcu zachęcają do popełniania przestępstw. Ochroniarz w galerii, policjant na dworcu i przechodzień powinni wiedzieć, że takie „zadanie domowe" też nie jest działaniem legalnym.

A mężczyznom, którzy mają kłopot z bliskością czy z pewnością siebie, bardziej pomoże ktoś zaufany albo psycholog. Na pewno nie guru z Telegrama. ▲

Katarzyna Pawłowska – zastępczyni redaktorki naczelnej „Wysokich Obcasów"

www.wysokieobcasy.pl **wysokieobcasy** **wysokieobcasy.pl** **listy@wysokieobcasy.pl**

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Katarzyna Pawłowska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Klaudia Koźlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 19, 23, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 43 (1414)
NA OKŁADCE:
SYLWIA GRUCHAŁA
FOT. MARTYNA NIEĆKO / AGENCJA WYBORCZA.PL



eprasa.pl ce60f33c89

GEBERIT

ŁAZIENKA, KTÓRA **ZBIERA KOMPLEMENTY.**

TUTAJ.

TUTAJ.

I TUTAJ.

DESIGN MEETS FUNCTION

Geberit oferuje innowacyjne rozwiązania i szeroką gamę wzorów, dzięki którym stworzysz łazienkę na własnych zasadach. Lepiej. Dla Ciebie.

HALINA OSTER

Pani od trzeciej *trzydziestki*



„Starsza kobieta w popkulturze często bywa upupiana. Jako wredna teściowa z dowcipów. Albo w popularnych kabaretach w telewizji – jako tępa Halina czy Grażyna – ja z tego powodu w pewnym momencie zaczęłam mieć problem z własnym imieniem”

eprasa.pl ce60f33c89



HALINA OSTER

– rocznik 1960. Pedagożka i gerontolożka, coachka. Wykładowczyni Uniwersytetu Merito w Opolu. Pełnomocniczka burmistrza ds. polityki senioralnej w Urzędzie Miasta i Gminy Ozimek. Założycielka Szkoły Dorosłego Człowieka. Prowadzi podcast „Trzecia trzydziestka"

eprasa.pl ce60f33c89

TEKST **ALEKSANDRA SZYŁŁO**
ZDJĘCIA **DOMINIK GAJDA/AGENCJA WYBORCZA.PL**

– „Jak ktoś słowo powie na geja, to mu…" – stwierdził pod koniec tamtych warsztatów młody chłopak, taki z siłki.

To było niecałe dziesięć lat temu – czas, kiedy w Polsce dużo mówiło się o gender. Również – dużo nim straszono. Pomyślałam: czy to może być temat dla nas? – opowiada Halina Oster, założycielka Szkoły Dorosłego Człowieka w Ozimku w województwie opolskim, animatorka kultury, pedagożka i gerontolożka. – Przez lata organizowałam projekty, także polsko-niemieckie, w których uczestniczyli młodzież i seniorzy z obu krajów. I zbliżały się kolejne warsztaty w takim gronie. Czy obawiałam się ryzyka, że zajmę się tematem potencjalnie dzielącym, politycznym? Byłam ciekawa, to było wyzwanie. Ale z drugiej strony my byliśmy świetnie zaprawieni w niełatwych tematach. W naszej SDC od lat praktykowaliśmy działania międzypokoleniowe, empatyczne, uważne słuchanie, nazywanie emocji.

Kiedy już usiedliśmy do tej rozmowy, znalazło się kilka młodych osób, które powiedziały, że one należą do społeczności LGBT+ i że mogą podzielić się swoją historią. Niektóre z tych opowieści były bardzo trudne. Kogoś nie akceptują rodzice, ktoś nawet został wyrzucony z domu. Starsi z kolei mówili o swoich doświadczeniach, trudnościach w relacjach z własnymi dziećmi.

Do dzisiaj mam ciarki na tamto wspomnienie, bo wtedy zadziało się bardzo dużo dobrego. Atmosfera bezpieczeństwa i zaufania umożliwiła szczerą rozmowę. Ci odważni młodzi ludzie uruchomili w seniorach prosty instynkt opieki, zrozumienia i szacunku do doświadczeń. Instynkt babci i dziadka. To już nie był żaden gender, ideologia z telewizji czy kościoła, tylko ludzie. Ich trudności życiowe i emocje. Otwarta rozmowa z drugim człowiekiem może bardzo dużo zmienić, pozwala zrozumieć. Tylko takiej rozmowy i otwartości najpierw trzeba się nauczyć.

Na koniec tamtych warsztatów ulepiliśmy ogromne ilości pierogów i wspólnie zjedliśmy.

Żeby nie było – z pewną dozą ostrożności podchodzę do wyboru tematów, które bierzemy na warsztat w Szkole Dorosłego Człowieka. Nie odważyłabym się na przykład zaproponować: porozmawiajmy o tym, jakie kto miał relacje z matką. Dla niektórych to może być bolesne, zbyt głębokie, zbyt wielka ingerencja. Najważniejsza relacja, jaką mamy w życiu, a część z nas ma tu niezabliźnione rany mimo upływu lat. Dlatego wolę mówić: porozmawiajmy o relacjach z bliskimi. Kto będzie chciał, poruszy temat trudniejszy, ale można też pozostać w bezpiecznych rejonach.

Przy takich okazjach robimy ćwiczenia z aktywnego słuchania. Na przykład dobieramy się w pary i jedna osoba mówi, a druga w tym czasie skupia się na tym, by jak najlepiej zrozumieć, wsłuchać się w drugiego człowieka, jego myśli i intencje. Mija określony czas i następuje zamiana w parach. Ludzie uwielbiają to ćwiczenie. Wiele osób ma poczucie, że nie są w życiu wysłuchani. W każdym wieku, ale starszych dotyczy to szczególnie. Każdy temat jest dobry: rodzina, jedzenie słodyczy, najpiękniejszy prezent na święta, najpiękniejszy moment w życiu, najcięższa zima. Omawiamy też w ten sposób wykłady, w których uczniowie SDC wzięli udział, i filmy, które obejrzeli.

DZIECI, DOROŚLI I SENIORZY

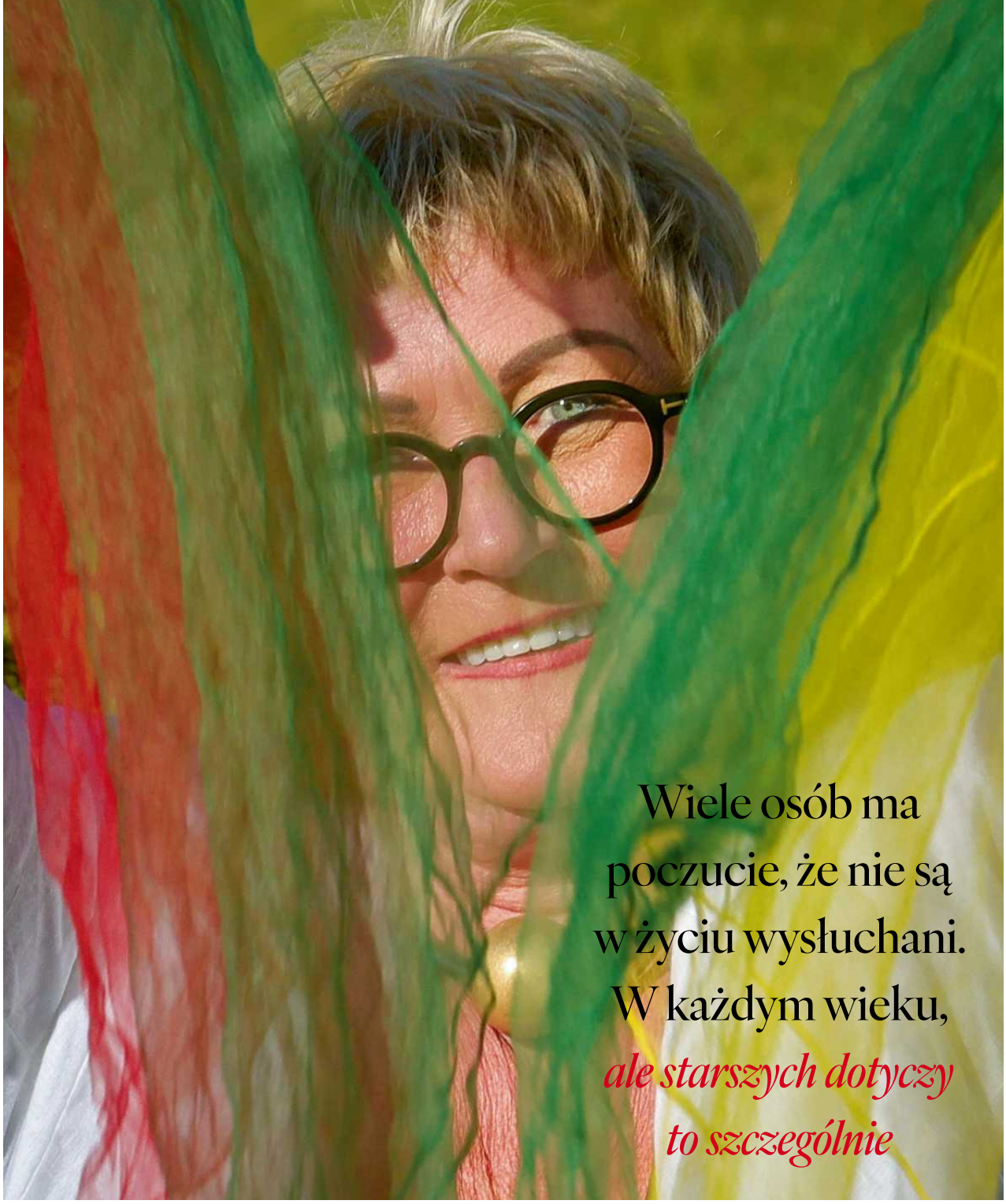
Współpraca z pedagogami z Niemiec i Austrii, szkolenia, wyjazdy, w których latami brałam udział dzięki projektom Centrum Animacji Kultury [obecnie Narodowe Centrum Kultury] – nauczyły mnie przede wszystkim, że nie pracuje się dla osób starszych, tylko z nimi. Jeden z głównych grzechów, jakie nagminnie są popełniane wobec seniorów, to infantylizacja. To podejście jest już w języku. Proszę zwrócić uwagę, ile razy gdzieś słyszymy zwrot: „zapraszamy dzieci, dorosłych i seniorów". Jakby seniorzy nie byli dorośli! Jakby dorosłość była tylko do pewnego wieku. A potem co? Znowu dzieci? Które, jak wiadomo, jak ryby głosu nie mają? To się wiąże z częstym traktowaniem seniorów protekcjonalnie. W sposób, w jaki nie potraktowano by na przykład grupy czterdziestoletnich mężczyzn.

Wyjątkowo mnie denerwuje, gdy obca osoba mówi do starszej osoby per babciu: „Co, babciu?", „Przepuść babcię". Nawet jeśli ktoś ma wnuki, ta rola nie definiuje go wobec obcych. Nikt na ulicy nie mówi do 40-letniego mężczyzny „tatuś" – tylko dlatego, że może mieć dziecko.

Te niezręczności nie wynikają ze złej woli – bardziej z braku refleksji. Dlatego właśnie warto o tym mówić. Jeśli jesteśmy gdzieś zapraszani jako seniorzy, zazwyczaj szykuje się nam górę ciastek i niezdrowych rzeczy. Czyli dokładnie coś, czego większość z nas nie może jeść. Niestety – wiele osób ma nadwagę, cukrzycę, miażdżycę, walczy ze zbyt wysokim cholesterolem. Do ciastek społeczeństwo uparło się dodawać występy uroczych, małych, ale cudzych dzieci. Skąd przekonanie, że to jest ten wymarzony program artystyczny, po występach wszystkich wnuków, prawnuków? Robią to urzędy, instytucje państwowe. Z jakichś powodów, kiedy pada hasło „seniorzy", nie widzimy grupy indywidualnych dorosłych jednostek, które mają swoje zawody, pasje, upodobania.

Stowarzyszenie Pedagogów i Animatorów KLANZA utworzyło w Polsce wiele lat temu sieć miejsc edukacyjnych pod nazwą Szkoła Superbabci i Superdziadka. Powołałam taką w Ozimku. I właśnie wtedy czegoś się nauczyłam. Ludzie przychodzili i pytali na przykład, czy mogą się zapisać, skoro nie mają wnuka. Panowie z jakichś powodów też unikali tego miejsca. Dotarło do mnie, że przecież nie o to mi chodzi. To nie o tym ma być! Dlatego w ramach projektu innowacji edukacyjnych utworzyliśmy Szkołę Dorosłego Człowieka. Brzmi rozwojowo i zachęcająco, także dla panów.

eprasa.pl ce60f33c89



Wiele osób ma poczucie, że nie są w życiu wysłuchani. W każdym wieku, *ale starszych dotyczy to szczególnie*

I MSZA, I FEMINIZM

Obecnie do SDC w Ozimku należy sto dwadzieścia osób. Pięć razy w tygodniu odbywają się zajęcia w różnych grupach. Na wiele wydarzeń mamy też dochodzących uczestników. Patronat merytoryczny objął Uniwersytet Merito w Opolu. Od lat jestem jego wykładowczynią. Co robimy? Wiele... Mieliśmy na przykład zajęcia z księdzem, doktorem filozofii, o średniowiecznej poezji maryjnej, na których dowiedzieliśmy się, dlaczego w tamtym czasie nikogo nie bulwersowało, że Maryja jako matka karmiąca odsłania piersi.

Na innych zajęciach mieliśmy spotkanie online z dr. Jakubem Pankowiakiem, bohaterem filmu „Tylko nie mów nikomu" – osobą, która w dzieciństwie doznała wykorzystania seksualnego ze strony księdza. Przyszło mało osób, zaledwie kilkanaście. Ale rozniosło się pocztą pantoflową. Ci, co byli, dużo innym opowiadali. I po jakimś czasie pojechaliśmy, już pięćdziesięcioosobową grupą, na koncert organowy Pankowiaka w Filharmonii Opolskiej. A po koncercie mieliśmy spotkanie na żywo.

Generalnie staram się, żeby nasz program był odpowiedzią na potrzeby czasów, w których żyjemy. Żebyśmy byli na bieżąco ze zmianami społecznymi, jakie zachodzą, z ważnymi wydarzeniami w kulturze. Próbujemy zrozumieć ten świat, który tak szybko się zmienia. Mamy tu i mszę świętą za uczniów szkoły, i tematy feministyczne. Wiedza uspokaja, wycisza strach i lęki. Moim celem nie jest indoktrynowanie kogokolwiek. Każdy ma prawo do swoich przekonań, wiary,

eprasa.pl ce60f33c89

wartości. Nie jestem od tego, żeby kogokolwiek pouczać, to byłoby nieznośne. Tworzę sytuacje edukacyjne. Wierzę, że dzięki temu dostajemy szansę, żeby pewne tematy otworzyć, omówić, przepracować. Na ile kto jest gotowy i na ile kto ma chęć. Poznajemy trochę psychologii, filozofii, zasad komunikacji interpersonalnej. Interesujemy się nadchodzącymi wyborami samorządowymi. Nie w taki sposób, żeby wspierać daną partię, tylko żeby spotykać się z kandydatami do urzędów i pytać o ich plany.

Mamy różne doświadczenia z gośćmi, którzy nas odwiedzają. Kandydatka na burmistrza ogłasza, że gdy wygra, zorganizuje nam zajęcia szydełkowania dla seniorów. Nasi starsi nie chcą takich zajęć, większość potrafi szydełkować, a ci, którzy mają takie hobby, po prostu to robią. To, czego byśmy potrzebowali, to na przykład poważna rozmowa o mieszkaniach chronionych dla samotnych starszych osób. Widziałam takie rozwiązania w Niemczech i Austrii. Mieszkają tam po trzy, cztery osoby. Wspierają się na co dzień, a w niezbędnym zakresie dostają pomoc od samorządu. Nasi politycy zazwyczaj nie są przygotowani do takich tematów.

Zapraszamy do rozmów lekarzy, bo istotną częścią programu naszej szkoły jest zdrowie, w tym psychiczne, a nawet seksualne. Równie ważne, co delikatne. Moim zadaniem jest, żeby tę wrażliwość uwzględnić. Nasze pokolenie nie było nauczone mówić o seksie ani o emocjach i swoich potrzebach. A z wiekiem nakłada się na to jeszcze wiele stereotypów i ocen, które sami sobie wystawiamy. Dochodzi też siedzące głęboko w nas poczucie winy: „Czy nie jestem śmieszna, że jeszcze myślę o tych sprawach?", „Czy to wypada?". Tymczasem ta sfera życia u seniorów również istnieje i jest ważna. Ludzie potrzebują wiedzy medycznej, bo wiele problemów tutaj ma swoje rozwiązanie. Ale potrzebują też usłyszeć, że to normalne i w pełni uzasadnione, jeśli chcą bliskości, czułości, chcieliby polepszyć tę część swojego życia. Że mogą rozmawiać o tym z bliską osobą.

NA SZPILKACH I BOSO

Zdecydowana większość aktywnych seniorów to kobiety. Ta dysproporcja i to, jak to przeżywamy, to też temat na rozmowę. Mężczyźni zazwyczaj przyprowadzani są do nas przez żonę. Takich, co przyjdą sami, jest niewielu. Ale są, to cieszy. Z moich obserwacji wynika, że samotni mężczyźni na starość radzą sobie gorzej niż kobiety. Trudniej im nawiązać kontakty społeczne, wyjść z domu. Wielu mężczyzn czuje zmierzch patriarchatu. Tylko co dalej?

Mężczyźni też mają swoje problemy: zdrowotne, osobiste, sercowe, problem z poczuciem przydatności. Sporo dziewczyn wokół mnie nie zrobiłoby wielu wspaniałych rzeczy, gdyby nie ich mężowie, którzy je wspierają.

My tu cały czas czegoś nowego się o sobie dowiadujemy. Robimy na przykład takie ćwiczenie: ty opowiadasz, a ja w tym czasie szukam trzech twoich mocnych stron, o których potem ci mówię. Zauważyłam, że nowe osoby, gdy do nas przychodzą, mają często tendencję, żeby prezentować się według podobnego schematu. Wszystkim wychodzi, że ich głównymi zaletami są umiejętność poświęcania się, cierpliwość i przywiązanie do rodziny. Potem, gdy lepiej się poznajemy i bardziej otwieramy, ujawniają się inne aspekty, bardziej indywidualne. Okazuje się na przykład, że któraś z nas



Warsztaty zorganizowane przez Halinę Oster dla seniorów z Ozimka w 2022 roku





FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl ce60f3

świetnie rozwiązuje konflikty, ma wyjątkowe poczucie humoru, potrafi słuchać albo ma rękę do pielęgnacji roślin. To jest ta różnica między wpasowywaniem się w schemat, którego naszym zdaniem otoczenie od nas oczekuje, a prawdą o nas.

Dla mnie ważna jest kwestia kobiecości. Miewamy wdrukowane pewne schematy. Na przykład, że kobieta koniecznie musi być na szpilkach. Dlatego wiele z nas wciska stopy w te szpilki, nawet jeśli nogi są opuchnięte i bolące. Ale chcą czuć się kobietami. A przecież my jesteśmy kobietami, nieważne, czy boso, czy na płaskiej podeszwie, czy na obcasie.

Starsza kobieta w popkulturze często bywa upupiana. Jako wredna teściowa z dowcipów. Albo w popularnych kabaretach w telewizji – jako tępa Halina czy Grażyna – ja z tego powodu w pewnym momencie zaczęłam mieć problem z własnym imieniem. Niestety, bywa też, że my to upupianie uwewnętrzniamy. Mamy tendencję, żeby same o sobie mówić prześmiewczo, takimi autoagresywnymi żarcikami. Ale czy w głębi duszy na pewno dobrze się z tym czujemy?

Jeśli jesteśmy gdzieś zapraszani jako seniorzy, zazwyczaj szykuje się nam górę ciastek i niezdrowych rzeczy

Czyli dokładnie coś, czego większość z nas nie może jeść

MUSISZ ZARABIAĆ I MIEĆ WŁASNE PIENIĄDZE

Jestem rocznik '60, pokolenie baby boomers. Wychowałam się w Bytomiu. Bardzo tradycyjne, katolickie, patriarchalne, górnicze środowisko. Ojciec zarabiał na czwórkę dzieci. Wciąż pracował albo się dokształcał, w wolnym czasie oddawał się własnym pasjom. Mama zajmowała się domem, w którym pachniało ciastem, dziećmi, wnukami, ogrodem. Nigdy nie pracowała zawodowo. A jednak zawsze mi powtarzała: ty musisz się uczyć! Musisz pracować i mieć własne pieniądze! Co się za tym kryło? Niestety, nigdy jej nie zapytałam. Ale się uczyłam. Na Uniwersytecie Śląskim ukończyłam kierunek kulturalno-oświatowy. Pisałam pracę dyplomową pod tytułem: „Rozbudzanie potrzeb kulturalnych i społecznych wśród ludzi i sposoby ich zaspokajania". Właściwie tym zajmuję się do dziś.

Byłam dyrektorką w Spółdzielczym Ośrodku Kultury w Bytomiu. Wymyślałam tam, co się da, dla wszystkich grup wiekowych. Jazz, taniec towarzyski, zajęcia wokalne, animacje teatralne, brydż, szachy, ognisko muzyczne, joga. Zorganizowałam Brygadę Radykalnego Ratunku – wsparcie dla dzieci i młodzieży ze środowisk defaworyzowanych. Organizowałam obozy letnie i zimowe. Były wycieczki, spektakle, koncerty. Wiele z tych zajęć prowadziłam sama. Jestem też trenerką Polskiego Stowarzyszenia Pedagogów i Animatorów KLANZA.

W Łodzi ukończyłam dodatkowo studia z psychopedagogiki, a później podyplomowo gerontologię na Uniwersytecie Łódzkim. Te ostatnie już jako czterdziestoletnia osoba, pod wpływem tego, co przeżyłam, opiekując się odchodzącym ojcem. To było silne doświadczenie, które zmotywowało mnie, żeby wejść w temat starości.

POTRZEBA WARIATA

Wszystkie moje wyobrażenia związane z emeryturą okazały się nieprawdą. Myślałam: nareszcie się wyśpię! A wyszło tak, że odeszłam z pracy w trakcie COVID-u. Nawet pogrzebu normalnego nie można było w tamtym czasie zorganizować, a co tu mówić o imprezie. Jedyne, co mnie ratowało, to aktywność. Na szczęście prowadziłam zajęcia online: ze studentami Merito, szkolenia, jogę i zajęcia Szkoły Dorosłego Człowieka. Trzeba było się przygotować, ubrać, włączyć kamerę, utrzymać uwagę uczestników.

Wyszło tak, że do dzisiaj brakuje mi czasu na sen. Ponad dwadzieścia lat już mieszkam na Opolszczyźnie, ale parę lat trwało, by, mówiąc „u nas", myśleć o Ozimku. Wszystkie moje działania wspiera mój mąż. To taki człowiek, który dmucha w moje skrzydła. Spotkaliśmy się już jako bardzo dorośli ludzie, wcześniej nikogo tu nie znałam. Radzono mi, żebym nie liczyła, że cokolwiek w tym mieście ruszę, bo to „inna mentalność", „specyficzni ludzie". Tymczasem zazwyczaj brak działań to brak wariata, który by je zainicjował. Ludzie lubią stan wrzenia. Ja też. Nie temperaturka 36,6 stopnia Celsjusza, tylko sto stopni! Chcą mówić po zajęciach: „Ale było! Co to się działo!".

Zbudowaliśmy naszą społeczność. Tego lata na huczne obchody dziesięciolecia naszej Szkoły Dorosłego Człowieka w Domu Kultury w Ozimku przybyło 250 osób z całego województwa. Starsi, ale także uczniowie szkół, młodzież z ośrodka socjoterapeutycznego i okolicznej siłowni. Byli ci, którzy lubią naszą szkołę – z władzami Ozimka, z burmistrzami i radą miejską na czele! Byli przedstawiciele władz powiatowych i wojewódzkich, a także goście z kręgów akademickich i organizacji pozarządowych.

To taka społeczność, w której różne osoby dają coś od siebie, bo chcą. Jak choćby pani Krystyna, która od dziesięciu lat przynosi mleko do kawy na zajęcia. Wyróżniliśmy ją na jubileuszu, zapytałam, dlaczego postanowiła wziąć to na siebie. A ona: „Bo wszyscy myślą, że skoro jestem ze wsi, na pewno mam swoje mleko. Co ja ich będę z błędu wyprowadzać...".

Dla mnie ważne, że my sami tutaj odpowiadamy sobie na pytanie, co to dla nas znaczy być osobą starszą. Od trzech lat w lokalnym Radiu DOXA prowadzę na ten temat podcast „Trzecia trzydziestka". Kiedyś senior to był najmądrzejszy człowiek we wsi. A dziś? Owszem, starszy człowiek może być mądry, ale pod warunkiem, że całe życie się uczy.

Kiedyś, na początku naszej szkoły, zapytałam uczestników o marzenia. Patrzyli na mnie, jakbym spadła z księżyca. No jak to? W tym wieku? A okazuje się, że jednak mamy. Wszyscy mamy jakieś marzenia. ▲

eprasa.pl ce60f33c89



SYLWIA GRUCHAŁA

– florecistka, dwukrotna medalistka olimpijska, wielokrotna medalistka mistrzostw świata i Europy

Dobrze mi w moim *zaciszu*

Niegdyś występowała w „Tańcu z gwiazdami", bywała w śniadaniówkach. Dziś zniknęła z mediów, nie ma Facebooka ani Instagrama

eprasa.pl ce60f33c89

Z **SYLWIĄ GRUCHAŁĄ**, FLORECISTKĄ, WICEMISTRZYNIĄ OLIMPIJSKĄ, ROZMAWIA **JOANNA WIŚNIOWSKA**
ZDJĘCIA **MARTYNA NIEĆKO/ AGENCJA WYBORCZA.PL**

Mogę ci coś pokazać?
– Bardzo proszę.

„Najpiękniejsza sportsmenka", „Kochało się w niej pół Polski", „Tak dziś wygląda" – tak brzmi większość tytułów artykułów na twój temat.
– Wiesz, ja na tej sytuacji bardzo dużo zyskałam, dzięki temu sponsorzy przychodzili. Ale oni nie tylko wykorzystywali mój wizerunek, wymagali ode mnie sukcesów w sporcie. To była dodatkowa odpowiedzialność: skoro ktoś na mnie postawił, trzeba dalej zdobywać medale. Kolejna motywacja. A byli dziennikarze, którzy pisali: „Za ładna, żeby odnieść sukces w sporcie". Tacy mnie wkurzali, chciałam im udowodnić, że nie tylko jestem ładna, ale i dobra w tym, co robię. Najważniejsze dla mnie były sukcesy, koncentrowałam się więc na celach, nie zwracając szczególnej uwagi na to, co piszą media. Wolałam nie marnować energii, tylko wykorzystać ją do właściwego działania.

I nie miałaś wrażenia, że przez koncentrację na twoim wyglądzie zapominano, że przede wszystkim byłaś świetną sportsmenką?
– Paradoks polegał na tym, że trenowałam dyscyplinę, w której zasłaniałam całą siebie, od stóp do głów. Może zyskiwałam dzięki tej tajemniczości? Tylko powtórzę: ja byłam skupiona na swoich zadaniach, na tym, żeby sprostać sportowym wymaganiom. Skoro były medale, ludzie przyzwyczaili się do sukcesów, to pojawiła się presja. Mimo że dyscyplina, którą uprawiałam, nie była popularna.

W mainstreamie pojawia się raz na cztery lata.
– Dlatego wykorzystywałam zainteresowanie moją osobą, żeby promować szermierkę. No i chciałam się w niej rozwijać, dalej robić to, co sprawiało mi przyjemność i radość. Nie miałam wtedy ani menedżera, ani PR-owca, który łapałby dla mnie kontrakty sponsorskie i kreował wizerunek. Ale wydaje mi się, że ja na tym wygrywałam, bo byłam sobą, a dzisiaj w mediach kreuje się różne postaci, które nie są prawdziwe, a mimo to trzepią hajs. W moim przypadku płynęło to w naturalny sposób.

Choć tak naprawdę to nie lubiłam kamer, do dzisiaj nie lubię, podobnie jak nie lubię występów publicznych. Stresuje mnie to i paraliżuje. Podczas tegorocznej Gali Mistrzów Sportu wręczałam nagrodę Annie Lewandowskiej pod nieobecność Roberta. Byłam zestresowana, uważam, że słabo wypadłam.

Sportowcy potrafią sobie czasami odpuścić autokrytykę?
– Ale wiesz, ja miałam wręczać nagrodę Robertowi Kubicy, nawet sobie to zwizualizowałam, byłam przygotowana, jednak głosy widzów zmieniły wyniki. Dostałam od telewizji gotowy fragment, który miałam przeczytać, ale czytanie nie jest dobre w takim przypadku, jest sztywne, lepiej powiedzieć coś od siebie.

Wróćmy do autentyczności wśród sportowców. Ty mówisz, że byłaś autentyczna, a ja mam wrażenie, że coraz więcej osób z tego świata – choć to świetni fachowcy w swojej dziedzinie – mówi to samo. Ale każdy ma menedżera i osoby od PR-u.
– No tak, te osoby chcą mieć pełną kontrolę, ale dzięki nim sportowiec jest odciążony, nie musi się zajmować pozasportowymi sprawami, chaosem.

Kiedyś było inaczej. Ale może każdy jest sobą na tyle, na ile potrafi? Wiesz, ja sobie myślę, że w ogóle trudno jest zachować autentyczność.

Zwłaszcza gdy jest się na świeczniku?
– Dzięki zasięgom w serwisach społecznościowych sportowcy docierają do milionów ludzi, wszystko dzieje się tak szybko. Dochodzi hejt.

Cieszysz się, że ciebie to nie dotyczyło?
– Tak, bo dzisiaj jest bardzo dużo krytyki. Hejtują sfrustrowani ludzie, którym nie udaje się w życiu, którzy nie mają szczęścia. Dopiero gdy z tego wyjdą, może ich życie nabierze większego sensu. Tylko mnie trudno jest się porównywać: od dziesięciu lat – od zakończenia sportowej kariery – niewiele się udzielam. Nie mam Facebooka ani Instagrama, nie chodzę po telewizjach, choć do dzisiaj jestem zapraszana do śniadaniówek. Mnie jednak jest dobrze w moim zaciszu. Odnajduję się w nowym życiu, jestem matką, partnerką, spędzam czas w domu. Bardzo to lubię, jestem domatorką. Lubię gotować, sprzątać. Żyję jak zwykły człowiek, cieszę się małymi rzeczami, np. tym, że zrobiłam dobry obiad.

Jeden z tytułów na twój temat mówił o „pikantnej sesji" – chodzi o sesję dla magazynu „CKM".
– Byłam wtedy swoją menedżerką i wywalczyłam najwyższą gażę za sesję w bikini.

Pamiętasz, ile wtedy dostałaś?
– Tak, 65 tysięcy złotych.

Więcej niż za medal olimpijski.
– I przypomnę: to nie była naga sesja, to były zdjęcia w bikini. Przecież gdy idę na plażę, też jestem w stroju kąpielowym.

Żałujesz tej sesji? Wspominają o niej wszystkie artykuły na twój temat.
– Bo to ludzi interesuje.

> Może gdybym miała rodziców, ktoś by... Chociaż nie wiem. Trener chciał mnie chronić, *ale w nieodpowiedni sposób*

Mnie też, bo w wielu wywiadach mówiłaś, że tego żałujesz.
– Jestem w procesie i trochę lat od tego czasu upłynęło, ale tak, kiedyś żałowałam, dziś patrzę na to z przymrużeniem oka i z dystansem. To, co wydarzyło się w moim życiu, musiało się wydarzyć, widocznie tak miało być. Poznałam dzięki temu mnóstwo ludzi, np. w „Tańcu z gwiazdami". Doświadczyłam innego świata, pozasportowego, show-biznesu, widziałam, jak funkcjonuje. No i zarobiłam na tym fajne pieniądze. Wiesz, niedawno dostałam propozycję, żebym za rozmowy wideo z ludźmi dostawała pieniądze. Nie zgodziłam się, etyka mi na to nie pozwoliła. Nie dlatego, że mam tyle siana, że nie potrzebuję pieniędzy. Tylko że ja dzięki fanom zarabiałam w trakcie kariery pieniądze, a teraz miałabym ich obskubywać? Oni mieliby płacić za wywiad ze mną? Nie wyobrażam sobie tego.

W wywiadach wspominałaś, że kiedyś nie odmawiałaś udziału w różnych przedsięwzięciach. Teraz często to robisz?
– Mam 45 lat, daję sobie do tego prawo. Gdy byłam jeszcze zawodniczką, udzielałam bardzo wielu wywiadów, czułam się odpowiedzialna za to, żeby otwierać się

eprasa.pl ce60f33c89

przed ludźmi, mówić o swoim życiu prywatnym. To było z wdzięczności za wsparcie i kibicowanie mi. Kiedy spotykałam kibiców na zawodach czy na ulicy, zawsze słyszałam jakieś dobre słowo. Dlatego czułam, że jestem im coś winna.

Teraz całą energię poświęcam córce, nie chcę ominąć żadnego momentu w jej życiu. Przecież mogłam pracować jako trenerka, wyjeżdżać na zawody, ale nie byłoby mnie wtedy przy niej. Poza tym jestem po rozwodzie, czuję więc odpowiedzialność za wychowanie Julii, ale dla mnie to też ogromny przywilej. To moja rola, mój sens... Wiem, że nie powinnam mówić, że to „sens mojego życia", ale jestem w roli. Uważam, że każdy, kto przychodzi na świat, ma jakieś zadanie do spełnienia. A bycie matką to rola, w której się odnajduję.

Ale propozycje wywiadów i występów nadal otrzymujesz?
– Tak, choć zdecydowanie rzadziej.

A gdyby zgłosił się „Azja Express"?
– Dostałam już taką propozycję, ale to wiązałoby się z wyjazdem na długie tygodnie. Po co mi to?

Żeby podreperować budżet.
– Zawsze by się przydało, to prawda, ale pozostaje pytanie: po co? Nie chcę już na tym zarabiać, już się najadłam.

Trochę też pieniędzy wydałaś?
– Bardzo dużo, na wyjazdy czy egzotyczne podróże. Byłam szalona, nadal jestem, choć nie w takim stopniu. Kupowałam też mnóstwo drogich ciuchów. Ale to się zmieniło. Czasami żałuję, że za dużo wydałam, mogłam to zainwestować. Ale dzisiaj cenię sobie to, jak moje trudne i wyboiste życie w rezultacie się poukładało. Nawet rozwód, bo udało mi się dogadać z ojcem mojego dziecka, z jego rodzicami. Z mojej strony Julia nie ma dziadków, dlatego bardzo sobie cenię, że ma ich ze strony swojego ojca. Bardzo ją kochają.

Zachęcam wszystkie kobiety, ale i mężczyzn, żeby po rozstaniu współpracowali ze swoimi byłymi partnerami, gdy mają wspólne dziecko. Trzeba powstrzymać swoje ego – nie robimy tego dla siebie, liczy się dobro dziecka. Atmosfera wychowania wpływa na nasze dzieci. Jestem żywym przykładem, że można się dogadać.

To jednak wymaga sporo wysiłku. Nie masz żalu?
– Dzisiaj nie mam żalu ani do byłego męża, ani do nikogo z ludzi żyjących i nieżyjących. Wyzbyłam się urazy do kogokolwiek. Od czasu, kiedy to przerobiłam i przepracowałam, nie mam do nikogo pretensji. Dzięki temu czuję się wolna, szczęśliwa, nic mnie nie obciąża, i to jest dzisiaj moja filozofia życia. Nie zerkam wstecz, patrzę, co jest dzisiaj, co będzie jutro. Cieszę się chwilą, na przykład tym, że siedzimy teraz na plaży i pijemy kawę.

Na ile to, jak wychowujesz swoją córkę, jest w kontrze do tego, jak twoja mama zachowała się wobec ciebie?
– Myślę, że moje mocne zaangażowanie w rolę matki wynika z tego, że nie miałam mamy od szóstego roku życia. Wyjechała do Stanów Zjednoczonych i nie wróciła, a ja bardzo za nią tęskniłam. Dlatego, gdy moja córka wraca ze szkoły, jestem. Ja tego nie miałam. Choć dopiero kiedy Julia będzie dorosła, powie, czy to, jak ją wychowuję, było dla niej fajne, czy było ważne. Myślę jednak, że to dobrze, że czekam z obiadem.

> Wiesz, że masz talent, dar, łatwość, a nie korzystasz z tego. Mam ogromny niedosyt, *bo nie wykorzystałam swojego potencjału do końca, a to jest grzech*

Ale jestem obecna nie tylko fizycznie, lecz także mentalnie. Porozmawiam, wysłucham, zrozumiem. Moja mama wychowywała się bez swojej mamy – gdy miała dwa latka, babcia została stracona podczas wojny. Chciałam przerwać powtarzalność historii mojej rodziny, a przecież dalej mogłam stawiać na karierę i dobrze zarabiać. Jednak to oznaczałoby moją nieobecność w życiu córki.

Dla mnie ważny jest ten codzienny moment, gdy jemy razem posiłek, śmiejemy się, płaczemy. Dziś Julka ma już 12 lat, nie ma z nią kłopotów. A wychowuję ją, rzecz jasna, na niegrzeczną dziewczynkę. Nie da sobie w kaszę dmuchać, stawia granice, myśli po swojemu, dyskutuje, sprzeciwia się, buntuje, wali pięścią w stół.

Jak ważna jest słowność w waszej relacji?
– W każdej relacji, gdy się z kimś umówię, dane słowo jest dla mnie warte więcej niż pieniądze. Jak z kimś coś ustalę, to tak musi być. Szczególnie w relacji z bliskimi. Moja mama obiecywała, że przyjedzie, i nie zrobiła tego. Bycie słownym daje dziecku poczucie bezpieczeństwa, tego brakowało mi w dzieciństwie. Jednak to działa w dwie strony, bo ja też trzymam Julię za słowo. To są ważne momenty, na przykład gdy przegra zakład. My się ciągle zakładamy, ale to jest zabawa.

O co się ostatnio założyłyście?
– Nie mogę powiedzieć, ale ostatnio wygrałam.

„Schrzaniłam swoją karierę" – tak powiedziałaś przed laty. Powodem była miłość.
– I tego żałuję, ale najwidoczniej tak miało być. Żałuję, ale wiem, że miłość była potrzebna mojej głowie, w tamtym momencie była dla mnie jak reset. Żyłam pod wielką presją zainteresowania mediów i wyniku sportowego. Przecież w zawodach drużynowych to ja ostatnia wychodziłam na planszę, na mnie spoczywała odpowiedzialność, ode mnie zależało, czy będzie medal dla Polski, czy nie.

Gdy po jednej z wygranych z Francuzkami w Pucharze Świata w Gdańsku, czyli „u mnie", popłakałam się, to nie było ze wzruszenia czy radości, to był upust emocji, kamień spadł mi z serca. Dlatego moja głowa potrzebowała odpoczynku, którym wydawało się zakochanie. Trwało to cztery lata i zbiegło się z momentem, w którym mogłam zostać najlepszą florecistką na świecie. Niestety, straciłam wynik sportowy, nie chciało mi się pracować, nie miałam motywacji, odeszło kilku sponsorów. Potem wróciłam do sportu, ale to już nie było to samo. Trudne to było, pojawił się lęk.

Może gdybym miała rodziców, ktoś by... Chociaż nie wiem. Trener chciał mnie chronić, ale w nieodpowiedni sposób.

Masz poczucie utraconej szansy?
– Tak. Wiesz, że masz talent, dar, łatwość, a nie korzystasz z tego. Mam ogromny niedosyt, bo nie wykorzystałam swojego potencjału do końca, a to jest grzech.

Dlaczego uważasz, że nie odniosłabyś takich sukcesów w sporcie, gdybyś miała zaplecze emocjonalne w domu?
– Potrzebowałam odskoczni od tego, od wyjazdu mamy, później śmierci taty, chciałam być zauważona i widoczna. Ktoś, kto

eprasa.pl ce60f33c89



jest dowartościowany i spełniony, ma miłość w sobie, a ja miałam złość. Nienawiść i żal, że mam 15 lat i nie mam już rodziców, sama muszę decydować o sobie. Dlatego nie miałam w sobie lęku na planszy, bo ja szłam po swoje życie.

To, jak przeżyjesz życie, zależy od ciebie. Chciałam więc być ważna dla świata. Wygrywanie łechtało moje ego, zarabiałam, byłam na pierwszych stronach gazet i brałam udział w popularnych programach telewizyjnych. Dawało mi to poczucie, że ludzie mnie szanują, że jestem kimś istotnym. Zawsze chciałam robić coś znaczącego. Pragnęłam być ważna dla obcych, bo nie miałam bliskich.

Teraz wiele się zmieniło, mam 45 lat i nie przejmuję się innymi. Meryl Streep powiedziała, że kiedyś wchodziła do pokoju i zastanawiała się, kto ją polubi. Dziś to ona zastanawia się, kogo polubi.

To jest super.

– Ale, jak wspomniałam ci wcześniej, nie mam już złości czy nienawiści, wyrzuciłam je z siebie, choć w sporcie dawały mi siłę. Dziś nie muszę istnieć medialnie, mam miłość i czuję się kochana. Teraz wszystko ma sens. Choć nie zdobyłam mistrzostwa olimpijskiego, nie czuję niedosytu. Dawniej odebrałabym to inaczej, dziś mam w sobie spokój i poczucie spełnienia.

To nowa myśl?

– Właściwie tak, pierwszy raz o tym mówię. Gdyby kiedyś ktoś mnie zapytał, czy wejdę w szermierkę, wiedząc, że zdobędę najwyżej olimpijski brąz, odpowiedziałabym, że liczy się tylko złoto. Teraz myślę o tym, jak ważna jest droga, a nie samo osiągnięcie celu. Dziś daję sobie pozwolenie na chwile słabości.

Kiedyś wierzyłam, że jesteśmy kowalami swojego losu, dziś nie do końca się z tym zgadzam. W życiu dzieją się rzeczy, na które nie mamy wpływu. Bardzo chciałam mieć rodzinę, ale okazało się, że nie ma takiej możliwości, moje małżeństwo się rozpadło, świat się zawalił. Wiedziałam jednak, że muszę być silna, także dla córki.

Nadal uważasz, że kobieta powinna siedzieć w domu, a rolą mężczyzny jest zarabianie?

– Zmieniłam zdanie w tej sprawie. Kobieta powinna być niezależna pod każdym względem, czy to emocjonalnym, czy finansowym. To daje wolność. Wiesz, że jesteś z kimś, bo chcesz być, a nie dlatego, że musisz. Ja jestem ze swoim partnerem, bo chcę z nim być.

À propos partnera: gdy w Google'a wpisze się twoje imię i nazwisko, pierwsze pytanie brzmi: czy Sylwia Gruchała ma męża?

– Nie mam, ale mam narzeczonego. Nie chcemy jednak ślubu, tak jest nam dobrze.

Za to macie domek na Kaszubach.

– Na prawdziwej wsi, z kurami, z widokiem na dwa jeziora i na pole z ziemniakami. Od lat w tym samym miejscu pojawiają się żurawie. Kocham je oglądać. Obserwuję też miejscowego kota. Właśnie to się zmieniło: wyciszyłam się.

To już chyba dojrzałość? Ale nie czuję się stara, wręcz przeciwnie, mam poczucie, że jestem coraz młodsza, choć może to dziwnie brzmieć. Mam coraz więcej zmarszczek, powieki opadają, ale czuję się coraz lepiej ze sobą. Biegam, morsuję, jeżdżę na rowerze. Zresztą muszę się ruszać, bo serce jest przyzwyczajone do wysiłku. Ale to ważne też dla głowy, ruch jest dla mnie najlepszy na stres, wyprowadza mnie z opresji. Choć wiadomo, często mi się nie chce.

Brakuje ci szermierki?

– Od lat nie byłam na zawodach i jest mi z tym dobrze, bo floretu mam po kokardę. Wolę spędzać czas w inny sposób.

A te stany euforyczne, które tak uwielbiałaś, a które dawała ci szermierka? Tego ci nie brakuje?

– To stan flow, można go porównać do orgazmu, więc stan ten cały czas mi towarzyszy.

Możesz to napisać, dobrze będzie się klikało. ▲

eprasa.pl ce60f33c89

Guru jest *nagi*

W światowej społeczności tzw. artystów podrywu Warszawa jest na pierwszym miejscu wśród miast, do których warto pojechać, by zaliczać dziewczyny. Czytałam post dziewczyny, która żali się, że codziennie, gdy idzie do pracy, zaczepia ją kilkunastu takich „artystów”

Z **MAGDĄ SZPECHT**
ROZMAWIA **EWA PĄGOWSKA**
ZDJĘCIA **DAWID ŻUCHOWICZ/ AGENCJA WYBORCZA.PL**

Mamo i tato, wiem, że to czytacie: nie martwcie się”. Pomyślałam, że zacznę naszą rozmowę od tego zdania.

O co mieliby się martwić?
– O to, że praca, którą wykonuję, jest dla mnie niebezpieczna.

Jesteś reżyserką.
– Chodzi o tematy, jakie podejmuję, o spektakle na temat inwazji rosyjskiej, i sposób, w jaki je przygotowuję. Chodzi o to, że wraz z zespołem szpieguję wroga, wykorzystując metody białego wywiadu. W rzeczywistości jest to jednak mniej niebezpieczne, niż mogłoby się wydawać. Zanim rozpocznę projekt, zawsze oceniam ryzyko i opracowuję zasady bezpieczeństwa. Myślę nie tylko o sobie i zespole, ale też o instytucjach, z którymi współpracuję.

Ostatni twój spektakl, „Szkoła uwodzenia”, jest jednak o relacjach męsko-damskich.
– To główny temat, ale ważnym kontekstem jest wojna za naszą wschodnią granicą.

Pierwowzorem głównego bohatera jest rosyjskojęzyczny guru uwodzenia, który działa na terenie Warszawy. Widzom mówicie, że znacie jego nazwisko, ale prawnik odradził jego podawanie. Wystarczy jednak krótki research, by dowiedzieć się, jak się nazywa i jaki ma pseudonim. Media o nim pisały.
– Ze względów bezpieczeństwa oficjalnie nie powiem, o kogo chodzi. My w spektaklu nazywamy go Max Volkhov. Żeby zdobyć informacje na jego temat, kolega, który jest aktorem, zapisał się na jego kurs. Oczywiście pod zmienionym nazwiskiem.

Ile prawdy o nim jest w historii, którą widzimy na scenie?
– Prawie 100 proc.

Jak to się stało, że rosyjskojęzyczny influencer przyjeżdża uczyć polskich chłopaków, jak uwodzić dziewczyny?
– Polskich nie. Na warsztaty przychodzą głównie mężczyźni pochodzenia rosyjskiego i białoruskiego. Chociaż ogłoszenia są także po polsku. Ale ja też zadawałam sobie to samo pytanie: jak to możliwe, że po wybuchu pełnoskalowej inwazji na Ukrainę identyfikujący się z Rosją guru uwodzenia przyjeżdża do Polski i w centrum Warszawy prowadzi swoje kursy?

Od dawna tu działa?
– Od 2022 roku, ale ja trafiłam na niego w 2024 roku na Telegramie. Zobaczyłam jego filmik, jak stoi na warszawskiej ulicy i zaprasza na kurs. Oburzyło mnie to z poziomu, powiedziałabym... „feministyczno-politycznego”. Zaczęłam się nim interesować, ale też śledzić przestrzeń internetu zwaną manosferą.

Max uczy na swoich kursach tego, jak działają kobiety. Mówi, że każda jest głupia, histeryczna, nie panuje *nad emocjami i łatwo ją owinąć wokół palca*

Wcześniej wiedziałam, że ona istnieje, ale wtedy zaczęłam ją głębiej poznawać. Przeczytałam książkę „Przegryw”, która otwiera oczy na problem wykluczenia młodych chłopców, którzy zmagają się ze zdrowiem psychicznym i biedą. Oni stanowią bardzo podatny grunt dla toksycznych, niebezpiecznych treści, które gloryfikują przemoc. Takich właśnie, jakie rozprzestrzenia Max.

Dlaczego on właściwie wybrał Warszawę?
– W Game Global – światowej społeczności tzw. artystów podrywu – Warszawa jest na pierwszym miejscu w rankingu miast, do których warto pojechać, by zaliczać dziewczyny. Na Reddicie czytałam post dziewczyny, która żali się, że pracuje w Złotych Tarasach i codziennie, gdy idzie do pracy, zaczepia ją kilkunastu takich „artystów”. Widzi, że ich koledzy to nagrywają.

Popularnym miejscem ich działania jest też Dworzec Warszawa Centralna, po sąsiedzku, więc oczywiście poszliśmy to obserwować. Widzieliśmy gości, którzy zaczepiają dziewczyny, proszą je o numer telefonu i są mniej lub bardziej natarczywi. Rzeczywiście wygląda na to, że wykonują ćwiczenia z kursu uwodzenia.

Max reklamuje Warszawę jako miejsce pełne cudownych, gorących, pięknych słowianek z Ukrainy, Białorusi i Polski, chociaż głównie mówi o Ukrainkach. W jego narracji są samotnymi kobietami, które tylko czekają na okazję, bo ich mężowie siedzą w okopach. Najbardziej krytycznie odnosi się do Polek. Według niego są za bardzo wyemancypowane – jeśli ktoś złapie je za tyłek, mogą pójść na policję. Twierdzi, że ideologia woke i gender zjadły im mózgi. Z dumą mówi, że w Rosji ruch MeToo nie miałby racji bytu, bo tam panuje tradycyjny porządek: kobieta zna swoje miejsce, mężczyzna na nią poluje, a ona



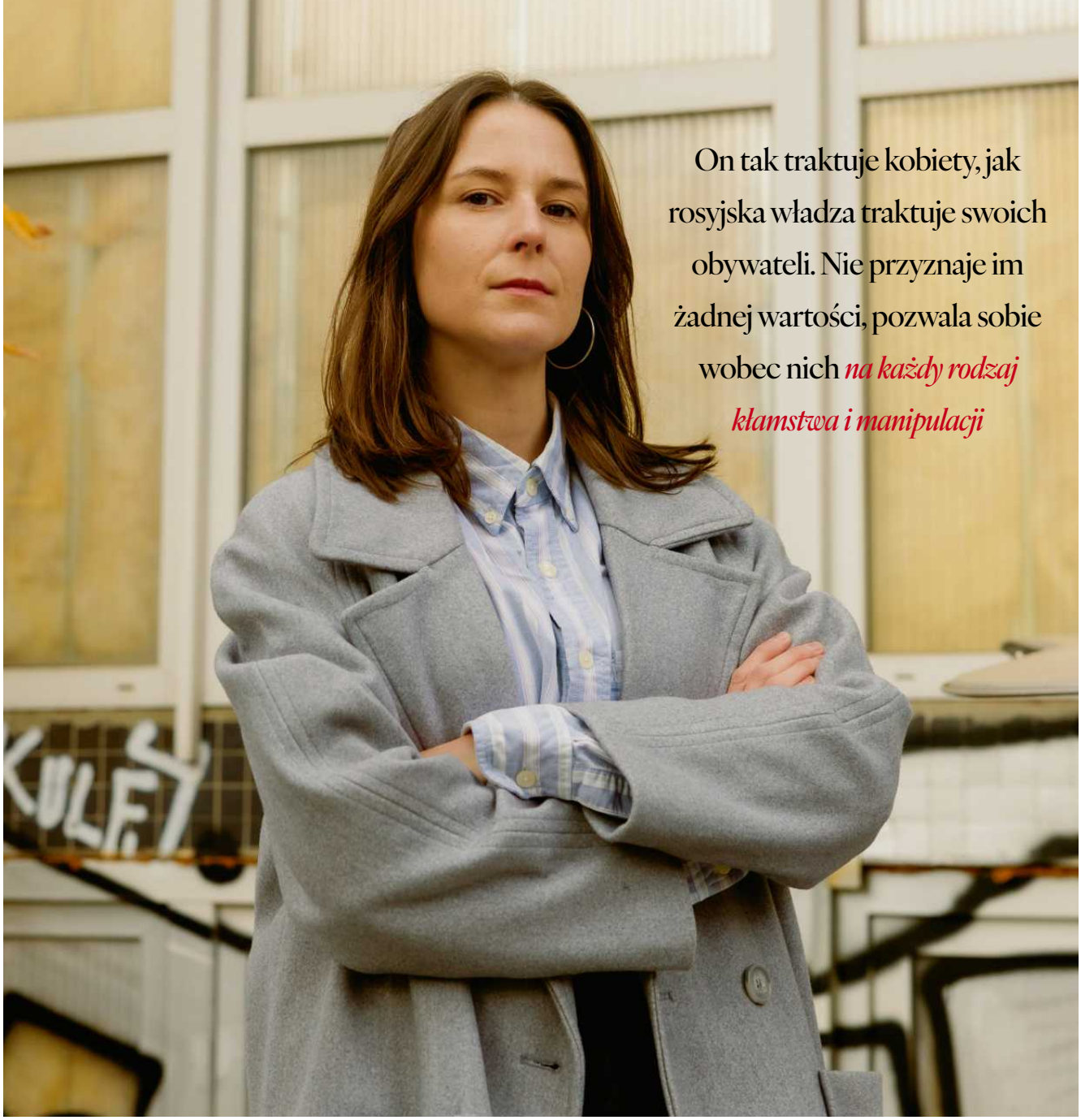
eprasa.pl ce60f33c89



MAGDA SZPECHT

– reżyserka teatralna, performerka, aktywistka i dziennikarka. Od rosyjskiej inwazji w 2022 r. realizuje projekty, które wspierają Ukrainę. Była nominowana do tytułu Superbohaterki „Wysokich Obcasów" 2022 r. Spektakl „Szkoła uwodzenia" jest w repertuarze Komuny Warszawa

eprasa.pl ce60f33c89



On tak traktuje kobiety, jak rosyjska władza traktuje swoich obywateli. Nie przyznaje im żadnej wartości, pozwala sobie wobec nich *na każdy rodzaj kłamstwa i manipulacji*

jest szczęśliwa, gdy zostanie upolowana. Nawet jeśli początkowo udaje, że nie jest.

Ale nawet w Rosji pierwowzór waszego Maxa jest poszukiwany za to, że nakłaniał do przemocy seksualnej podczas swoich kursów.

– Mam wrażenie, że oni go tak szukają, żeby nie znaleźć. No bo jak wytłumaczyć to, że on nagrywa filmik na swój kanał na Telegramie, ogłaszając, że jest w Moskwie, potem prowadzi tam kolejne szkolenie i wraca niezatrzymywany przez nikogo na Ibizę? Swobodnie przemieszcza się między Moskwą, Cannes i innymi miastami Europy Zachodniej? Oficjalnie mówi o Putinie jako o wrogu. Parę lat temu ogłosił, że zamierza zostać nowym prezydentem Rosji, bo Putin przynosi tylko wojnę, śmierć i zniszczenie, a on przyniesie miłość, seks i przyrost demograficzny.

A co przynosi chłopakom, którzy przychodzą na jego kursy?

– Metodę uwodzenia, która – jak mówi – jest potwierdzona naukowo. W czasie kursów wciąż odwołuje się do ewolucji. Twierdzi, że zadaniem mężczyzny jest zapłodnić jak najwięcej samic, mieć harem. On tak traktuje kobiety, jak rosyjska władza traktuje swoich obywateli. Nie przyznaje im żadnej wartości, pozwala sobie wobec nich na każdy rodzaj kłamstwa i manipulacji. Zresztą swoją książkę „Życie bez majtek" promuje, mówiąc, że najważniejsi ludzie na Kremlu już ją przeczytali, bo wiedzą, że ten, kto będzie umiał kontrolować umysł kobiety, będzie umiał kontrolować całe społeczeństwo.

Czego konkretnie uczy kursantów?

– Tego, jak według niego działają kobiety. Mówi, że każda jest głupia, histeryczna, nie panuje nad emocjami i łatwo ją owinąć wokół palca. Daje mężczyznom zadania, z których mają się przed nim rozliczać, np. każe zaczepić dziewczynę, która idzie ulicą, złapać ją za rękę i poprowadzić 10 metrów w przeciwną stronę. Przedstawia strategie oparte na szoku, takie jak np. „nagi król". Polega ona na tym, że kiedy kobieta idzie do innego pomieszczenia – powiedzmy do kuchni zrobić herbatę – mężczyzna ma się w tym czasie rozebrać. Gdy

eprasa.pl ce60f33c89

ona wróci, będzie zaskoczona i doświadczy silnych emocji. Max przekonuje: nieważne, czy emocje są negatywne, czy pozytywne, najważniejsze, żeby były silne. To wystarczy, by zacząć budować relację.

Uważa też, że mężczyźni muszą nauczyć się znosić odrzucenie, dlatego każe im klepać po tyłkach obce dziewczyny, biegać bez koszulki po centrum handlowym albo iść na kabaret, by w trakcie przedstawienia wstać i coś krzyknąć. Mówi im: bądźcie twardzi, a osiągniecie swój cel. Uczy ich błędnej interpretacji sygnałów. Nie wpadłabyś na to, jakie kobiece zachowania on uznaje za komunikat: jestem gotowa na seks.

Podaj przykład.
– Zakręcenie loka na palcu czy potarcie nogą o nogę od stołu.

Brzmi jak odpryski z wiedzy na temat mowy ciała przerobione pod jego potrzeby.
– I to jest właśnie ta psychologia i naukowość w jego wydaniu. Co gorsza, według niego te sygnały są wystarczające, by zacząć uprawiać seks z kobietą. Żadnej innej zgody już nie potrzeba. Max – to znaczy jego pierwowzór – mówi o konieczności przełamania „oporu ostatniej minuty". Twierdzi: ona się będzie opierała, będzie się opierała, ale potem jej się spodoba.

Czego jeszcze uczy?
– Jak prezentować się w serwisach społecznościowych, żeby mieć dużo followersów, bo uważa to za najważniejsze dla obrazu współczesnego człowieka. Wyjaśnia, co robi, by mieć wizerunek odważnego, nietuzinkowego, wyjątkowego i bogatego człowieka sukcesu. Sam, kiedy prowadzi jakiś live, pozuje na mędrca, który wszystko wie, nie ma żadnych wątpliwości. Ale kiedy się tego słucha, to są straszne kocopoły. Niekończący się strumień bzdur.

Kto go słucha?
– Myślałam, że jego oferta jest tak obciachowa, że nikt nie będzie nią zainteresowany, a jednak trudno dostać się do niego na zajęcia. Naszemu koledze udało się za drugim razem dzięki znajomościom. Uczestnikami byli przeciętnie wyglądający mężczyźni pomiędzy 25. a 40. rokiem życia. Ani specjalnie bogaci, ani specjalnie biedni. To nie jest środowisko nastoletnich inceli.

Kiedyś chłopak opowiadał mi na potrzeby reportażu, że chodził na kursy podrywania nie po to, by dowiedzieć się, jak zacząć rozmowę z dziewczyną, ale by zwiększyć liczbę kobiet, z którymi będzie uprawiać seks. Czy kursanci, o których opowiadasz, też mają taką motywację?
– Pewnie tacy mężczyźni też by się znaleźli. Tam było całe spektrum oczekiwań i marzeń. Niektórzy chcieli znaleźć partnerkę i stworzyć związek, inni mieli problem we wszelkich kontaktach z kobietami. Podejrzewam, że dla wielu tych mężczyzn zwiększenie poczucia własnej wartości i bycie częścią grupy było równie ważne jak podrywanie dziewczyn.

Jak oni się rozliczają przed instruktorem z zadań domowych?
– Przynoszą nagrania, na których widać że np. udało im się wyprosić telefon czy buziaka albo zatańczyć z dziewczyną w klu-

OGŁOSZENIE

W SPRZEDAŻY

Temat numeru:
Jedzenie to nowa religia.
Czy dieta może nas ocalić?

Herstoria:
Dla Mary Cassatt niezależność była jak Gwiazda Polarna, która prowadziła ją przez życie

Psychologia:
Natchnienie to nonsens, a tworzyć nie każdy może

Zamów na prenumerata24.pl z dostawą do domu lub z bezpłatną dostawą do paczkomatu

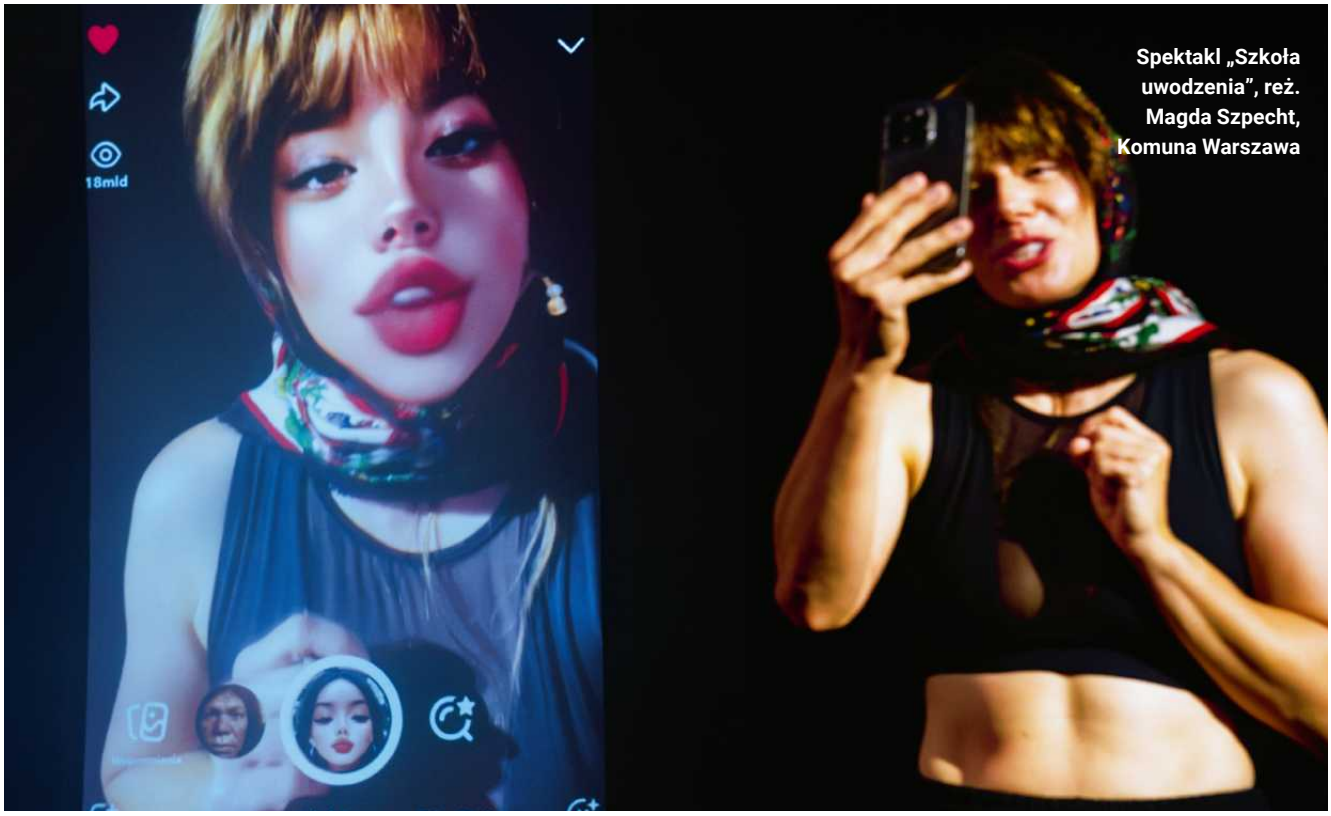




wysokieobcasy extra

Numer dostępny **z książką** lub magazynem **„Psychologia. Żyć lepiej"**

eprasa.pl ce60f33c89



Spektakl „Szkoła uwodzenia", reż. Magda Szpecht, Komuna Warszawa

FOT. PAT MIC / TEATR KOMUNA WARSZAWA

bie. To może być jakakolwiek dziewczyna, nawet taka, która im się kompletnie nie podoba. To musi być chyba bardzo destrukcyjne dla tych chłopaków. Są wielokrotnie odrzucani, by ostatecznie wyprosić przytulenie u kogoś, kto im nie odpowiada. Na forum internetowym trafiłam na relację dziewczyny, która dostała pieniądze za to, by dać się poderwać kursantom. Wygląda na to, że pierwowzór Maxa chciał mieć pewność, że wszyscy osiągną sukces i nikt nie przyjdzie do niego po zwrot pieniędzy.

Wszyscy wykonują zadania?

– Niektórzy nie chcą, ale presja jest taka, że w końcu się jej poddają. Czytałam, że na niektórych kursach ci, którzy się opierali, musieli robić pompki, ale kolega, który był naszym agentem, nie widział takich sytuacji. Na koniec kursanci dostają certyfikaty i zwykle cieszą się, że się przełamali. Potem jednak, np. dwa tygodnie po zakończeniu kursu, są rozczarowani, że nie mają już tej odwagi, która pozwalała im podejść do dziewczyny na ulicy.

Mówisz, że Polacy na te kursy nie chodzą, ale może gdyby nie był to rosyjski guru, tylko Polak szerzący te same treści, byliby chętni wśród naszych chłopaków?

– Mam wielką nadzieję, że nie. Robiłam sondę wśród moich kolegów, pytałam: co musiałoby się stać, żebyś złapał za tyłek obcą dziewczynę na ulicy? Wszyscy mówili, że to niemożliwe, niedopuszczalne.

> Max twierdzi: ona się będzie opierała, *ale potem jej się spodoba*

Pytałaś ich o gotowość do wykonania konkretnego ćwiczenia, ale czy wyobrażasz sobie, że którykolwiek ze znanych ci mężczyzn poszedłby na taki kurs?

– Sądzę, że nie, ale mam świadomość, że żyję w pewnej bańce. Patriarchalna narracja „naszego guru" jest typowa dla imperialnej Rosji, ale też wpisuje się w narrację prawicy Zachodu. Zresztą w Polsce kobiety wciąż nie mogą się czuć pełnoprawnymi obywatelkami. Weźmy chociażby prawo do aborcji. Podczas robienia tego spektaklu cały czas siedziała mi w głowie ikoniczna praca Barbary Kruger „Your Body is the Battleground" („Twoje ciało to pole walki").

Podobnie jak upublicznione kiedyś nagrania rozmowy rosyjskiego żołnierza z żoną, która mówiła: „Gwałć te Ukrainki, tylko się zabezpieczaj". Tym spektaklem chcę rzucić światło na to, co się dzieje kilka ulic dalej. Zapytać, jak to możliwe, że takie kursy są u nas prowadzone, powiedzieć: „Zróbcie coś z tym!".

Twoje zaangażowanie w przygotowanie spektakli wykracza poza to, w jaki sposób zwykle myśli się o roli reżysera czy reżyserki. W „Spy Girls" prezentowaliście rezultaty operacji wywiadowczej, którą przeprowadziliście, wcielając się w dziewczyny, które w aplikacji randkowej rozmawiały z rosyjskimi żołnierzami.

– Ostatnio uczestniczyłam w panelu dyskusyjnym „Artists' Perspectives on Conflict and War" („Perspektywa artystów na konflikt i wojnę") w Düsseldorfie. Bardzo podoba mi się to, co powiedział tam mój kolega – ukraiński choreograf. Według niego sztuka powinna być przez państwo i społeczeństwo traktowana jak rodzaj broni. Tak zresztą traktuje ją Rosja.

Dlatego nie można ciąć wydatków na sztukę i przeznaczać wszystkiego na broń w tradycyjnym tego słowa rozumieniu. Takie myślenie o teatrze jest mi bliższe niż traktowanie go jak rozrywki czy abstrakcyjnej fanaberii. ▲

eprasa.pl ce60f33c89

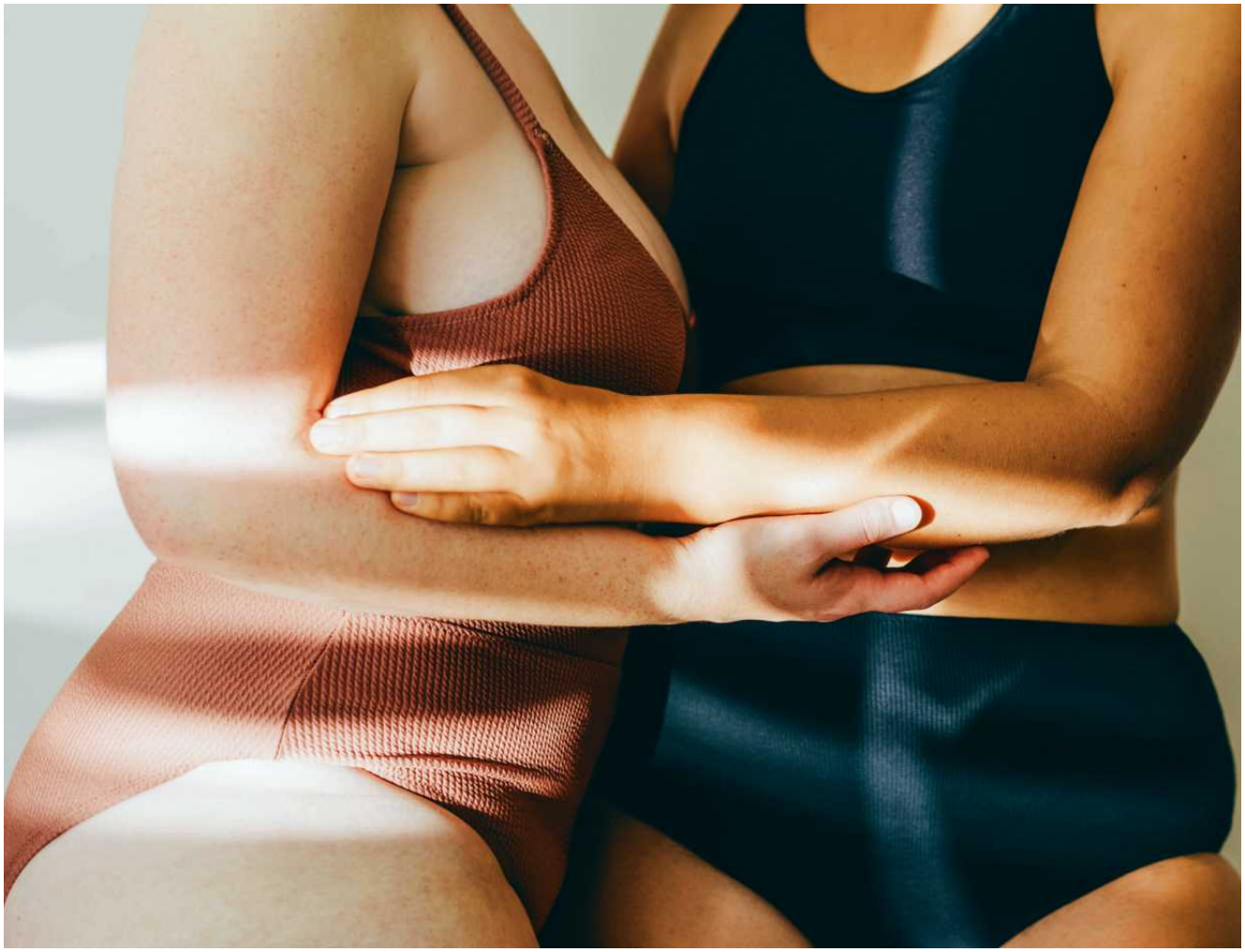
10 lat veoli botanica x Sandra Kubicka

20 SECONDS MAGIC FACE

NATYCHMIASTOWY
EFEKT GŁADKOŚCI
I ROZŚWIETLENIA



Sprawdź kultowy efekt,
TERAZ w formułach do twarzy.



FOT. GETTY IMAGES

Czy z nami jest coś nie *tak?*

Zapytałyśmy was w ankiecie, czy odczuwacie presję na wygląd. Najważniejszy wniosek: chcecie o siebie dbać i się podobać. Ale na własnych zasadach

TEKST **NATALIA MAZUR, DANUTA PAWŁOWSKA**

Myśląc o swoim ciele, czujecie wstyd czy dumę? – zapytałyśmy was tego lata.

W „Wysokich Obcasach” i na Gazeta.pl publikowałyśmy teksty w cyklu „Ciało bez presji”. Rozmawiałyśmy z ekspertkami, pisałyśmy o własnych doświadczeniach. Ewa Jankowska pytała socjolożkę Katarzynę Popiołek, co to znaczy „kobieta zadbana”, Natalia Waloch zastanawiała się, skąd bierze się oczekiwanie, że kobiece brzuchy będą płaskie jak u nastolatek, Aleksandra Lubańska-Czubak rozmawiała z Katarzyną Barczyk-Matkowską, która jako młoda kobieta przestała przykrywać siwiznę.

Duma? Czy to nie przesadne określenie? Chwilę się wahałyśmy. Z drugiej strony: nie zaskakuje nas, gdy ktoś mówi, że wstydzi się włosów, zębów, kolan. Może czas zmienić sposób myślenia? I poczuć dumę z ciał?

Na zamieszczaną pod tekstami ankietę odpowiedziało 3,5 tys. osób, 89 proc. stanowiły kobiety. Okazuje się, że duma jest emocją zdecydowanie wam bliższą, gdy mowa o stylu ubierania (81 proc. odpowiedzi), uśmiech (75 proc.), twarz (72 proc.), włosy (71 proc.). Problem zaczyna się przy pytaniu o wagę – ta zawstydza prawie połowę (48 proc.) z was. Są części ciała, których ocena zależy od płci. Negatywnie swoje uda i nogi ocenia aż 45 proc. kobiet przy zaledwie 18 proc. mężczyzn.

A najczęściej (63 proc. odpowiedzi) zawstydza nas nieszczęsny brzuch. Wraz z wiekiem, po porodach, chorobach, trudno sprawić, by znów stał się płaski. „I w sumie to nie powinno stanowić o istocie życia”.

„Nawet w momencie, gdy ważyłam 43 kg przy wzroście 177 cm, [mój brzuch] był źródłem wstydu i stresu. Nigdy nie był umięśniony, a kiedy jadłam, stawał się wystający” – pisze jedna z was. Inna, 50-lat-

eprasa.pl ce60f33c89

ka (po ciąży i nowotworze), wyznaje: „Kocham swoje ciało, jakie jest. Jedyne, czego nie lubię, to mój brzuch – jest dużo za duży. I to jedyne, co nie znika mimo wysiłku".

Czytelniczka, która dużo chodzi po górach, ale ze względu na zmiany hormonalne zdarza jej się puchnąć, komentuje: „Powinnam być zachwycona moim silnym ciałem i dobrym zdrowiem, ale ciągle jestem bombardowana płaskimi brzuchami i wmawianiem mi, że nie powinnam się cieszyć, że mam świetną kondycję, bo to znaczy, że się po prostu zaniedbałam".

„Mój brzuch jest poorany rozstępami po trzech ciążach i bliznami po operacjach. Jestem na etapie przepraszania mojego ciała, że byłam dla niego niedobra, tak niedobra, że nie wytrzymało – ale nikt mnie tej dobroci dla siebie nie uczył".

Brzucha wstydzą się równo obie płcie. Różnicę 1 pkt proc. należy potraktować jako statystycznie nieistotną.

TRESOWANIE DZIEWCZYNEK

Do właściwego wyglądania tresowani jesteśmy od dziecka. Wasze odpowiedzi wskazują, że świat zupełnie inaczej traktuje chłopców i dziewczynki. 25 proc. mężczyzn w dzieciństwie nie słyszało opinii na temat swojego wyglądu – i tylko 11 proc. kobiet. „Do dzisiaj pamiętam instrukcje mamy o konieczności wciągania brzucha".

Co czwarte z nas z dzieciństwa zapamiętało wyłącznie komentarze negatywne. A te sprawić potrafią ogromny ból. „Moja babcia mówiła, że mam nos jak dziób, odkąd tylko pamiętam. Zoperowałam go w tajemnicy, gdy miałam 23 lata, chirurg schrzanił. Tak bardzo, że nigdy nie uznałam się za godną bycia z kimś w związku" – pisze czytelniczka.

„Jako dziecko byłam niejadkiem, więc byłam za chuda, kiedy byłam nastolatką i zaczęły mi rosnąć biodra i biust, okazałam się za gruba, kiedy byłam dorosła i znów schudłam, to byłam za chuda" – zauważa inna. Jako dojrzała osoba ma wreszcie spokój. Gdy dorośleję, nasz wygląd otwarcie komentowany jest rzadziej – co piąta osoba nie słyszy wcale takich wypowiedzi, a 51 proc. jest wyłącznie komplementowane. A jednak prawie połowa z nas (48 proc.) czuła się w swoim ciele lepiej, gdy była młodsza.

Do mówienia o naszym wyglądzie najbardziej skłonna jest rodzina (31 proc.), znajomi (29 proc.), partnerki i partnerzy (21 proc.). Opinie obcych ludzi słyszymy (lub czytamy) najrzadziej (5 proc. z nas). Mężczyźni znacznie częściej słyszą komentarze od partnerki (35 proc. vs 20 proc.). Wygląd kobiet komentowany jest raczej przez rodzinę (opinie słyszy 32 proc. kobiet i tylko 24 proc. mężczyzn).

Czy potrzebne nam jest zdanie otoczenia? Komplementy od bliskich poprawiają samoocenę co trzeciej osobie, przy czym ocena znajomych ma nieco wyższą wagę niż zachwyt partnera lub partnerki (różnica 3 pkt proc.). Za to negatywne czy nawet pozornie neutralne komentarze – jak przyznajecie w odpowiedzi na pytanie otwarte – potrafią nużyć i irytować. „Mam córkę 16-letnią... robię wszystko, by widziała siebie, jak należy, a tu milion doradców, i to najbliższych. Babcie, które chcą mieć jeszcze bardziej idealną wnuczkę".

TRENOWAĆ, ROBIĆ SELFIE, PRZEBUDOWAĆ TWARZ...

Najskuteczniej zadowolenie z siebie podnosi aktywność fizyczna – działa na plus u 54 proc. osób. Nieco częściej u mężczyzn (tak czuje 62 proc. z nich) niż u kobiet (odpowiednio: 53 proc.).

37 proc. respondentów poczuje się lepiej, patrząc na własne udane zdjęcie. Działa to mocniej u kobiet (38 proc. vs 26 proc.).

Wizyta u kosmetyczki, fryzjera/barbera, podniesie samoocenę 27 proc. kobiet i tylko 12 proc. mężczyzn.

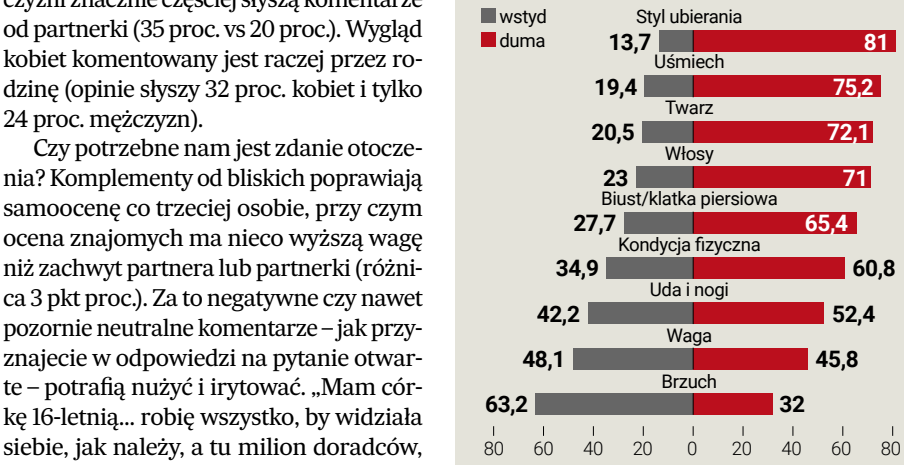
Źródłem kompleksów mogą być serwisy społecznościowe. 38 proc. osób, które odpowiedziały na naszą ankietę, nie korzysta z nich wcale. Przy czym jest tu duża różnica między płciami: „nie" tym serwisom mówi 36 proc. kobiet i 54 proc. mężczyzn. Wchodzimy na serwisy społecznościowe nie po to, by pooglądać sobie stereotypowo ładnych ludzi. Tylko 16 proc. naszych czytelników obserwuje profile osób, u których dobry wygląd jest częścią zawodu (bo są modelami, trenerkami, aktorami itp.). A jednak 10 proc. z nas przyznaje, że takie posty i tak im się wyświetlają.

„Ostatnio usunęłam aplikację Instagram z telefonu, bo algorytm pokazywał mi konta matek wracających do siebie po ciąży. Były to osoby, których nie obserwowałam. Widok niemal płaskiego brzucha influencerki w trzecim tygodniu połogu rozłożył mnie na łopatki w momencie zwątpienia i doprowadził do epizodu depresyjnego" – pisze kobieta od 16 lat pracująca jako modelka.

Na socialach kształtuje się kanon piękna, tzw. instagramowa twarz. „Wstrząsające było dla mnie, gdy po latach zobaczyłam

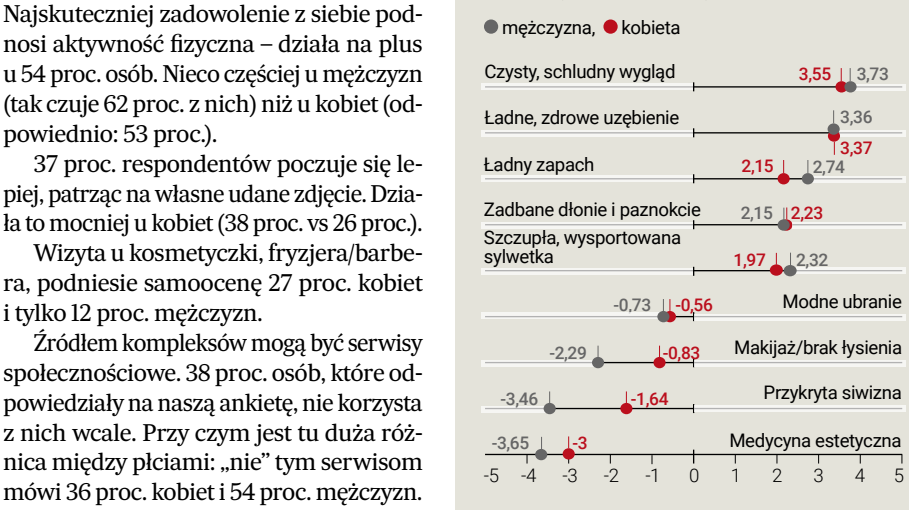
Z jakich elementów swojego wyglądu jesteś najbardziej zadowolona/zadowolony?

WSKAZANIA W PROC.



Co świadczy o tym, że ktoś jest zadbany?

SKALA:
−5 – zdecydowanie nie świadczy o zadbaniu
+5 – zdecydowanie świadczy o zadbaniu



Co poprawia twoją samoocenę?

MOŻNA BYŁO WSKAZAĆ MAKSYMALNIE TRZY ODPOWIEDZI. DANE W PROC.



ŹRÓDŁO: ANKIETA „WYSKICH OBCASÓW" I GAZETY.PL, NA KTÓRĄ ODPOWIEDZIAŁO 3524 CZYTELNICZEK I CZYTELNIKÓW. AUTOR: PAWEŁ LUBOWICZ

eprasa.pl ce60f33c89

koleżankę z liceum i nie przypominała siebie. Inny nos, inne usta, inna szczęka, w wieku 22 lat botoks. Nie oceniam operacji plastycznych ani osób, które się na nie decydują, ale przeraziło mnie, że kobieta, którą znam, czuła potrzebę całkowicie, od podbródka po czoło, przebudować swoją twarz”.

„500 ZŁ CO DWA MIESIĄCE?!”

Ile czasu i pieniędzy pochłania nam dbanie o wygląd? 39 proc. z nas wydaje na ten cel średnio między 100 a 300 zł miesięcznie, 25 proc. – między 300 a 700 zł. Tylko 3 proc. powyżej 1500 zł. Widać wyraźne różnice między kobietami a mężczyznami. W budżecie do 100 zł mieści się 44 proc. mężczyzn i tylko 23 proc. kobiet. Kwotę 300--700 zł deklaruje 27 proc. kobiet i zaledwie 11 proc. mężczyzn.

A co z czasem? Dwie trzecie respondentów mieści się w 15-60 minutach. Dla 17 proc. godzina to mało i dla takich samych 17 proc. 15 minut to dużo. Minimalny czas deklaruje 31 proc. mężczyzn i tylko 16 proc. kobiet. Przy czym nie każde z was do budżetu czasu wliczało treningi. „Sport to nie dbanie o wygląd – to dbanie o sprawność, zdrowie, samopoczucie itp. O wygląd dbam poniżej 15 minut dziennie, a sport uprawiam powyżej 60 minut” – wyjaśniła jedna z czytelniczek.

„Teraz ćwiczę, ale robię to po to, żeby lepiej funkcjonować. Jeśli idzie za tym lepszy wygląd – cieszę się, ale priorytetem jest zdrowie”.

Zapytałyśmy też, po czym rozpoznać można zadbaną kobietę i zadbanego mężczyznę. Niezależnie od płci najistotniejszy jest dla was czysty, schludny wygląd oraz ładne i zdrowe zęby. Kolejno liczą się: zadbane dłonie i paznokcie (u kobiet nieco ważniejsze), ładny zapach i wysportowana sylwetka (nieco ważniejsze u mężczyzn). Dla oceny zadbania nie ma znaczenia, czy dana osoba modnie się ubiera, maluje się, walczy z łysieniem, przykrywa siwiznę czy korzysta z medycyny estetycznej. Choć szron na włosach chętniej wybaczamy panom, wśród pań narasta bunt: „500 zł co dwa miesiące u fryzjera?”.

„CO Z NIĄ NIE TAK?”

Chcemy się podobać, ale też czuć się ze sobą dobrze i nie przepraszać nieustannie za naturę, wiek czy zwykłe pragnienie wygody. W pytaniu otwartym zapytałyśmy was, jaka presja na wygląd najbardziej was męczy.

„Męczy mnie presja młodości. Żyję w takim środowisku – i nie jest to w żadnym wypadku świat aktorek i modelek, nazwałabym go raczej światem korpomatek [30-45 lat] – że jak któraś nie robi botoksu, stymulatorów, laserów, ozempików itp., to reszta się zastanawia, co z nią jest nie tak, a jedyna konkluzja jest taka, że pewnie nie ma aktualnie kasy. Inaczej to nie do pomyślenia”.

„Że z upływem czasu mam się nie zmieniać, co jest niemożliwe. Długo ulegałam tej presji, ale mam 53 lata i mam dość. Nie będę udawać, że wciąż mam 30”.

„Człowiek byłby z siebie bardzo zadowolony, gdyby mu nie wmawiać, że nie powinien”.

Wątpliwości wśród czytelniczek budzi makijaż traktowany jako warunek wyjścia z domu – i stający się przez to formą więzienia. Doklejane rzęsy, doczepiane włosy, powiększane usta. Długie paznokcie – podczas gdy brak lakieru i czyste dłonie uznaje się za odchył od normy. Wymóg ciągnięcia za sobą ogona perfum – jakby mycie ciała już nie wystarczało.

Zastanawiacie się, czy na pewno wszystko i zawsze trzeba prasować. „Po cholerę to? Zużywa się prąd i marnuje czas na prasowanie czegoś, co po chwili i tak się wygniecie”.

I czy zawsze trzeba nosić stanik. „Mam mały biust i często w ogóle nie czuję potrzeby zakładania tej części garderoby, a w wielu kręgach uważa się to za faux pas i niechlujstwo”.

„Wkurzają mnie prezenterki telewizyjne słaniające się na niebotycznych szpilkach. Obok faceci pełni werwy, swobodni w wygodnym obuwiu. Mam dwie córki i trudno mi zaakceptować taki kontrast”.

Niektóre części ciała podlegają szczególnym reżimom. Oprócz wspomnianego już wyżej niepłaskiego brzucha, który zresztą opresji się nie poddaje, i siwych pasm, które za duże pieniądze przykrywamy, społeczeństwo bierze pod lupę:

Nasze włosy – te na ciele. „U kobiet nietolerowane są włosy w żadnym obszarze. Walka o gładkie nogi, pachy, wzgórki łonowe jest potężnym biznesem, budzi głębokie kompleksy w dziewczynach o mocniejszym/ciemniejszym włosie, zajmuje potężne ilości czasu”.

Włosy na głowie. „Mężczyzna może łysieć, ale kobieta nie ma do tego prawa. Problem kobiecego łysienia to temat, o którym bardzo rzadko się mówi i kobiety bez włosów uznawane są za obrzydliwe.

Zęby. „Presja stomatologiczna. Ceny są z kosmosu. Mało kogo stać na leczenie. Aparaty, nakładki, wybielanie – zęby muszą być proste, białe i równe – masakra to jest i straszna presja”.

Oraz stopy. „Przyjęło się, że muszą być u kobiet wąskie, zgrabne i z zawsze perfekcyjnie umalowanymi paznokciami. A ja mam płaskostopie i często zniszczone paznokcie od uprawiania sportów, wiec np. w lato bardzo rzadko zakładam sandały, bo nawet sama nie lubię na nie patrzeć”.

„SAME SOBIE TO ROBIMY”

Nasze czytelniczki zauważają, że nie wszędzie presja na ciało ma taki sam charakter. Od Polki oczekuje się, że będzie elegancka i zadbana, podczas gdy mieszkanki Zachodu mają więcej luzu. „Wyjście do ludzi wiąże się z koniecznością nieustannej pogoni za trendami i opłacaniem całej rzeszy specjalistów. W Polsce czuję się starsza, przezroczysta i raczej nieatrakcyjna. Co ciekawe, w krajach zachodnich czuję się zupełnie odwrotnie. Tam ze swoim zadbaniem przyciągam uwagę, aż mnie to zaskakuje”.

Polki coraz chętniej zerkają na Wschód. „Uważam, że mój mózg jest »zatruty« wzorami piękna z Korei Południowej, bo śledzę ich popkulturę w internecie i bardzo mi się ona podoba. Wiem, że to, co robią w show--biznesie, jest chore i nienormalne (hardcorowe diety, operacje itp.), ale tak bardzo mi się podoba to, jak ci idole i aktorzy wyglądają. Chciałabym być chuda, mieć niedowagę, bo widzę tych wszystkich drobnych Azjatów i żałuję, że moje kości są tak grube w porównaniu z ich”.

Najbardziej niszcząca nie jest sama chęć dbania o siebie, lecz nieproszona krytyka ze strony otoczenia. W tym wzajemne ocenianie się kobiet. „Same sobie to robimy” – zauważa jedna z was.

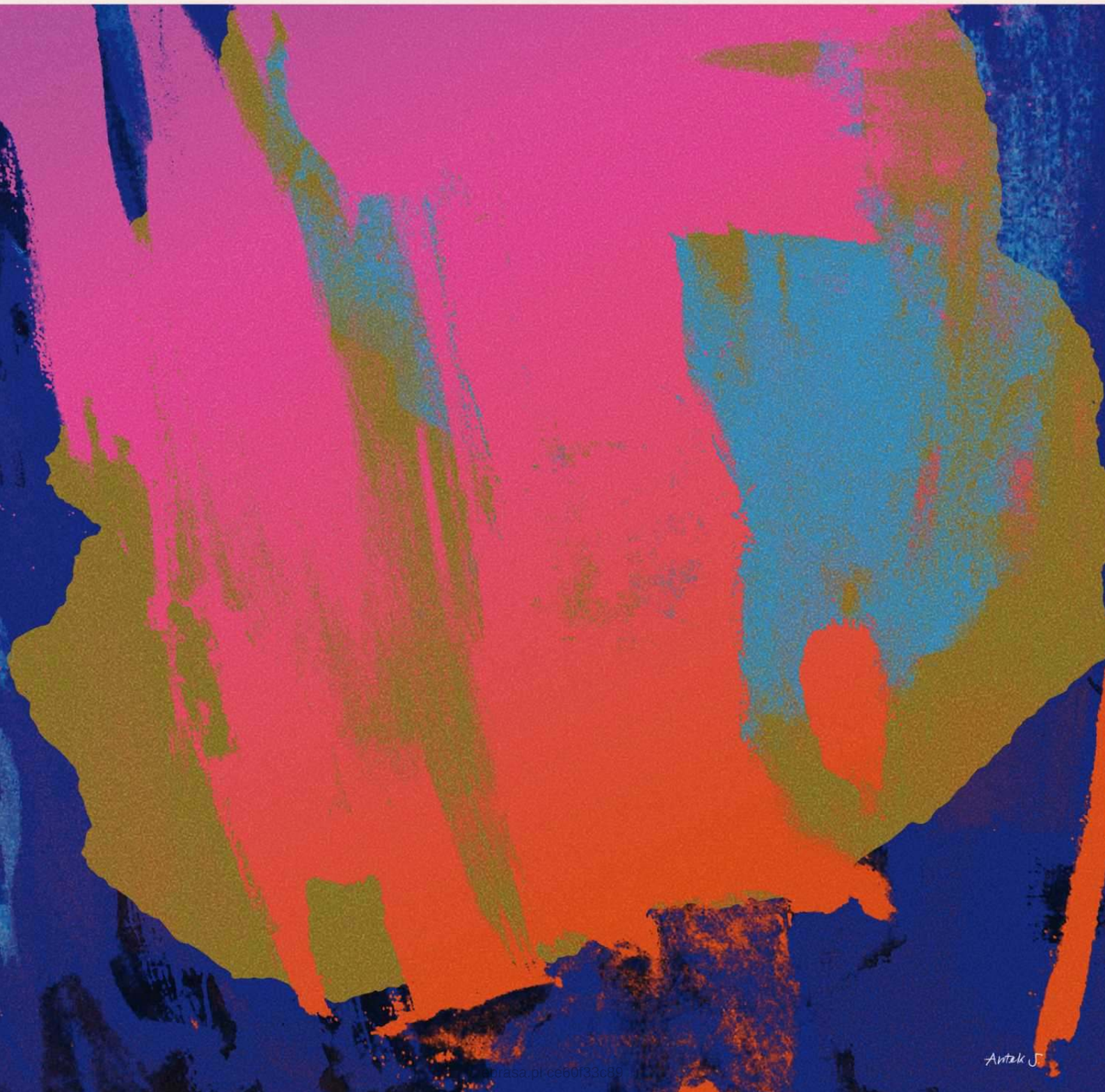
Wiele i wielu z was podkreślało, że dbanie o siebie powinno być źródłem radości i zdrowia, a nie wyścigiem. „Dla mnie najtrudniejsza jest presja wiecznej młodości i sprawności – ogólnie brak wiedzy i akceptacji dla prawdy o wyglądzie ludzkiego ciała i zmian, jakie w nim zachodzą – szczególne z wiekiem. Kobietom przydałoby się trochę czułości i spojrzenie życzliwym okiem od innych kobiet – jedziemy przecież wszystkie na jednym wózku i w tym samym kierunku. Zakłamywanie rzeczywistości nic nie da – nie dajmy się na to nabrać”. ▲

Współpraca przy opracowaniu ankiety: Dominik Uhlig

eprasa.pl ce60f33c89

malujemy dźwiękiem
posłuchaj radia chillizet

Download on the App Store
GET IT ON Google Play





Oluf-Samson-Gang, historyczna uliczka we Flensburgu, zachwyca od pierwszego wejrzenia urokliwymi kamieniczkami

FOT. DANIELA BAUMANN/GETTY IMAGES, SHUTTERSTOCK (4), FRANCESCO CAROVILLANO

eprasa.pl ce60f33c89

Niemcy, *jakich nie znacie*

Są miejsca oczywiste, które polecają znajomi i które mamy na liście życzeń. Flensburga nikt mi dotąd nie polecał, jechałam więc bez specjalnych oczekiwań. I zachwyciłam się!

TEKST **AGNIESZKA URAZIŃSKA**

Jest jesień, więc jedziemy do ciepłych krajów? No, niekoniecznie. Sprawdziłam, że można doskonale spędzić czas, odpocząć i nabrać energii w miejscu, które nie tylko nie kojarzy się specjalnie z wakacjami, ale wręcz słynie z jesiennych deszczów i wietrznych dni.

Dlaczego warto odwiedzić to położone nad fiordem miasto w północnych Niemczech? Powodów jest wiele, ale ograniczę się do podania sześciu.

BO TU JEST PIĘKNIE

Są miejsca oczywiste, które polecają znajomi i które mamy na liście życzeń. Flensburga nikt mi dotąd nie polecał, jechałam więc bez specjalnych oczekiwań. I zachwyciłam się tym portowym miastem z deptakiem ciągnącym się wzdłuż Fiordu Flensburskiego i łódkami kołyszącymi się na wodzie. Historyczna portowa zabudowa z dominacją cegły, zabytkowe kamienice z kolorowymi elewacjami, po których pną się róże, schodkowe dachy – można godzinami spacerować wybrukowanymi uliczkami, wybierać bramy i zaglądać na długie podwórka pełne architektonicznych niespodzianek i przytulnych zaułków. Na kilkudniowy pobyt wybrałam Hotel Hafen Flensburg, oddzielony od zatoki ulicą i deptakiem, więc mogłam pić kawę w klimatycznej restauracji z widokiem na malowniczą przystań. A po kawie wybrać się do położonego tuż przy hotelu Muzeum Morskiego, gdzie można się dowiedzieć nie tylko, jak wiązać węzły żeglarskie, ale także, jak w XII wieku powstał Flensburg, jak port przyciągał nie tylko marynarzy, ale także kupców. Bardzo podobała mi się makieta miasta, która pokazuje kolejne etapy powstawania Flensburga.

BO NIE MA TŁUMÓW

Gdybym miała określić Flensburg jednym zdaniem, powiedziałabym, że jest przyjazny, wygodny, przytulny. Daje odetchnąć pełną piersią, i to nie tylko dzięki świeżemu morskiemu powietrzu. To miejsce nie przytłacza atmosferą kurortu. Nie ma kolejek. Nie ma tłoku. Daje przestrzeń na spacery bez zgiełku, na miły obiad w restauracji bez oczekiwania na stolik. Można usłyszeć pokrzykiwanie morskiego ptactwa i własne myśli też.

Chociaż zdarzyło mi się odwiedzić Flensburg w czasie słynnego jesiennego maratonu, w którym wzięło udział ponad 6 tysięcy zawodników, mowy nie było o paraliżu miasta! Wolontariusze z gwizdkami i kołatkami sprawnie sterowali ruchem, tak że z ulicy mogli korzystać biegacze, entuzjastyczni kibice i osoby kompletnie niezainteresowane bieganiem.

A gdy wybrałam się w rejs promem „MS Viking" do pobliskiego Glücksburga, żeby zwiedzić zamek, na pokładzie było kilkanaście osób. Podróż zapamiętałam jako czysty relaks: przewodnik informował, że po jednej stronie zatoki widzimy Niemcy, a po drugiej Danię, a ja sobie przypomniałam, w jakim tłoku i zgiełku tydzień wcześniej podróżowałam promem we Włoszech. I, słowo daję, nie było w tych wspomnieniach tęsknoty. Nie dziwię się nawet, że czterech mężczyzn ze stolika obok nie wysiadło ze wszystkimi, gdy przypłynęliśmy do brzegu. Taki prom może robić za ruchomy pub – przytulny, zadaszony, z pięknymi widokami.

Flensburg to doskonałe miejsce dla tych, którzy chcą poczuć, jaki to luksus nigdzie





U góry: wiszące buty, jedna z najważniejszych atrakcji Flensburga. Poniżej: typowe danie z lokalnej restauracji

eprasa.pl ce60f33c89



Zachwyciłam się tym miastem, z deptakiem ciągnącym się wzdłuż Fiordu Flensburskiego i łódkami kołyszącymi się na wodzie

się nie spieszyć, nie obijać, nie pchać. A jesienią można też dodać „i nie spocić". Rzeczywiście dynamiczna pogoda nadmorska nie pozwalała się nudzić, chwilami padało, więc przeciwdeszczowa kurtka to był must have. Zmęczeni upałem i przeciwnicy gorącego klimatu na pewno odetchną jesienią we Flensburgu z ulgą i docenią coolcation.

BO JEST DOBRE JEDZENIE

Poznawanie miasta przez jedzenie to niezły pomysł, ale że nie uznaję się za fankę śledzi, to dość skutecznie opierałam się namowom skosztowania kanapki ze śledziem i cebulą, która uchodzi za lokalny przysmak. Zresztą jedyna kolejka, jaką widziałam we Flensburgu, to ta do budki ze śledziami w pobliżu portu. Na kanapkę namówił mnie dopiero Patrick, sympatyczny Polak pracujący w Pier54 standbistro w pobliżu zamku w Glücksburgu. I nie żałuję.

Za to w kameralnej kawiarni Lille Lykke na starówce we Flensburgu zjadłam deser, który będę wspominać latami – właścicielka, Karla, podała sernik z jabłkiem i orzechami, który własnoręcznie upiekła z przepisu, który przekazali jej poprzedni właściciele tego miejsca. I poprosiłam o dokładkę....

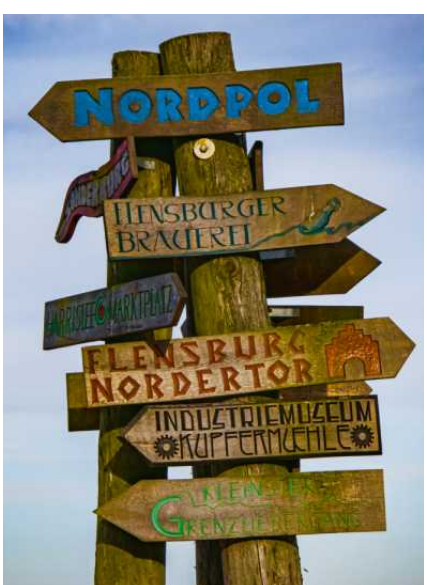
Z kolei w zabytkowym budynku przy porcie, w browarze Hansens Brauerei, obok naprawdę solidnego jedzenia z kuchni niemieckiej – sznycle, kiełbasy, golonka i dużo ziemniaków – są też warzone na miejscu piwa. Zamiast jednego rodzaju warto zamówić zestawy degustacyjne w małych szklaneczkach i spróbować kilku – oprócz najpopularniejszego piwa typu pils są też sezonowe, specjalne i ciemne. Menedżer i kelnerzy to ogromny atut tego miejsca – z wielką kulturą i zaangażowaniem obsługują i opowiadają gościom o tym miejscu. A pytać jest o co, bo bezpośrednio w części restauracyjnej stoją miedziane kotły, które goście oglądają w czasie posiłków, a które nie są atrapą, tylko częścią działającej instalacji browarniczej, wykorzystywanej do tradycyjnego warzenia piwa. Pracownicy wyglądali na zadowolonych z pytań, a o procesie powstawania piwa opowiadali z dumą i zaangażowaniem.

I znów o rybach, bo w restauracji hotelowej Columbus Genusswirtschaft można zjeść na przykład Labskaus, czyli tradycyjne danie marynarskie z mięsa i ziemniaków, a także różne rodzaje ryb. Dla tych, którzy nie mogą się zdecydować, dobrym rozwiązaniem może być Columbus Fish Pan, czyli trzy rodzaje ryb podane na orzechowym risotto na gorącej patelni.

A po wieczornym spacerze po starówce warto zajrzeć do restauracji Grisou, żeby się przekonać, gdzie chętnie jadają miejscowi. I trudno im się dziwić – stek był bardzo dobry.

BO JEST CIEKAWIE

Miałam przyjemność zwiedzać Flensburg z przewodnikiem Rolfem Jönsem, który z pasją odkrywał przede mną historię miasta – od średniowiecznych początków po kolorową współczesność. Opowiedział mi o uliczce Oluf-Samson-Gang, która zachwyca od pierwszego wejrzenia urokliwymi kamieniczkami porośniętymi kwiatami z kolorowymi, zadbanymi fasadami.



eprasa.pl ce60f33c89



Flensburg to doskonałe miejsce dla tych, którzy chcą poczuć, jaki to luksus nigdzie się nie śpieszyć, nie obijać się o innych, nie pchać

Aż sobie człowiek wyobraża, że żyli tu beztroscy i szczęśliwi ludzie. Raczej nie wszyscy. W XVII wieku mieszkali tam marynarze i rzemieślnicy, ale po I wojnie światowej bardziej niż z rzemiosłem ulica zaczęła być kojarzona z prostytucją i nazywano ją ulicą grzechu. Teraz odrestaurowana zachwyca, a jej historia pobudza wyobraźnię.

Jöns opowiedział mi także historię tajemniczej artystki, która kilka lat temu zaczęła malować na flensburskich kamienicach koty. Robiła to pod osłoną nocy, nie zdradzała swej tożsamości. Postaci kotów nawiązywały do działalności prowadzonej w kamienicach, na których je malowano – na przykład na cukierni był kot z ciastkiem w dłoni. Wprawne oko może dostrzec, jak ewaluował warsztat artystki – pierwsze malunki są trochę nieporadne, a te najnowsze – realistyczne. Przewodnik zapewnia, że właściciele kamienic nie mają malarce za złe, że pokrywa farbą ściany. Przeciwnie, traktują to jak wyróżnienie. Ta uliczna galeria sztuki liczy już kilkadziesiąt obrazków, które można odkryć przy Norderstraße w historycznym centrum Flensburga.

A kiedy przestaniemy w poszukiwaniu kotów patrzeć w okolice krawężników oraz fundamentów i podniesiemy wzrok, czeka nas kolejne zaskoczenie – na linach między kamienicami, które wyglądają trochę jak grube sznury do prania, wisi..., nie, nie pranie, tylko niezwykła instalacja z butów powiązanych sznurówkami. To dyndające obuwie zaczęło się pojawiać nad ulicą ponad 20 lat temu – podobno zaczęło się od skaterów, którzy rzucali w górę dla zabawy zużytymi butami. Później dołączyli do nich inni. Ponoć studentom spodobał się pomysł i zaczęli żegnać się z miastem, podrzucając własne obuwie.

Za to w oddalonym o 10 kilometrów Glücksburgu atrakcją jest Schloss Glücksburg – zamek na wodzie. Odbicie renesansowego białego zamku w tafli wody zachwyca, podobnie jak pływające stadami dostojne łabędzie. Zamek powstał w miejscu dawnego klasztoru, budowę rozpoczęto w XVI wieku. Mieszkały w nim kolejne pokolenia książąt z rodu Glücksburgów. Zostały po nich stylowe wnętrza, meble, stroje i obrazy. Po zamku oprowadzała mnie Margit Nische, przewodniczka, która w stroju nawiązującym do epoki sama wyglądała jak księżniczka, a o historii tego miejsca i jego mieszkańcach opowiadała tak, że zafundowała mi podróż w czasie.

BO CENY NIE ODSTRASZAJĄ

We Flensburgu można zjeść obiad za 9-20 euro, a w bardziej eleganckiej restauracji kosztuje ok. 30 i więcej. Za kawę zapłacimy 2,5-5 euro, a za piwo w barze – 3-6 euro. Prom z Flensburga do Glücksburga kosztuje 15 euro, sok pomarańczowy na promie – 1,5 euro, a cappuccino – 1,5 euro. Za noc w hotelu trzeba zapłacić od 50 do 200 euro w zależności od standardu.

BO BLISKO DO DANII

Flensburg leży tuż przy duńskiej granicy, można więc wybrać się na jednodniową wycieczkę z Niemiec do Danii. Niezłym pomysłem może się okazać podróż rowerem – około 25 kilometrów – z Flensburga do Langballigau, wzdłuż fiordu, a stamtąd przepłynięcie promem do Danii. Rejs trwa około 30 minut. Można też zdecydować się tylko na rower i przejeżdżając lądową granicę, pojechać do oddalonego o ok. 15 km Padborgu. Doskonałym przystankiem w takiej podróży może być budka z hot dogami – te duńskie są naprawdę świetne.

Warto?

Jasne. Północ Niemiec to piękne miejsca, pyszne jedzenie, przyjaźni ludzie i atmosfera dobra do odpoczywania. ▲

Flensburg odwiedziłam na zaproszenie Niemieckiej Centrali Turystyki i Visit Northern Germany

eprasa.pl ce60f33c89


SOLAR
x
Magdalena Lamparska
solar.com.pl